

# DOKTRYNA PIEKIEŁ



JOHN RINGO

**John Ringo**

**DOKTRYNA PIEKIEŁ**

*Hell's Faire*

**Tłumaczenie: Przemysław Bieliński**

**DZIEDZICTWO ALDENATA 4**



# **Spis treści**

\* Prolog \*

\* 1 \*

\* 2 \*

\* 3 \*

\* 4 \*

\* 5 \*

\* 6 \*

\* 7 \*

\* 8 \*

\* 9 \*

\* 10 \*

\* 11 \*

\* 12 \*

\* 13 \*

\* 14 \*

\* 15 \*

\* 16 \*

\* 17 \*

\* 18 \*

\* 19 \*

\* 20 \*

\* EPILOG \*

\* POSŁOWIE \*

\* PODZIĘKOWANIA \*

Ćmom Barowym.  
Proszę.  
Gotowe.  
A teraz dajcie mi święty spokój!

- J.

## \* Prolog \*

Wielebny Nathan O'Reilly musiał przyznać, że stanowisko konsultanta prezydenta Stanów Zjednoczonych miało swoje dobre i złe strony. Jedną z tych dobrych – wprost nieocenioną – był wręcz nieograniczony dostęp do posiadanych przez prezydenta informacji na temat „dobroczyńców” ludzkości. Bane Sidhe i bez tego znała większość owych informacji, przypuszczalnie dzięki penetracji ludzkich sieci komputerowych. Société wolała jednak się upewnić – nie przestając wspierać swoich odwiecznych „sprzymierzeńców” – czy nikt nie próbuje jej wykołować.

Negatywnym aspektem sytuacji były teorie spiskowe głoszone przez różnych niedouczonech ćwierćprofesjonalistów, że jezuita jako doradca prezydenta jest dowodem istnienia jakiejś tajemnej intrygi związanej z piramidami, Atlantydą, obcymi i wiedzą starożytnych. Oficerowie FBI, CIA, NASA i innych agencji uważali, że nie ma żadnych starożytnych spisków. Każdy, kto by otwarcie stwierdził, że wielebny doktor Nathan O'Reilly, Doradca Prezydenta ds. Galaktycznej Antropologii i Protokołu, jest zamieszany w tysiącletnią intrygę, natychmiast trafiłby do pokoju bez klamek.

I dobrze, ponieważ akurat w tym przypadku owi „popaprańcy” mieli rację.

Stanowisko konsultanta cieszyło się jednak również autorytetem, co było bardzo przydatne w kontaktach z pewną kategorią ludzi, do której zaliczał się obecny gość wielebnego.

Przed zdezerterowaniem z Dowództwa Operacji Specjalnych Stanów Zjednoczonych porucznik Peter Left był mężczyzną średniego wzrostu, jasnowłosym i niebieskookim, przypominającym wyglądem i charyzmą półboga albo filmowego gwiazdora. Teraz gość O'Reilly'ego miał ciemne włosy, piwne oczy i szczupłą budowę ciała, a standardowe procedury identyfikacyjne przy wejściu do Cheyenne Mountain potwierdziły również inne odciski palców, inny głos, inną siatkówkę, a nawet inny kod genetyczny. Mimo to wielebny O'Reilly nie miał wątpliwości, że rozmawia z trzecim co do ważności dowódcą Cyberpunków.

Jak dotąd rozmowa nie szła im najlepiej. Niezależnie od tego, że ich interesy były zbieżne z interesami Société, Cybersi istnieli po to, by bronić konstytucji Stanów Zjednoczonych przed Darhelami i sprzymierzonymi z nimi politykami. Przymierze to i wynikający z niego tryb wydawania i przyjmowania poleceń nie miały żadnego oparcia w owym dokumencie – w ani jednym traktacie, w ani jednej poprawce – a więc stały w sprzeczności z konstytucją zarówno z punktu widzenia prawa, jak i ducha ustawy, co Left właśnie ze złością wyjaśniał.

– Kiedy przedstawiliśmy naszym przełożonym dowody przeciwko Darhelom, stało się jasne, że zostali przez nich skaptowani i że musimy sami działać, gdyż nie ma już od kogo przyjmować rozkazów. Jeśli teraz zaczniemy wykonywać polecenia jakiejś grupy kontrolowanej przez Galaksjan, będziemy gorsi od tych, z którymi walczymy. Prawdę mówiąc, propozycja ojca nas obraża.

– Société nie jest „kontrolowana przez Galaksjan” – odparł z uśmiechem O'Reilly. – Działamy niezależnie od Bane Sidhe, jedynie nawzajem się wspieramy. Bane Sidhe udostępnia nam dane wywiadu i zapewnia dostęp do galaktykańskich technologii...

– A wy za to dostarczacie im zamachowców. – Left niemal wypluł te słowa. – Darhelowie przynajmniej nie ukrywają swoich zamiarów pod wzniosłymi hasłami. To, że Galaksjanie sami nie potrafią zabić, kogo trzeba, to jeszcze nie powód, żebyśmy byli ich chłopcami na posyłki.

O'Reilly zmierzył Cyberpunka gniewnym spojrzeniem.

– Dobrze, ty arogancki matole. Chcesz znać prawdę? Proszę. Wy z waszą drogocenną konstytucją już jesteście martwi, jeśli nie odciągniemy od was elfów. Szukacie po omacku odpowiedzi, które my mieliśmy, kiedy jeszcze Gilgamesz nosił pieluchy! Mogę pokazać ci osobisty dziennik Marka Antoniusza, starszego centuriona Czternastego Legionu Rzymu, w którym służyli

bezlitośni mordercy, jakich wolelibyście nie oglądać nawet z daleka. Pisał, że ludzie zbyt często ze sobą walczą, podczas gdy powinni połączyć swoje siły przeciwko Darhelom, czyli Odwiecznym, jak ich wtedy nazywano. Chcecie bronić Ameryki i jej cennej konstytucji, którą przecież pisali także członkowie Société. Société stawia przed sobą tylko jedno, jedyne zadanie: sprawić, by ludzkość mogła rozwijać się wolna od jarzma Darhelów! W obecnej chwili to właśnie Darhelowie są największym zagrożeniem dla waszej konstytucji. A więc będziecie z nami współpracować czy będziemy działać po omacku, skłóceni ze sobą? Innego wyjścia nie ma. To układ binarny. Pogódźcie się z tym.

Left przez chwilę spokojnie mu się przyglądał, potem pokiwał głową.

– Czego chcecie i co jesteście skłonni nam dać w zamian?

– Macie rację co do tego, że najbardziej potrzeba nam personelu do bezpośrednich działań – odparł O'Reilly. – Wojna pochłonęła wielu naszych ludzi, a potrzebujemy zespołów szybkiego reagowania...

Left pokręcił głową.

– Nie możemy występować bezpośrednio przeciwko Darhelom. To by pogwałciło Układ. Chociaż być może nie jest zgodny z konstytucją, uważamy, że w dłuższej perspektywie będzie leżał w interesie nas wszystkich.

– To właśnie Układ i wasze starania, by go stworzyć, zrobiły na mnie wrażenie. Moim zdaniem jednak za szybko daliście sobie spokój. Pięciu Darhelów za generała Taylora to kiepski przelicznik. Piętnastu, dwudziestu, stu, jeśliby się dało...

– Jestem skłonny się zgodzić – powiedział Left z nikłym uśmiechem. – Jednak pięciu to wszystko, co mogliśmy zrobić. Jeśli... kiedyś będziemy musieli to powtórzyć, pięciu to chyba wszystko, co jesteśmy w stanie zagwarantować. Ponieważ Darhelowie mogą nie zawahać się przed zabiciem jakiegoś wysokiego stopniem żołnierza za cenę pięciu swoich, uznaliśmy, że jeśli będzie to osoba szczególnie chroniona, zamach na nią można będzie potraktować jako wypowiedzenie wojny. Generalnie jednak my sami nie możemy wystąpić przeciwko Darhelom. A więc do czego potrzebowalibyście ludzi?

– Są pewne przedsięwzięcia, które wymagają „ludzkiej” ręki. Na przykład nie rzucająca się w oczy ochrona wybranych osobników. Mamy bardzo dobre informacje na temat zamiarów Darhelów i często jesteśmy w stanie nie dopuścić do zamachu. Do tego jednak potrzebni nam są kontrzamachowcy. Poza tym od czasu do czasu potrzebujemy kogoś, kto zabrałby naszych ludzi z miejsc, w które sam diabeł boi się zapuszczać.

– Wiedzieliście wcześniej o zabójstwie generała Taylora? – spytał cicho Left.

O'Reilly pokiwał głową.

– Pewne komórki zostały o tym poinformowane, ale ostrzeżono nas, że wykorzystanie tej informacji zdradzi źródło jej pochodzenia, a jego utrata nie byłaby korzystna ze strategicznego punktu widzenia. Pozwoliliśmy więc na zamach.

Left zacisnął usta.

– Jak Churchill i Coventry. Rozumiem taką logikę, ale Cybersi nie godzą się na tak daleko posuniętą *realpolitik*. Szczerze mówiąc, być może powinniście jeszcze raz rozważyć sprawę sojuszu z nami. Jeśli połączymy siły, będziemy od was oczekiwać przestrzegania zasad moralnych, jezuito. Wprawdzie jesteśmy paladynami, ale jeśli w ramach waszej *realpolitik* zdradzicie jeden z naszych zespołów albo pozwolicie na śmierć naszego agenta, wyrzniemy was co do jednego albo sami zginiemy. A więc wciąż jesteście zdecydowani?

– Tak – westchnął O'Reilly. – Dużo rozmawialiśmy na temat Cyber Credo, jak to nazywamy, i

pojawiły się głosy, że jakoś to obejdziemy. Niektóre źródła informacji będą bardziej narażone, ale jeśli zajdzie taka potrzeba, wycofamy je. Stracimy wówczas dostęp do bieżących informacji, ale nie samo źródło.

– Przykro mi, ale nie możecie traktować ludzi jak pionki – stwierdził zimno Left. – To właśnie politycy, którzy tak robili, sprowadzili na nas to wszystko.

– Inni uważali – ciągnął O'Reilly – że nie powinniśmy się z wami sprzymierzać właśnie ze względu na ryzyko utraty informacji. Takie stanowisko reprezentowały głównie pewne frakcje Bane Sidhe, Tongowie i Franklini. Jeśli chodzi o cynizm i *realpolitik*, w porównaniu z Franklinami Darhelowie to pluszowe przytulanki. Z kolei jeszcze inne frakcje Bane Sidhe, Société i różne grupy w Kościele uważają, że to moralnie odnawiające podejście i że długoterminowe korzyści przeważają nad doraźnymi konsekwencjami.

– Jezu – zaśmiał się Left. – Ile wy macie u siebie tych grup?

– Jak widać, całkiem sporo. Jeśli tylko istnieje jakaś cywilizacja, zawsze znajdzie pan w niej Bane Sidhe.

– Dobrze, potrzebujecie zamachowców i kontrzamachowców. A co my będziemy z tego mieli?

– Och, będziemy was prosić jeszcze o wiele innych rzeczy – przyznał O'Reilly. – To, że facet ścigany listem gończym może wejść do siedziby Najwyższego Dowództwa, dowodzi, jak dobrze sobie radzicie.

W zamian za to O'Reilly proponował czyste przekazniki, które Cybersi mogliby u siebie zbadać, dostęp przez kontakty Indowy do baz danych Floty oraz generatory profilów, usprawniające identyfikację kandydatów do rekrutacji, a także możliwość korzystania z sieci kryjówek Société we wszystkich ocalałych większych miastach, a nawet poza planetą.

– Ponadto broń, pieniądze, dokumenty. Co tylko chcecie, my możemy wszystko załatwić.

– A my musimy tylko zabijać nie znanych nam ludzi – powiedział Left, kręcąc głową. – Przedstawię waszą propozycję dowództwu. Ale nie podoba mi się to, że tak wiele waszych komórek jest znanych Indowy. Nie zgodzimy się na żaden kontakt z nimi; jeśli spotkam chociaż jednego Indowy, uznam, że mosty zostały spalone. Zrozumiano?

– Zrozumiano. – Wielebny pokiwał głową, a po chwili się uśmiechnął. – Mam jedno pytanie: czy w waszej organizacji wciąż macie kobiety?

– Kilka. Trening Cybersów jest bardzo wyczerpujący, i dotyczy to zarówno ciała, jak i umysłu. Czemu ojciec pyta?

Och, coś mi przyszło do głowy. – O'Reilly parsknął śmiechem. – Société wybiega spojrzeniem w przyszłość, a mówiliśmy o naborze. Tak się składa, że stoi przed nami zadanie o wysokim priorytecie. Wspominałem już o miejscach, w które sam diabeł nie pójdzie, prawda?

*Przechodniu, powiedz Sparcie,  
Iż wierni jej prawom  
Tutaj spoczywamy.*

Symonides z Ceos  
Inskrypcja w Termopilach

Niedaleko Asheville, stan Północna Karolina,  
Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III  
02:15 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
poniedziałek, 28 września 2009

Major Michael O'Neal spojrział na holograficzny wykres, który wywołał, i pokiwał głową. Banshee przechylił się na prawo i zaczął opadać w dół; zapowiadała się niezła zabawa.

Prom, którym leciał, wyglądał jak czarny sejmitar tnący zachmurzone appalachijskie niebo. Połączenie technologii ludzi, Indowy i Himmitów dało w efekcie statek, który był trochę niewykrywalny, trochę opancerzony, trochę zwrotny i trochę szybki.

Oczywiście w porównaniu z jakąkolwiek maszyną zbudowaną tylko według ludzkiej technologii Banshee III był cudem techniki.

Niewykrywalne nieprzyjacielskie promy bez przygód doleciały do rejonu południowego Shenandoah. Tam posleenscy najeźdźcy, w których rękach znajdowały się praktycznie całe wybrzeża Atlantyku i Pacyfiku, przedarli się w rejon Staunton, to zaś zmusiło statki w kształcie sejmitarów do zejścia poniżej linii horyzontu i rozpoczęcia manewrów unikowych.

W ciągu ostatnich pięciu lat Posleeni lądowali falami na całym świecie, przełamując praktycznie wszystkie linie obrony. Nieliczni ocalali w Zachodniej Europie schronili się w górskich dolinach w Alpach. Bliski Wschód, Afryka i większa część Ameryki Południowej były albo w rękach Posleenów, albo panowała tam taka anarchia, że nie dochodziły stamtąd nawet sygnały radiowe. Australijczycy ocaleli jedynie na zachodnich rubieżach swojego kontynentu i w pustynnym interiorze. Chiny padły dopiero po odpaleniu blisko tysiąca głowic jądrowych podczas długiego odwrotu w górę doliny Jangcy. Cywilizacje całej planety jedna po drugiej upadały, atakowane przez bezlitosnego najeźdźcę. Z jednym małym wyjątkiem.

W Stanach Zjednoczonych dzięki położeniu geograficznemu – Posleeni lądowali zazwyczaj na nadbrzeżnych równinach, gdzie pełno było naturalnych zapór – oraz logistyczno-politycznemu przygotowaniu rządowi udało się utrzymać kontrolę nad kilkoma rejonami. W najważniejszych z nich, w nieckach Cumberland i Ohio, były ośrodki potężnego przemysłu i bogate rolnictwo. Rozległe równiny środkowej Kanady wciąż były bezpieczne, ponieważ obcy nie potrafili walczyć w śniegu. Jednak te równiny oraz rejon na zachodzie, od Sierra Madre do kanadyjskich Gór Skalistych, były w stanie wyprodukować jedynie niewielką ilość zbóż. Co więcej, tamtejsza infrastruktura przemysłowa była bardzo skromna w porównaniu z przemysłem Cumberland czy Ohio.

Tak więc Cumberland, Ohio i rejon Wielkich Jezior były centrum obrony Stanów Zjednoczonych. Utrata samego Cumberland otworzyłaby najeźdźcom drogę do podboju.

Pierwszy batalion pięćset pięćdziesiątego piątego pułku piechoty wraz z innymi batalionami bronił miast rozrzuconych wzdłuż łańcucha Appalachów, z których każde co jakiś czas było atakowane przez siły wroga. Zaledwie kilka tygodni wcześniej żołnierze brali udział w mrozącej krew w żyłach bitwie na Równinie Ontario. Tym razem Posleeni wszystkich zaskoczyli, uderzając na



słabo broniony sektor, i postawili na nogi całą obronę wschodnich Stanów Zjednoczonych.

O'Neal i jego batalion przelecieli nad południową Pensylwanią i zachodnią Wirginią bez żadnych przygód. Teraz jednak, kiedy zbliżali się do Północnej Karoliny i Tennessee, przyszła pora, aby zejść niżej i wziąć się do roboty.

Posleeni naciskali na Mur Appalachijski, a w niektórych miejscach nawet już go przerwali. Oprócz szturm na Gap, obcy nacierali dwiema flankami na Asheville. Gdyby udało im się dojść od tyłu do obleżonego miasta, to byłby już koniec.

O'Neal znów pokiwał głową, wyczuwając kolejny przechył. Promy wykorzystywały minimalną kompensację inercyjną, by zredukować wstrząsy spowodowane korektą kursu. Gdyby użyto zbyt dużej mocy, stałyby się dla Posleenów widoczne jak zapalone żarówki, a gdyby moc była za mała, rozgniotłyby swoich pasażerów na miazgę. Mike przełączył się na widok zewnętrzny. Statki leciały krętą doliną i od czasu do czasu widział w świetle woskowego księżyca przemykające nad jego głową góry.

Niedługo potem zaczęli nabierać wysokości, lecąc z prędkością ponad pięciuset węzłów. Promy wystrzeliły ponad krawędź następnej przełęczy, a potem wykonały niezwykle trudny manewr i opadły z drugiej strony, idealnie równoległe do zbocza. W żadnym momencie ani nie przyspieszyły, ani nie zwolniły – utrzymywały prędkość o pięćdziesiąt kilometrów na godzinę poniżej prędkości dźwięku.

Mike zaznaczył następny punkt kontrolny i spojrział w lewo. Gdzieś tam było Asheville, wciąż zamieszkane przez ponad milion cywilów i sześć dywizji piechoty. Za nim rozciągały się dwa Podmieścia, które skrywały łącznie pięć milionów osób. A wszystko to znalazło się jak w uchwycie imadła.

Mike westchnął i wyświetlił listę piosenek; w takich chwilach jak ta muzyka wydawała mu się jak najbardziej na miejscu.

\* \* \*

– Co to jest, do cholery? – zapytał porucznik Tommy Sunday, kiedy na częstotliwości dowodzenia rozbrzmiała dziwna klawiszowa muzyka.

– *Don't pay the ferryman* – odparł starszy kapral Blatt. Jego pancerz Kosiarza miał na przodzie holograficznego purpurowo-różowego misia; kiedy zaczęła się piosenka, miś zerwał się na nogi i zaczął tańczyć, potrząsając w rytm muzyki tłustym brzuszkiem. – Stary musi być w niezłym dołku.

Kosiarze byli operatorami ciężkiej broni piechoty mobilnej. Ich pancerze, zaprojektowane do dalekiego ognia pośredniego albo ciężkiego ognia bliskiego wsparcia, zazwyczaj wyposażone były w cztery sztuki broni (w przeciwieństwie do jednego standardowego karabinu Bandytów), poczynając od przeciwokrętowych ciężkich działek grawitacyjnych, przez automatyczne moździerze dalekiego zasięgu, a na działkach flesztkowych wypływających miliony pocisków na minutę kończąc. Były jednak cieńsze, więc angażowanie się w bezpośrednie starcia z Posleenami było z reguły złym pomysłem.

– Chryste – jęknął kapral McEvoy, trąc prawie łysą głowę. – Mam nadzieję, że to nie jest ta jego playlista pod hasłem „wszyscy ZGINIEMY!”. Jak usłyszę jeszcze raz *Veteran of the psychic wars*, chyba się porzygam.

Promy były małe, zaprojektowane do przewożenia bez specjalnych wygod trzydziestu sześciu żołnierzy i dwóch dowódców. Każdy segment pancerza był usztywniony, wyposażony w klamry chroniące zbroję w czasie wykonywania manewrów i zaprojektowany tak, by obracać się wokół własnej osi i wystrzeliwać żołnierzy wprost we wroga środowisko.

– Nie – powiedział Blatt. – Teraz będzie James Taylor. Zakład o piątką.

- Frajerski zakład – odparł McEvoy. – Słyszałem, że w Gap była córka Starego.
  - O, ja pierdołę. – Blatt potrząsnął głową. – Kiepsko.
  - Jest twarda – powiedział McEvoy, nachylając się, żeby splunąć do hełmu. – Z tego, co słyszałem, tak samo jego stary. Mogli dać sobie radę.
  - Wątpię. – Sunday podniósł wzrok znad swojego hologramu. – Według odczytów sejsmograficznych i elektromagnetycznych, w rejonie Gap doszło do wielokrotnych detonacji ładunków jądrowych. Zresztą my sami zaraz dorzucimy jeszcze trochę swoich.
  - Chyba jeszcze nie odpaliliśmy atomówek, sir – rzekł Blatt. Zaczął naciągać rękawice, kiedy zegar jego pancerza zapiszczał. – Dwadzieścia minut.
  - Niedawno odpaliliśmy – odparł Tommy, zakładając hełm. – Ale tam, to chyba były wtórne eksplozje.
  - Och, w takim razie w porządku – powiedział Blatt. – Dopóki nie są wycelowane w nas...
  - Aha – zgodził się McEvoy. – Ostatni raz martwiłem się o atomówki, kiedy mnie nimi trafili.
  - Macie jakieś propozycje? – spytał porucznik.
  - Płasko na ziemię – odparł ze śmiechem Blatt.
  - Tak, najgorsze jest to, jak człowieka wyrzuca w powietrze.
  - Myślałem, że najgorsze jest to, jak obrywa człowiekowi ręce i nogi – zauważył Tommy.
  - No, jedynym człowiekiem, który to przeżył, jest Stary – przypomniał Blatt. – Nie radzę być tak blisko; urwanie ręki boli jak cholera.
  - Zgadza się – powiedział Tommy.
- Porucznik był nowicjuszem w pancerzach wspomaganych, ale nie w kwestii bitew; jeszcze kilka tygodni temu był podoficerem w Dziesięciu Tysiącach, najbardziej elitarnej jednostce, nie licząc piechoty mobilnej. Dziesięć Tysięcy było uzbrojone w sprzęt zdobyty na Posleenach i przerzucano ich z jednej sytuacji kryzysowej do drugiej, dlatego też w swoim czasie Tom Sunday Junior widział więcej niż jakikolwiek żołnierz spoza jednostek pancerzy. Do tego udało mu się przeżyć i dosłużyć stopnia starszego plutonowego. Wszystko to świadczyło o jego umiejętnościach znajdowania sobie osłony, kiedy robiło się niewesoło.
- Którą, panie poruczniku? – spytał McEvoy. Oficer był u nich nowy i nie mieli zbyt dużo czasu, by go poznać.
  - Prawą, tuż nad łokciem – odparł Sunday. Miał na głowie hełm, więc trudno było stwierdzić, gdzie patrzy, ale McEvoy był prawie pewien, że prosto na niego.
  - Aha. Tak tylko pytam – powiedział.
  - Macie rację, boli – podjął porucznik. – Tak samo jak oberwanie śrutem ze strzelby w pierś. Albo wyrwanie prawej nerki przez trzymilimetrówkę, która na szczęście leciała za szybko, żeby narobić więcej szkód. A dostać się pod ogień moździerzy własnej kompanii to dopiero zabawa. Tak samo jak dostać postrzał w plecy od zielonego radiowca, który spanikował. Wyobrażam sobie, że kiedy człowieka wyrzuca w powietrze eksplozja jądrowa, musi być bardzo nieprzyjemnie.
  - Pewnie tak, sir – powiedział strzelec, przesuwając ciężkie działko grawitacyjne, żeby sprawdzić, czy się naprowadza płynnie na cel. – Ogólnie rzecz biorąc, chyba zbroja to jest to.
  - Niech to diabli – zaklął Blatt, zmieniając temat. – Wygląda na to, że miałeś rację. Leci *Veteran of the psychic wars*.
  - Stary jest wkurzony na tych Posleenów – zauważył McEvoy.
  - Jestem pewien, że nie on jeden – dodał cicho Sunday.

\* \* \*

Kapitan Annie Elgars spojrzała na siedzącą wokół małego ogniska grupkę ludzi i westchnęła.

Wyglądała na jakieś siedemnaście lat, miała mocno umięśnione ciało i długie blond włosy, jednak w rzeczywistości bliżej jej było do trzydziestki niż do dwudziestki i jeszcze niedawno pogrążona była w śpiączce. Jej przebudzenie, umiejętności i cechy osobowości to były tajemnice, które dopiero zaczynały się wyjaśniać.

Przy ognisku, które rozpalono w małym zadrzewionym zagłębieniu w górach północnej Karoliny, siedziały dwie dorosłe kobiety, dwóch żołnierzy i ośmioro dzieci. Kobiety i dzieci przebywały w Podmieściu, kiedy Posleeni uderzyli na dolinę Rabun i jednym natarciem odepchnęli obrońców. Na szczęście trzem kobietom udało się dotrzeć do najgłębszych rejonów Podmieścia, gdzie uciekając przez sektory serwisowe, przypadkiem trafiły na ukrytą tam instalację. Tam właśnie zrobiły sobie „upgrade”, wyleczyły rany, nabrały sił i nabyły umiejętności posługiwania się bronią.

W drodze na tereny kontrolowane przez ludzi najpierw zostały odcięte przez nacierających Posleenów, potem zaś spotkały dwóch żołnierzy: Jake’a Mosovicha i Davida Muellera. Teraz wspólnie zastanawiali się, dokąd mają iść, skoro łatwa trasa była niedostępna.

– Wszyscy się zgadzają? – spytała Elgars; jej oddech unosił się białą mgłą w mroźnym powietrzu. – Ruszamy na farmę O’Neala i opróżnimy skład?

– Nie widzę innego wyjścia – odparł Mueller. Był niedźwiedziowatym, wysokim i potężnym mężczyzną, z grzywą niemal białych włosów. Starszy sierżant szpiegował Posleenów jeszcze przed pierwszą inwazją i już tyle razy pakował się w kłopoty, że często sam zadawał sobie pytanie, po jaką cholere dalej się w to bawi. Do tej pory jednak nie musiał martwić się o to, jak wyciągnąć z kłopotów trzy kobiety i ośmioro dzieci. W tym wypadku kłopoty polegały też na tym, że dzieci czekała śmierć z wyziębienia, jeśli czegoś szybko nie zrobią.

– Na stacji hydrologicznej nie było niczego użytecznego.

Posleeni łupili dosłownie wszystko, a potem niszczyli wszelkie ślady życia mieszkańców. Chociaż stacja nie została zburzona, opróżniono ją, podobnie jak wszystkie inne budynki, które przeszukali.

Shari Reilly skrzywiła się.

– To jeszcze prawie dwadzieścia pięć kilometrów – powiedziała. – Nawet jeśli zaniesiemy dzieci, nie sądzę, żeby miało nam się udać.

Shari miała trzydzieści dwa lata; kiedy Posleeni zaatakowali jej rodzinne miasto, Fredericksburg w Wirginii, była kelnerką i samotną matką trójki dzieci. Jako jedna z nielicznych ocalałych z tej miejscowości osób została przesiedlona razem z dziećmi do jednego z pierwszych podziemnych miast. Zbudowano je – nie zważając na brak dróg zaopatrzenia – w ustronnej dolinie w zachodniej części północnej Karoliny z dwóch przyczyn: było mało prawdopodobne, żeby Posleeni zaatakowali w tak trudnym terenie, a poza tym miejscowy kongresman był prezesem komitetu asygnacyjnego.

Jak się okazało, po pięciu latach bicia łbami w różne mury Posleeni przypuścili atak w głąb doliny Rabun. Shari Reilly kolejny raz znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

– Chciałabym wiedzieć, co się stało z Cally i Papą O’Nealem – przyznała cicho. Cała grupa była już wcześniej na rodzinnej farmie O’Neala, i Shari i Papa tak bardzo przypadli sobie do gustu, że O’Neal poprosił ją, by zamieszkała u niego razem z dziećmi. Kiedy Posleeni zajęli całą okolicę, ten plan, tak samo jak wiele innych w jej życiu, upadł. Mimo to Shari wciąż uważała, że powinna się dowiedzieć, co się stało z O’Nealami.

Wendy Cummings wrzuciła ramionami i odsunęła z oczu kosmyk włosów.

– Cały czas jedziemy na tym samym wózku – powiedziała, wskazując na szare niebo. W ciągu ostatnich kilku godzin coraz bardziej ciemniało. Kobiety prawdopodobnie były w stanie przeżyć w

takich warunkach, ale dzieci nie miały grubych ubrań. Zdobyć ich było drugim co do ważności celem; pierwszym zaś było niedopuszczenie do tego, żeby wpadły w łapy Posleenów.

Wendy była pośrednikiem w kontaktach między dwiema pozostałymi kobietami; czasami miała wrażenie, że tylko dzięki niej grupa jeszcze się nie rozpadła. Była bogato obdarowaną przez naturę blondynką, również ocalałą z Fredericksburga. Jeszcze do niedawna nie miała ochoty zabijać Posleenów, tak jak to robił jej chłopak, ale teraz zabijała każdego, który się pojawił, choć konieczność ciągnięcia za sobą dzieci psuła jej całą zabawę.

Ale zadanie to zadanie.

– Musimy zdobyć jakieś ubrania dla dzieciaków, przydałoby się nam też trochę zapasów – mówiła dalej. – Nawet razem z tym, co przynieśli pan sierżant i Mueller, wciąż mamy za mało.

– W składzie było tego dużo – zauważył Mueller. Dorzucił do ognia trochę suchego drewna i spojrzał w niebo. – Jeśli będziemy szybko maszerować, dotrzemy do domu O’Neala o północy.

– Później – odparł Mosovich. Szczupły i żyłasty starszy sierżant sztabowy był przeciwieństwem swojego podwładnego. Służył już w wojsku, kiedy Muellera nie było jeszcze nawet w planach, i potrafił dźwigać wręcz niewyobrażalne ciężary. Jedyne, czego nie potrafił, to kłamać. – Nie możemy nieść dzieciaków taki kawał, a za parę godzin zacznie padać zimny deszcz. Rano możemy mieć deszcz ze śniegiem.

– Myślisz, że powinniśmy spróbować czegoś innego? – spytał Mueller.

– Nie, ale nie damy rady dojść tam przed świtem. – Sierżant spojrzał na dzieci i pokręcił głową. – Będziemy cholernie się starać, ale nie damy rady.

– Damy – powiedziała Elgars, wstając. – Pod warunkiem, że nie będziemy cały dzień dyskutować. Sierżancie, jestem tu najwyższym stopniem oficerem. Co pan na to?

– Cóż, ma’am – odparł zwiadowca ze słabym uśmiechem. – Zrobimy tak: ja będę rzucał propozycje, a pani będzie wydawać rozkazy. A jeśli nie będzie pani chciała wydawać rozkazów, które ja proponuję, lepiej, żeby miała pani cholernie dobry powód, bo inaczej panią zastrzelę.

– Może być – zaśmiała się kapitan. – A proponuje pan...

– Ruszajmy – odparł. – Nie będzie nam wcale łatwiej, kiedy się ściemni.

– Mogę coś powiedzieć? – spytała Shari.

– Jasne.

– Jak ja nienawidzę Posleenów.

Kiedy wyruszyli, zaczęła opadać lekka zimna mgła.

\* \* \*

Tulo’stenaloor zaklął i potrząsnął grzebieniem. Najwyższy dowódca posleenskich sił atakujących Rabun Gap walczył z ludźmi prawie od dziesięciu lat. I przez ten czas nabrał szacunku dla ich umiejętności. Mimo posleenkiej przewagi liczebnej i ogniowej, ludzie z niemal diabelską przemyślnością odpierali ich ataki.

Ale ta grupa zaczynała mu działać na nerwy.

– Jak ja nienawidzę ludzi – mruknął. – Co wiemy o tej przeklętej „jednostce” metalowych threshkreen?

Posleeni zetknęli się z ludźmi po raz pierwszy na planecie Aradan 5, nazywanej przez nich Diess. Aż do czasu tamtego spotkania horda nie napotkała większego oporu. Ani mali zieloni Indowy, ani wysocy i smukli Darhelowie, ani owadzi Tchpth nie umieli im się przeciwstawić. Czasami próbowali z nimi walczyć, ale z reguły starcie kończyło się otoczeniem ich i zarżnięciem na kolację.

Tak było aż do Aradanu 5.

Tulo’stenaloor był tam, kiedy horda poniosła pierwszą porażkę. To był koszmar. Za każdym

razem, kiedy już myśleli, że pokonali ludzi, ci uderzali na nich z innej strony i trzeba ich było wykopywać jak *abat* albo *grat*. Horda poniosła niewiarygodne straty, zanim jeszcze jednostka tych niech-je-demony metalowych threshkreen wyłoniła się z oceanu i zniszczyła jego pierwszy oolt'ondar. Wciąż pamiętał, jak grupa jego genetycznych specjalistów została w kilka sekund rozerwana na strzępy. Inni threshkreen, którzy na początku uciekli przed hordą, zatrzymali się i utworzyli ścianę ognia nie do przebycia. Mając wroga na flance i przed sobą, horda uciekała. Tulo'stenaloor ledwie uszedł z życiem, umykając z planety zwykłym statkiem wewnątrzsystemowym, i dopiero po latach podniósł się z upadku.

– Dowodzi nimi człowiek nazywany Michael O'Neal, który jest jednym z ich kessanalt. Ludzie używają określenia „bohater” albo „elita”. To jest ich najlepsza grupa metalowych threshkreen.

Generalnie wszystkie inne gatunki oraz Posleeni zbyt ciężko ranni lub zbyt starzy, by się na coś przydać, byli nazywani po prostu „thresh”, czyli „jedzeniem”. Threshkreen oznaczało „jedzenie, które żądli”. Wszystkich ludzi należałoby tak nazwać; nawet ich piskłeta potrafiły już walczyć.

– Musimy przepchnąć przez przełęcz tylu oolt'os, ilu się da; nie możemy pozwolić, żeby nas tu zamknęli – rzekł Tulo'stenaloor.

– Zamierzają oczyścić teren bombardowaniem jądrowym – odparł S-2.

– Co? – warknął Tulo'stenaloor, strosząc grzebień. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Obszar, który będą w stanie objąć ostrzałem, będzie ograniczony – zauważył oficer wywiadu, wywołując mapę. – Będą odpalać systemy balistyczne z północnych rejonów i z morza. Niewiele z nich można w ogóle wycelować w tę okolicę, a większość zostanie zniszczona przez oolt Po'osol. Biorąc pod uwagę, że eksplozje pochłoną przede wszystkim te przekłete wzgórza, powinniśmy ponieść minimalne straty. Zamierzają wylądować tutaj, przed pierwotną linią umocnień, gdzie kiedyś stało Mountain City.

– A więc stracimy mniej niż dwa oolt'ondar. – Tulo'stenaloor pokiwał głową. – To dobrze. Ale potrzebna nam będzie odpowiedź, „kontratak”, jak powiedzieliby ludzie. Niech jeden z elitarnych oolt'ondar i wszystkie pozostałe tenarale przygotują się do ataku na nich, kiedy tylko znajdą się na ziemi. I dwa oolt'pos.

– Już prawie nie mamy wyszkolonych sił – zauważył S-2.

– Wiem o tym – odpowiedział sucho Tulo'stenaloor. – Ale jeśli nie utrzymamy tej przełęczy, dopóki inne nie padną, wszystko pójdzie na marne. Musimy zmiażdżyć tych metalowych threshkreen, zanim się okopią. Niech oolt'ondar natychmiast ruszą na wzgórza nad strefą lądowania, gdzie będą osłonięte przed ciężkim ogniem. Każ im zaczekać z atakiem, aż oddział wyląduje i zajmie się wylądunkiem.

– Ludzie są podzieleni na dwie grupy, estanaarze. Lecą za nimi dwa promy „uzupełnień”, wylądowane antymateriają.

– To powinien być interesujący cel – powiedział Tulo'stenaloor, unosząc grzebień. – Niech oolt'ondai zaczekają, aż promy wylądują, i niech dopilnują, żeby właśnie je trafić.

– Dobrze, estanaarze – odparł oficer. – A co powiemy Orostanowi?

– Na razie nic. On ma swoje własne problemy. I więcej wojsk niż w tej chwili potrzebuje; dopiero kiedy napotka opór, będzie potrzebował większych sił. Niech oolt'ondar natychmiast ruszają; dopilnuj, żeby były ciężko uzbrojone. Jak mówią ludzie, muszą „obwiesić się bronią”.

\* \* \*

Cally O'Neal spojrzała na pakunek i pokręciła głową; najchętniej obwiesiłaby się bronią, ale nie da rady wszystkiego unieść.

Pół nocy leżała zwinięta w kłębek i niespokojnie spała, a potem obudziła się i płakała. Płacz

właściwie tylko ją wkurzał, ale płakała, gdyż miała co opłakiwać.

Kiedy przyszły wieści o posleńskiej inwazji, jej rodzice zostali powołani do służby. Ponieważ matka służyła „poza planetą”, starsza siostra Cally, Michelle, została wywieziona do dalekiego, bezpiecznego świata Indowy. Cally pozostała na Ziemi pod opieką dziadka, na rodzinnej farmie w hrabstwie Rabun w północnej Georgii. Farma znajdowała się jakieś osiem kilometrów od linii umocnień wschodnich Stanów Zjednoczonych.

W ciągu ostatnich paru lat Posleeni kilka razy uderzali na Mur w Rabun Gap, ale teraz pierwszy raz udało im się go przebić. Roili się wszędzie dookoła, a Cally siedziała sama w tej cholernej grocie za liniami wroga, bez pociechy i pomocy, nie wspominając już o wsparciu bojowym Papy O’Neala.

Ale to nie Posleeni go zabili; coś trafiło w jeden z ładowników, kiedy przelatywał nad ich doliną, i zniszczyło jego układ kontroli antimaterii. Wybuch równy sile eksplozji stukilotonowej atomówki nastąpił wtedy, kiedy Cally szła do głębszego schronu, a Papa O’Neal wciąż był w zewnętrznym bunkrze.

Znalazła go później, a właściwie tylko jego rękę, gdyż nie była w stanie głębiej się dokopać. Ręka była sztywna i zimna. Zasypała ją z powrotem gruzem i ruszyła do Składu Cztery, gdzie spędziła noc.

W składzie było wszystko, czego mógł potrzebować uciekający człowiek. Papa O’Neal spędził wiele czasu na otwieraniu tuneli Viet Congu i wiedział, co należy w takim miejscu zgromadzić.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła Cally, było założenie kamizelki kuloodpornej. Bezrękawnik klasy IIIA był robiony na zamówienie – nikt nie produkował kamizelek dla trzynastoletnich dziewczynek – a poza tym Cally tak dużą część życia spędziła w pancerzach, że czuła się w nim jak w drugiej skórze. Kamizelka miała kieszenie na amunicję i granaty, i wszystkie były w tej chwili pełne.

Na dole były zaczepy na dodatkowy sprzęt. Cally przypięła na jednym boku colta .44 magnum, a na drugim bojowy nóż. Dziewczynka miała za słabe ręce na desert eagle’a, ale ze speed-loaderem radziła sobie prawie tak samo szybko, jak większość ludzi z magazynkami. Miała także dwie litrowe menażki – jako uzupełnienie bukłaka wbudowanego w plecy kamizelki – i chlebak z minimum przedmiotów niezbędnych do przeżycia.

W kieszeniach miała główny ładunek: 180 naboju kalibru 7.62, pięć granatów odłamkowych, pięć fosforowych i dwa dymne, chociaż prawdopodobieństwo, że będzie potrzebowała granatów dymnych, było niewielkie. Kamizelka, pistolet, ładownica i granaty ważyły ponad dwadzieścia kilogramów, czyli połowę tego, co sama ważyła.

Na szyi powiesiła noktowizyjne gogle. Były lekkie i miały opcję optycznego i elektronicznego zoomu, ale mając do dyspozycji celowniki broni, Cally nie była pewna, czy powinna je zabierać. Hełm, który właśnie założyła, też wydał jej się niepotrzebną ekstrawagancją. Papa O’Neal zawsze się przy nim upierał, kiedy szli na Posleenów, ale jeśli Cally miała być w ciągłym ruchu, nie była pewna, czy może sobie pozwolić na dodatkowe obciążenie.

Pomyślała o Papie O’Nealu i poczuła grudę w gardle. Zawsze wydawał się... niepokonany, nieśmiertelny. Brał udział chyba we wszystkich zakulisowych wojnach w ciągu ostatnich dwudziestu lat, a potem, kiedy zmarł jego ojciec, wrócił na farmę. Ponieważ matka Cally nie żyła, a jej ojciec służył w jednostkach pancerzy, Papa był wszystkim, co miała, a dla niego była to okazja do nadrobienia tych lat, kiedy jego syn dorastał, a on nigdy nie miał dla niego czasu.

Od pierwszego dnia uczył ją intensywnie, a ona była pojętym uczniem. Materiały wybuchowe, walka wręcz, strzelanie na dystans – wszystko to przychodziło jej z taką łatwością, jakby musiała tylko przypomnieć sobie dawno nie wykorzystywane umiejętności. Dla tych nielicznych, którzy ich

znali, stary najemnik i jego płowowłosa wnuczka stanowili bardzo dziwną parę. Zaczęto żartować – uważając, by dziadek nie usłyszał – o „córce farmera”, jednak żarty te przycichły, gdy Cally rozkwitła i stała się prawdziwą appalachijską pięknoscią, która chodziła krokiem pantery i z pistoletem na biodrze. A ustały zupełnie po tym, jak postrzeliła sierżanta.

Starszemu sierżantowi sztabowemu z dowództwa sto piątej dywizji dwunastoletnia piękność wpadła w oko w sklepie żelaznym, i to do tego stopnia, że w końcu dopadł ją w dziale śrub i nakrętek.

Kiedy zwykle „wynocha” okazało się niewystarczające i gruby, stary żołnierz wsunął łapę pod jej od niedawna opinającą się na piersiach bluzkę, Cally wyciągnęła swojego walthera i po prostu postrzeliła go w kolano. Potem sobie poszła, a on tarzał się po ziemi i wrzeszczał, jakby naprawdę coś mu się stało.

Nie pierwszy raz strzelała do człowieka. Kiedy zamachowiec, znajomy Papy O’Neala z czasów Phoenix, znów młody dzięki nielegalnemu procesowi odmłodzenia, przyjechał, aby go zwerbować, a Papa O’Neal dał mu do zrozumienia, że nie jest zainteresowany posadą najemnego zbira jakiejś tajemniczej grupy, którą Harold reprezentował, stało się jasne, że zabójca zbyt wiele wyjawiał, by pozwolić im żyć. Cally uświadomiła sobie, że coś jest nie tak, kiedy prawa dłoń Papy zaczęła drgać, jakby zaciskał ją na pistolecie; była to oznaka zdenerwowania, którą z powodzeniem wykorzystywała przeciwko niemu, kiedy grali w pokera.

Korzystając z tego, że paranoiczny zabójca zignorował obecność ośmioletniej dziewczynki, strzeliła gościowi w tył głowy, kiedy ten wyciągnął broń i mierzył do Papy O’Neala.

Dlatego też postrzelenie starego, grubego sierżanta było dla niej drobiazgiem, co też powiedziała sędziemu, nie wspominając o poprzedniej strzelaninie, która na szczęście umknęła uwadze władz.

Sierżant bronił się zawzięcie, twierdząc – co brzmiało nawet całkiem prawdopodobnie – że złożyła mu propozycję, a potem postrzeliła, kiedy chciał za mało zapłacić. Próbował doprowadzić do oskarżenia jej o usiłowanie zabójstwa, Cally udowodniła jednak, że gdyby chciała go zabić, mogłaby to z łatwością zrobić. Ostatecznie zdegradowany podoficer trafił do karnego batalionu, a zdjęcie Cally wywieszono we wszystkich okolicznych obozach wojskowych, opatrując napisem: „UWAGA! Nieletnia! Uzbrojona i niebezpieczna!” .

Cally nie umiała zdobyć się na takie opanowanie, kiedy znalazła zwłoki Papy O’Neala. Przysypała z powrotem jego rękę i powlokła się do składu, żeby tam się wypłakać. W ciągu nocy zdała sobie jednak sprawę, że musi ruszać dalej. Na północy, sądząc po odgłosach, trwała zażarta bitwa, a Posleeni przedzierający się przez Gap rozpełzli się już po całej okolicy. Cally musiała iść w stronę ludzi, a przynajmniej znaleźć sobie jakąś bardziej oddaloną kryjówkę. Na początku Posleeni omijali wszystko, co przypominało wyglądem magazyn, potem jednak zaczęli ryc jak borsuki, jeśli wykryli jakiegokolwiek ślady zapasów czy ludzi.

Nie wiedziała, jak długo przyjdzie jej maszerować, musiała więc zabrać dużo jedzenia, a ponieważ noce robiły się coraz zimniejsze, potrzebowała również obozowego sprzętu. Papa O’Neal pewnie dałby sobie radę tylko z kocem, ale Cally nie była tak wytrzymała na zimno, jak stary żołnierz, więc spakowała śpiwór, zapas wody, podpałkę, amunicję... Było tego o wiele za dużo, ale nawet gdyby to wszystko zabrała, po pięciu dniach przebywania w lesie zrobiłoby się krucho.

Patrzyła na stos sprzętu, zastanawiając się, co zabrać, a co zostawić, gdy nagle podłoga podskoczyła w górę i rąbnęła ją w twarz.

*Mówią mi Tommy to, Tommy tamto, „Tommy, co z twoją duszą?”. Lecz to jest tylko „cienka czerwona linia bohaterów”, gdy bębny warcząc ruszą, gdy bębny warcząc ruszą, chłopcy, gdy bębny warcząc ruszą. Tak, to tylko „cienka czerwona linia bohaterów”, gdy bębny warcząc ruszą.*

Rudyard Kipling, *Tommy*

Rabun Gap, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

02:42 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
poniedziałek, 28 września 2009

Zewnętrzne kamery rozświetliły noc. Zalesione wzgórza były ciemne i chłodne pod niepełnym księżycem, a kiedy promy przelatywały nad grzbietami wzniesień, co jakiś czas w oddali migąła dolina Gap.

Potem wszystko spowiała biel.

Tylko uzbrojenie przetrwało potężną salwę wystrzeloną z północnej części tego, co pozostało jeszcze ze Stanów Zjednoczonych. Posleeńska inwazja na ziemię zniszczyła niemal wszystkie uprzemysłowione kraje; tylko Stanom Zjednoczonym udało się utrzymać obszar wschodniego Środkowego Zachodu, który otrzymał nazwę „Cumberlandzkiego Saka”. Składały się na niego: większa część Tennessee, Kentucky, Illinois, Ohio, Iowa i Michigan. Do tego dochodziły północne stany – Minnesota, Północna Dakota, Wyoming i Montana – znajdujące się poza granicą temperatur, w których Posleeni byli w stanie skutecznie prowadzić działania wojenne.

To właśnie stamtąd odpalono większość pocisków jądrowych.

Rakiety z silosów rozsianych po całym Środkowym Zachodzie zostały wydobyte i przeniesione w bezpieczne miejsca przed nadejściem posleeńskich hord. Łamiąc liczne traktaty, przerobiono je na ruchome wyrzutnie, a potem umieszczono w północnych stanach, pozostających w większości w ludzkich rękach, a nawet w Kanadzie. Poza tym gdy większość okrętów podwodnych wyposażonych w jądrowe pociski balistyczne przerabiano na jednostki transportowe, kilka z nich zachowało swoje rakiety. Wszystkie te wyrzutnie – w liczbie wystarczającej do rozbicia dowolnego ziemskiego państwa – były gotowe wesprzeć desant pancerny wspomaganych.

Ale posleeńskie systemy przeciwraketowe były niesłychanie skuteczne; praktycznie wszystko, co wysunęło się ponad linię horyzontu i co miało zasilanie albo układ sterowania, ulegało zniszczeniu. Jedynym realnym wyjściem było więc przeciążenie systemów obrony. Rakiety mogły jednak zostać namierzone nie tylko przez niezliczone spodki Wszechwładców; kiedy osiągały apogeum lotu, stawały się widoczne również dla tysięcy lądowików, wciąż rozrzuconych nad Północną Ameryką. Tak więc z tysięcy wystrzelonych pocisków jądrowych tylko garstce udało się wejść na trajektorie balistyczne i w tajemniczy sposób stać się niewidzialnymi dla posleeńskich systemów celowniczych.

Ale ta garstka w zupełności wystarczyła.

Salwa pocisków spadła prosto na Mountain City Gap oraz na przełęcz na północy i południu kraju. Każda eksplozja miała siłę stu kiloton, a więc prawie sto razy większą niż bomba, która spadła na Hiroszimę, i niszczyła wszystko w promieniu trzech kilometrów; miażdżyła drzewa i krzaki, podpalała je i wyrzucała w górę w słupie ognia, który sięgał niebios, zdierała ziemię do gołej skały



aż po same wierzchołki wzgórz.

\* \* \*

– Panie sierzancie. – Przekażnik Jake’a wciąż mówił pozbawionym barwy tenorem, przypisanym mu „fabrycznie”. Jake’owi nigdy nie chciało się go personalizować. Przekażnik był galaksjańskim wytworem, małym, czarnym, elastycznym kawałkiem czegoś, co wyglądało jak plastik, w rzeczywistości jednak było jednostką obliczeniową. Urządzenia te były wyposażone w SI i tworzyły bezprzewodową sieć danych, która rozciągała się na całą planetę. Tym razem przekaznik odebrał strzęp informacji z sieci i po nanosekundowym namyśle uznał, że jego człowiek powinien o tym wiedzieć.

– Wykryto liczne pociski jądrowe wycelowane w Rabun Gap. Jednostka jest poza strefą bezpośredniego zagrożenia, ale każdy, kto będzie patrzył w tamtą stronę, zostanie oślepiony błyskiem.

– Jasna cholera – mruknął Mueller. Właśnie szli jednym z niezliczonych górskich grzbietów, śliskich od deszczu.

– Na dół – warknął Jake, wskazując na dość strome zbocze.

– Jak?! – krzyknęła Shari, podrzucając Kelly na plecach i uwalniając jedną rękę, żeby odgarnąć włosy z czoła. Miała wrażenie, że wystarczy jeden krok i polecą razem z dziewczynką kilkadziesiąt metrów w dół.

– Ostrożnie – odparł Mueller i sam zaczął się zsuwać po zboczu z Tommym i Amber na plecach. Po chwili jednak zatrzymał się i pokręcił głową. – Jake, to się nie uda.

– Dlaczego? – spytał Mosovich i zaklął.

– Damy radę zejść na dół, ale...

– Wybuch strąci nas ze zbocza. – Mosovich rozejrzał się dookoła. Okoliczne grzbiety były dość łagodne; mieli pecha, że znajdowali się akurat na ostrej jak nóż krawędzi.

– Przekażnik, ile mamy czasu?

– Pięć minut – odparł komputer. – Wiele pocisków zostało zniszczonych, ale od trzech do dwunastu prawdopodobnie uderzy. Żaden z nich nie spadnie na obszar między naszą obecną pozycją a Gap.

Jake spojrzał na wijącą się po kalenicy wąską ścieżkę. Po jakichś stu metrach zaczynała zakręcać na południe.

– Ma’am, moja rada brzmi: biegiem!

\* \* \*

– Fajowo – szepnął Sunday, patrząc na rosnący grzyb, w kierunku którego zmierzał prom.

– Aha – potwierdził Blatt. – Wreszcie mamy wsparcie, na jakie zasługujemy.

– Trzy minuty. Przygotować się do lądowania – powiedziała kapitan Slight na częstotliwości kompanii. – Mam cholerną nadzieję, że nikt nie śpi. Jeśli śpi, to go obudzimy.

– Uwaga wszyscy – powiedział major O’Neal. – Przygotować się do lądowania.

Zbliżając się do ostatniego wzgórza, promy nagle przyspieszyły, przekraczając prędkość dźwięku z ledwie odczuwalnymi grzmotami. Kiedy uderzyły w pierwszą falę nuklearnych eksplozji, zaczęły wyraźnie kolebać się w turbulencjach.

– IIIHAAA! – wrzasnął Blatt. – Wchodzimy!

Kiedy tylko promy przeleciały nad wierzchołkiem Oakey Mountain, zaczęły wystrzeliwać na ziemię pancerze, poczynając od rufy statku, a na dziobie kończąc.

\* \* \*

Tommy poczuł uderzenie katapulty i ugiął kolana, zbliżając się do ziemi z prędkością blisko półtora tysiąca kilometrów na godzinę. Wbudowane w kombinezon kompensatory i pakiet inercyjny spowodowały, że zwolnił do prędkości nieco poniżej prędkości dźwięku, zanim wszedł w strefę przyziemną, gdzie dołączony do inercyjnego zestawu ziemski pakiet skokowy jeszcze bardziej go wyhamował.

Katapultowanie było odczuwalne, ale zderzenie z ziemią wręcz zabolowało. Tommy wciąż miał prędkość ponad trzysta kilometrów na godzinę i wstrząs przeszył całe jego ciało, kiedy pancerz automatycznie zwinął się w kłębek i przeturlał przez plecy.

Powtórzyło się to jeszcze dwa razy, głównie z powodu nachylenia podłoża, aż wreszcie zbroi udało się odzyskać kontrolę i ustawić go pionowo w miejscu.

Natychmiast odwrócił się w stronę radiolatarni i policzył swoich ludzi. Wszyscy Kosiarze byli już na ziemi, i mimo że wystrzelono ich po Tommym, biegli już w stronę punktu zbornego przy radiolatarni.

Szybko ustawił pancerz na maksymalną prędkość i ruszył w dół zbocza.

\* \* \*

Mike włączył kompensatory inercyjne na pełną moc i przeleciał ze swojej pozycji na zboczu Oakey Mountain do radiolatarni znajdującej się na przecięciu Black Creek i Silver Branch. Stawiał sobie za punkt honoru desantować się zawsze jako pierwszy i jako pierwszy dotrzeć do punktu zbiórki, nawet jeśli miał do pokonania dłuższą drogę.

– Zwiad, ruszać – warknął, kiedy tylko dotknął stopami ziemi. – Dwie drużyny na południe, trzy drużyny na północ.

Rozejrzał się i padł na brzuch w koryto strumienia. Odwaga to dobra rzecz, ale podczas wykonywania tego zadania jeszcze będzie wiele okazji, by dać się zabić.

– Szefie – powiedział Stewart, patrząc na wykres zawierający dane czujników wszystkich pancerzy batalionu. – Proponowałbym posłać ostatnią drużynę w górę Rocky Knob. Mam stamtąd jakieś odczyty.

– Zgoda – odparł Mike. Przez chwilę patrzył na batalion rozbiegający się po niecce, a potem wziął głęboki oddech, kiedy w oddali pierwszy prom znalazł się pod ostrzałem. – Sprowadzić promy z paliwem i dopilnować, żebyśmy byli kryci od południa.

\* \* \*

– I my mamy tam iść? – spytała Shari, przykrywając Kelly własnym ciałem, dopóki nie przeszła ostatnia fala uderzeniowa.

Niebo na wschodzie wciąż było purpurowe od gasnącej plazmy, a wysoko w górze żarzyła się olbrzymia chmura w kształcie grzyba. Nadchodzący zimny front złagodził trochę te efekty, ale nawet on zachwiał się pod nawalą stworzonej ludzką ręką plazmy.

– Oddaliśmy już dzieciakom kurtki i płaszcze – powiedział Mosovich, przytulając jedno z dygoczących dzieci – a ciągle jest im zimno. Masz jakąś inną propozycję?

– A co z promieniowaniem? – spytała ostrożnie Wendy. Zabijała już Posleenów, widziała, jak zajmują jej miasto, wywalczyła sobie drogę ucieczki z podziemnej pułapki, ale ten niebotyczny grzyb był dla niej zupełnie nowym doświadczeniem. Nagle wydało jej się, że tamtych poprzednich wydarzeń nigdy w jej życiu nie było, i poczuła się kompletnie „zielona”. To było dziwne i niepokojące uczucie.

Jeśli Mosovicha także niepokoiła zmiana stylu prowadzenia wojny, nie pokazywał tego po sobie.

– Przekątnik, rozkład promieniowania.

– Biorąc pod uwagę rozmieszczenie pocisków, w rejonie farmy O’Neala nie powinno być trwałego skażenia. Wszystkie głowice eksplodowały w powietrzu, a przypadkowy opad z napromieniowanych szczątków albo gleby powinien przesunąć się z wiatrami na wschód. Na szczęście mam zdolność wykrywania szkodliwego promieniowania i ostrzegę was, jeśli wejdziemy w zasięg takiej emisji.

– Idziemy – powiedziała Elgars, wstając. – Możemy się tak spierać całą noc, i jedyne, co wskóramy, to to, że dzieci umrą.

– Od kiedy to cię obchodzi? – warknęła Shari.

– Dostarczenie ich w bezpieczne miejsce uważam za swój obowiązek – odparła chłodno kapitan. – To, czy je lubię, czy nie, nie ma znaczenia. Skład Cztery jest dobrze ukryty i dobrze zabezpieczony. To najlepsze schronienie, jakie możemy znaleźć, mimo że w okolicy toczą się walki.

– Chciałabym sprawdzić, co się stało z Papą O’Nealem – powiedziała Wendy. – I z Cally.

– W porządku – odparła Shari, z trudem wstając. Mimo otrzymanego przez kobiety zastrzyku nowych sił, długi dzień i noc dały im się we znaki. Shari była przemarznięta i głodna, a przede wszystkim zmęczona. Miała wrażenie, że już nie da rady zrobić ani kroku więcej, zwłaszcza niosąc Kelly. Ale zrobiła go, a potem następny.

Elgars poczekała, aż Shari ruszy, a potem zajęła pozycję za Mosovichem.

Żadne z nich nie patrzyło na wschód.

\* \* \*

Cally pozbierała się z ziemi i rozejrzała po składzie. Kilka ciężkich skrzyń z amunicją i sprzętem pospadało ze stojaków, ze sklepienia oderwało się kilka kamieni. Ale Stary wiedział, co robi: betonowy łuk i „zatyczka” na końcu składu podpierały jedyny fragment skały, który nie był solidnym północnogeorgijskim granitem.

– Ja pierdolę – powiedziała cicho, ocierając krople krwi z ust; jej nos źle zniósł upadek. Wybór miała wręcz wspaniały: siedzieć tu i mieć nadzieję, że schron wytrzyma, albo wyruszyć w nieznaną. To był pierwszy wybuch jądrowy od dwóch dni, ale to wcale nie oznaczało, że nie będzie następnych.

Tak naprawdę nie było się nad czym zastanawiać. Jeśli bitwa przesunie się nad jej kryjówkę, prawdopodobnie zginie. Dopóki jednak atomówki spadają na Gap, a jak dotąd tak właśnie było, i nie są zbyt duże – cokolwiek by to znaczyło w odniesieniu do broni jądrowej – powinna przeżyć.

A jeśli wyjdzie ze schronu, będzie mogła liczyć tylko na siebie.

– Ja pierdolę – powtórzyła i zaczęła zdejmować z siebie oporządzenie.

– Wiem, że gdzieś tutaj jest talia kart – mruknęła, przesuwając skrzynie do drugiego schronu, przeznaczonego akurat dla jednej osoby. – Pora postawić sobie pasjansa. Budowanie domków z kart raczej nie ma sensu.

Podniosła hełm i założyła go z powrotem na głowę.

\* \* \*

– Blatt, weź tę ładownicę – powiedział Sunday, mijając w biegu Kosiarza. – Będziemy potrzebowali całej amunicji, jaką uda nam się zabrać.

– Tak jest, sir. – Specjalista chwycił obły plastikowy wór i z trudem zarzucił go na lewe ramię. Wór był ciężki, przeważał nawet potężne żyroskopy pancerza. – Cholernie trudno będzie z tym biegać.

– Dasz sobie radę – odparł oficer, sprawdzając drogę na wprost i w lewo. – Jeśli zostaniesz z tyłu, zeżrą cię Posleeni. McEvoy, weź swoją drużynę i zabierzcie zapasowe pakiety broni; myślę, że się nam przydadzą.

– Jasne – odparł specjalista. – Kiedy ruszamy w tango?

Sunday popatrzył na dymiący krajobraz i zadrżał.

– Niedługo.

\* \* \*

– W GÓRĘ! Na wzgórze! – zawołał Gamataraal. – Spadniemy na nich z góry.

– Promy! – krzyknął Aalansar i wskazał na wschód. – Mieliśmy poczekać na promy.

– Wysyłają na wzgórze zwiadowców – warknął oolt'ondai. – Za chwilę będziemy pod ostrzałem; nie możemy czekać.

\* \* \*

– Mamy towarzystwo, szefie – zameldował Stewart. – Na moje oko to pomniejszy oolt'ondar, ciężko uzbrojony. Siedzi w samej szczelinie na Rocky Knob.

– A to ciekawe – powiedział Duncan. – Nie mamy wsparcia ogniowego, szefie. Atomówki się skończyły, a nikt inny nie ma tutaj zasięgu.

– Kosiarze nie mają ładunków przeciwlądunkowych – powiedział Mike. – Dajcie salwę granatów; musimy ich szybko przydusić.

– Odwołać promy? – spytał Duncan.

– Nie – odparł dowódca. – Ryzyko skalkulowane; my musimy się stąd zabrać, a oni muszą tu wylądować. Ale poczekajmy, niech się rozproszą.

\* \* \*

– Sekcjami! – rozkazała kapitan Slight. – Granaty, cel!

– Nas to nie dotyczy. – Blatt zaklął, próbując poprawić na plecach wielki wór.

– Niezupełnie – powiedział spokojnie Sunday. – Mamy emanację Minoga nad Black Rock Mountain. Pluton, cel!

\* \* \*

– Batalion, ognia! – rozkazał Mike i odprowadził wzrokiem granaty do ich celów. Panczerze wyposażone były w podwójne wyrzutnie, a w pokładowym magazynku przenosiły sto trzydzieści osiem dwudziestomilimetrowych kul. Każda z nich miała zasięg nieco ponad trzech tysięcy metrów i skuteczny promień rażenia trzydziestu pięciu metrów. Salwa batalionu spadła na nacierający oolt'ondar jak boski gniew; granaty detonowały metr nad ziemią i wypełniły powietrze odłamkami.

– Wstrzymać ogień – rozkazał O'Neal, gdy salwa zmiotła większość sił wroga. – Przygotować się na przyjęcie lądowników.

Wrogie jednostki desantowe były przystosowane do walki w przestrzeni kosmicznej i ich drugorzędne uzbrojenie mogło zniszczyć rozproszony batalion, gdyby im pozwolić bez oporu atakować.

– Do wszystkich Kosiarzy, atakować Minogi na zachodzie.

– Robi się ciutkę gorąco – zauważył Duncan, wyznaczając cele dla granatów.

– Trochę – zgodził się Stewart. – Zwiadowcy meldują jakieś poruszenia w dolinie. Jeśli się stąd szybko nie wyniesiemy, otoczą nas.

– To wszystko kwestia zgrania w czasie – odparł Mike. – Batalion, ogień karabinowy na wzgórze, przydusić Posleenów strzelających do nadlatujących promów. Ogólnie rzecz biorąc – ciągnął, przełączając się z powrotem na częstotliwość dowodzenia – byłoby lepiej, gdybyśmy zabrali ze sobą atomówki.

– Tak, ale nie spodziewaliśmy się zasadzki – zauważył Duncan. – Zastanawiam się, czy oni mieli obstawione wszystkie strefy lądowania?

– Ja też się nad tym zastanawiam – powiedział Stewart. – Wrzucam to do folderu wywiadu z oznaczeniem wysokiego priorytetu.

– Ugryźli więcej niż są w stanie połknąć – stwierdził Mike, kiedy ogień batalionu zaczął zmiatać szarżujących Posleenów z grzbietu wzgórza. Ale widział też znikające ikony żołnierzy, chociaż atakująca jednostka była jedną z najciężej uzbrojonych. – Przynajmniej taką mam nadzieję.

\* \* \*

– Wyrzynają nas – stwierdził gorzko Aalansar.

– Tak nas prowadzi Ścieżka – powiedział Gamataraal, kiedy kolejny kessentai został z owej Ścieżki zdjęty. – Szarżujemy i zabijamy. Dopóki oni nie mogą się ruszyć, dobra nasza.

– Z południa nadlatuje prom – zauważył jego porucznik – a my nie mamy systemów naprowadzających.

Morderczy przeciwlotniczy ogień Posleenów opierał się na sensorach i silnikach talerzowatych maszyn, na których zazwyczaj latali Wszechwładcy. Jednak maszyny te jednocześnie czyniły z nich łatwe cele.

– Ścieżka nigdy nie była łatwa – powiedział dowódca. – Ognia ze wszystkiego, co mamy. Zignorować threshkreen.

\* \* \*

– O cholera – mruknął Gunny Pappas. Właśnie wrócił z obchodu batalionu próbującego wyrwać się z saka; prom nie mógł się pojawić w gorszej chwili.

– Czemu oni to robią? – zdziwił się O’Neal, kiedy wszyscy obcy pozostający pod kontrolą Wszechwładców przenieśli ogień z pancerzy na prom.

– Nie wiem, ale chyba im się uda – powiedział Duncan, ryjąc hełmem w dnie koryta. – Nie sądzicie?

– Tak, prawdopodobnie tak – stwierdził spokojnie Mike. – Niech drugi prom siądzie za Oakey Mountain. Batalion, KRYĆ SIĘ!

\* \* \*

Oolt’ondar był uzbrojony w trzymilimetrowe karabiny, działka plazmowe i hiperszybkie rakiety. Prom przeleciał nad południową odnogą Oakey Mountain i ruszył wzdłuż Stillhouse Branch, przyspieszając do czterech machów i przygotowując się do inercyjnego opadu wzdłuż Black Creek. Okazało się, że przelot był gorętszy niż się spodziewano.

Ogień przeszedł bokiem, ale systemy celownicze broni Wszechwładców wciąż były wystarczająco dokładne, by śledzić prom; kiedy pomknął nad strumieniem, grad pocisków i ładunków plazmy spowodował, że maszyna w mgnieniu oka zaczęła się rozpadać, wyrzucając w nawałę ognia swój wybuchowy ładunek.

Instalowane na promach reaktory antymaterii klasy pięć były przeznaczone do warunków bojowych i z założenia miały wytrzymać trafienie pojedynczego zabłąkanego pocisku. Nie były natomiast zaprojektowane z myślą o nawałnicy plazmy. W niecałą milisekundę osłona została przebita i rozpętało się piekło.

\* \* \*

– DUPĄ DO BŁYSKU! – krzyknął Mueller, padając na twarz i wciągając pod siebie wrzeszczące dzieci, które niósł na plecach. Rozbłysk był tak jasny – niczym przepalająca się megararówka – że wciąż jeszcze widział drzewa i ludzi, choć miał zamknięte oczy.

Wszyscy dorośli padli na ziemię, przewracając dzieci, i zaparli się, czekając na falę uderzeniową. Szczęśliwym trafem znajdowali się na stosunkowo płaskim wzgórzu, kiedy więc

nastąpił wstrząs sejsmiczny, zsunęli się tylko kawałek w dół błotnistej zbocza. Niedługo potem nadleciała fala nadciśnienia, ale w takiej odległości od wybuchu była tylko silnym wiatrem, który strząsnął pożółkłe liście z okolicznych drzew i chlusnął ludziom na plecy lodowatą wodą.

Wrzaski z wolna przeszły w pochlipywanie. Odległość na szczęście była tak duża, że nikt nie oślepl ani nie został poparzony.

– To szaleństwo – powiedziała Shari, wstając. – Szaleństwo.

– Szaleństwo czy nie, musimy iść dalej – odparła ze znużeniem Wendy i przytuliła dygoczącą Amber. – Musimy im znaleźć suche schronienie.

– Trzeba stawiać ostrożnie jedną stopę przed drugą – powiedział Mosovich, podnosząc Nathana i sadzając go na swoim plecaku. – Albo nam się uda, albo nie. Ale cieszę się, że nas tam nie ma.

Rabun Gap, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

02:57 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
poniedziałek, 28 września 2009

Tommy miał wrażenie, że raz po raz wali go wielka łapa, a on leży twarzą w dół na trampolinie. Ziemia skakała do góry i wyrzucała go w powietrze, potem coś strącało go z powrotem w dół, i znowu w górę, i znowu w dół, w górę, w dół. Nie było to bolesne, raczej strasznie frustrujące; nigdy dotąd nie czuł się tak bardzo pozbawiony kontroli nad tym, co się z nim dzieje. Najwyraźniej przeżył wybuch nuklearny, ale wiedział, że już nigdy, przenigdy nie będzie lekceważył jego siły.

Po jeszcze jednym wyrzucie w powietrze przez chmurę w kształcie grzyba opadł na ziemię w tumanach pyłu, zupełnie oślepiiony.

Nic nie widział; wszystkie sensory powyłączały się, przeciążone szalejącą wokół nawałnicą. Czujniki zewnętrznej temperatury pokazywały dwa tysiące stopni Celsjusza; Tommy zdziwił się, czemu jeszcze żyje, ale potem zobaczył, że wskaźnik zapasu mocy jego pancerza błyskawicznie opada. Zbroje były w stanie utrzymać człowieka przy życiu w warunkach, w których wielu uznałoby to za niemożliwe, ale ceną było zużycie niemal takiej samej ilości energii, jak ta, która szalała dookoła. W końcu sytuacja na zewnątrz ustabilizowała się na tyle, że można było rozróżnić poszczególne przedmioty; radiolatarnie zaczęły się włączać.

\* \* \*

Mike zerwał się na nogi, kiedy tylko jego czujniki ożyły.

– Na nich! – rozkazał. – Co wy, do cholery, robicie, leżycie sobie? Mamy Posleenów do zabicia! Kosiarze, na zachodzie ciągle są Minogi! Wszystkie jednostki, otoczyć ocalały prom i UTRZYMAĆ GO PRZY ŻYCIU!

Poderwał z ziemi Stewarta i rzucił się do ataku na północ.

– Dobre wiadomości – powiedział Stewart – są takie, że zdmuchnęło nasz komitet powitalny.

– Złe wiadomości są takie, że straciliśmy połowę mocy – zauważył Duncan, przeglądając wykres zasilania batalionu. – I zużyliśmy na tę jedną okazję całą dzienną dawkę.

– A będzie więcej takich okazji – powiedział Mike. – No, chodź do tatusia, malutki. Prosto przez chmurę. Szybko.

– Promy nie przelecą przez tysięcstopniowy grzyb, panie majorze – zauważył Duncan.

– Nie, ale power packi wytrzymają.

\* \* \*

Drugi prom zgodnie z rozkazem wleciał wprost w rosnący grzyb. Promy były opancerzone, ale nie aż tak, żeby przetrwać takie warunki; transporter szybko zaczął się rozpadać, rozrzucając swój ładunek ciężko opancerzonych power packów i skrzyń z amunicją po całej strefie lądowania. Oczywiście doszło przy tym do kilku wypadków, ale to było nie do uniknięcia.

\* \* \*

McEvoy wrzasnął ze złości, kiedy coś ciężkiego rąbnęło go w plecy. Przeturlał się na bok, spojrzął na pakiet antymaterii, który go trafił, i znów wrzasnął, tym razem ze strachu.

– To było ładne – powiedział Sunday.

– Skąd się to wzięło, do cholery? – spytał Kosiarz, wstając i odsuwając się od power packa, jakby to był olbrzymi pająk. Albo mordercza broń jądrowa.

– Och, podnieś to, mazgaju – powiedział porucznik; słysząc było, że się szeroko uśmiecha. –

Stary skierował prom prosto w środek grzyba. To go osłoniło od ognia, bo nawet Posleeni nie widzą przez coś takiego. Jednocześnie zrzucił power packi.

– Odbiło mu! – rzucił Blatt, przebiegając obok nich. – Wszystkim to powtarzam, Stary to czubek!

– Zgadza się – powiedział Sunday. – Całkowity czubek. To draństwo jest tak opancerzone, że wytrzymuje nawet bezpośrednie trafienie plazmą, nie mogło więc wybuchnąć z powodu takiego drobiazgu. Zresztą nieważne, zapomnijcie o tym, chociaż może lepiej trochę się odsunąć. Kosiarze, zrzucić ładunek i śledzić mój cel. Niedźwiedź idzie zza góry.

\* \* \*

– Mamy trzy ocalałe lance – zauważył Duncan. – Użyjemy ich?

– Nie od razu – powiedział O’Neal. – Co się stało z czwartą?

– Wyrzutnia samorzutnie eksplodowała – odparł Stewart. – Leci na Atlantę.

– Będę musiał zwrócić uwagę produkującemu klanowi – powiedział poważnie O’Neal. – Taki drobiazg jak dwustukilotonowa eksplozja nie powinien ich uszkodzić!

– Spodziewałem się tego! – zaśmiał się Stewart. – Ale po co pan je oszczędza? Już tu lecą Minogi.

– Minogi ze swoim uzbrojeniem kosmicznym nie mogą strzelać w dół – przypomniał Mike. – Zostawimy sobie lance na C-Deki.

– Większość packów została zebrana – powiedział Duncan. – Ale część zabrali Kosiarze, a oni szykują się na przyjęcie kawalerii.

– Niech natychmiast przekażą packi jednostkom karabinowym – warknął Mike. – Wszyscy biegiem do Muru. Kosiarze mogą iść za nami, ale muszą być przygotowani na powitanie dużych chłopców.

\* \* \*

– Właśnie dla takich chwil żyję – powiedział z przekąsem Blatt, kiedy reszta batalionu wystartowała pełnym pędem.

– Idziemy, idziemy – mruknął McEvoy.

– Moim zdaniem nie dość szybko – zauważył specjalista.

– Musimy jeszcze pozbierać broń – powiedział Sunday. – Będzie nam potrzebna, kiedy dotrzemy na miejsce.

– Sir, myślę, że nic z tego nie będzie – odparł McEvoy. – Najbliższy pakiet leży w połowie zbocza Oakey Mountain. One nie mają naszych systemów utrzymujących je w miejscu podczas wybuchu.

– Ja pierdołę – stwierdził Tommy. – Dobra, pozbieramy je później.

– Jeden pakiet najwyraźniej przerzuciło na drugą stronę Black Rock Mountain, sir – powiedział Blatt. – Może kiedyś uda nam się go zabrać.

– To twoje zadanie, Blatt – powiedział Sunday – kiedy tylko zajmiemy pozycje.

– Pan żartuje, prawda? – spytał Kosiarz.

– Nie. Kiedy uporamy się z pierwszą falą lądowników, bez tych moździerzy i działek nic nie zdziałamy. Odzyskanie ich to zadanie numer dwa. Numer jeden to ostrzelanie lądowników.

– O wilku mowa – powiedział McEvoy, kiedy pierwszy Minóg wychynał zza grzbietu Black Rock Mountain.

– Właśnie – stwierdził Tommy, namierzając jeden z pomniejszych lądowników. – Ognia!

\* \* \*



Długolufowe działka grawitacyjne M-283 miały większą zdolność przyspieszania niż systemy standardowe. Poza tym ich pociski zawierały napędzany antymaterią akcelerator inercyjny i antymateryjny system „rakietowy”, podobny do tego, jaki stosowano w lancach antymaterii i kosmicznych myśliwcach Space Falcon.

Dlatego też w chwili, kiedy siedemdziesięciopięciomilimetrowy pocisk uderzył w burtę okrętu, pędził z prędkością ponad tysiąca kilometrów na sekundę.

Po zderzeniu z pancierzem Minoga pocisk zrobiony z solidnego kompozytu gadolinu i jednocząsteczkowego żelaza z płaszczem węglowym stał się półkulą gotującej się białej plazmy; nawet olbrzymia energia pocisku przeciwpancerne nie mogła się mierzyć z posleńskim opancerzeniem.

Ale tylko jednego pocisku.

A tymczasem do Minoga strzelało dwunastu Kosiarzy, wysyłając pięć pocisków na sekundę w obszar wielkości ludzkiej dłoni.

Ponadto system celowniczy pocisków burzących był o wiele skuteczniejszy niż zwyczajny. Wyznaczał na burcie okrętu konkretny punkt, wybrany z bazy danych słabych punktów lądowików, i kierował w niego ogień całej broni w okolicy.

Wystrzelone przez dwunastu Kosiarzy tysiąc dwieście pocisków trafiło w zasobnik z bronią na burcie Minoga, przewierciło się do środka i zdetonowało mechanizm podajnika działka plazmowego. Reszta zaczęła we wnętrzu rykoszetować.

Kiedy rzygnęły srebrne i czerwone płomienie, lądownik próbował uciekać, zmieniając kurs i obracając się tak, by zasłonić uszkodzony fragment kadłuba przed ogniem. Ale pilotujący go Wszechwładca najwyraźniej nie należał do elity pilotów, co udowodnił, taranując swoim okrętem zbocze góry Black Rock tuż na południe od wieży radiowej.

Drugi Minóg zaatakował główne siły batalionu, a potem skierował się długimi, posuwistymi ruchami na południowy zachód, w stronę Muru. Widząc jednak, co się stało z jego towarzyszem, okręt zmienił cel i rozpoczął ostrożną rotację, żeby zminimalizować uszkodzenia.

– Robimy unik – powiedział porucznik i wprowadzając własny rozkaz w czyn, rozpoczął powolny trucht na południowy wschód.

Ręczny ostrzał z Minogów nie był na szczęście tak celny, jak ogień automatyczny, ale jednak był ciężki; na burcie lądownika znajdowało się ponad dwanaście średnich gniazd uzbrojenia. Kiedy Kosiarze rozpoczęli manewr, nieprzyjacielski ogień głównie rozdzierał ziemię wokół nich, ale część strzałów jednak trafiała.

– Ja pierdolę – powiedział cicho Blatt, kiedy linia kraterów z ciężkiego działka plazmowego ruszyła w jego kierunku. Próbował zejść jej z drogi, ale ostrzał był tak gęsty, że nie miał dokąd uciekać.

– Cholera – zaklął McEvoy, kiedy pancierz Blatta zniknął w kuli srebrnego ognia. – Skurwysyn!

– Tego nie zdejmujemy – powiedział ze złością Sunday. Ich pociski niszczyły gniazda powierzchniowe i żłobiły rysy na całym pancierze Minoga, ale ponieważ ciągle się obracał, nie mogły się w niego wwiercić. A ogień robił się coraz cięższy.

– Co ja bym teraz dał za jedną SheVę – mruknął Tommy.

\* \* \*

SheVa Dziewięć – albo Bun-Bun, jak nazwała czołg jego załoga – wciąż lekko dymił, kiedy nad horyzontem pojawił się pierwszy sterowiec.

SheVy należały do tego rodzaju broni, jaką można wymyślić tylko podczas naprawdę strasznej wojny. Już w czasie pierwszych bitew z Posleenami okazało się, że ludzie nie mogą sobie poradzić z

posleńskimi okrętami używanymi do bliskiego wsparcia ich piechoty. Na szczęście takie sytuacje były rzadkie – Posleenom nie najlepiej wychodziło współdziałanie broni – ale kiedy już do tego dochodziło, skutek był druzgocący. Z wyjątkiem galaksjańskiej broni ciężkiej, której nigdy nie było pod dostatkiem, tylko jeden system okazał się skuteczny. A był on potworny w całym tego słowa znaczeniu.

Podczas walk wokół Fredericksburga pancernikowi *North Carolina* udało się namierzyć posleński lądowik szesnastocalowymi działami, a kiedy dziewięć szesnastocalowych pocisków uderzyło w cel, okręt obcych zniknął. A więc szesnastocalowe pociski okazały się skuteczne. Ale ich użycie stwarzało wiele problemów. Po pierwsze, wieże pancernika nie były zaprojektowane do ostrzału przeciwlotniczego, dlatego celny strzał był w takiej samej mierze wynikiem szczęścia, jak i umiejętności. Po drugie, działa miały bardzo niewielki zasięg rażenia, a po trzecie, pancerniki miały olbrzymie trudności z dopłynięciem do, powiedzmy, Knoxville w stanie Tennessee.

Stworzono więc nową klasę dział, na pierwszy rzut oka podobnych do armat pancerników. Miały szesnaście cali średnicy, ale na tym kończyło się wszelkie podobieństwo. Tak samo jak nowoczesne armaty czołgów, były gładkolufowe, a ich pociski miały bardzo dużą prędkość wylotową. W nabojach zastosowano elektropłazmowe ładunki miotające; działa miały przedłużone lufy i dodatkowe komory, dzięki którym pocisk ze zubożonego uranu, mający grubość pnia drzewa, przyspieszał do dwóch i pół tysiąca metrów na sekundę. Odpalenie pojedynczego pocisku przeznaczonego do niszczenia posleńskich lądowików równało się jednoczesnemu wystrzeleniu z sześciu standardowych dział pancernika.

Ponieważ wchodziła tu w grę olbrzymia energia, trzeba było zaprojektować system kompensacji odrzutu, stosujący pochłaniacze wstrząsu o rozmiarach małych okrętów podwodnych. Zainstalowanie ich w kilku naziemnych fortyfikacjach było stosunkowo łatwe, ale umieszczenie ich na ruchomej platformie było prawdziwym wyzwaniem.

Większość grup inżynierskich załamywała z rozpaczy ręce, ale Komisja Przemysłowego Planowania Shenandoah Valley uznała, że platforma po prostu musi być większa niż ktokolwiek jest w stanie sobie wyobrazić. W ten oto sposób narodziło się działo SheVa.

SheVy miały sto dwadzieścia metrów długości i dziewięćdziesiąt szerokości, olbrzymie gąsienice i „wieżyczkę”, która wyglądała jak hala walcowni stali. Z tyłu, wewnątrz wieży, znajdował się grubo opancerzony magazyn mieszczący osiem naboju do działa, z których każdy wyglądał jak skrzyżowanie naboju karabinowego i rakiety ICBM. Oparta na wspornikach lufa przypominała gigantyczny teleskop, ale w porównaniu z wieżą była tak mała, że sprawiała wrażenie przypadkowo dodanego elementu.

Działo składało się z trzech podstawowych części – samej armaty i wspierających ją elementów, potwornej wieży, w której mieściła się komora ładownicza, i układu jezdnego.

Sześciodzięciometrowa wielokomorowa armata była typu „Bull”. Podstawowym elementem miotającym był system elektropłazmowy, wykorzystujący ładunek elektryczny do zapłonu materiału i zapewniający siłę wyrzutu wykraczającą daleko poza to, co można by osiągnąć zwykłym ładunkiem chemicznym. Ze względu na spadek mocy wraz ze wzrostem zasięgu, lufę wyposażono w dodatkowe komory zapłonowe wzdłuż boków, dodające gigantycznemu pociskowi jeszcze większego pędu. Dzięki tej kombinacji pociski burzące – z odrzucanym zewnętrznym plastikowym „sabotem” i wewnętrznym uranowym rdzeniem – osiągały prędkość blisko dwóch i pół tysiąca metrów na sekundę, co do czasu wynalezienia SheVy było wręcz niewyobrażalną prędkością.

Armata zamontowana była na obrotowej wieży z systemem podnoszenia, który pozwalał strzelać zarówno pod kątem bliskim zera stopni, jak i niemal „prosto w górę”. W końcu zaprojektowano ją

jako działo „przeciwlotnicze”.

Zamiast typowego dla artylerii układu „pocisk plus worek”, kiedy najpierw ładowano samą „kulę”, a potem wciskano worki z prochem, SheVa używała olbrzymich naboju, przypominających połączenie naboju karabinowego i ICBM; osiem takich naboju mieściło się w grubo opancerzonym magazynie z tyłu wieży. W zależności od tego, czy działo było załadowane pociskami „burzącymi”, czy „eksplodującymi”, czołgi woziły ze sobą od osiemdziesięciu do ośmiuset kiloton materiałów wybuchowych. Z tego między innymi powodu regularne jednostki omijały je szerokim łukiem.

Żeby chronić całą tę maszynię – niezbyt odporną na działanie warunków atmosferycznych – działo zamknięto w gigantycznej „wieży”, która sama w sobie była inżynierskim popisem. Był to sześciąt o trzydziestometrowym boku, zamontowany na łożysku u podstawy działła, a więc obracający się wraz z nim. Zewnętrzną osłonę stanowiła piętnastocentymetrowa warstwa stali; każdy inny materiał wyginał się przy wystrzale z działła. Wnętrze z kolei było niemal puste; były tu tylko potężne wsporniki i łukowate klamry, które utrzymywały osłonę.

Na szczycie osłony znajdował się dźwig służący do przenoszenia monstrualnych rozmiarów sprzętu, niezbędnego nawet do najprostszycch napraw.

Poruszenie tego wszystkiego wymagało sporej mocy. Dostarczały jej cztery reaktory Johannes/Cummingsa. Rdzeniem reaktorów były granulki, maleńkie „cebulki” z warstw grafitu i krzemu, owiniętych wokół drobiny uranu. Dzięki tym warstwom uran nie osiągał nigdy „temperatury topnienia”, a przez to reaktory były zabezpieczone przed niekontrolowaną reakcją łańcuchową. Co więcej, helowe chłodziwo nie dopuszczało do wycieków promieniowania; hel nie przewodził radioaktywności, dlatego nawet w przypadku pełnej utraty chłodziwa można było się spodziewać, że reaktor pozostanie na swoim miejscu.

Oczywiście reaktory miały swoje wady. Mimo zastosowania galaktycznych technologii regeneracji ciepła, w maszynowni było gorąco jak w piekle. A kiedy reaktor dostawał bezpośrednie trafienie, jak to się od czasu do czasu zdarzało, maleńkie granulki zamieniały się w cholernie radioaktywne utrapienie. Za to moc, jaką dawały, wynagradzała z nawiązką te drobne niedogodności, a rozszczelnione reaktory to był już problem ekip naprawczych.

System napędowy czołgu był równie rewolucyjny. Bezpośredni napęd zapewniały niezależne silniki indukcyjne na wszystkich kołach pędnych, dlatego też SheVa mogła stracić jedno lub więcej kół i wciąż dalej jechać.

Mimo swoich rozmiarów SheVy były wyjątkowo delikatne; w ciągu ostatnich kilku dni można było się przekonać, że to samobieżne działa, a nie czołgi. SheVie Dziewięć udało się jednak wywalczyć długą i bolesną drogę odwrotu.

Tylko jej załoga, zwłaszcza chorąży Sheila Indy, zdawała sobie sprawę, jak bardzo pojazd jest uszkodzony (choć dym buchający z licznych otworów po wrogim ostrzale plazmą był pewną wskazówką).

– To dopiero widok – westchnął Pruitt, patrząc na górującą nad nim wieżę. Działonowy SheVy Dziewięć był niskim, ciemnowłosym mężczyzną, zwalistym, ale nie grubym; sprawiał wrażenie o dziesięć lat starszego niż jeszcze dwa dni wcześniej. Jego ubranie śmierdziało ozonem i potem.

SheVę nazwano Bun-Bunem głównie za sprawą jej działonowego, który zaraził resztę załogi zainteresowaniem internetowym komiksem pod tytułem *Sluggy Freelance* i osobiście namalował na przednim panczerzu czołgu wysokiego na dwa piętra królika z nożem sprężynowym w łapce. Większa część malunku zniknęła we wczorajszej bitwie, ale hasło „Zabawmy się, Posleenie!” wciąż było słabo widoczne.

– Bun-Bun czy sterowce? – spytała ze znużeniem Indy. Mechanik miała kruczoczarne włosy,

pełne piersi i była niemal piękna, choć w tej chwili trudno to było stwierdzić. Ona też śmierdziała ozonem i potem, a kombinezon miała usmarowany olejem oraz swoją i cudzą krwią. Krew zaczynała się już psuć i smród otaczał Indy jak chmura.

– Jedno i drugie – odparł Pruitt. – Jakie mamy uszkodzenia?

– Dwa wyłączone reaktory – odpowiedziała. – Jeden ma dziurę; dzięki Bogu za układ chłodzenia helum. Rozpórki wystrzelane, dwie gąsienice oderwane, zepsuty mechanizm podajnika, uszkodzona ściana magazynu, zniszczona elektryka...

– Chyba w najbliższej przyszłości nigdzie się stąd nie ruszymy – stwierdził Pruitt. – To dobrze, będę mógł uderzyć w kimono.

– Pierwszym sterowcem leci pułkownik Garcia – powiedział pułkownik Robert Mitchell, podchodząc do nich. Dowódca SheVy był odmłodzony, więc wyglądał na jakieś osiemnaście lat. Jako młody oficer wojsk pancernych ćwiczył zatrzymywanie sił radzieckich, które pewnego dnia mogłyby przelać się przez Fulda Gap, i szkolenie to pozwoliło jemu i jego załodze przeżyć takie sytuacje, w których inni ginęli. Udało im się przeprowadzić długi, kontrolowany odwrót z Doliny Rabun na obecną pozycję i zdjąć po drodze sporą liczbę posleńskich lądowców. Ale teraz pułkownik miał niemiły obowiązek powiedzieć im, że impreza jeszcze się nie skończyła.

– Mówi, że może ją postawić na nogi w dwanaście godzin.

– Niemożliwe – warknęła Indy. – Żeby miał ze sobą choć dwa reaktory!

Reaktory granulkowo-helowe były wyjątkowo bezpieczne – nawet przy całkowitej utracie chłodziwa nie zaczynały topnieć – ale te w SheVie Dziewięć właśnie straciły całe chłodziwo i nie mogły zostać odpalone bez poprzedniego gruntownego przeglądu.

– Ma ze sobą sześć reaktorów – powiedział Mitchell. – Do tego dodatkowe opancerzenie. I brygadę techników. Leci do nas dziewięć sterowców.

– Jezu! – szepnął Pruitt. – To dopiero tempo.

– Garcia robi wrażenie zaradnego – odparł Mitchell. – Ma też ze sobą młodego geniusza, który wprowadzi jakieś ulepszenia. – Spojrzał w górę na sterowiec, który akurat ustawiał się nad skrawkiem płaskiego terenu nie zajętego przez SheVę. – Kiedy ekipa naprawcza weźmie się za robotę, macie się oboje zdrzemnąć. Gdy znów będziemy na chodzie, zrobi się interesująco. Zwłaszcza że jak tylko odpalimy silniki, mamy rozkaz odbić Rabun Gap. Za wszelką cenę.

\* \* \*

– Cóż, sir – powiedział McEvoy, unikając ostrzału z Minoga. – Dobrze byłoby mieć tu SheVę, ale żadnej nie mamy.

– Nie, nie mamy – zgodził się ponuro Tommy; kolejny pocisk z lądownika trafił jednego z Kosiarzy z kompanii Charlie. – Majorze O’Neal?

\* \* \*

– Dostajecie, Sunday – odparł Mike. Większa część batalionu skręciła już za wzgórze i zbliżała się do tego, co pozostało z Muru. Kiedyś był to sześciopiętrowy betonowy potwór najeżony działami. Teraz okolica wyglądała jak po najeździe świstaków, które postanowiły ją zniwelować; nie licząc małego kanału, cała przełęcz została zrównana z ziemią.

– Tak, sir – odpowiedział spokojnie niedawny podoficer. – Kończy nam się też amunicja. Ale myślę, że mając wsparcie, damy radę go „zdjąć”. Proszę o ogień całego batalionu, jeśli wolno.

– Im więcej, tym lepiej? – odparł sucho dowódca batalionu. – Widzę, do czego pan zmierza. – Sprawdził wykres zwiadu; w zasięgu wzroku batalionu nie było żadnych wrogich sił, wszyscy mogli więc otworzyć ogień do Minoga. – Ogień, teraz!

\* \* \*

– On go musi naprawdę lubić – powiedział Duncan, kiedy w jego polu widzenia rozbłysła ikona celownika. Znajdowała się za nim; obrócił się i opadł na kolana, kiedy cały batalion otworzył ogień w jeden punkt na panczeru lądownika.

– Minoga? – spytał Stewart. – Ja też bym go namierzył, choćby po to, żeby zabić jednego bystrzejszego Wszechwładcę.

– Nie, Sundaya. Ile razy oddawał komuś do dyspozycji cały batalion?

– Nieczęsto – przyznał oficer rozpoznania.

Kiedy trzysta karabinów batalionu dołączyło się do ognia Kosiarzy, wywołało to pożądany skutek. Pancierz nad jednym z gniazd broni najpierw zniknął pod ogniem Kosiarzy, a potem, kiedy działka grawitacyjne dobrały się do magazynu amunicji, rzygnął płomieniem.

Lądownik pospiesznie odskoczył na południe, aby osłonić swój słaby punkt, i zaczął strzelać jednocześnie w kierunku głównych sił batalionu i Kosiarzy. Ale już było po nim; w pewnej chwili gwałtownie opadł i runął na zbocze góry, a potem stoczył się w dół.

\* \* \*

– Dlaczego wszyscy stoją i się gapią? – spytał O’Neal. – Zmiana planu. Charlie, zwrot na północ. Bravo, zwrot na południe. Podłużny szyk z Kosiarzami. Ranni, dowódcy i sztab do środka. Zwiad, ustalić, jak ten oolt’ondar dostał się na górę; jeśli jest tam jakaś ścieżka, zniszczyć ją.

Popatrzył na wciąż stojących nieruchomo żołnierzy i westchnął.

– No, ruszać się.

\* \* \*

– Nie podoba mi się ten cały O’Neal – powiedział Tulo’stenaloor, czytając zapisy łączności przekaźników. – Jak na mój gust, o wiele za szybko myśli.

– Tak, estanaarze – powiedział nieswoim głosem oficer wywiadu.

– O co chodzi? – Dowódca wyraźnie wyczuwał, że S-2 czegoś mu nie powiedział.

– Sprawdzalem jego przeszłość – powiedział oficer, wywołując dane dowódcy ludzi. – Odnosił imponujące sukcesy w obronie wielu rejonów, odkąd zaczęliśmy lądować na tej planecie. Jego oddział był o wiele skuteczniejszy, a zarazem poniósł mniejsze straty niż wszystkie inne oddziały metalowych threskreen, „pancerzy wspomaganych”. Jednak jego sława pochodzi jeszcze sprzed okresu lądowań na tym świecie.

Tulo’stenaloor odwrócił się i popatrzył na informacje, które wywołał oficer. – A skąd?

– Odegrał kluczową rolę w sukcesie ludzi na Aradanie 5.

– Och. – Wódz zamilkł i ostrożnie złożył trzepoczący grzebień. – Na czym ona polegała? – spytał cicho.

– To... – Oficer przerwał. – To jego oddział metalowych threskreen wyłonił się z morza na promenadę. Co więcej, to on osobiście zniszczył Az’al’endaia, odpalając ładunek jądrowy na burcie okrętu oolt’ondaia. I to ręcznie.

– Jak to się stało, że jeszcze żyje? – zasyczał cienko estanaar.

– Znajdował się blisko centrum wybuchu, który zniszczył oolt’poslenar – powiedział oficer, machając grzebieniem. – Uważa się, że ochronił go toroid plazmy, który wytworzył się wokół jego pancierza. Odrzuciło go wiele kilometrów w głąb morza, ale przeżył.

– To niemożliwe! Nawet metalowy threskreen nie oparłby się broni, która wypatroszyła okręt Az’al’endaia!

– Ale zapisy takie jak ten rzadko kłamią. Ludzie uważają go za niepokonanego,

nieśmiertelnego.

– Będziemy musieli ich rozczarować – powiedział Tulo'stenaloor, gładząc zdobienie swojego grzebienia. – Esthree, pchnij grupę miejscowych trasą, której użył Gamataraal, i zacznij ładować oolt Po'osol oolt. Polecimy naokoło i wysadzimy ich na tyłach, żeby wesprzeć natarcie.

– Tak jest, estanaarze – powiedział oficer operacyjny. – Wydawało mi się jednak, że powiedziałaś, iż największym błędem tej wojny było przypuszczenie pospiesznego szturmu.

– Jeśli nam się powiedzie, szybko oczyścimy drogę. Jeśli nie, stracimy tylko kilka niewiele wartych oddziałów. Dopilnuj, żeby jednostki zwiadowcze nie szły przodem; ich uzbrojenie nawet nie zadraśnie metalowych threshkreen.

– Tak jest, estanaarze. Tak uczynię.

– Przygotować oolt'poslenar – dodał wódz. – Jeszcze zobaczymy, kto kogo otoczy.

\* \* \*

– Straciliśmy kapitana Holdera – powiedział Gunny Pappas. W tle słychać było słaby huk odpalanego ładunku kopiającego.

– Zauważyłem – odparł Mike. – My straciliśmy łącznie dwudziestu dwóch ludzi. Szczerze mówiąc, dostaliśmy w dupę.

– Czekali na nas – powiedział Stewart. – To jedyne możliwe wyjaśnienie tego wszystkiego, co się stało. Ponadto wiedzieli, na których promach będą zasobniki z paliwem.

– Przy okazji, w tej materii jakoś się trzymamy – powiedział Duncan. – Zebraliśmy pięć akumulatorów, w tym dwa z pierwszego promu. Na wzgórzach nadaje też kilka radiolatarni; może jeszcze uda nam się je zgarnąć. Ta główniana amunicja szybko wyczerpie nasze zapasy energii, jeśli będziemy musieli prowadzić ciągły ogień.

– Są pewne możliwości w kwestii uzupełnień; zobaczymy, jak to będzie – stwierdził Mike. – Stewart, zacznij rozpracowywać, skąd oni mogli się dowiedzieć, gdzie i kiedy będziemy. Nie ograniczaj się tylko do jednej możliwości, zbadaj wszystkie.

– W tej chwili przychodzi mi do głowy tylko jakiś kret – przyznał Stewart. – Nic innego nie pasuje.

– Tak, jak powiedziałem – powtórzył Mike; w jego głosie słychać było złość. – Nie skupiaj się na jednym, choć raz zrób użytek ze swojej paranoi. Pappas, musimy szybko skończyć umocnienia; niedługo możemy się spodziewać ataku. Chcę mieć okopy, bunkry i transzeje do poruszania się. Kontynuować budowę, dopóki znowu nie uderzą, a my się nie połączymy.

– Tak jest, sir – odparł sierżant. – Siedzimy na skale; kiedy już się w nią wgryziemy, niełatwo będzie nas stąd wykopać.

– Dlatego spodziewam się szybkiego ataku – powiedział Mike. – On spróbuje nas odepchnąć, zanim się okopimy. A więc do roboty.

– „On”? – spytał Stewart. – Zataja pan coś przed swoim oficerem wywiadu?

– Bez przerwy – odparł Mike z niewidocznym uśmiechem. – Ale w tym przypadku to tylko domysły. Wszystko to nosi znamiona dobrze zaplanowanej operacji, i to od jakiegoś czasu. Spójrz tylko na te latające czołgi i współdziałanie lądowników. Mamy do czynienia z bardzo cwany Wszechwładcą, na tyle cwany, że zebrał także innych cwanych Posleenów. To nasz prawdziwy wróg. Spróbuj się wgryźć w darhelskie dane wywiadu; czasami udaje im się odróżnić jednego Posleena od drugiego. Chcę wiedzieć, z kim mamy do czynienia. Bardzo mi na tym zależy.

– Do cholery z wywiadem – mruknął Pappas. – Mnie tam zależy na wsparciu ogniowym.

*Nie głoszą nikomu, że Bóg sił im doda  
Tuż przed tym, jak śruba uparta popuści  
Nie głoszą, że Jego pozwala im łaska  
Słać wszystko do diabła, gdy najdzie ich chęć  
Tak w słońcu i w tłumie, i w świetle, w gromadzie  
I w mroku wciąż trwają, pośrodku pustkowia  
I patrzą, i baczą od rana do nocy  
Czy dzień ich współbraci już dawno nie nastał.*

Rudyard Kipling,  
*Synowie Marty*

Niedaleko Willits, Północna Karolina,  
Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III  
03:18 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
poniedziałek, 28 września 2009

Sterowiec, długi na niemal dwieście metrów, miał przyczepiony pod spodem olbrzymi kontener. Kiedy tylko płozy kontenera dotknęły ziemi, sterowiec odczepił go, skoczył w górę i odleciał. Jeden Posleen w niewłaściwym miejscu mógłby go „zdjąć” w sekundę, ale jądrowy ostrzał SheVy najwyraźniej oczyścił całą dolinę, i dopóki sterowce trzymały się nisko, pozostawały poza polem widzenia wroga.

Tył kontenera otworzył się i w ostrym świetle reflektorów zaczął się z niego wylewać strumień ciężkiego sprzętu i ludzi w czarnych kombinezonach. Połowa grupy ruszyła w stronę SheVy, druga zaś zaczęła poszerzać strefę lądowania.

Na czele kolumny zmierzającej w stronę SheVy jechał na czterokołowcu mężczyzna. Przed samym czołgiem zahamował z poślizgiem.

– Maj... podpułkownik Robert Mitchell – zsalutował Mitchell.

– Pułkownik William Garcia – odparł mężczyzna. Miał na sobie czarny kombinezon, tak samo jak reszta jego oddziału; na ramieniu nosił dużą odznakę HC4, oznaczającą, że należy do Czwartej Ciężkiej Brygady Konstrukcyjnej. Odpowiedział sprężysto na salut, a potem sięgnął do kieszeni kombinezonu i rzucił Mitchellowi małą paczuszkę. – Ja pierwszy pogratuluję panu awansu. Należy się sześć pięćdziesiąt. Zapłaci pan, jak pan przeżyje.

– Dzięki – powiedział Mitchell, patrząc na srebrne listki podpułkownika. – Co teraz?

– Moi ludzie zrobią kompletny przegląd – powiedział Garcia, odwracając się do Indy. – Pani jest tu mechanikiem?

– Tak jest, sir – odparła. – Mam wyniki wstępnego przeglądu. – Wyciągnęła swojego palmtopa.

– Dzięki. – Pułkownik wziął urządzenie i przeniósł dane. – Czy tam, na górze, to są pakiety MetalStorm?

Przeciwlądownikowy system MetalStorm był w ciągu minionych lat jednym z mniej udanych projektów. W bardzo krótkim czasie wystrzeliwał tysiące pocisków; zasadniczo składał się z lufy pełnej kul. Każdą kulę wystrzeliwał ładunek elektryczny.

Stupięciomilimetrowe dwunastolufowe urządzenie montowano na podwoziu czołgu abrams. W każdej lufie znajdowało się sto pocisków. Należały do tego samego typu pocisków, jakie abramsy

wozili ze sobą jako pociski przeciwczołgowe, ale w systemie MetalStorm wszystkie tysiąc dwieście sztuk amunicji można było wystrzelać w czasie poniżej dwudziestu sekund. Było to wyjątkowo przykre dla załogi; opisywano to jako przebywanie w metalowej beczce, którą potrząsa jakiś olbrzym. Przy tym wszystkim system okazał się raczej nieskuteczny w walce z lądownikami.

– Tak jest, sir – przyznał niechętnie Mitchell. – Podwozia zostały... zużyte z mojego rozkazu.

– Jestem pewien, że kryje się za tym jakaś fascynująca opowieść – powiedział Garcia z lekkim uśmiechem. – Nie odpalaliście ich tam na górze, prawda?

– Nie, sir – powiedział Pruitt. – Są tylko przymocowane łańcuchami.

– Dobra, ściągniemy je i zabierzemy jednym ze sterowców – stwierdził Garcia.

– Chwila, szefie, może lepiej to przemyśleć. – Człowiek obchodzący dookoła SheVę był najwyraźniej cywilem. Był to młody, wysoki mężczyzna, potężnie umięśniony, o urodzie gwiazdora filmowego i długich jasnych włosach. Miał na sobie czarny prochowiec i złote okulary przeciwsłoneczne; ręce trzymał głęboko wepchnięte w kieszenie. Spojrzał na górny pokład SheVy i wzruszył ramionami. – Można z nimi zrobić lepsze rzeczy niż po prostu wywieźć.

– Co wymyśliłeś, Paul? – spytał Garcia. – O, przepraszam. Panie i panowie, to jest Paul Kilzer. Jest jednym z projektantów SheVy i zgodził się przyjechać tutaj z nami jako konsultant.

Pruitt gapił się na niego z otwartymi ustami, jakby zobaczył zjawę.

– Riff? – wykrztusił.

– Nie, mam na imię Paul – odparł cywil, marszcząc brew. – Czy my się znamy?

– Eee, nie. Ale... co pan chce zrobić ze Stormami?

– Mamy do nich załogi? – spytał cywil.

– Są rozrzuconi po całej SheVie, śpią – odparł Mitchell. – Czemu pan pyta?

– Chyba wiem, skąd można by wziąć parę pierścieni wież – powiedział Paul. – Podłączenie do nich zasilania nie będzie trudne. Dodamy jakąś łączność i wyjdzie niezła siła ognia. Potrzeba będzie trochę więcej mocy, ale mamy ze sobą sześć reaktorów. Możemy podrasować to cacko bronią i dodatkowym opancerzeniem. To powinno trochę pomóc.

– O rany – szepnął Pruitt.

– Ma pan konkretny plan? – spytał Garcia.

– Planowałem coś takiego jakiś czas temu. – Paul wyciągnął notes z kieszeni płaszcza. – Zajrzę do notatek.

Indy parsknęła histerycznym śmiechem i popatrzyła na pozostałych.

– Przepraszam.

Garcia rzucił okiem na swojego palmtopa i pokiwał głową.

– Ekipa naprawcza potwierdza waszą ocenę uszkodzeń, chorąży. Idźcie wszyscy odpocząć, a my weźmiemy się do pracy.

– Dla mnie bomba – powiedział Mitchell, chwiejąc się ze zmęczenia. – Stormami dowodzi major Chan. Będzie pan musiał się z nią rozmówić. I z jej dowództwem, jak przypuszczam.

– W tej chwili wszyscy są już przeniesieni do was – powiedział Garcia. – Ja zajmę się szczegółami, a pan niech idzie odpocząć, pułkowniku.

\* \* \*

Mimo zmęczenia Pruitt nie był w stanie zasnąć. Wziął połówkę provigilu niecałe dwie godziny przed lądowaniem brygady naprawczej, i dopóki środek działał, był rozbudzony, chociaż ociężały umysłowo. Z trudem wspiął się po drabinkach na górny pokład SheVy, żeby lepiej widzieć, co się dzieje dookoła.

Dywizja piechoty, która utknęła po drugiej stronie Balsam Gap, w końcu zaczęła się przebijać.



Jej transportery opancerzone, ciężarówki i czołgi sunęły właśnie autostradą 23 w stronę Dillsboro, wypatrując Posleenów i szukając ocalałych mostów. Sprawy wyglądały nieciekawie – blisko milion Posleenów doganiał już uwięzioną SheVę – dopóki prezydent nie pozwoliła Bun-Bunowi użyć ognia jądrowego. Trzy pociski antymaterii dosłownie zmiotły główne skupiska obcych sił. Dywizja wylapywała teraz ocalałych, a tymczasem buldożery i wywrotki brygady naprawczej poszerzały strefę lądowania, aby ciągle nadlatujące sterowce zrzucały swoje ładunki i odbierały puste kontenery tak, by zrobić miejsce dla następnych.

W błyskawicznym tempie pojawiało się coraz więcej specjalistycznego ciężkiego sprzętu. Jednym z takich urządzeń, najwyraźniej przerobionym z olbrzymiej koparki, był automatyczny przecinak plazmowy. Potężny gaśnicowy pojazd wytoczył się z kontenera prosto pod SheVę i zaczął wyrzynać wielkie dziury w ścianie przedziału napędowego. Trzy specjalne automaty jeździły od jednej uszkodzonej gaśnicy do drugiej i wyciągały nity wielkości człowieka oraz ściągały uszkodzone segmenty i zastępowały je nowymi.

W pewnym momencie z jednego z kontenerów wytoczył się potężny wózek widłowy, wiozący kompletny pakiet reaktora. Podjechał do jednej z wyciętych w burcie SheVy dziur i zniknął w jej wnętrzu. Pruitt miał nadzieję, że ktoś wcześniej wygonił śpiące w maszynowni załogi MetalStormów.

Cały jeden ładunek zrzucono tuż przed samą SheVą. Były to owinięte w plastik olbrzymie płyty. Widząc wyskakującego z włazu cywilnego doradcę, Pruitt wstał i podszedł do niego.

- Co to jest? – zapytał.
  - Dodatkowe opancerzenie. Wrzucimy je przed gaśnice, żeby trochę ograniczyć uszkodzenia.
  - Wygląda na... ciężkie. – Pruitt przypomniał sobie szaleńcze manewry, które SheVa musiała wykonywać w poprzedniej bitwie. – Czy to nas nie spowolni?
  - Nie, bo dodamy cztery reaktory – odparł Paul. – Wyciągniemy dwa uszkodzone i wstawimy na ich miejsce wszystkie sześć. Wasza maksymalna prędkość pozostanie taka sama, ale zwiększy się moment obrotowy, co powinno się przydać w górach.
  - A co z gaśnicami? – Zbyt silny naciąg łączników segmentów mógł doprowadzić do zerwania całej gaśnicy.
  - Niech wasz kierowca lepiej uważa.
- Pruitt zadrżał na wspomnienie ich wcześniejszych wyczynów. – Słyszał pan, skąd mamy wieżyczki MetalStormów, ale bez podwozi?
- Nie.
  - To niezła historia. Ma pan chwilkę?

\* \* \*

Major Vickie Chan patrzyła, jak wieżyczka MetalStorma opuszcza się na świeżo zamontowany pierścień obrotowy. Bijąca spod spodu łuna spawarek techników, którzy mocowali wsporniki, zniknęła, kiedy wieża osiadła na swoim miejscu.

Major była wysoką, ładną półkrwi Azjatką; mimo łagodnej powierzchowności była wyjątkowo zawzięta w walce. Aż do poprzedniego dnia dowodziła jako kapitan kompanią MetalStormów; ponieważ nikt nie wiedział, co zrobić z jej czołgami, przenosili się jak Cyganie z miejsca na miejsce. Podczas odwrotu, kiedy stracili podwozia swoich pojazdów, przyłączyli się do SheVy; połowę drogi jechali za nią, a od połowy byli już wiezieni. Major doszła do wniosku, że w ich sytuacji SheVa jest prawdopodobnie nie najgorszym rozwiązaniem, zwłaszcza że Mitchell był dobrym dowódcą: sprytnym, zdolnym i mającym fart.

A więc dlaczego czuła się tak, jakby ktoś właśnie nastąpił na jej grób?

Może przez to, że wszystko tak szybko się działo. Tuzin pierścieni wież ze stacji naprawy

czołgów w Asheville pojawił się jak za sprawą czarów. Garcia najwyraźniej miał niekwestionowany priorytet przy poborze części i sprzętu, ale sytuacja, gdy dowódcy Zgrupowania Armii żądają dostaw części w trybie priorytetowym, oznacza, że wszystko jest sFUBARowane\*. I przypuszczalnie odFUBARowanie miało należeć do zadań SheVy Dziewięć i „dowódcy jej drugorzędnego uzbrojenia”.

Sama radość.

Major Chan odwróciła się, kiedy piętnastocentymetrowa płyta górnego pokładu SheVy zadzwoniła pod czyimiś stopami, i obdarzyła uśmiechem dowódcę brygady naprawczej.

– Nigdy się nie spodziewałam, sir, że zobaczę coś takiego – powiedziała, wskazując wieżyczkę, którą właśnie testowano.

– To niezły pomysł – powiedział Garcia. – Jak zwykle propozycję Paula trzeba było trochę zmienić w szczegółach, ale coś takiego powinno wam znacząco pomóc w kontrataku. Czy mogę o coś zapytać?

– Niech pan strzela.

– Co się stało z podwoziami?

– Cha! – zaśmiała się major. – Nie jestem pewna, co się z nimi oficjalnie stało. Chce pan wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło?

– Jasne.

– Dobra. Prawda jest taka, że użyliśmy ich do wyciągnięcia zabuksowanej SheVy.

Garcia popatrzył na olbrzymie działo. W porównaniu z nim buldożery D-9 batalionu konstrukcyjnego wyglądały jak zabawki.

– Nawet tuzin abramsów ledwie może ruszyć coś takiego. Wiem, bo już trzy wyciągnąłem. Generalnie zajmuje to około tygodnia.

– Nie mieliśmy tyle czasu – powiedziała ze znużeniem Chan i przeczesła palcami tłuste włosy, a potem popatrzyła na nie z obrzydzeniem. – Mitchell, ten szurnięty drań, przewiózł nas przez Betty Gap, gdzie nie było nawet drogi. Kiedy jechaliśmy w dół, SheVa nagle zaczęła... zjeżdżać. To była najbardziej niesamowita rzecz, jaką w życiu widziałam, i najbardziej przerażająca. Po prostu... zjechała po zboczu i wbiła się między dwa urwiska. Należy dodać, że przez cały czas byliśmy pod ostrzałem.

– Jakiego rodzaju? – zapytał pułkownik, zafascynowany tą historią.

– Na początku była grupa pieszych Posleenów, ale uderzyliśmy na nich z flanki. Potem jednak nad wzgórzem pojawiły się dwa lądowniki. Pruitt „zdjął” oba na dystansie poniżej tysiąca metrów.

– Ale to... – Garcia przerwał. – Gdyby jego pociski przeszły na wylot albo gdyby zbiorniki lądownika wybuchły, zdmuchnęłoby ich razem z lądownikiem.

– Tak było – skrzywiła się major. – Oba pociski wybuchły na zewnątrz lądowników. Ale Pruitt umie ominąć zasobniki z antymaterią, jeśli chce. Jest naprawdę bardzo dobry. W każdym razie jeden z lądowników stoczył się po zboczu i omal w nich nie trafił; Pruitt zatrzymał go, strzelając pod niego ładunkiem antymaterii. To było poniżej pięciuset metrów.

– Cholera.

– Tak, to bardzo niemiła rzecz. Przeżyliśmy obie eksplozje antymaterii SheVy, ale skończyło się na tym, że SheVa utknęła jak diabli. I wtedy trafił się nam przypadkiem major korpusu inżynierskiego, który właśnie wycofywał się tą samą trasą. zaproponował, żebyśmy zdemontowali wieżyczki i wepchnęli podwozia pod SheVę jak deski. Udało się, ale... no, powiedzmy po prostu, że pozbieranie pogiętych blach, które zostawiliśmy za sobą, będzie ciekawym doświadczeniem dla złomiarzy.

Garcia parsknął śmiechem, a potem pokręcił głową.

– Przykro mi, że straciła pani swoje czołgi.

– Och, nic się nie stało – odparła Chan. – Był pan kiedyś w takim czołgu, kiedy strzela?

– Nie.

– Powiem tylko, że załogi wiwatowały, kiedy SheVa je miażdżyła.

– Jest aż tak źle?

– Nie da się tego opisać. Chwilę po tym, jak skończyliśmy strzelać, detonował pocisk SheVy.

Dziesięć kiloton, jakieś dziewięćset metrów od nas. Wie pan, co powiedziała moja działonowa?

– Nie.

– „Co to było za łupnięcie?”. – Zaśmiała się ponuro. – Musi być źle, skoro człowiek nawet nie zauważa odpalenia atomówki.

– Może zamontujemy dodatkowe wzmocnienia.

– Aha. Lepiej tak zróbcie. Jak idzie?

– To nie jest najbardziej postrzelana SheVa, przy jakiej pracowałem – odparł Garcia – ale niewiele jej brakuje. Skończymy o czasie, może z godzinnym poślizgiem.

– Jak będziemy kierować działami? – spytała Chan.

– Montuję przedział sterowania bronią pomocniczą. To też pomysł Paula. Będzie pani tam siedziała razem z tym łącznościowcem, którego zabrał Mitchell. Będzie pani miała łączność ze wszystkimi swoimi jednostkami, ale informacje będziecie musieli czerpać z systemów SheVy.

– Może być.

– Paul bez przerwy obmyśla generalne przeprojektowanie SheVy – powiedział Garcia. – Chce, żeby czołgi były najeżone pomocniczą bronią. Wytknąłem mu, że nie da się kontrolować takiej siły ognia bez dużej załogi, ale on chce wykorzystać komputerowe sterowanie.

Garcia skrzywił się.

– Co w tym złego?

– Wie pani, jak Paul wyobraża sobie sztuczną inteligencję? – Garcia westchnął. – Chce wyciągnąć kod z jakiejś gry komputerowej. Udało mi się go przekonać, że to zły pomysł.

– Cha! – zaśmiała się Chan. – Kangury z wyrzutniami rakiet?

– Coś w tym rodzaju. – Pułkownik znów westchnął. – Wyobraziłem sobie, co się stanie, kiedy systemy rozpoznają Himmitów jako wrogich Ghostów, a Indowy jako Protossów. Na razie jestem zdania, że będzie lepiej, jeśli ogniem będą sterowali ludzie w wieżyczkach.

– Może pójdę do dowódców i zacznę opracowywać z nimi plan działania. Czy będą rozrzucać wzdłuż krawędzi?

– Mniej więcej. Pięciu z przodu, trzech z tyłu i po dwóch po bokach. Zewnętrzny na każdym końcu będzie mógł wspierać burty.

– Dużo siły ognia, ale opancerzenie nieszczególne – zauważyła Vickie.

– Z przodu grube. Paul pracuje też nad kilkoma dodatkowymi pomysłami. Ale jeśli opadną was zgrają, z bliska, będziecie mieli kłopoty.

– I co wtedy?

– No cóż, pani major, to do pani będzie należało, żeby do tego nie dopuścić.

\* \* \*

– Wiesz co, Stewie, jest do dupy.

Batalion krył się w podwójnym rzędzie błotnistych dziur, tu i ówdzie połączonych transejami, które żołnierze kopali, kiedy uderzyli na nich Posleeni, i zalewał nacierające falami centaury ogniem z karabinów grawitacyjnych.

Karabin grawitacyjny M-300 był mocowany do prawego ramienia pancerza na giętym wysięgniku, który zawierał podajnik amunicji ze skrytek umieszczonych we wnętrzu pancerza. Podczas bitwy można było przyciąć się w okopie albo za rogiem i wystawić karabin, by ostrzelać zbliżające się cele; broń miała własny układ celowniczy, połączony z układem sterowania pancerza.

Swego czasu pojawiły się propozycje, by wyposażyć zbroje w dwa takie karabiny, ale na przeszkodzie stanęła ograniczona ilość amunicji. Każdy pancerz miał sześć oddzielnych skrytek na amunicję, wyposażonych we własne panele awaryjne, ale mimo że „kule” były uranowymi łezkami wielkości czubka małego palca, zbroja była w stanie wyczerpać cały swój zapas amunicji już w trzy godziny. Zwłaszcza, jak to nazywano, w „bogatym w cele” środowisku. A określenie to z całą pewnością pasowało do obecnych warunków.

Posleeni biegli truchtem w dobrym szyku, ściśnięci jak sardynki... dopóki nie wpadali pod przecinające się strumienie pocisków grawitacyjnych ze zubożonego uranu. W miejscach, gdzie strugi srebra uderzały w ścianę ciała, tryskały w górę strumienie czerwonego ognia i strugi żółtej krwi. Każdy pocisk pancerzy wspomaganych miał siłę małej bomby i zabijał nie tylko swój cel, ale zazwyczaj centaury po obu jego stronach. Piętrzący się wał trupów zaczynał obcym przeszkadzać, ale mimo to wciąż nacierali.

– Robi się kiepsko z zaopatrzeniem, szefie.

Po raz pierwszy od pięciu lat Duncan był na pierwszej linii ognia, ale ponieważ nie mogli się spodziewać uzupełnień ani nie mieli żadnego innego pośredniego wsparcia poza ogniem Kosiarzy, nie było innego wyjścia. Liczył się bowiem każdy pocisk.

– Pocisków mamy pod dostatkiem – powiedział Stewart – ale mocy...

Dwaj żołnierze – Bandyta, któremu zabłąkana hiperszybka rakietka zestrzeliła karabin, i jednonogi żołnierz wsparcia w bulwiastym pancerzu, w którym wyglądał jak maskotka Michelina – pełzli płytkim okopem od stanowiska do stanowiska, podając walczącym energię z ocalałych akumulatorów antymaterii. Same pancerze nie poruszały się, a systemy podtrzymywania życia nie zużywały dużo energii, lecz pociski, które wystrzeliwały, potrzebowały wielkiej ilości mocy.

Zanim pociski opuściły lufy karabinów, były przyspieszane do niewielkiego procentu prędkości światła. Dawało im to olbrzymią siłę przebicia, co wyjaśniało, dlaczego szerokie na trzy i długie na cztery milimetry łezki powodowały wybuchy rozmiarów artyleryjskiego ostrzału.

Pociski były wystrzeliwane seriami, o wiele szybciej niż z jakiegokolwiek karabinu maszynowego, i żeby spowodować efekt wybuchu stu kilogramów TNT, potrzeba było energii, i to dużej.

Energia ta miała pochodzić z samych pocisków. „Standardowe” ładunki miały w podstawie kropelkę antymaterii, wystarczającą, by napędzić pocisk, a nawet przelać nadwyżkę do akumulatorów pancerza. Ale ludzie nie znali technologii wytwarzania ultra-miniaturowych systemów utrzymywania antymaterii, a blokada Ziemi odcięła dopływ galaktycznych technologii, tak więc gdy „standardowe” pociski stały się rzadkością, zaczęto stosować procedury „awaryjne”, napędzając broń własną energią.

A w ten sposób zużywało się jej bardzo dużo.

Mike obserwował przez chwilę, jak jeden z pancerzy pobrał całą energię, po czym, zanim technik z mozołem doczołgał się do następnej pozycji, poziom jego zasilania zaczął wyraźnie opadać i wskaźnik akumulatora antymaterii zaświecił na żółto.

– Jestem otwarty na sugestie – powiedział, starając się nie zdradzać znużenia.

– Już odstrzelujemy Wszechwładców – odparł Duncan.

Normalsi, którzy stanowili trzon posleńskiego natarcia, mieli inteligencję niższą od ludzkiej,

ale dowodzący nimi Wszechwładcy nadrabiali ich braki. Ponieważ batalion był niemal niewidoczny w swoich okopach i normalsom trudno było go ostrzeliwać, Wszechwładca śledził, w którym miejscu brała początek struga wystrzeliwanego przez ludzi srebra, i wówczas namierzał cel. A wtedy wszyscy normalsi, nie tylko ci należący do niego, robili to samo i w stronę ukrytych pancerzy leciał dosłownie grad pocisków.

Żeby sobie z tym poradzić, ludzie wysłali pancerze zwiadowcze – używające broni o mniejszej prędkości wylotowej, przez co była niemal nie do wykrycia – na wzgórza po obu stronach, żeby stamtąd wyszukały w ciżbie dowódców i odstrzeliły ich.

Jednak Wszechwładcy stawali się widoczni dopiero wtedy, gdy schodzili ze swoich tenarów. Ponadto jeśli ich grzebienie nie były nastroszone, trudno ich było odróżnić od zwykłych żołnierzy.

– Wybieramy najmądrzejszych Wszechwładców – powiedział Mike. – I to już od lat.

– Chyba tak – odparł Duncan.

– Jeśli takie mają być efekty, to moim zdaniem to był marny pomysł – powiedział Stewart i nagle wrzasnął.

– Wszystko w porządku? – Mike sprawdził odczyty. Broń Stewarta została uznana za zniszczoną.

– No, myślałem, że już wszystko widziałem – odparł wolno Stewart – ale to naprawdę niesamowity widok, kiedy posleeński pocisk wlatuje do lufy w tym samym momencie, w którym jeden z naszych pocisków ją opuszcza.

– Wszystko w porządku?

– No, jeszcze mam rękę. – Pancerze dowództwa nie miały wysięgników, więc dowódcy i sztabowcy wystawiali swoje karabiny z okopów.

– Energii starczy nam jeszcze na jakieś cztery godziny – powiedział Duncan, wracając do tematu. Karabiny niemal same strzelały, więc zabijanie Posleenów w tych okolicznościach nie wymagało wybitnej podzielności uwagi.

– Jest tu niedaleko ukryty skład – powiedział cicho Mike. – Jest w nim zapas standardowych pocisków nawet dla całego batalionu. I pakiet antymaterii.

– Tak? – zdziwił się Duncan. – Na mapach nie ma żadnego składu.

– Bo to nieoficjalny skład.

– Aha.

Mike skrzywił się.

– Problem oczywiście polega na tym, jak do niego dotrzeć.

– Gdzie to jest?

Niedaleko Rabun Gap, Georgia,  
Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III  
05:18 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
poniedziałek, 28 września 2009

Mueller zsunął się po błotnistym zboczu i opadł na parapet przed jaskinią, po czym szybko wyciągnął przed siebie karabin.

Grota, którą Papa O'Neal nazywał Składem Cztery, znajdowała się w niemal pionowym, porośniętym drzewami zboczu. Podczas poprzedniej wycieczki Mueller i Mosovich starannie unikali pytań, w jaki sposób starszy O'Neal wniósł tam dziesiątki ciężkich skrzyń. Na tej samej wycieczce, kiedy wychodzili z groty, zaatakował ich dziki Posleen, dlatego Mueller wołał teraz zachować ostrożność.

Pierwszą rzeczą, którą zauważył, były zamknięte metalowe drzwi; poprzednim razem skład był otwarty. Ogólnie rzecz biorąc, był to raczej dobry znak, zwłaszcza że co jakiś czas w okolicy spadały atomówki.

Problem polegał jednak na tym, że po tej stronie drzwi nie było żadnych zamków.

Mueller był zmęczony, więc powoli zbierał myśli. Brał provigil, ale ten środek tak naprawdę nie pozwalał tylko człowiekowi zasnąć, za to w dalszym ciągu pozostawiał go „głupim ze zmęczenia”. Wreszcie Mueller załomotał kolbą do drzwi.

– Jest tam kto?

\* \* \*

Cally usiadła, słysząc łomotanie i stłumiony głos dochodzący zza drzwi. Brzmiał jak ludzki głos, ale to mógł być jakiś bardzo sprytny Posleen.

Podniosła steyra i podeszła do drzwi.

– Kto tam?

– Cally?

– Tak, kto tam?

– Mueller! Otwieraj.

Cally odłożyła karabin i otworzyła drzwi, jednocześnie doprowadzając się trochę do porządku.

Mueller patrzył na nią przez chwilę, a potem zamknął ją w niedźwiedzim uścisku.

– Jezu Chryste! Myśleliśmy, że już po tobie.

Cally otarła łzy z oczu, i kiedy pozostali zeszli z urwiska i wśliznęli się do jaskini, zaczęła ich wszystkich po kolei ścisnąć.

– Wendy, udało wam się!

– Dzięki szczęściu i paru cholernie dziwnym rzeczom – odparła dziewczyna, odwzajemniając uścisk. – Gdzie Papa?

Cally pokręciła tylko głową, znów ocierając łzy i patrząc na zmartwioną minę nieznajomej kobiety, która weszła jako ostatnia.

Wendy odwróciła się i popatrzyła na nią.

– Shari...

– Shari? – spytała Cally. Kobieta była o połowę młodsza od tamtej, która przyjechała do nich na farmę i zakochała się w jej jeszcze starszym dziadku. Ale ta twarz... – Shari?! O Boże, Shari!

– W porządku, kochanie – odparła kobieta z kamienną twarzą. – Wszyscy musimy kiedyś

umrzeć.

– Nie, nie w porządku! – powiedziała Cally, biorąc ją za rękę. – My... rozmawialiśmy, kiedy Posleeni zaatakowali. On... nie mógł się doczekać, kiedy przyjedziesz, aby z nami zamieszkać. Ja też. Tak mi przykro!

– To chyba ja powinnam ciebie pocieszać – powiedziała Shari i rozplakała się – a nie na odwrót.

– Musimy położyć dzieci – przerwała im stanowczo Elgars. – Potem porozmawiamy.

Cally pokazała im skrzynie ze sprzętem obozowym, kocami i podpinkami do poncz, a potem włączyła elektryczny piecyk. Wszystkie dzieci, nawet Billy, kiedy tylko dostały suche ubrania i zajęły wygodne miejsca, natychmiast zasnęły.

– Jak tu dotarliście? – spytała Cally.

– Na piechotę – odparł Mueller, ściągając z jękiem buty. – Przez ostatnie dziesięć kilometrów dzieciaki były jak martwe, musieliśmy je nieść.

– Mamy dużo do opowiadania – powiedziała Wendy. – Ale najpierw ty powiedz, skąd się tu wzięłaś i czy wiesz, co się dzieje?

– Kiedy zrobiło się kiepsko, poszliśmy do bunkra – powiedziała wolno Cally; widać było, że opowiadanie tej historii przychodzi jej z trudem. – Posleeni szli w górę doliny... a nad nimi latało coś, co wyglądało jak latające spodki. Potem, kiedy pojawił się lądownik, Papa kazał mi się schować; on miał iść tuż za mną. Nagle coś błysnęło. Stałam w drzwiach wewnętrznego schronu i poczułam, jakby coś mnie wepchnęło do środka. Kiedy się ocknęłam, zobaczyłam, że główne przejście zawaliło się. Wyszłam bocznym wyjściem; wprawdzie też było zasypane, ale udało mi się jakoś przecisnąć. Dolina była... zdemolowana, wszystko po prostu... zniknęło. To musiała być atomówka czy coś podobnego. Lądownika i Posleenów już nie było, a bitwa w Gap ustała. Pomyślałam, że to bardzo niedobrze. Potem poszłam do bunkra i znalazłam... No, odkopałam trochę gruzu i znalazłam rękę Papy. Była zimna.

Cally umilkła i potrząsnęła głową.

– Nie będę ryczeć jak dzieciak, bo mój dziadek nie... nie żyje – zaszlochała. – Na tej nędznej planecie przez ostatnie lata zginęło pięć miliardów ludzi, więc nie będę opłakiwać jednego więcej!

– Nieprawda, będziesz – powiedziała Shari, nachylając się i biorąc ją w ramiona. – Nie płaczesz nad nim, płaczesz nad sobą i nad tym, że jego już tu nie ma. Płaczesz nad swoją stratą.

– Chcę, żeby wrócił! – krzyknęła Cally. – Miał nie umierać! Potrzebuję go!

– Ja też chciałabym, żeby wrócił – powiedziała Shari. – Ja też.

– Drań zostawił mnie w samym środku cholernej wojny atomowej – załkała Cally.

– No, można tak powiedzieć – odezwał się Mueller, mieszając w garnku liofilizowanego kurczaka z makaronem.

– Co to znaczy? – warknęła Cally.

– Zawsze wiedziałem, że stary był twardy, i miałem rację. Trzeba było atomówki, żeby go „załatwić”.

– Och, Mueller. – Cally zaśmiała się przez łzy.

– Pójdziemy tam i obejrzymy ciało – powiedziała Wendy.

– Po co? – warknęła Elgars. – Chodzenie po ciału, które Posleeni prawdopodobnie już zjedli, nie wydaje mi się z taktycznego punktu widzenia słuszne.

Shari odwróciła się do niej z wściekłością, ale Mosovich szybko położył dłoń na jej ramieniu.

– Pani kapitan, z taktycznego punktu widzenia to nie jest dobra decyzja, ale z innych powodów jest. Najlepsze formacje nie zostawiają nikogo ani żywego, ani martwego. To tylko

piętnastominutowy spacer. Będziemy też mieli okazję dobrze rozejrzeć się po dolinie, przecież naszym zadaniem jest przeprowadzenie rozpoznania.

Elgars zmarszczyła brwi, a potem pokiwała głową.

– Dobra, zgoda. Jeśli pozwolą na to warunki. Ale ktoś musi tu zostać, żeby pilnować dzieci; nie weźmiemy ich ze sobą.

– Ja zostanę – powiedziała Shari.

– Widzę, że masz broń – zauważyła Cally, ocierając oczy i chętnie porzucając temat śmierci dziadka. – Nosisz ją tak, jakbyś wiedziała, jak się nią posługiwać. Pewnie po drodze trochę się działo, co?

– Podmieścia już nie ma – odpowiedziała Wendy. – Wyszliśmy przez podziemia. W dziale upraw znaleźliśmy kilka... dziwnych urządzeń zainstalowanych przez Indowy.

– Częściowo wyjaśniła się tajemnica moich cudownych ponownych narodzin – wtrąciła sucho Elgars. – Najwyraźniej to właśnie tam mnie „odbudowano”.

– I ciebie też? – Cally zwróciła się do Shari.

– Mocno oberwałam, kiedy uciekałyśmy – odparła kobieta.

– Pocisk igłowy przeszedł przez kręgosłup i brzuch – wyjaśniła Wendy. – Było mnóstwo krwi.

– Kiedy potem obudziłam się w purpurowej komnacie – ciągnęła Shari – wyglądałam już tak jak teraz.

– Wyglądasz... dobrze – szepnęła Cally i znów zaczęła płakać.

– Co się stało?

– Pomyślałam... że Papie bardzo byś się spodobała – odparła, z trudem odzyskując panowanie nad sobą.

– Och, przedtem też mu się podobałam. Aż nie do wiary, jak bardzo.

– Nigdy tego nie zrozumieć – powiedział Mueller, kręcąc głową. – Najstarszy facet w grupie podrywa laskę. A teraz? W tej jaskini siedzą cztery kobiety, a ja muszę gotować!

– Och, zamknij się, stary zgredzie – roześmiała się Cally. – Gdzie znalazłyście tych dwóch pasożytów?

– Niedaleko stacji hydrologicznej Coweta – odparła Wendy, również się śmiejąc. – Wpadłam do rzeki i akurat gramoliłam się na brzeg, starając się nie zamoczyć broni; w mokrej koszuli wyglądałam jak dziewczyna z kalendarza *Packed and stacked*. A Mueller naturalnie był z tego bardzo zadowolony.

– Kazano nam dokonać rozpoznania ruchów Posleenów – powiedział Mosovich. – Ale poruszali się szybciej niż my byliśmy w stanie, a drogi na północ zostały odcięte. Uznałem, że gdyby nam się udało zabrać stąd parę rzeczy, moglibyśmy pójść wzdłuż gór Tennessee przez Północną Georgię i znaleźć jedną z przełęczy, które jeszcze się bronią, a potem może zdobyć jakiś transport z powrotem na bezpieczne tereny.

– Kiedy zdaliśmy sobie sprawę, jak tu jest gorąco, było już za późno, żeby zawracać – podjęła Wendy, rysując dłońmi w powietrzu atomowego grzyba. – A dzieci potrzebowały ubrań, żeby przeżyć taką pogodę; na zewnątrz robi się naprawdę paskudnie.

– No, tu wszystkiego jest w bród – odparła Cally. – Jedzenia, koców, nawet plecaków. Tak samo jak amunicji i materiałów wybuchowych, nie ma tylko broni.

– Broń mamy – powiedział Mosovich. – Mamy też tyle amunicji, ile daliśmy radę unieść. Brakuje nam tylko jedzenia i sprzętu obozowego.

– A więc chcecie iść dalej? – spytała Cally.

– Prawdopodobnie będziemy musieli – odparł Jake, kiwając głową. – Gap jest utrzymywane



przez oddział panczerzy wspomaganych – przy okazji, to oddział twojego taty – ale... nie wiem, jak długo będą się bronić, a jeśli nawet dadzą radę, nie bardzo widzę, kto miałby ich odciążyć. Pod Dillsboro jest jednostka piechoty i postrzelana SheVa, ale bliżej niczego nie ma. – Przerwał i wzruszył ramionami. – Myślę, że oddział twojego taty ma tylko spowolnić marsz Posleenów.

Cally pokiwała w zamyśleniu głową.

– O tatę się nie martwię. Bywał w sytuacjach bez wyjścia chyba częściej niż ktokolwiek na świecie i zawsze mu się udawało. Cała reszta jego oddziału może nie przeżyć, ale on wyjdzie z tego cało. Pewnie, zawsze jest możliwość, że zginie, ale nie postawiłabym... Chciałam powiedzieć, że nie postawiłabym naszej farmy, ale jeśli ktoś chce czterdzieści hektarów radioaktywnej pustyni...

– A skoro o tym mowa – przerwał jej Mueller – mamy przekaźniki. Możesz z nim porozmawiać, jeśli chcesz.

– To interesujący pomysł, ale nie chcę go rozpraszać. – Nawet we wzmocnionej betonem jaskini bardziej czuli niż słyszeli huk odległych eksplozji. – Po prostu... dajcie mu znać, że żyję.

\* \* \*

– Majorze O’Neal?

Mike’a zaczynała już boleć ręka. Wprawdzie podtrzymywała ją broń, ale trzymanie ręki tak długo nad głową było męczące. Nie tylko zapasy energii topniały w oczach; kończyła się również amunicja. Bitwa pochłonęła już ponad sześćdziesiąt milionów pocisków; wszystkie panczerze musiały uzupełniać pokładowe zapasy co najmniej raz, a w jednym przypadku nawet dwa razy. A tymczasem Posleenów nie ubywało.

– Tak? – zapytał ze znużeniem. – Znowu masz jakieś straszne wieści?

– W żadnym wypadku nie są straszne, sir, raczej mieszane. Cally O’Neal żyje. Nawiązała kontakt ze starszym sierżantem sztabowym Mosovichem ze zwiadu Floty. Oboje, wraz z paroma innymi uchodźcami, znajdują się w schronieniu niedaleko farmy pańskiego ojca.

– A tata? – spytał Mike, podejrzewając już, dlaczego wiadomości są mieszane.

– Pański ojciec został uznany za zmarłego, sir – odparł bezbarwnym tonem przekaźnik.

Mike zmarszczył czoło.

– Uznany za zmarłego?

– Tak, sir, ostatni raz widziano go w bunkrze, obok którego eksplodował ładownik.

Znów ten bezbarwny ton. Mike zauważył już, że kiedy przekaźnik napotykał na jakieś trudności, niesłuchanie ochoczo zamieniał się w zupełnie niekomunikatywne urządzenie.

– Ile sprawnych osób jest w schronie? I czy jest tam jakiś naziemny transport? – spytał.

– Pięcioro dorosłych. Nie, wszystko zostało zniszczone przez wybuch.

– Hmm... – Mike spojrzał na wykres zasilania i pokręcił głową. – Daj mi generała Hornera.

\* \* \*

– Jack, mówi Mike.

Znajomość majora i generała datowała się od niepamiętnych czasów, ale taka poufałość wcale nie była oznaką szacunku. Mike O’Neal nie wybaczył jeszcze generałowi, że dał mu zadanie, którego wykonanie z każdą chwilą wyglądało coraz bardziej beznadziejnie.

– Tak, majorze?

Jack Horner był wysokim, szczupłym mężczyzną o zimnych niebieskich oczach. Kazał przekaźnikowi włączyć hologram bitwy pod Rabun Gap i pokręcił głową z niezadowoleniem; zobaczył zwartą, nie kończącą się falę czerwieni.

– Mamy mały problem – powiedział Mike.

– Widzę.

– Nie chodzi mi o samych Posleenów. Na początku spróbowali kilku chytrych sztuczek, ale teraz atakują nas po staremu, a my ich po staremu powstrzymujemy. Mamy straty, ale głównie w systemach broni. Problem w tym, że mamy zapas mocy na jakieś trzy godziny.

– Co?

– Moim zdaniem to przez Gunny’ego Thompsona.

Chwilę trwało, zanim Jack przypomniał sobie, o kim mówi Mike. Gunny Thompson był, wraz z niedawno powołanym z powrotem do służby projektantem sieci, Michaeliem O’Nealem, i generałem Jackiem Hornerem, członkiem zespołu projektującego systemy uzbrojenia pancerzy wspomaganych.

– Dlaczego przez Gunny’ego Thompsona, skoro, jak słyszałem, ostatnio był na Barwhon?

– Cóż – westchnął Mike. – Chciał mieć promienniki, a najlepsze, co mogłem zrobić, to działko grawitacyjne, które strzela tak szybko, że wygląda jak promiennik. Problem oczywiście w tym, że w ten sposób pożera dzikie ilości energii.

– Uzywacie tak wielu karabinów? – Nawet w najbardziej zażartych starciach Posleeni wytrzymywali tylko około godziny rzezi, a potem się wycofywali.

– Nie mamy artylerii, żeby ich spowolnić, Jack. Usypujemy dosłownie wał trupów, a mimo to oni wciąż posuwają się do przodu i padają. To... to szaleństwo, nawet jak na Posleenów.

– Może...

– Może wiedzą, że mamy problemy z zasilaniem? – dokończył Mike. – Czyżbyś o czymś mi nie powiedział?

– Cóż, dostałem niedawno raport wywiadu, z którego wynika, że Posleeni być może, powtarzam: być może, są w stanie spenetrować sieć przekaźników.

– A więc... słuchają tej rozmowy? – spytał Mike. – To by wyjaśniało zasadzkę.

– Jaką zasadzkę?

– Kiedy wylądowaliśmy, Posleeni jakby na nas czekali i skupili ogień na promach transportowych. Właśnie wtedy nasze zapasy zasilania poszły z dymem.

– To kolejny dowód – odparł Jack, przeczesując dłońmi włosy. Po odmłodzeniu były czarne, ale teraz znów zaczynały bieleć na skroniach, choć fizycznie wciąż był około dwudziestki. Dowodzenie to istne piekło.

– A więc jeśli Posleeni mogą podsłuchiwać sieć przekaźników, co, do cholery, zrobimy? Nie mogę odłączyć swojego przekaźnika, on kieruje moim zasranym pancerzem!

– Pomyślę. Na razie powiedz mi, jak chcesz rozwiązać problem zasilania.

– Niedaleko stąd jest ukryty skład, taki, którego nie ma w sieci – powiedział Mike. – Jest tam amunicja i power packi, standardowa amunicja z własnym napędem.

– To z czasów, kiedy zakładałeś własne składy? – spytał Horner.

– Zgadza się. Teraz mam pytanie: czy jest dostępna jeszcze jakaś ciężka broń? Czy SheVa jest w zasięgu?

– Chcesz usłyszeć prawdę?

– Tak.

– Nie, jest poza zasięgiem i tak będzie jeszcze przez kilka godzin. Nic mi nie wiadomo o niczym innym. – Horner uśmiechnął się szeroko; to był pewny znak, że coś go rozwścieczyło. – Chętnie zapytałbym swój przekaźnik, dlaczego nasi wrogowie wiedzą o nas więcej niż my sami.

– Może rzeczywiście spenetrowali naszą sieć.

– Chyba tak. – Horner rozejrzał się po tymczasowej kwaterze głównej i nagle uświadomił sobie, że jego przekaźnik widzi i słyszy to samo co on.

– A więc kto przyjdzie nam z odsieczą? – spytał Mike. – Obiecałeś mi, zdaje się, że Dziesięć

Tysięcy natychmiast ruszy w drogę, a ja widzę, że oni ciągle są w Wirginii.

Horner uśmiechnął się zaciśniętymi ustami.

– W drodze są inne siły. Umocnienia zostały przebite na całej długości wschodniego wybrzeża, majorze. Musiałem wysłać Dziesięć Tysięcy do powstrzymania poważnego natarcia w Shenandoah. Wiem, że według ciebie twój batalion jest najważniejszy, ale ja tu mam ofensywę na sześć prawie ukończonych czołgów SheVa i dwa Podmieścia. W tym wypadku Dziesięć Tysięcy ma zająć pozycję między Posleenami a Podmieściami, majorze. Jest jednak światełko w tunelu: poinformowano mnie, że z floty Barwhon wydzielono siły rozpoznawcze. Nie wiem, jak duże ani jakie będą ich priorytety, ale być może dostaniemy od nich jakieś wsparcie.

– A więc kto do nas idzie, generale, oprócz bliżej nieokreślonych „sił zwiadowczych”?

– Widzi pan odczyty przekaźnika, majorze.

– Ma pan pod sobą jedną beznadziejną dywizję, która nie wzięłaby Balsam Gap nawet z łatwiejszej strony. A SheVa ma być naprawiana przez pięć dni. Może więc pan mi powie, kto tu będzie kawalerią, generale?!

– Przyjadą – wycedził przez zęby Horner. – Nie później niż w dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy SheVa zostanie naprawiona. A to będzie chyba jutro...

– Miło mi to słyszeć, generale, ale „chyba jutro” to o wiele za późno. Zrobimy tak. Za mniej więcej trzy godziny będę musiał oderwać się od przeciwnika i opuścić te pozycje.

– Nie może pan tego zrobić, majorze – warknął z furią Horner.

– Mogę i zrobię. Za trzy godziny pozostanie mi tylko rzucanie kamieniami. Zdarzyło mi się już rzucać w Posleenów kamieniami, ale to nie była główna metoda walki. Z tego, co widzą moi zwiadowcy, siły Posleenów wcale nie maleją. Jeśli uda nam się zająć skład, a to wielka niewiadoma, i jeśli panu uda się znaleźć dla nas jakieś wsparcie ogniowe, a to także wielka niewiadoma, będziemy w stanie odbić Gap. Z tymi zapasami, które mamy, będziemy w stanie utrzymać je przez następne, powiedzmy, dwanaście godzin i zabić w przybliżeniu sześć milionów Posleenów, zanim nasza skuteczność bojowa spadnie do zera i zostaniemy zmieceni. Co, jak sądzę, powinno wystarczyć nawet panu.

– Jeśli wam się nie uda zająć składu, bo jest tam pełno Posleenów, albo jeśli nie będziecie mogli odbić przełęczy, całe wschodnie wybrzeże upadnie.

– Aha. Więc lepiej będzie, jeśli znajdzie pan dla nas jakieś wsparcie, prawda, generale?

– Major O’Neal rozłączył się – poinformował przekaźnik generała.

Horner pokiwał głową, szeroko się uśmiechając. Podczas rozmowy w kwaterze głównej zrobiło się zupełnie cicho; teraz cisza trwała dalej, bo wszyscy dobrze wiedzieli, co oznacza ten wyraz twarzy.

– Pułkownik Nix – odezwał się generał.

– Tak jest, sir. – Pułkownik był drobnym, łysiejącym okularnikiem, który nie osiągnął jeszcze wieku dopuszczającego go do odmłodzenia. Jego mundur był trochę wymięty, a wszystkie kieszenie miał wypchane różnymi różnościami. Każdy, kto na niego spojrzał, uważał go za komputerowego mola. I miał rację, chociaż nie do końca. Pułkownik Nix nie był bowiem zwykłym molem, on był supermolem.

Jego oficjalny tytuł brzmiał „Specjalny Doradca DowArKon ds. Bezpieczeństwa Informacji”. To on ustalił, że dziesiąty korpus został zhackowany, i wpadł na pomysł, co zrobić, by to naprawić. Od tamtej pory Horner zawsze miał go w zasięgu ręki, zwłaszcza że jego komputerowe umiejętności kończyły się na napisaniu dokumentu. Ufał swojemu supermolowi i lubił go, a Nix ze swojej strony wiele razy albo odpierał ataki hackerów, albo wykrywał je, zanim stały się groźne.

- Niech mi pan powie, dlaczego pan uważa, że sieć przekaźników została naruszona – powiedział generał, uśmiechając się i nie odrywając wzroku od ściany.
- Jak już mówiłem, sir, były pewne oznaki, jeszcze z czasów walk jedenastej dywizji panczerzy wspomaganych w Nebrasce, że Posleeni albo są wszechwiedzący, albo czytają jej pocztę – odparł pułkownik. – Darhelowie gwarantują, że łączność przekaźnikowa jest nie do złamania, i z tego, co wiem, żadna ludzka grupa dotąd jej nie złamała. Ale gwarantowali też, że będziemy wspierani zaopatrzeniem. Udzielili nam wielu gwarancji, które okazały się nic niewarte. Nie mam żadnych konkretnych dowodów, sir. To właściwie tylko przeczucie, ale...
- Siły O’Neala najwyraźniej wpadły przy lądowaniu w zasadzkę. Posleeni namierzali konkretnie promy z zaopatrzeniem.
- To mógłby być dowód, sir – powiedział pułkownik i zmarszczył czoło, zerkając na urządzenie na nadgarstku generała.
- Zdaję sobie sprawę, pułkowniku – generał skrzywił się – że oni wiedzą, że my wiemy, iż oni wiedzą.
- Tak jest, sir.
- Ograniczenie emisji prawdopodobnie nic nie da, ale tak właśnie zrobimy. Proszę się tego pozbyć. – Podał pułkownikowi swój przekaźnik. – Proszę to schować w jakimś sejfie daleko stąd i podać mi telefon. Muszę zadzwonić w kilka miejsc.
- Co zrobimy w sprawie piechoty mobilnej, sir? – spytał Nix.
- Nie będziemy tego omawiać w obecności przekaźnika – powiedział Horner i uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami. – To pierwsza rzecz, jaką zrobimy dla piechoty.
- Tak jest, sir. A druga?
- Proszę mnie połączyć z SheVą.

\* \* \*

- Wstajemy, Pruitt, wstajemy.
- Pruitt był nowy, kiedy załoga obejmowała SheVę Dziewięć, ale szybko zauważył pewien defekt jej budowy. Chociaż kwatery załogi były niemal luksusowe w porównaniu z warunkami piechociarzy czy czołgistów, znajdowały się w połowie wysokości wieży. Aby zająć swoje stanowisko, trzeba było gnać trzydziestometrowym korytarzem, a potem zejść po dwóch drabinach. Zwykle nikomu to nie przeszkadzało, ale teraz, po dwóch dniach walki z posleeńskimi okrętami, które pojawiały się bez ostrzeżenia, była to niemal katastrofa.
- Ponadto Pruitt nie mógł spać w swoim fotelu. Z sobie tylko znanych powodów siły naziemne Stanów Zjednoczonych nie pomyślały o rozkładaniu foteli. Pruitt słyszał plotki, że niektórzy je wykręcali, ale nie miał na coś takiego ani czasu, ani chęci. Wpadł za to na lepszy pomysł.
- Odwiedził jeden ze sklepów „zaopatrzenia wojskowego”, które pojawiały się jak grzyby po deszczu dookoła każdej bazy, i kupił kilka rzeczy, które według niego mogły się przydać. Jednej z nich właśnie używał.
- Obrócił się w połowym hamaku na drugi bok i jęknął.
- Zostaw mnie.
- Szybko, Pruitt. – Indy szturchnęła go mocno w żebra. – Lądownicy na horyzoncie.
- Zareagował, jakby dźgnęła go poganiaczem bydła; wyskoczył ze śpiwora i dopiero w połowie drabinki dzielącej go od centrum dowodzenia uświadomił sobie, że w ogóle wstał. I że ktoś się z niego śmieje.
- Żartowałam, śpiochu. Ale musimy jechać.
- Co znowu? – Pruitt spojrział na zegarek i potrząsnął głową. – Sześć godzin? Naprawy już

skończone?

- Nie wszystkie, ale to nie będzie miało znaczenia, jeśli się stąd nie ruszymy.
- Dlaczego?
- Powiedzmy po prostu, że służba w piechocie mobilnej to syf.

\* \* \*

- W porządku, generał Keeton mnie też obudził.

Major Mitchell wyglądał tak, jakby w ogóle nie spał. Ale po dwóch dniach ciągłych działań bojowych nie było w tym niczego dziwnego.

Spotkanie mające na celu przedyskutowanie planu kontrataku SheVy odbywało się w centrum dowodzenia; było to jedyne odpowiednio duże miejsce, ponadto były tu ekrany do rzutników i dość krzeseł i podwyższeń, żeby wszyscy mieli gdzie usiąść.

Oprócz załogi SheVy byli major Chan, jej najstarszy podoficer i pan Kilzer. Wszyscy poza tym ostatnim, który miotał się jak fretka na cukrowym hajcu, wyglądali, jakby jeszcze spali.

Mitchell ziewnął i wskazał wyświetloną mapę.

– Piechota mobilna została zaatakowana przy lądowaniu i kończy się jej zasilanie. Za dwie godziny będą musieli wycofać się z Gap i zdobyć uzupełnienia. Potem będą musieli zdobyć Gap na nowo, a żeby to zrobić, potrzebują atomówek. Zgadnijcie, kto ma jedyne atomówki w promieniu ośmiuset kilometrów?

Reeves podniósł rękę.

- Panie majorze, nawet gdyby między nami a nimi nie było Posleenów...
- Jest ich w przybliżeniu jeden koma dwa miliona.

Spokojny zazwyczaj kierowca przełknął ślinę i pokiwał głową.

– Tak, sir, ale nawet gdyby ich nie było, nie dalibyśmy rady zajechać aż tak daleko w... Ile mamy czasu?

- Musimy być we Franklin... – major spojrzął na zegarek – za sześć i pół godziny.

– To niewykonalne – warknął Pruitt. – Jechaliśmy tutaj z Franklin prawie cały dzień. Sir – dodał po chwili.

- Mimo to... – Mitchell uśmiechnął się lekko do zgromadzonych w centrum dowodzenia.

– W porządku, sir – powiedziała Indy. – Trudne rzeczy robimy od ręki. Dzięki panu Kilzerowi – kiwnęła głową projektantowi, który odpowiedział jej tym samym – i brygadzie jesteście już niemal naprawieni i znacząco przebrojeni. Ale potrzebujemy czasu. Musimy przejechać przez Rocky Knob Gap albo Betty – niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli to będzie Betty – żeby dotrzeć do miejsca bitwy. A raczej nie jesteście w stanie śmigać po tych wzgórzach.

– Jak rozumiem, macie pewne doświadczenie w zjeżdżaniu z nich – powiedział projektant, uśmiechając się wesoło.

– Bez żartów – prychnął Pruitt. – Pana tam nie było, inaczej by się pan nie śmiał. Poza tym, sir, jest jeszcze drobna przeszkoda w postaci jednego koma dwa miliona Posleenów.

– Wciąż mamy zgodę na użycie broni jądrowej – powiedział poważnie major Mitchell. – I dostaliśmy dodatkowe pociski.

– Dobrze, możemy ostrzelać zgrupowania, które nie są w kontakcie z siłami ludzi, sir – powiedział rozsądnie Pruitt – ale co z tymi, które są? – Wskazał miejsce na mapie, gdzie niebieskie i czerwone linie spotykały się w połowie drogi do Rocky Knob Gap. – Tych Posleenów nie możemy ostrzelać.

- Nie, ale możemy ich zaatakować – rzucił Kilzer.
- Jasne, świetny pomysł!

– Ja mówię poważnie. Po to macie ulepszenia. Przedni pancierz jest grubszy niż M-1A4; praktycznie jesteście odporni na ogień działek plazmowych, wytrzymacie też większość trafień hiperszybkimi raketami...

– „Praktycznie”? – przerwała mu Indy. – „Większość”?

– Do tego dochodzi spryskiwacz – ciągnął projektant. – To powinno wam dać co najmniej o dziesięć procent większą szansę przeżycia...

– Co?! – Pruitt zrobił wielkie oczy.

– Och, nie zachowujcie się jak dzieci! – powiedział Paul. – To najlepiej opancerzona rzecz na ziemi; pora, byście to sobie wreszcie uświadomili!

Mitchell złapał Pruitta za kołnierz, zanim zdążył zerwać się z fotela, ale cywil najwyraźniej nie miał pojęcia, co takiego powiedział.

– Panie Kilzer, podczas tego odwrotu zaliczyliśmy więcej zestrzeleń niż jakakolwiek SheVa w całej swojej karierze. A więc jeśli ktoś z nas „zachowuje się jak dziecko”, prawdopodobnie ma powody.

– Nie mówię, że trzeba w nich wjechać, plując ogniem – sprzeciwił się Paul – ale...

– Nie – warknęła Indy.

– Dobrze, dobrze, ale damy wsparcie dywizji, która już nawiązała kontakt z wrogiem, zneutralizujemy wrogie siły przechodzące przez Rocky Knob Gap, a potem ruszymy skokami razem z dywizją. Większość brygady naprawczej, która właśnie się formuje w jednostki naziemne, pojedzie za wami.

– A Rocky Knob?

– Kiedy spaliście, posiedziałem trochę nad mapami – powiedział cywil, wywołując trójwymiarowy plan okolicznych gór. – Nie możecie przejechać przez Rocky Knob; ta droga jest nam potrzebna do przerzucania wsparcia i sił bojowych...

– Mówimy na to „chrupki” – wtrącił Pruitt.

– Dobra, droga jest potrzebna dla chrupków. Musicie znów przejechać przez Betty Gap.

– Nie – powiedział Reeves, wstając. – Prędzej zdezerteruję!

– To nie będzie wyglądało tak samo, jak ostatnim razem – powiedział Paul. – Mam kilka pomysłów, które dopracuję po drodze.

– Ja tam nie jadę – oznajmił Pruitt. – Nie będę znów się ślizgał w SheVie.

– Coś wymyślę – powiedział ostro Paul. – Umiem rozwiązywać problemy. Ja się tym zajmę, a wy będziecie zestrzeliwać posleeniskie okręty. A może wy rozwiążecie problemy i wtedy się zamienimy; całkiem nieźle daję sobie radę z celownikiem. Rocky Knob jest dla nas zamknięta.

– Czy ktoś ma jakiś inny pomysł, jak dojechać do Franklin na czas? – Mitchell popatrzył na ponure twarze zgromadzonych, a potem pokręcił głową. – Połączę się z generałem Keetonem, żebyśmy mogli się zgrać z chrupkami na drodze. Czy są jakieś uwagi albo pytania?

– Tylko jedna rzecz – powiedział Pruitt. – Pan Kilzer ma chyba problemy z zaimkami. Cały czas powtarza „my”.

– No bo ja jadę z wami – powiedział Paul. – Wszystkie te systemy są całkowicie eksperymentalne. Jeśli coś nawali, będę na miejscu, żeby to naprawić.

– O cholera.

Rabun Gap, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

12:00 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
poniedziałek, 28 września 2009

Tommy podniósł wzrok znad odczytów stanu amunicji, kiedy major przeskoczył nad bocznymi umocnieniami stanowiska bojowego Kosiarzy.

Znajdowało się ono około stu metrów za główną linią obrony, niedaleko okopu dowództwa batalionu. Podobnie jak reszta żołnierzy, Kosiarze wykopali sześciometrowej szerokości rów, nieco płytszy z tyłu.

Jeśli tylko dysponowali amunicją, mogli atakować różnego rodzaju ciężką bronią; mieli 75-milimetrowe moździerze do ognia pośredniego i ciężkie działka flesztkowe do walki z bliska, nie mieli tylko systemów przeciwładowników.

Niestety w ciągu ostatnich dziewięciu godzin wystrzelali całą amunicję, jaką mieli, a potem zebrali większość uzupełnień i również je zużyli. Dwa razy podchodzili pod główną linię obrony, żeby wesprzeć ją flesztkami, atakowali ładowniki i odpalali moździerze, aż wreszcie zostały im tylko puste skrzynie po amunicji.

Tommy miał jeszcze dwadzieścia kilka magazynków, ale nie pasowały one do broni Kosiarzy, a poza tym dwadzieścia kilka magazynków i tak nie mogło powstrzymać Posleenów. Nie była to pocieszająca myśl, zwłaszcza że zapasy amunicji całego batalionu w błyskawicznym tempie topniały.

– Poruczniku – powiedział Mike, zsuwając się w błoto na dnie okopu. Lekki deszcz przestał już padać, ale zdążył wypełnić wszystkie okopy kilkoma centymetrami śliskiego pomarańczowego błota, słynnej „georgijskiej czerwonej gliny”. Batalion tracił energię między innymi na to, by pancerze nie ugrzęzły w błocie.

- Panie majorze – odparł Tommy.
- Oglądał pan odczyty batalionu? – spytał dowódca.
- Aha.
- Mam pomysł na kontynuowanie tej misji.
- Jaki to pomysł, sir?
- W pana głosie słychać złość, poruczniku.

Chociaż z powodu pancerza nie było tego widać, Tommy przysięgłby, że O’Neal jest rozbawiony.

- Cóż, sir, lubię zabijać Posleenów, ale nienawidzę dawać im się zabić tylko dlatego, że skończyła mi się amunicja. Tego rodzaju sytuacje zawsze mnie irytują.
- W takim razie mam dla pana dobrą wiadomość. Pan i pana ludzie uratujecie nam wszystkim tyłki.
- To świetnie, sir. Czy to się łączy z zabijaniem Posleenów?
- Możliwe, ale głównie z dźwiganiem ciężarów. Pana oddział używał standardowej amunicji, więc macie najwięcej energii z całego batalionu. Chcę was wysłać po amunicję. I po zasilanie.

Tommy rozłożył ręce.

- Ten, kto nosi amunicję, także służy. Przysyłają nam uzupełnienia?
- Nie, ale przypadkowo niedaleko stąd znajduje się dość duży magazyn z wyposażeniem pancerzy wspomaganych.
- Aha.

– To nieoficjalny magazyn, a więc do chwili, kiedy zaczęliśmy o tym rozmawiać, Posleeni nie powinni o nim wiedzieć.

Tommy skrzywił się, nie mogąc z powodu żelu pokręcić głową.

– Nieoficjalny?

– Cóż, wolałbym, żeby nikt się o nim nie dowiedział, ale jeśli mam do wyboru stanąć przed sądem za stworzenie magazynu na rodzinnej farmie albo stracić cały batalion, nie będę się długo zastanawiał.

– Aha.

– To nie koniec dobrych wiadomości. Pana dziewczyna jest na farmie wraz z grupą cywilów i wojskowych. Może ją pan zaprząć do noszenia amunicji.

Tommy zacisnął zęby i policzył do dziesięciu.

– Mam przyprowadzić tutaj Wendy?! Co ona, do cholery, robi w tym gównie?

– To samo, co moja córka. Próbuje przeżyć – powiedział O’Neal, zdradzając tonem głosu rozbawienie.

– Pana córka?

– Najwyraźniej przeżyła atomówkę, która zabiła mojego ojca. – Mike wskazał na północny zachód. – Są jakieś dziesięć kilometrów w tamtą stronę. Tam się wychowałem.

– O cholera, sir, ja...

– Niech się pan o to nie martwi. – Mike machnął ręką. – Powiedzmy po prostu, że obaj mamy dobry powód, żeby utrzymać tę pozycję. I przeżyć. – Przerwał na chwilę, a potem bezradnie rozłożył ręce. – Ale... jeśli nawet uda nam się odbić przełęcz po tym, jak się wycofamy, prawdopodobnie już stąd nie wyjdziemy. Cholera, nawet nas pewnie nie wyniosą...

– Wysyłają do nas SheVę, sir.

– Tak. Jedna SheVa i milion Posleenów. Przepraszam bardzo, ale, bez urazy, nie sędzę, żeby nawet Dziesięć Tysięcy dało radę, a co dopiero SheVa bez wsparcia. Chodzi mi o to... że kiedy zobaczy pan moją córkę... niech jej pan po prostu powie, że ją kocham. Dobrze?

– Dobrze, sir. – Tommy chciał coś powiedzieć, ale powstrzymała go uniesiona ręka majora.

– Podałem pana przekąźnikowi wszystkie informacje, jakich potrzebuje, na temat magazynu i punktu zbornego – ciągnął O’Neal. – Mamy bardzo mało czasu, więc niech pan natychmiast rusza, jeszcze przed resztą batalionu. Powinien pan trochę odpocząć, kiedy spotka się pan już z tamtą grupą. I swoją panią. – O’Neal wykonał bliżej nieokreślony gest, a potem poklepał porucznika po kolanie pancerza. – Niech pan korzysta, ile wlezie, Tommy. Bóg rzadko daje drugą szansę.

Z tymi słowami wytoczył się z okopu i poczołgał w stronę pozycji batalionu.

\* \* \*

– Szefie, mamy mały problem.

Starszy sierżant sztabowy Ernie Pappas wciąż wolał określenie „Gunny”. Przeszedł na emeryturę w stopniu sierżanta na długo przedtem, zanim obcy stali się czymś więcej niż tylko wytworem science fiction. Ale jako jeden z pierwszych odmłodzonych, od czasu pierwszych lądowań albo odbywał szkolenia, albo walczył na froncie. I umiał rozpoznać spieprzoną taktycznie sytuację.

– Jasne, że mamy – odparł O’Neal. – Będzie ciężko jak cholera oderwać się od nich.

Batalion stawiał ciągłą zaporę ogniową, ale Posleeni bez końca nacierali. Wprawdzie zwolnili tempo ataku i wszystkie siły na północy wycofały się, ale wciąż pozostawali w kontakcie bojowym. Po oderwaniu się od wroga batalion miał zasadniczo dwie możliwości. Mógł wycofać się szybko, nad ziemią, albo powoli, okopując się. Ale w żadnym z tych przypadków nie mógł prowadzić ognia; wskaźniki poziomu energii niektórych pancerzy, mimo uzupełnień, znów wchodziły na czerwone



pola.

- Pokąsają nas, kiedy się wycofamy – ciągnął.
  - Nie tylko nas pokąsają – dodał Gunny. – Dostaniemy ostry łomot.
  - A jeśli ruszą w pościg? – spytał Stewart.
  - Wejdziemy na Black Rock Mountain – powiedział O’Neal. – Ciężko im będzie nas ścigać.
  - Oni to wszystko słyszą, wie pan o tym – wtrącił Duncan.
  - Tak, ale nie sądzę, żeby mogli tak szybko koordynować ataki. W przeciwnym razie już by nam siedzieli na karkach. Ile razy ostro na nas uderzali? Pięć, sześć? Gdyby ten, kto kieruje tym cyrkiem, mógł nam teraz przyłożyć, już by to zrobił.
  - A więc powinniśmy odskoczyć, dopóki się tak tłoczą? – zauważył Stewart.
  - Tyle tylko, że dostaniemy niezły łomot – powiedział Gunny Pappas.
  - Ciągłe pan to powtarza, Gunny. Wiem o tym.
  - Łomot będzie mniejszy, jeśli ktoś zostanie, żeby ich przytrzymać.
- O’Neal odwrócił się do starego sierżanta.

– Chyba żartujesz.

– Sir, mamy w perspektywie prawie pięćdziesiąt procent strat, jeśli po prostu wyskoczmy z okopów i pobiegniemy. Nie mamy granatów, nie mamy moździerzy, nie mamy czym się odgryzać. W tej chwili na linii jest pięciu do sześciu Wszechwładców. Jeśli nie będą czymś zajęci, zmiotą nas nawet pod hologramami.

– Wiem, Gunny, ale to nie znaczy, że poświęcę pionki, żeby ratować króla – powiedział cicho O’Neal. – Albo gońca. Idziemy wszyscy, najszybciej jak można. Musimy tylko dotrzeć do skraju przełęczy. Będziemy na widoku piętnaście, maksimum dwadzieścia sekund.

– A przez ten czas Posleeni będą do nas grzali z tyłu – mruknął Duncan. – A tam jesteśmy najslabiej opancerzeni. Oprócz pana.

– Dzięki – odparł zimno Mike.

– Mamy kilku żołnierzy, którzy i tak są... niesprawni – powiedział ponuro Pappas. – Nagel i Towbridge stracili nogi. Niech mnie pan zostawi z grupą takich, co mają najmniej energii, są najciężej ranni, chorzy i leniwi. Osłonimy was, kiedy będziecie spieprzać.

– Możemy wycofywać się, kryjąc ogniem – powiedział Stewart. – Tyle że nie jestem idiotą i wiem, że Posleeni nas wtedy zadepczą. Chryste, sierżancie!

Mike wbił wzrok w ziemię, a pozostali patrzyli na niego i czekali. W końcu odezwał się.

– Piętnastu. To wystarczy, żeby przydusić ich ogień, kiedy będziemy się wycofywać. Zrobię listę. – Przerwał i przeszedł na częstotliwość prywatną. – Sierżancie, już dawno wybaczyłem panu Waszyngton.

– Wiem, szefie – odparł szorstko sierżant – że chciałby pan zostać, ale pan nie może. Batalion po prostu... zniknie, jeśli pan oberwie. Potrzebuje pan Duncana i Stewarta, żeby się zajmowali szczegółami. Ja tu wystarczająco długo wytrzymam.

\* \* \*

Mosovich poszedł przodem w górę zbocza. Na szczycie, mimo ciągle padającego deszczu, wyraźnie widać było śliską ścieżkę prowadzącą do jaskini. Wilgoć i nachylenie terenu nie były jedynymi przeszkodami, z którymi musieli się zmagać; całe wzgórze były zasłane drzewami zwalonymi w wyniku wielokrotnych wielokilotonowych wybuchów.

Poruszali się ostrożnie między leżącymi na ziemi drzewami, omijając niebezpieczne osuwiska, aż doszli pod grzbiet kalenicy. Tutaj Mosovich zatrzymał całą grupę i sam podczołgał się na szczyt.

Widział rozciągający się przed nim teren zaledwie kilka tygodni wcześniej, a mimo to teraz nie

mógł uwierzyć, że to ta sama dolina.

Gap była wąską, płytką szczeliną, prowadzącą z północy na południe przez góry Tennessee. Jej zachodni kraniec był z tego miejsca ledwie widoczny, słysząc było za to bezustanny bitewny jazgot. Mosovich nie wiedział, jak w tej chwili wygląda sytuacja, ale nie miał żadnych wątpliwości, że piechota mobilna ma pełne ręce roboty.

Na północ od Gap dolina rozszerzała się w kierunku wschodu i zachodu. To właśnie stąd pochodziła większa część żywności dla korpusu broniącego tego odcinka umocnień. Kiedy Jake i Mueller przechodzili tamtędy zaledwie tydzień wcześniej, dolina, płowożółta od kukurydzy, owsa i dojrziałych dyń, pełna była przemieszczających się oddziałów. Teraz było to wypalone pustkowie. Jedynym świadectwem, że kiedyś byli tu jacyś obrońcy, była sterta stopionego metalu; Jake podejrzewał, że była to bateria dział. Sama ziemia była czarna i szara, miejscami lśniąca, jakby zamieniła się w szkło. Porośnięte niegdyś drzewami zbocza doliny teraz były pokryte zwalonymi bezlistnymi kłodami, nieodparcie przypominającymi rozrzucone zapalki.

Farma O'Nealów leżała w małej niecce na północ od głównej doliny, jakieś sześćdziesiąt metrów wyżej. Miała kształt rombu; od wejścia na południowym zachodzie prowadziła w górę żlebu wyłobionego przez strumień O'Neal Creek ścieżka, która potem kilkakrotnie zakręcała. Zważywszy na to, że niekiedy zasiedlono na początku dziewiętnastego wieku, nadmierna ostrożność O'Nealów chyba była dziedziczna.

Niecka była tak samo zniszczona, jak główna dolina. Jej dalszy brzeg był całkowicie spustoszony, wszystkie drzewa zwalone, a środek zdarty do gołej skały; lądownik musiał bardzo nisko lecieć. Dom poszedł w drzazgi, a betonowy, umocniony workami z piachem bunkier, ukryty w żywopłocie, zamienił się w ruinę. To właśnie tam, według Cally, po raz ostatni widziano O'Neala.

Bliższy brzeg niecki nie ucierpiał aż tak bardzo, ale mimo to zejście na dół było niezwykle trudne. Biegająca tędy ścieżka była prawie niewidoczna spod zwalonych pni i głazów.

Mueller szedł przodem, odsuwając mniejsze drzewa i kamienie. Mimo zachowywania ostrożności dwa razy pośliznął się na mokrym zboczu, raz omal nie złamał nogi.

– Przynajmniej Posleenom niełatwo było tu wejść – powiedział Mosovich, pomagając o wiele potężniejszemu podoficerowi podnieść się po upadku.

– Co oznacza, że będziemy mogli wykopać ciało – odparł cicho Mueller. – Nawet jeśli ocalał, a raczej na to nie wygląda, tej nocy na pewno nie przeżył.

– Zobaczymy. – Mosovich przeczołgał się nad zwalonym dębem, który musiał tu rosnąć już od czasu wojny secesyjnej, a potem zsunął się w dół po stosunkowo otwartym kawałku zbocza. Przez ostatnie kilka lat biegał w tę i z powrotem po tych górach, ale teraz pokonanie tej plątaniny drzew wcale nie było łatwe.

Wreszcie wylądował na wąskim skrawku ziemi za domem, gdzie leżały stosy śmieci, w tym porzucane ubrania. Powinni je zebrać dla uchodźców, ale jego interesował teraz tylko bunkier.

– Sierzancie Mosovich – odezwał się przekaźnik. – Informuję, że w tej strefie nieznacznie wzrasta promieniowanie.

– Jest źle?

– Raczej nie. Nie osiągnie poziomu groźnego dla zdrowia jeszcze przez sześć do ośmiu godzin. A izotopy, które wykrywam, należą do tych, które szybko się rozpadają; promieniowanie będzie maleć szybciej niż pan je absorbuje.

– Wszystko jedno, i tak lepiej tu się za długo nie kręcić – powiedział Mosovich, machając ręką na pozostałych.

Poruszał się bardzo ostrożnie. Mimo że okolica wyglądała na bezpieczną, mógł się tutaj błąkać

lub nawet czaić w zasadzce jakiś Posleen. Większość posleenińskich normalsów była przywiązana do swoich Wszechwładców, kiedy więc ich pan ginął, błakali się trochę jak dzikie zwierzęta, dopóki nie zebrał ich następny Wszechwładca. Tacy „dzicy” normalsi stawali się coraz większym problemem nie tylko w pogranicznych rejonach, ale także w interiorze. Posleeni rozmnażali się w niesłychanym tempie; jeden dziki Posleen był w stanie spłodzić wiele młodych zaledwie w kilka lat, a każde z nich osiągało dojrzałość już w osiemnaście miesięcy. Stąd też w rejonach, gdzie nie prowadzono odstrzału, Posleeni zajmowali w łańcuchu pokarmowym miejsce głównych drapieżników.

Tutaj jednak okolica wyglądała na czystą. Mosovich pomknął za zrujnowany róg domu, trzymając przed sobą gotowy do strzału karabin, a reszta grupy ruszyła za nim.

Teraz widział wyraźnie bunkier i dziurę w rumowisku, przypominającą zarysem człowieka.

– Cally? – zawołał, podchodząc do bunkra i opuszczając karabin.

Bunkier miał ściany ze zbrojonego betonu, a strop z worków z piachem i stali. Był zaprojektowany tak, by wytrzymać ciężki pośredni ostrzał. Wybuch atomówki zerwał jednak worki i zburzył jedną ze ścian, zasypując wnętrze gruzem i powyginanymi dźwigarami.

Mimo to Papa O’Neal mógł przeżyć. Fala ciśnieniowa wybuchu jądrowego wyrządzała o wiele większe szkody przedmiotom, które miały „wnętrze” i „zewnątrze”, niż raczej jednorodnym ludzkim ciałom. Jake przypomniał sobie, jak około tysiąca lat temu chodził na wykłady z broni jądrowej, na których o tym mówiono. W warunkach, w których domy rozpadały się na kawałki, ludziom bez problemu udawało się przeżyć. Mogła ich zabić temperatura i promieniowanie, ale nie fala nadciśnienia, chyba że byli w samym epicentrum albo podmuch gdzieś ich rzucił.

Mimo że Papa O’Neal był wewnątrz bunkra, kiedy ten się zawalił, teraz go tam nie było. Najwyraźniej ktoś wykopał ciało z rumowiska.

– On tu był – powiedziała cicho Cally.

– Aha. – Jake przykucnął i zajrzał do bunkra. Tylna ściana również się zawaliła, ale widać tam było niewyraźny zarys przejścia. – To tamtędy wyszłaś?

– Tak. – Cally nachyliła się, żeby zajrzeć w głąb gruzowiska. – On tam był, sierzancie!

– Ale teraz go nie ma, Cally – odparł łagodnie Jake, prostując się. – Rozejrzyjmy się szybko, czy nie ma tu czegoś, co warto byłoby zabrać, a potem wracajmy do składu, zanim wróci ten, kto go zabrał.

– Posleeni? – spytał Mueller, patrząc na ziemię w poszukiwaniu śladów pazurów.

– Prawdopodobnie – powiedział Mosovich po chwili milczenia. – Nie widzę żadnych śladów, ale przypuszczalnie to kucyki dorwały ciało.

– Kurwa – zakląła Cally. – Kurwa, kurwa, kurwa jego pierdolona mać! Tak bardzo nie chciał, żeby go zżarli. Tak bardzo nie chciał.

– Przykro mi – powiedziała Wendy, obejmując ją. – Tak mi przykro.

– Cholera. – Cally wytarła łzy zmieszane z deszczem. – Shari się nie ucieszy.

Wendy parsknęła i przytuliła ją mocniej.

– Na pewno. Nikogo z nas to nie ucieszyło.

Tymczasem Elgars chodziła w tę i z powrotem dookoła zawalonego bunkra, kręcąc głową.

– Widzę tylko ślady Cally, żadnych innych – powiedziała niskim i śpiewnym głosem.

Mosovich spojrział na nią z ukosa, a Wendy tylko wzruszyła ramionami.

– Annie, znowu coś się z tobą dzieje.

Kapitan Sześciuset co jakiś czas zdawała się przejawiać osobowość innych ludzi. Działo się tak najczęściej, kiedy korzystała z nowo nabytych kwalifikacji, jak na przykład teraz z umiejętności

tropienia.

Elgars spojrzała na niebo i pociągnęła nosem.

– Tak. – Znów wciągnęła głęboko powietrze, a potem popatrzyła w stronę drogi. – Kryć się. Ktoś idzie.

Kiedy Mosovich wycofał się w cień zrujnowanego domu, odezwał się jego przekaźnik.

– Sierzancie, wiadomość od porucznika Thomasa Sundaya z piechoty mobilnej sił uderzeniowych Floty.

\* \* \*

– No, mamy przełęcz – mruknął Tulo'stenaloor. Wyszedł z umocnień wokół Clarkesville i patrzył na strumienie oolt'ondarów wspinających się w górę przełęcz. – Kosztowało nas to dwieście tysięcy oolt'os i wielu kessentaiów. Ziemia jest zryta, trzeba będzie to naprawić, zanim ruszymy naprzód. Ale mamy przełęcz.

– Oni wrócą – powiedział Goloswin. – Znów zamierzają wypełnić ją ogniem.

Kessentai był najdziwniejszym osobnikiem wśród Posleenów; był to sławny wojownik, który zrezygnował z walki i zajął się swoim hobby, czyli majsterkowaniem. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż zdobycie jakiegoś sprzętu – ludzkiego, Indowy, posleńskiego czy Aldenata – a potem rozebranie go, żeby sprawdzić, jak działa.

Tulo'stenaloor wytropił go na dalekiej planecie i zwabił na Ziemię, obiecując, że będzie miał do czynienia z zagadkami, od których postrada zmysły. Jak się jednak okazało, rozwiązanie każdej zagadki, od rozpracowania ludzkich systemów czujników po włamanie do ultrabezpiecznej sieci przekaźników, było dla niego pisklącą igraszką.

Mimo to wciąż dobrze się bawił, a ponadto obiecano mu ogromne bogactwa; czego mógłby więcej chcieć?

– Tak, ale będą mieli z tym kłopoty – powiedział Tulo'stenaloor.

– Będziesz ich ścigał? – spytał ostrożnie technik. Dobrze zdawał sobie sprawę, że nie do końca rozumie estanaara. Większość posleńskich oolt'ondaiów puściłaby się w pogoń, którą zakończyłaby dopiero śmierć wszystkich ludzi. Tymczasem Tulo'stenaloor, tak samo jak Majsterkowicz, zastosował nową metodę działania. Zbierał najtęższe umysły, jakie miał, a potem rozbijał ludzi w thresh.

– Nie. Trasa, którą wybrali, jest bardzo trudna; pościg z oolt'os byłby prawie niemożliwy, dlatego będziemy musieli ich puścić. Jakie mamy wieści o ich próbach zdobycia... wsparcia ogniowego?

Był to ludzki termin, który estanaar chętnie sobie przyswoił.

– Ich generał Horner nie używa już swojego przekaźnika, a sieć przekaźników zaczyna przeciwdziałać mojej infiltracji. Ale według ostatniego przekazu, ich jedyną nadzieją jest działo SheVa, które nazywają Bun-Bun. Obecnie jest naprawiane i modernizowane niedaleko Sylfa.

– W takim razie trzeba coś zrobić z tym piekielnym ustrojstwem – westchnął wódz. Nacisnął przycisk na panelu tenara i zaczął czekać, aż ten wyłapie Orostana spośród masy innych kessentaiów.

– Orostanie?

\* \* \*

Starszy oolt'ondai patrzył z obrzydzeniem na miasto Franklin i rozciągające się na zachodzie jezioro. Przypomniawszy sobie pierwszą poważną porażkę, kiedy ponad sto tysięcy Posleenów zostało uwięzionych w walącym się Podmieściu. Teraz spychano ich z powrotem w stronę miasta, które wcale nie wygląda lepiej niż podczas marszu naprzód – niewiele łupów, bardzo mało ziemi, która nie byłaby zryta – i nie jest warte tego, by za nie walczyć i ginąć.

– Estanaarze? – odparł. Związał swój los z Tulo'stenaloorem już w czasie Wielkiego Zgromadzenia, kiedy to większość oolt'ondaiów uznała go za szaleńca, gdyż Tulo'stenaloor poniósł dotkliwą klęskę na Aradanie 5, a jego Nową Ścieżkę nazwano wielką herezją. Orostan, który zbierał wszystkie informacje o ludziach, rozumiał, że masowa szarża i próba zgniecenia wroga przewagą liczebną jest szybką drogą do samobójstwa i że Tulo'stenaloor ma rację, próbując wykorzystywać przeciwko ludziom ich własne metody walki. I nawet to mu się częściowo udawało, a udałoby się jeszcze lepiej, gdyby te przeklęte pancerze nie zajęły przełęczy, a obsrana przez demony SheVa nie walczyła tak zaciekle podczas odwrotu. Wszyscy wyszkoleni piloci tenarali i oolt'pos zostali zabici, a w natarciu stracono większość elitarnych oolt'ondarów. Nie pozostało zatem nic innego, jak wrócić do starej metody „szarża i śmierć”.

Nie po raz pierwszy, ale pierwszy raz tak jasno i wyraźnie, Orostan poczuł przygnębienie. Co za marnotrawstwo, co za niewiarygodne marnotrawstwo. Świetni kessentaiowie, młodzi Posleeni, których on sam wyszkolił, teraz nadawali się tylko na thresh do rozdzielenia między horde.

– Pancerze przygotowują się do opuszczenia Gap – powiedział wódz. – Niestety mają bardzo dobry plan: zamierzają pozostawić za sobą tylną straż.

– To do nich niepodobne – powiedział Orostan. Nie walczył jeszcze z jednostkami pancerzy, ale bardzo dużo o nich wiedział. Ludzie rzadko poświęcali choćby jeden pancerz, a co dopiero cały oddział.

– Zgoda, ale oni zamierzają wrócić. Czekają, aż działo SheVa zbliży się do Franklin, skąd będzie mogło sięgnąć aż do Gap. Jeśli tam dojedzie, będzie po wszystkim. Równie dobrze będziemy mogli rzucić Buławę.

– Rozumiem – odparł Orostan. – Dostaję raporty z frontu. SheVa została znacząco ulepszona. Nie mogliśmy jej zatrzymać, kiedy odjeżdżała; nie jestem pewien, czy damy radę ją zatrzymać, kiedy będzie wracała.

– Ja mam nieco więcej danych – powiedział Tulo'stenaloor. – Została opancerzona i dodano jej ciężkie uzbrojenie. Ale jest opancerzona tylko z przodu.

– A z boków nie? – prychnął Orostan.

– Z boków tylko przeciwko ogniewi plazmy, i to tylko w konkretnych okolicznościach. Jeśli... urządzicie na nią zasadzkę... – Wódz użył ludzkiego słowa, które nie miało odpowiednika w języku Posleenów.

– Zrobię, co będę mógł, estanaarze – odparł oolt'ondai. – Zrobię, co będę mógł.

Spojrzał na północny wschód i w tej samej chwili zobaczył pierwszą kulę ognia wprost nad wojskami, które szykowały się, aby ruszyć drogą na Rocky Knob Gap.

Zamknął oczy i jego źrenice i wewnętrzne filtry automatycznie ściemniły obraz.

– Cóż – mruknął, kładąc ze złością grzebień na karku. – Teraz wiemy, którądy przyjadą.

*Twoje zdrowie, Kudłaty, co to siedzisz w Sudanie.  
Świetny z ciebie wojownik, chociaż ciemny poganin.  
Damy ci certyfikat, jeśli podpis byś chciał  
Poigramy wnet z tobą, kiedy chęć będziesz miał.*

Rudyard Kipling, *Kudłaty*  
(Sudańskie Siły Ekspedycyjne)

Niedaleko Persimon, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

13:24 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
poniedziałek, 28 września 2009

Cholosta'an tęsknił za swoim gniazdem.

To tam zaczynał życie każdy Posleen; wrzucony do jednej zagrody z innymi pobratymcami, bez przerwy musiał walczyć o przeżycie. Kiedy było mało jedzenia, gniazdo zwracało się przeciwko swoim najsłabszym członkom, a potem zostawały już tylko porozrzucane kości.

W gniazdach kessentaiowie nie różnili się od oolt'os. Nie byli więksi, silniejsi ani mądrzejsi, byli takimi samymi młodymi zwierzętami walczącymi o przetrwanie. A potem nadchodziła Przemiana.

Dla oolt'os nie było to nic wielkiego. Zaczynali nabywać pewnych umiejętności, rozwijając podstawową zdolność komunikacji, ale ogólnie nadal pozostawali tym samym: dużymi, silnymi zwierzętami.

Z kessentaiami było inaczej. W ich umysłach nagle rozbłyskiwały nowe myśli, zupełnie nowy sposób myślenia. Pojawiały się umiejętności, a zaraz potem zrozumienie stojącej za nimi teorii. Potrafili nie tylko używać podstawowego języka, lecz bogatej posleeńskiej mowy. Nieobca im była filozofia, taktyka, inżynieria i umiejętność międzygwiazdnej nawigacji, chociaż wiele tych stworzeń nigdy nie widziało gwiazdy.

Oolt'os walczyli tylko o przeżycie, ale biedni kessentaiowie miewali chwile egzystencjalnej zadumy w samym środku zażartej walki o przetrwanie.

Dopiero wtedy, kiedy wyrastały im grzebienie, zaczynali nabierać masy i zdradzać cechy, które mówiły oolt'os, że są ich panami, kessentaiowie mogli czuć się bezpiecznie.

Ale wówczas wyciągano ich z zagród, dawano im ich pierwszy oolt i wysyłano na śmierć.

W takich właśnie chwilach Cholosta'an tęsknił za zagrodami.

To była jego trzecia klęska. Po pierwszych dwóch przywłókł się do swojego osiedla z resztkami oolt'os i bez żadnych zapasów. Tym razem wiedział, że zostanie ogłoszony kenstainem.

Wszechwładcy dzielili się na dwie grupy: kessentaiów i kenstainów. Według starożytnego zwyczaju, Sieć oceniała czyny kessentaiów i decydowała, co powinni otrzymać w nagrodę, a jeśli kessentaiowie zawiedli Ścieżkę albo sami się od niej odwrócili, zostawali kenstainami. Niektórzy odmawiali wstąpienia na Ścieżkę i od początku wybierali drogę kenstaina. Wykorzystywano ich głównie do zarządzania sprawami hordy pod nieobecność kessentaiów, do których należeli, ale w posleeńskiej hierarchii zajmowali miejsce na samym dole, czasem nawet niżej niż wysokiej jakości oolt'os.

W poprzednich dwóch walkach Cholosta'an należał do olbrzymiej hordy, która uderzyła na umocnienia przeklętych ludzi i została wyrżnięta. Oczywiście w tych warunkach o łupach nie mogło być mowy. Dobrze, że przynajmniej byli blisko miejsca, w którym nie groził im już ten pomiot

demonów, ludzka „artyleria”.

Ten atak zaczął się jak marzenie. Taktyka Orostana i Tulo'stenalooru pozwoliła hordzie przeorać ludzi jak nóż. Wbili się tak głęboko, że ludzie nie byli już w stanie się przegrupować.

Potem jednak ludzie po raz kolejny zmienili zasady gry, zaczęli używać antymaterii i zamknęli Gap swoimi niemal niezwyciężonymi pancerzami wspomaganymi.

Kiedy tylko detonował pierwszy pocisk z antymaterią, w jednej olbrzymiej eksplozji światła i ognia niszcząc połowę hordy, Cholosta'an ujrzał swoją przyszłość. I nie zobaczył tam zwycięstwa. Zaczął się szybko wycofywać z niedobitkami swojego oolt, nawet nie oglądając się za siebie.

Pocieszało go jedynie to, że zebrał na tyle dużo łupów i thresh, że nie musiał wracać do gniazda. Zasmucał go jednak fakt, że właściwie wrócił do punktu wyjścia. Jeśli nie znajdzie jakiegoś wielkiego skarbu, na zawsze pozostanie kessentaiem, pierwszym do walki i ostatnim do łupów.

Zaczynało go to naprawdę denerwować.

– Cholosta'anie.

Spojrzał na komunikator i wzdrygnął się; zobaczył identyfikator estanaara, Tulo'stenalooru. Nie chciał z nim rozmawiać – teraz ani nigdy – dlatego zignorował komunikat.

– Cholosta'anie, mówi Tulo'stenaloor.

\* \* \*

Tulo'stenaloor spojrzał na odczyty i kłapnął grzebieniem. Ten młody *abat* musiał uciec zaraz po tym, jak SheVa odpaliła pierwsze pociski, skoro dotarł aż tak daleko; był już przy samej autostradzie 64 i najwyraźniej zmierzał w stronę „bezpiecznego” terytorium. Zastrany mały tchórz.

– Cholosta'anie, zszedłeś ze Ścieżki.

\* \* \*

Kessentai zasyczał; najchętniej przyspieszyłby swój tenar, ale to by oznaczało pozostawienie w tyle nielicznych ocalałych oolt'os. A więc musi stoczyć tę bitwę na słowa.

– Twój szturm się załamał, estanaarze – warknął. – Zebrałeś sam kwiat hordy i wpuściłeś go w maszynkę do mielenia mięsa. Skoro atak się załamał, można się wycofać.

– Ale pozostali wciąż walczą – powiedział zimno wódz. – Jesteś jednym z niewielu, którzy się wycofują.

– A dlaczego Orostan mnie wybrał? Bo jestem mądry! Wiem, że ludzie, oby bogowie niebios pożarli ich dusze, wygrali. A ty wciąż rzucasz do walki coraz więcej wojowników w żalostnej próbie zamaskowania własnej porażki! Nie będę jednym z nich!

\* \* \*

Tulo'stenaloor wziął głęboki oddech i kłapnął grzebieniem. Zaczynał, niestety, dochodzić do tego samego wniosku. Jeśli pancerze otrzymają uzupełnienia, będzie jeszcze ciężiej. A on nie może odciąć na czas ich posiłków. Jedynie Cholosta'an jest w odpowiednim miejscu, żeby to zrobić.

Dlatego należy go przekonać.

– Mam dla ciebie zadanie. Postanowiłeś wziąć udział w tym ataku, dlatego jeśli odmówisz wykonania tego wyjątkowo łatwego zadania, zbiorę konklawe oolt'ondaiów i każę cię ogłosić kenstainem.

\* \* \*

Cholosta'an wiedział, że to usłyszy.

Są takie dni, kiedy nie opłaca się nawet polerować grzebienia.

– Co to za zadanie?

\* \* \*

Jake w milczeniu patrzył, jak drogą zbliża się kilka panczerzy. Żołnierze pozbiali posleńskie miecze boma i teraz używali ich do oczyszczania drogi z drzew. Monomolekularne ostrza, zwłaszcza w rękach panczerzy wspomaganych, przecinały najgrubsze pnie jak chusteczki higieniczne, a żołnierze podnosili kawałki drzew i odrzucali je na bok.

Zastanawiał się jednak, po co to robią, skoro drzewa były większą przeszkodą dla Posleenów niż dla ludzi.

W końcu panczerze oczyściły drogę i zbliżyły się skokami do ruin domu. Cztery z nich Mosovich rozpoznał jako Kosiarzy, wyspecjalizowane panczerze broni ciężkiej. Sądząc po wyglądzie zbroi i uzbrojeniu – panczerze dowódców były nieco smuklejsze niż Kosiarzy czy standardowe panczerze Bandytów – piąty był dowódcą.

– Starszy sierżant sztabowy Jacob Mosovich – powiedział, salutując oficerowi, gdy wyhamował w miejscu. – Co mogę dla pana zrobić, sir?

– Witam, sierżancie – odparł oficer, zdejmując hełm. – Rozumiem, że to pan zabawia się tutaj z moją dziewczyną?

\* \* \*

Wendy zawyla i puściła się biegiem przez zrujnowane podwórze, a potem rzuciła się na pancierz, oplatając go rękami i nogami.

– Tommy? – zatkała, całując go w głowę i szyję. – To naprawdę ty?

– Sir – powiedział McEvoy. – Ja... eee...

– Wendy, poznaj McEvoya, najbardziej niekompetentnego Kosiarza na całym świecie – powiedział Tommy, całując dziewczynę i łagodnie ją odsuwając. – Później będziemy mieli chwilę dla siebie, ale teraz muszę porozmawiać z sierżantem. Rozumiem, że jest tu jakiś kapitan?

– To ja – powiedziała Elgars, wychodząc z cienia domu. – Poznaję pana ze zdjęcia Wendy.

– Ja też – dodał Mueller, podchodząc. – Używa go do odpędzania facetów.

– No co ty, Wendy – powiedział Tommy, szturchając ją. – Dlaczego jesteś taka mało towarzyska?

– Jestem towarzyska tylko dla tych, dla których chcę – odparła, biorąc go za rękę. – Dobra, najpierw najważniejsza sprawa. Co ty tutaj, do cholery, robisz?

– Ty jesteś Cally – powiedział Tommy, wskazując nastolatkę. – Tak?

– Tak – odparła. Stała za węglem domu, aby móc w każdej chwili uciec albo schować się, gdyby zaszła potrzeba.

– Zapędzona do kąta, zamienia się w tygrysicę – powiedziała cicho Wendy. – Ale przy obcych jest nieśmiała.

– Wszystko w porządku, tak? Twój tata kazał mi się upewnić.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała Cally. – Co wy tutaj robicie?

Tommy popatrzył po zebranych i przeciągnął palcami po szczecinie na głowie.

– To... skomplikowana sprawa.

\* \* \*

Sunday przez chwilę wpatrywał się w tylną ścianę magazynu, a potem mocno się zamachnął.

Ostrzeżono go, że otwarcie magazynu może wymagać energicznego działania.

Jego ręka przebiła się przez trzydzieści centymetrów zbrojonego betonu i wyszła po drugiej stronie. Przekręcił dłoń, szarpnął i wyrwał spory kawał ściany, a potem zaczął poszerzać otwór. Okazało się, że magazyn nie był małą jaskinią, lecz sporą grota w zboczu góry.

– Major O’Neal powiedział mi, że jego rodzina ryła w tych skałach prawie od stu lat – powiedział. – Połowa z tego to szyby kopalniane.



– Jak głęboko biegnie ten tunel? – spytał Mosovich, zaglądając w otwór.

– Nie wiem, ale chyba niezbyt głęboko. Dalej znów jest jakaś blokada.

Wyrwał spory fragment ściany i światło latarni wreszcie sięgnęło w głąb tunelu. Półtora metra dalej przejście zagradzała galtechowska płyta z plastali.

– Ciekawe... – Mueller odciągnął kawał zbrojonego betonu. – Ilu ludzi wiedziało, że major O’Neal zainstalował na farmie swojego ojca galaksjański kontener broni?

– Najwyraźniej niewielu – odparł bezbarwnym tonem porucznik.

– Czy tata będzie miał kłopoty? – zapytała Cally.

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą Tommy. – Po pierwsze, nie wiem, co mówią o takiej sytuacji galaksjańskie przepisy, a po drugie, jak rozumiem, powierzono mu zadanie stworzenia linii magazynów wzdłuż wschodniego wybrzeża...

– Tak było – powiedziała Cally. – Pamiętam, byliśmy na wakacjach tuż przed pierwszym lądowaniem. Tata poświęcił wiele czasu na zakładanie systemów zasilania i rozwożenie skrzyń z amunicją. – Zajrzała w niemal całkowicie oczyszczony tunel. – Ale to jest... wielkie!

– Pewnie chciał mieć pewność, że w Rabun Gap nigdy nie zabraknie zasilania – powiedział sucho Mueller. – Cholera!

– Co jest? – spytał Mosovich.

– Skąd O’Neal brał prąd? Mało kto w górach ma jeszcze prąd, ale w jego domu zawsze był!

– Nie ma linii – powiedział Mosovich, kręcąc głową. – Powinienem być się domyślić.

– Kiedy tu byliśmy, zauważyłem skrzynkę Indowy – ciągnął Mueller. – Uznałem, że O’Neal po prostu dał swojemu tacie pustą skrzynkę. Te ustrojstwa są warte kupę złota; są opancerzone jak czołgi i klimatyzowane, nie oddaje się ich tak po prostu.

– O co chodzi? – spytała Elgars. – Dlaczego brak linii jest taki ważny?

– Kiedy przyjechaliśmy na kolację – wyjaśnił Mueller – zauważyłem, że nie ma tu linii wysokiego napięcia. A więc skąd brał prąd? W takich okolicach elektryczność jest cholernie rzadką rzeczą, a tymczasem u Papy O’Neala działały wszystkie sprzęty w domu i systemy bezpieczeństwa. Uznałem, że ma generator.

– I miał – powiedział Tommy. – Pewnie generator antymaterii.

Odciągnął ostatni kawał betonu i przyłożył dłoń do zamka plastalowych drzwi, które posłusznie się otworzyły.

– Jezu Chryste – mruknął Mosovich, zaglądając do tunelu. Ściany z szarej plastali, na oko piętnastocentymetrowej grubości, dorównywały wytrzymałością pancierzowi kosmicznego krążownika. Skład miał jakieś osiem metrów głębokości i cztery szerokości, i od podłogi po sufit był załadowany skrzyniami Indowy. Na większości z nich był skomplikowany wzór przypominający celtycką broszę, oznaczający systemy utrzymywania antymaterii. W skrytce było jej tyle, że można by wysadzić w powietrze całą Georgię..

– Fiuuu – zagwizdał Mueller. – Nic dziwnego, że opancerzył to jak fortecę.

– To wszystko amunicja? – spytała cicho Cally.

– Aha. – Tommy ściągnął z góry skrzynię i otworzył ją. – To żyła złota; to standardowa amunicja do karabinów grawitacyjnych z inicjatorami antymaterii. Gdyby któraś z tych skrzyń wybuchła, nie byłoby już tej góry. – Spojrzał na tysiące ładunków w skrzyni i pokręcił głową. – McEvoy, przywlec tu dupę i zobaczmy, co my tu mamy.

\* \* \*

Zawartość skrytki częściowo przeniesiono do zewnętrznej jaskini, gdzie materiały posortowano według przydatności. Pierwszorzędne znaczenie miały power packi z antymaterią. Według

specyfikacji, każdy z nich powinien wystarczyć kompanii piechoty mobilnej na pełne cztery dni działania w standardowym terenie. Biorąc pod uwagę moc pobieraną przez broń, pozostałym pancernom powinno wystarczyć energii na jakieś sześć dni.

Druga w kolejności była standardowa amunicja do karabinów. To był „dobry towar”, produkcja Indowy, z systemem zasilania każdego pocisku, co oznaczało, że przy prowadzeniu ognia pancerze nie będą musiały czerpać z własnych zasobów energii.

Na końcu była amunicja dla Kosiarzy. Kosiarze, tak samo jak MetalStormy, zużywali olbrzymie ilości amunicji.

Tommy uznał, że stosując klamry, każdy pancerz będzie w stanie zabrać po trzy pakiety antymaterii (wielkości sporej walizki) i dwie skrzynie amunicji. Nie opancerzeni ludzie prawdopodobnie będą mogli unieść po jednym pakiecie amunicji, co razem dawało dwadzieścia sztuk. On sam postanowił zabrać osiemnaście zwykłych pakietów i dwa dla Kosiarzy, oba z flesztkami.

W składzie leżała też duża skrzynia z oznaczeniami broni. Tommy popatrzył na nią i uśmiechnął się.

– Przekąźnik? – powiedział.

– Tak, Tommy? – odparło urządzenie głosem Wendy.

– Czy możesz... skasować część informacji o tym składzie? Albo zmodyfikować informację o tym, co będziemy ze sobą zabierać?

– Mogę – odparł przekąźnik – ale już załadowałam dane.

Tommy zmarszczył czoło.

– Dobrze, więc zmień spis tego, co zabieramy. Zamiast tej rzeczy wstaw skrzynię amunicji dla Kosiarzy.

– Dobrze, Tommy. A powiesz mi, dlaczego?

– Bo nie chcę, żeby Posleeni wiedzieli, że to mamy. – Porucznik wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Dopilnuj, żeby inne przekąźniki też tego nie pokazały.

– Spróbuję.

– McEvoy, mam dla ciebie specjalne zadanie – powiedział Sunday.

\* \* \*

– McEvoy, razem z Pickersgillem przeniesiecie pakiety na szczyt wzgórza. Szczepcie je po prostu klamrami i zawleczone tam.

Kiedy dwaj żołnierze wzięli się do roboty, Tommy odwrócił się do grupy uciekinierów.

– Każdy dorosły musi zabrać jeden pakiet.

– Da się zrobić – powiedziała Elgars. – Dokąd?

– To będzie kawałek drogi – przyznał Sunday. – Musimy przenieść je na drugą stronę doliny, na zbocze Lookout Mountain.

Wywołał mapę i oznaczył punkt docelowy.

– Rozumiem, że nie mówi pan o tej górze w Tennessee – powiedziała ostro Shari.

– Nie, to popularna nazwa gór – odparł tym samym tonem Tommy. – Nie podoba się pani, że zostawiamy dzieci?

– Bardzo. Nie po to zabrałam je z tamtego domu wariatów i ciągnęłam przez góry, żeby teraz zabił je jakiś zablakany Posleen.

– Shari, najpierw musiałby mnie zabić – powiedziała Cally. – Jestem silna, ale nie tak silna, żeby nieść taką skrzynię, więc zostanę. – Poklepała Billy’ego po ramieniu i wyszczerzyła w uśmiechu zęby. – A Billy będzie mnie bronił.

Chłopiec pokiwał głową i odpowiedział uśmiechem. Po pierwszym lądowaniu Posleenów we Fredericksburgu doznał poważnej blokady mowy. Ostatnio zaczęło mu to przechodzić, ale wciąż nie odzywał się, jeśli nie musiał.

– Cieszę się, że tu będziesz, ale...

– Shari – przerwała jej Wendy. – Ja też tam byłam i także nie chcę, żeby dzieciom coś się stało. Ale gdybym miała do wyboru zostawić ciebie albo Cally...

– Zostawiłabyś Cally – dokończyła Shari. – Rozumiem. Ale nie sądzę, że Cally powinna tu zostać sama. A jeśli Posleeni naprawdę przyjdą? Niech zostanie jeszcze Mueller albo Mosovich.

– Proszę pani, ja panią rozumiem – powiedział Tommy – ale musimy to wszystko zanieść batalionowi. I to jak najszybciej. –

Odsunął się na bok, gdyż wysuwające się z jaskini szare skrzynie zrzuciły kawał mokrej ziemi na półkę przed wejściem.

– Musimy zabrać tyle, ile się da; jest tam ku... dużo Posleenów do zabicia. Jeśli my ich nie zatrzymamy, nie będzie miało znaczenia, w jakiej jaskini się schowacie, i tak przyjdą...

– We Fredericksburgu chowanie się wystarczyło – powiedziała Shari.

– Tylko dlatego, że piechota mobilna nas wyciągnęła – wyjaśniła jej Wendy. – Ten sam oddział, skoro o tym mowa, który teraz jest w Gap.

– A to już niesamowity zbieg okoliczności – wyszczerzył zęby Mueller. – Shari, nie możemy zostać. A ty naprawdę niewiele pomożesz Cally, jeśli z nią zostaniesz. Musisz nam pomóc nieść skrzynie.

Shari westchnęła i spojrzała na dzieci. Pomimo ich zdolności regeneracji sił, jeszcze przez jakiś czas nie będą mogły się porwać na dalszą wyprawę.

– Dobrze, już nie będę marudzić – powiedziała do Tommy' ego. – Ale jeśli spadnie im choćby włos z głowy...

– Nie spadnie – powiedziała cicho Cally. – Już ja się o to postaram, Shari. Obiecuję.

– Słyszałam w życiu już wiele obietnic. – Shari znów westchnęła. – Wiem, że się postarasz, ale to wcale nie znaczy, że ci się uda.

– Zwycięstwo nie zawsze oznacza przeżycie – odparła Cally, wzruszając ramionami. – Dam sobie radę.

*Zdrowie twoje i naszego Korpusu  
W którym z dumą służymy;  
W wielu potyczkach walczyliśmy o życie  
I nigdy nie straciliśmy zimnej krwi;  
Jeśli Armia i Marynarka  
Kiedykolwiek spojrzą na krainę Niebios;  
Zobaczą, że ulic strzegą tam  
MARINES STANÓW ZJEDNOCZONYCH.*

Hymn piechoty morskiej

Ratom Gap, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

14: 53 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
poniedziałek, 28 września 2009

Gunny Pappas zsunął się do okopu i rozejrzał. Przed sobą miał do połowy wykopaną jamę; celna hiperszybka rakietka zabiła kopiającego ją żołnierza. Jego pancerz był gdzieś z tyłu, na stosie zbroi pozostałych pechowców, którzy tego dnia zginali.

Pappas nie sądził, żeby udało mu się dobiec do jamy.

– Batalion, ogień ciągły.

Posleeni wciąż przelewali się przez wąską szczelinę, ale już wolniej, a batalion zmniejszył natężenie ognia, żeby oszczędzać amunicję i energię. Teraz jednak wszystkie karabiny odezwały się pełnym głosem, wypełniając wąskie przejście strugami srebra.

Posleeni usypali już wał z ciał swoich zabitych, gdzieś tam wysokość człowieka. Od czasu do czasu wyciągali z niego działającą broń i wydzielali strzępy ciała jako racje polowe. Kiedy stało się jasne, że coś ma się wydarzyć, ruszyli w stronę okopów piechoty, wdrapując się na stos trupów.

A żołnierze nie czekali z założonymi rękami. Smugi srebra najpierw wytropiły Wszechwładców, a potem przeorały masę Posleenów, powiększając górę trupów.

Kiedy natarcie znów się zatrzymało. Pappas usłyszał kolejną komendę.

– Wszyscy sprawni, wycofać się i przegrupować.

Wcisnął kolejny magazynek w gniazdo karabinu i kontynuował ogień, a tymczasem zielone kropki na ekranie taktycznym zaczęły się wycofywać. Żołnierze poruszali się szybko; wyskakiwali z okopów i biegli, nisko schyleni. Mimo ognia piętnastu żołnierzy, którzy pozostali w okopach, Pappas zobaczył, że ikona jednego pancerza – potem dwóch, pięciu – robi się czerwona. Reszta batalionu na szczęście dobiegła do załomu góry i zniknęła z jego ekranu.

Posleeni nie czekali. Słyszac okrzyk, że pancerze się wycofują, siły zebrane za wałem trupów podwoiły wysiłki, gramoląc się na stertę ciał i biegnąc naprzód.

Ogień, który ich przywitał, nie był jednak wystarczający; niektórym Posleenom udało się przedrzeć bliżej, potem pojawili się następni i następni.

– Hmm... – zamruczał Pappas, wyciągając następny magazynek i wciskając go w gniazdo karabinu, kiedy poprzedni, pusty, wypadł na ziemię. – „Jeśli Armia i Marynarka kiedykolwiek spojrzą na krainę Niebios... „

Posleeni ostro nacierali. Większość z nich odrzuciła strzelby, działka i wyrzutnie rakiet i wyciągnęła miecze borna, choć ogień pancerzy wciąż ich kosił dziesiątkami. Ale każdy kolejny skoszony łan był coraz bliżej. Pięćdziesiąt metrów, trzydzieści, dziesięć, pięć...

– „Jeśli Armia i Marynarka kiedykolwiek spojrzą na krainę Niebios...” – zanucił sierżant, kiedy pierwszy normalnie dobiegł do jego okopu. Rozwalił go strugą srebrnego ognia, ale za nim biegł następny i następny, a tymczasem na ziemię wypadł już pusty magazynek. – „...Zobaczą, że ulic strzegą tam Marines Stanów Zjednoczonych”.

\* \* \*

Ponieważ przygotowania do przetransportowania sprzętu na Black Rock Mountain szły dobrze, Tommy mógł sobie pozwolić na chwilę czasu dla siebie i zabrać Wendy na spacer.

Kiedy zbocze zrobiło się prawie pionowe, korzystając z tego, że ma zapas mocy, włączył na full swój system antygravitacyjny i po prostu przeleciał nad iglicą.

– To było bardzo podniecające – powiedziała Wendy, kiedy wylądowali na wąskiej granitowej półce porośniętej rzadkim mchem i wyrastającymi wprost z kamienia poskręcanyimi młodymi drzewkami. W świetle wschodzącego księżyca miejsce to nie wyglądało zbyt gościnnie; wiatr szeptał o sylfach i żywiołakach, a porosty desperacko szukały oparcia w szarym podłożu.

– Dobra, Superkanie, co to za tajemnica?

– Właściwie to nie jest tajemnica – powiedział Tommy, zdejmując hełm. – Po prostu... nie zostało nam wiele czasu.

Przerwał i spojrzał na południe. Mimo szumu mocnej, zimnej bryzy co jakiś czas słychać było, jak w Gap przewalają się posleeńskie hordy.

– Kiedy wrócimy... właściwie nie będziemy mogli wiele zrobić. Tylko... okopać się i trzymać.

– Chcesz powiedzieć, że kiedy pójdziesz, już nie wrócisz? – spytała Wendy, zakładając włosy za ucho. Powiew wiatru chwycił jasne włosy dziewczyny, które bezskutecznie układała, i rozwiął je.

– Chyba... chyba tak, kochanie. – Tommy włączył jarzeniówkę i spojrzał Wendy w oczy. Były magnetyzująco niebieskie. Tak dawno ich nie widział, że niemal już zapomniał, jak bardzo są niebieskie. – Już wcześniej bywało źle. Zawsze była szansa, że się zarobi kulkę. Ale teraz...

– A więc przyprowadziłeś mnie tutaj, żeby mi powiedzieć, że mnie zostawiasz? – Wendy pogłaskała go po twarzy. Żelowa wyściółka pancerza wykonywała wszystkie zabiegi higieniczne, w tym również golenie. Tommy musiał się golić dwa razy dziennie, ale pod opieką pancerza twarz miał gładką jak niemowlę.

– Chyba tak – odparł. – I... wiesz, nam się spieszy. Nie mamy dużo czasu, ale...

– Tommy – powiedziała, ściągając przez głowę koszulę i rozpinając stanik. – Zamknij się i wyskakuj z tej cholerniej skorupy.

\* \* \*

Mosovich starał się zachować powagę, kiedy porucznik i jego pani dołączyli do nich na szczycie wzgórza; gdyby miał okazję, prawdopodobnie też by ją wykorzystał.

– Milo znów was widzieć, poruczniku – zachichotał Mueller.

Tommy miał dość przyzwoitości, żeby trochę się zawstydić, ale Wendy tylko uśmiechnęła się leniwie.

– Pewnie pora się zbierać, co? Mam nadzieję, że to się da tak założyć, żeby sobie nie zrobił więcej siniaków – powiedział porucznik.

Mueller zakaszłał, a Shari złośliwie zachichotała.

– Mnie to wygląda na samookaleczenie.

– Ależ skąd, sam sobie tego nie zrobił – powiedziała Wendy i mrugnęła.

– Jeśli jesteście gotowi – powiedział Sunday, patrząc na skrzynie, a potem na McEvoya – pora ładować.

Podniósł jedną skrzynię i przymocował ją klamrą grawitacyjną do boku pancerza Kosiarza,

potem dołożył drugą z drugiej strony. Po chwili znalazł jeszcze miejsce na trzecią. Potem zrobił to samo z Pickersgillem, po czym kazał im załadować na niego jeden power pack, skrzynię z amunicją i skrzynię z bronią, teraz owiniętą w brezent. W końcu trzy pancerze były gotowe; wyglądały jak jakieś wielkie robaki, które próbują się ukryć pod skrzyniami.

Potem z pewnym trudem Tommy i Kosiarze pomogli pozostałym zarzucić ładunek na plecy. Skrzynie były ciężkie, ważyły po osiemdziesiąt kilo i nie miały szelek do noszenia. Ale przypinając je do pustych stelaży plecaków, w końcu jakoś zarzucili je sobie na plecy. Były wyjątkowo nieporęczne, ale jakoś dawały się nieść.

– Idziemy – powiedziała Elgars, nachylając się do przodu pod ciężarem skrzyni.

– Dbaj o dzieci. – Shari przesunęła swoją skrzynię; szelki wrzynały jej się w plecy, a nogi już zaczynały się pod nią uginać.

– Będę o nie dbać – zapewniła ją Cally. – Uważajcie na siebie, dobrze?

– Będziemy uważać – powiedział Mosovich. – A ty nie wychylaj się za bardzo.

– Zrobi się.

Sunday obejrzał wszystkich, a potem spojrzał na Elgars.

– Pani kapitan, pani prowadzi.

– Cally, wracaj do składu – rozkazała Elgars. – Ruszamy.

I ruszyła, stawiając ostrożnie stopy. Jedno poślizgnięcie z tym cholernym pudłem na plecach i zamieni się w stos połamanych kości.

– Pamiętam, że wpisywałem to na listę przyszłego zatrudnienia – powiedział Mosovich, poprawiając ciężar i próbując wygodniej ułożyć swój AIW.

– Co takiego? – spytał Mueller. Z całej grupy jemu najmniej przeszkadzało obciążenie.

– Zawód szeryfa – zaśmiał się sierżant. – Zawsze chciałem nosić czyjeś bagaże po wertepach.

– Wiesz, założę się, że bywają lepsze sposoby prowadzenia wojny – powiedział Mueller.

\* \* \*

Doktor Miguel „Mickey” Castanuelo był fanatykiem.

Po raz pierwszy ujrzał Stany Zjednoczone z dziobu przechylonej na bok z przeładowania łodzi. A jeśli był jakiś widok piękniejszy niż niewyraźny zarys lądu na horyzoncie, to był nim kuter straży przybrzeżnej, który pojawił się w chwili, kiedy ciekąca łajba zaczynała już tonąć.

Łódź przewoziła jedną z ostatnich „oficjalnych” grup uchodźców z castrowskiej Kuby; miesiąc później wszelkie przepawy zostały zakazane. Ojciec Miguela, Jose Castanuelo, był lekarzem i padł ofiarą jednej z najbardziej ulubionych porewolucyjnych zabaw, zwanej „złap batistowca”.

Doktor Jose Castanuelo nie miał nic wspólnego z rządami Batisty, ale kiedy jeden z kolegów na niego doniósł, wiedział, że to tylko kwestia czasu, kiedy trafi do „oboza reedukacyjnego”. Załadował się więc z całą rodziną na chybotałą łódź i ruszył w stronę wolności.

Zdobyty na Kubie tytuł doktora medycyny był w Stanach Zjednoczonych zaledwie ciekawostką, ale Jose nie pozwolił, żeby to mu stanęło na drodze. Znalazł sobie sponsorów w Atlancie w stanie Georgia i przeprowadził się tam razem z bliskimi. Potem wraz z żoną, która pochodziła z dobrej rodziny i nigdy dotąd nie przepracowała nawet jednego dnia, znaleźli sobie posady w restauracjach. Jose rozpoczął wieczorowe studia na Uniwersytecie Stanu Georgia, a potem w Emory podczas gdy jego dzieci, dzięki darom parafii, zaczęły się uczyć w szkole podstawowej Chrystusa Króla, a potem w liceum Papieża Piusa X.

Jose skończył Emory (*cum laude*) i poszedł do szkoły medycznej. Po pierwszym roku jego profesorowie zorientowali się, że mają do czynienia z doświadczonego kolegą po fachu, który uwiązał w biurokratycznym koszmarze. Dalsza nauka w szkole medycznej poszła już jak po maśle. Jose

otrzymał drugi tytuł doktora, został w Emory i w końcu dochrapał się profesury. Tymczasem jego żona otworzyła modną i dochodową kubańską restaurację. Ich wspólne dochody wreszcie pozwoliły im odrobić to, co stracili blisko dziesięć lat wcześniej,

Miguel Castanuelo szybko całkowicie się zamerykanizował. Latynoska społeczność Atlanty w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych była nieliczna i jego ojciec nie zamierzał go wychowywać jako „odrębnego, lecz równego” obywatela. Miguel szybko został Mickeyem, rzadko mówił po hiszpańsku w domu, a poza nim nigdy. Grał w futbol i niczym nie różnił się od wszystkich Chadów, Tommych i Blake’ów, dopóki komentator nie próbował wymówić jego nazwiska. Na ostatnim roku w Św. Piusie stało się to swoistą zabawą. Za każdym razem, kiedy na jakimś wyjazdowym meczu komentator się mylił, wszyscy kibice Piusa ryczeli chórem „Ka-sta-nu-ej-lo!”

Miguel postanowił, ku zgryzocie swoich rodziców, że po szkole pójdzie do wojska. Mickey bowiem nie tylko został zamerykanizowany, stał się gorliwym patriotą. Wiedział, że wszystko, co ma w jego życiu jakieś znaczenie, zawdzięcza kutrowi straży przybrzeżnej, który zaryzykował wypłynięcie w burzliwe morze, żeby uratować jego i jego rodzinę, sponsorom, którzy powitali ich z otwartymi ramionami, i społeczeństwu, które dało jego ojcu tak rzadką w życiu drugą szansę. Czuł, że musi spłacić dług wdzięczności i odbyć służbę w Armii jeszcze przed pójściem na studia.

Jednak w pierwszej klasie liceum pojawił się na lekcji fizyki ojciec jednego z jego kolegów. Był on starszym oficerem marynarki Stanów Zjednoczonych, stacjonującym w zdecydowanie lądowym Instytucie Techniki Stanu Georgia. Mówił o możliwościach zrobienia kariery w Marynarce, która wciąż gorączkowo poszukiwała młodych, bystrych ludzi, którzy daliby sobie radę z trudami studiów w Georgia Tech. Była to jedna z najlepszych szkół zajmujących się wytwarzaniem energii jądrowej. Marynarka obiecywała pokryć koszty studiów tych zdolnych mężczyzn (i kobiet), którzy poświęciliby jej sześć lat swojego życia.

Miguel szybko podpisał odpowiednie papiery.

Bez trudu przyjęto go do Georgia Tech, bo na teście SAT dostał 1527 punktów, a średnią GPA miał 3.98 (raz dostał na koniec roku B, czyli czwórkę, z łaciny). Po czterech latach ukończył studia z tytułem magistra wytwarzania energii jądrowej. Potem poszedł do szkoły Marynarki – „dopiero my was nauczymy, co to znaczy wytwarzanie energii” – a następnie wstąpił na służbę do Floty i znalazł się na atomowym okręcie podwodnym, gdzie zaczęła się jego miłość do robienia ludziom dowcipów.

Niestety, wkrótce wyrzucono go na ląd, gdyż stwierdzono u niego nie wykryte wcześniej szmery w sercu. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, Miguel wrócił na Georgia Tech i zrobił doktorat z fizyki jądrowej. Potem trafił na Wydział Energetyki, ale tam zmienił zainteresowania z technologii wytwórstwa na broń.

Ostatecznie znalazł się w Oak Ridge, które nie zajmowało się już produkcją uzbrojenia, lecz badaniami. Z Oak Ridge przeniósł się na Uniwersytet Stanu Tennessee; zaczął też oficjalnie kibicować tamtejszej drużynie futbolowej. Uniwersytet mieścił się tuż obok placówek rządowych i od dawna z powodzeniem dostarczał im pracowników. Następną dekadę Miguel spędził na przenoszeniu się z jednej placówki do drugiej, a jego teoretyczne badania stawały się coraz bardziej ezoteryczne. A przynajmniej tak się wszystkim wydawało.

Kiedy nadeszły wieści o posleenkiej inwazji, uznał, że znów powinien założyć błękitny mundur; warunki walki na pokładzie okrętu kosmicznego były tak podobne do warunków panujących na okrętach podwodnych, że Flota w pierwszej kolejności rekrutowała podwodniaków. Zamiast tego jednak został na uniwersytecie i w Oak Ridge, bo tam mógł się bardziej przy – dać. Jego „teoretyczne” badania dotyczyły bowiem produkcji, przechwytywania i wykorzystywania antymaterii.

Mickey w głębi ducha był „zielony”. Zdawał sobie sprawę, że złoża paliw kopalnych są

ograniczone, a same paliwa kosztownie niszczą środowisko, i to wcale nie przez tak szeroko nagłośniony „efekt cieplarniany”, który był wymysłem niedouczonej populistów, lecz przez wydobycie i dystrybucję paliw. Nie wspominając o przesyle, w którym Knoxville w stanie Tennessee miało swój niemały udział. Był jednak realistą i wiedział, że aby zastąpić paliwa kopalne, trzeba by czegoś równie wydajnego lub jeszcze lepszego.

Jedynym sensownym rozwiązaniem wydawała się antymateria. Można ją było produkować w odludnych miejscach przy użyciu energii jądrowej, a także łatwo i tanio przewozić. Drobiną antymaterii wielkości ścinka paznokcia była w stanie zasilić samochód (nawet latający samochód, który położyłby kres komunikacyjnym korkom) przez cały okres jego eksploatacji. Oczywiście, gdyby układ utrzymywania antymaterii zawiodł, samochód zamieniłby się w jądrową ognistą kulę, ale to już była sprawa dla inżynierów.

Prawdziwym problemem, na który zwracali uwagę koledzy Miguela, było wytwarzanie i kontrolowanie dużych ilości antymaterii, a dopóki nie wiadomo było, jak to robić, poruszali się w sferze science fiction.

Wraz z przybyciem Posleenów, Indowy, Darhelów i Tchpth stało się jasne, że „dziwaczne pomysły” Mickeya wcale nie są fikcją naukową. Indowy potrafili produkować i mikrokapsułować antymaterię.

Jak się okazało, technologia wytwarzania antymaterii była banalna i ludzie byli w stanie bez problemu ją zrozumieć. W kontakcie ze „zwykłą” materią antymateria przekształcała całą swoją masę w energię. Co więcej, dzięki mikrokapsułowaniu można było mieć pewność, że jeśli kapsułka zawiedzie, nie dojdzie do olbrzymiej jądrowej eksplozji. Jednak przechowywanie antymaterii okazało się niełatwe; jedynie Indowy wiedzieli, jak to robić.

Po roku studiowania technik Indowy (na tyle, na ile na to pozwalali) Miguel poczuł się sfrustrowany. Indowy przeczyli teorii prawdopodobieństwa, a to było po prostu nie fair.

Cała mechanika kwantowa, cała chemia i metalurgia opierała się na prawdopodobieństwach. Kiedy miesza się ze sobą dwie różne substancje, ich cząsteczki mogą na siebie oddziaływać na wiele dających się przewidzieć sposobów, ale mała ilość cząsteczek łączy się inaczej, w zupełnie nieoczekiwany sposób. Choć wydawało się to wręcz nieprawdopodobne, przeczucia Indowy sprawdzały się za każdym razem. Zupełnie jakby ktoś trafiał szóstkę w totka nie raz, ale za każdym razem.

Miguel nie rozumiał, jak oni to robili, a oni najwyraźniej nie potrafili wyjaśnić tego w przystępny sposób. Po prostu się „modlili”, a reszta działała sama.

Miguel był dobrym katolikiem, ale nie wierzył w taką modlitwę. To była po prostu zaawansowana technologia, ale choćby od tego zależało jego życie, nie potrafiłby jej odtworzyć.

Kluczem do sukcesu było mikrokapsułowanie. Gdyby umiał mikrokapsułować, cały świat (czyli to, co z niego w tej chwili zostało) mógłby przerzucić się na antymaterię. Ponieważ produkcja antymaterii była już przygotowana, mikrokapsułowanie urosło do symbolu Świętego Graala.

Zaczął od materiału zwanego „fulerenem” od nazwiska Buckminstera Fullera, wynalazcy kopuł geodezyjnych; była to sferyczna cząsteczka węgla. Ponieważ każdy atom węgla generował „strefę odpychania”, wszystkie cząsteczki albo atomy zamknięte w fulerenie były automatycznie powstrzymywane przed zetknięciem nie tylko z atomami węgla, ale i resztą wszechświata.

Potem Mickey zagłębił się w chemię i fizykę kulek Bucky’ego. Wiadomo było, jak je produkować, a nawet jak w nie owijać inne atomy, ale owinięcie antywodoru tak, żeby się z nimi nie zetknął, to była zupełnie inna sprawa.

Eksperymenty trwały, a sam proces nie przebiegał bez porażek. Ale jeśli w Tennessee czegoś



było w nadmiarze, to górników (którzy drążyli w górach i budowali zdalnie sterowane laboratoria) i gór. I trzeba było tylko trzech gór, żeby odkryć bezpieczną metodą mikrokapsułowania (no, stosunkowo bezpieczną, ale nikt nie zamierzał w najbliższym czasie przenosić laboratorium z wnętrza góry do miasta). Podczas badań Mickey zaczął nawet rozumieć, w jaki sposób Indowy naginali prawa fizyki do własnych potrzeb, ale z jego punktu widzenia było to bezużyteczne.

Fulereny były wytrzymałe, a żeby wydobyć energię z kapsułowanego wodoru, trzeba je było najpierw „rozbić”. Rozbicie wymagało niemal takiej samej ilości energii, jaką odzyskiwało się z eksplozji, dlatego najlepiej było zapoczątkować reakcję łańcuchową, zamykając pewną ilość fulerenów w naczyniu i wymuszając zniszczenie kilku z nich (zazwyczaj wstrzykując antyprotony), a one z kolei niszczyły następne.

Niestety, trudno było ustalić ich właściwą ilość. Po pierwszych próbach Mickey musiał, na prośbę władz uniwersytetu, przenieść swoje laboratorium do wnętrza kolejnej góry, aby budynek można było odbudować. Tak naprawdę miał tylko garść czarnego pyłu, który cholernie trudno było zmusić do wybuchu. Ale kiedy już wybuchł, wszyscy musieli się kryć.

Miał więc materiał wybuchowy, ale nie paliwo. Do tego dochodził problem promieniowania.

Kiedy pierwsze atomy węgla wchodziły w reakcję, nie ulegały całkowitemu rozkładowi i wypuszczały wiązkę cząsteczek alfa i beta wraz z odrobiną promieni gamma. („Radioaktywny napęd Castanuelo oparty na reakcji łańcuchowej”? Nie, General Motors nie byłoby zadowolone. Siła eksplozji na poziomie atomowym sprawiała, że część atomów węgla łączyła się, w wyniku czego powstawał rozbryzg bardzo „gorącego” radioaktywnego materiału, groźniejszego, choć nie tak trwałego, jak standardowy opad radioaktywny.

W tym momencie pojawili się Posleeni, którzy sprawiali wrażenie właśnie takich gości, którzy zasługują na bardzo gorące radioaktywne powitanie. Niestety, prezydent Stanów Zjednoczonych nie wyraził na to zgody. Mickey został więc z materiałem, który w nanosekundę mógł zamienić połowę wschodnich Stanów Zjednoczonych (skoro proces produkcji opanowano do perfekcji, Mickey nie widział sensu zamykania fabryki) w radioaktywną pustynię, chociaż był bardzo „gorący” tylko przez dzień czy dwa. Na poziomie teoretycznym była to idealna broń powierzchniowego rażenia.

A jak już wspomniano, Miguel był fanatykiem.

\* \* \*

– Co macie?! – Jack Homer rzadko krzyczał, dlatego kiedy już to robił, wszyscy byli podwójnie zaskoczeni.

– Mamy zasięg na Gap.

Gerald Carson, rektor Uniwersytetu Stanu Tennessee, nie był szczęśliwy, że musiał wykonać ten telefon. Ale skoro zadano mu pytanie, odpowiadał. Spokojnie, uprzejmie, z twarzą ociekającą potem.

– Pracujemy nad projektem broni – ciągnął, kiedy generał kiwnął głową. Praktycznie każda uczelnia techniczna prowadziła takie projekty. – Może osiągnąć Gap. W zeszłym miesiącu broń ta umieściła dwudziestopięciokilową paczkę na niskiej tymczasowej orbicie. To zmodyfikowany Super-Bull, trzysta milimetrów. Mamy także profesora Mickeya Castanuelo, który pracuje nad programem jądrowym. Jeszcze przed pierwszym kontaktem z Posleenami uważano go za niegroźnego wariata, który ma świra na punkcie antimaterii. Po pierwszej fali lądowań otrzymał kredyt zaufania ze strony działu badawczego sił naziemnych...

– A więc to my za to płaciliśmy? – przerwał mu Jack.

– Nie wiem, co dokładnie miał badać – rektor ze złością zmarszczył brew – ale w końcu wynalazł metodę mikrokapsułowania. Niestety, z punktu widzenia energetyki była zupełnie bezużyteczna. Ale. zajmował się też kiedyś bronią jądrową, więc znów do tego wrócił. I

najwyraźniej miał specyfikacje działa Supergun, bo zbudował kasetową bombę z antymaterią...

\* \* \*

Cally wyszła ze składu i siadła na skalnej półce, patrząc w dół, na długie zbocze schodzące do odległej doliny. Nigdy dotąd nie przyglądała się terenowi po tej stronie góry; teraz była ku temu okazja, bo nie zanosilo się na to, że dorośli szybko wrócą.

Na północy wznosiła się kolejna kalenica zamykająca wąską dolinę. Dolina zakręcała na wschód, a potem na południe, gdzie dochodziła do Rabun Valley, kawałek na zachód od szkoły Rabun-Nacoochee; strumień w dolinie wił się przez dawny teren szkoły, zanim docierał do wód Tennessee.

Na zachodzie, u wyłom doliny, wznosiły się wzgórza zwieńczone ostrymi jak noże grzbietami. Rosły tam drzewa, ale po niedawnych wiatrach nie miały już prawie liści. Tuż nad drzewami, jakieś trzydzieści metrów poniżej półki Cally, leciał jastrząb; dziewczynka patrzyła, jak zatacza kręgi, wznosi się i opada, aż zniknął za szczytem.

I właśnie wtedy Cally zauważyła poruszenie wśród drzew. Podniosła do oczu lornetkę, żeby lepiej się przyjrzeć. W pierwszej chwili wydawało jej się, że to idące gęsiego jelenie, potem jednak zobaczyła broń. A jelenie nosiły broń tylko w kreskówkach.

– O cholera – mruknęła.

Była to niepełna kompania Posleenów prowadzona przez pieszego Wszechwładcę. Od czasu pierwszego ataku w okolicy nie było żadnych Posleenów; generalnie starali się unikać wznieścień. A więc ci tutaj byli z jakiegoś konkretnego powodu.

Jedynym zaś powodem mogła być grupa zaopatrzeniowa.

Obcy poruszali się po wznieścieńiach dość powoli, ale kiedy tylko zejda do doliny, będą mogli bardzo przyspieszyć. A tamci, obładowani skrzyniami, nie mają szans uciec.

Cally wstała i wróciła do składu. Popatrzyła na dzieci, a po chwili podjęła decyzję. Nie była to łatwa decyzja, ale jedyna, jaką można było podjąć. Czasami trzeba po prostu zachować się jak O'Neal, nawet kiedy się jest trzynastoletnią dziewczynką.

– Billy, idę się przejść – powiedziała, zakładając kuloodporną kamizelkę.

– Miałaś tu zostać – odparł chłopiec, patrząc, jak się pakuje.

– Mam coś do załatwienia – powiedziała, marszcząc czoło. – Takie dziewczynskie sprawy.

– Aha. – Teraz Billy zmarszczył czoło, widząc, że Cally przeładowuje broń. – Dziewczyńskie sprawy. Jasne.

– Wróć przed dorosłymi – dodała. – Jeśli ktoś się pojawi, schowajcie się w galtechowskim magazynie i zamknijcie drzwi. Nic się przez nie nie przebije.

– Zrobi się – odparł Billy.

– Cześć – rzuciła i wyszła na półkę. Posleeni byli w połowie kalenicy. Jeśli chce zająć dobrą pozycję, musi się pospieszyć.

Pogwizdując cicho, zaczęła schodzić wąskim parapetem. Nie znała tytułu piosenki, którą gwizdała, ale gdyby jej dziadek mógł ją usłyszeć, natychmiast by ją rozpoznał.

– „Walcz z hordą” – zaśpiewała, zsuwając się po zboczu w stronę niższego grzbietu – „śpiewaj i krzycz, Valhalla, ja idę”.

\* \* \*

– System składa się z pięćdziesięciu pięciu podpocisków, z inicjatorem Indowy w każdym z nich – powiedział doktor Castanuelo, wskazując wyświetlony na ekranie schemat. – Po odpaleniu dociera do punktu docelowego i zaczyna rozrzucać pociski, ale żeby nie było olbrzymiego pola rażenia, zaczyna je rozkładać już w czasie lotu. Każdy pocisk ma lotki spowalniające; udowodniono,

że nie uruchamiają one posleeeńskich systemów obronnych. Na zaprogramowanej wysokości nad ziemią, ustalanej przez wysokościomierze radarowe w każdym pocisku, pole utrzymujące uwalnia wiązkę antyprotonów do matrycy fulerenowej, która od tego momentu podtrzymuje szybko postępującą reakcję łańcuchową.

Jack Homer patrzył, jak kasety wypadają z pocisku artyleryjskiego i rozpraszają się nad dużym obszarem. Przypominało to działanie bomby kasetowej, dopóki człowiek nie uświadomił sobie, że te parowy i małe wzgórza w tle to Góry Skaliste.

– Jaki jest obszar rażenia? – spytał. Przyleciał promem na uniwersytet, kiedy tylko dowiedział się o odkryciu. Wciąż nie wiedział, czy to odpowiedź na jego modlitwy, czy najgorszy koszmar od czasu wieści o inwazji.

Doktor Castanuelo nerwowo odchrząknął,

– Pięćdziesiąt pięć kilometrów długości, dwadzieścia pięć szerokości. To odpowiednik studziesięcikilotonowej bomby, ale przy znacząco różnym efekcie ogólnym. Na przykład impuls cieplny równa się dwóm megatonom.

– I pan to sam zbudował? – spytał cicho Jack. – Bez autoryzacji? Bez mówienia o tym komukolwiek? Sto dziesięć megaron?!

– Miałem pod ręką hiperfuleren i inicjatory, leżały i się kurzyły – odparł doktor Castanuelo. – Pomyślałem, że mogą się przydać.

– Pomyślał pan, że mogą się przydać. Ile tego... hiperfulerenu pan wyprodukował?

– Kiedy opracowaliśmy już model produkcji, lepiej było jej nie przerywać. To znaczy mieliśmy zasilanie i materiały. Potem już łatwo poszło.

– Ile? – powtórzył generał, lekko się uśmiechając. Pytanie zostało zadane prawie szeptem.

– Cóż, nie licząc materiałów w bombie, około stu czterdziestu kilogramów.

– Hiperfulerenu? – Jack wziął głęboki oddech.

– Nie, generalnie określamy to jako antywodorową masę atomową...

– Ma pan sto czterdzieści kilogramów antimaterii?!

– Pomyślałem, że może się przydać – powiedział bezradnie *doktor*.

– Jasne, na paliwo dla Dziewiątej Floty! – wrzasnął Jack. – Niech mi pan powie, jaki ta bomba ma efekt radioaktywny.

– Jest bardzo gorąca, obawiam się. – westchnął naukowiec. – To jeden z powodów, dla których nie nadaje się na źródło energii. Ale za to promieniowanie utrzymuje się bardzo krótko. Za dzień czy dwa teren będzie miał już tylko wysokie promieniowanie tła, a za miesiąc trzeba będzie czułych sensorów, żeby stwierdzić, że w ogóle doszło tam do wybuchu. Ale na szczęście da się to łatwo wykryć.

– Jasne, licznikiem Geigera! – powiedział rektor Carson.

– Ależ nie, dodaliśmy chemiczny składnik wizualny. To była propozycja jednego z moich magistrantów, bardzo sensowna. Te naprawdę „gorące” rejony będzie łatwo rozpoznać wizualnie, a stopień zabarwienia będzie słabł w miarę słabnięcia promieniowania.

– Ale cały ten system nie został jeszcze przetestowany – zauważył Carson ze spokojem, z jakim chirurg stwierdza, że doszło do wypadku podczas operacji mózgu.

– Wystrzeliliśmy makietę z przekaźnikami – powiedział naukowiec. – Wszystkie ocalały, a to oznacza, że stworzone przez Indowy pola utrzymujące działają. Hiperfuleren przetestowano pod kątem skutków możliwych wstrząsów. Niestety, problemem nie jest przedwczesna detonacja, lecz zmuszenie go, żeby w ogóle detonował.

– I jest uzbrojony – powiedział oskarżycielskim tonem Carson.

- No cóż, jest.
  - A blokady działania? – spytał Jack.
  - Jeszcze nie ma – przyznał Castanuelo. Innymi słowy, bombę mógł zdetonować każdy, kto miał podstawowe umiejętności techniczne.
  - A strażę? Elektroniczne zabezpieczenia? Sejf? – pytał z wściekłością generał.
  - Trzymamy to w jednej z naszych kopalń – odparł naukowiec, wzruszając ramionami. – Pilnuje tego dwójka moich studentów. Proszę posłuchać, to był ekspresowy projekt!
- Jack zerknął na nadgarstek, gdzie zazwyczaj nosił przekaźnik, a potem na swojego adiutanta.
- Jackson, łapcie za telefon. Chcą tu mieć niezależnych ekspertów, jednego od antymaterii, jednego od systemów jej utrzymywania i jednego od dział i amunicji. Chcę mieć nie później niż za godzinę regularną kompanię dookoła miejsca, gdzie jest ta bomba, a przed wieczorem mają ich zastąpić jednostki sił specjalnych.
- Spojrzał na naukowca i pokiwał głową.
- Doktorze Castanuelo, ma pan rację, to nam się przyda. Jestem pewien, że właśnie ten fakt uratuje pana skórę. O ile bomba zadziała. Bo jeśli nie,..
  - Proszę pana, jeśli nie zadziała, ja się o tym nie dowiem – powiedział Castanuelo. – Jeśli na przykład bomba detonuje przy odpalaniu, nie będzie już Knoxville.
  - A jeśli jednocześnie detonuje reszta pana materiałów, będziemy mogli się pożegnać z całym Tennessee!

Rabun Gap, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

15:22 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
poniedziałek, 28 września 2009

Milce nie musiał patrzeć na odczyty, żeby się zorientować, jak zła jest sytuacja batalionu. Większość panczerzy leżała na zawalonym kłodami zboczu. Częściowo z powodu zmęczenia – nawet w pancierzach udział w walce był morderczo wyczerpujący – głównie jednak dlatego, że doświadczeni żołnierze starali się oszczędzać każdą odrobinę energii. Niektórzy mieli już tylko jeden procent rezerw zasilania; po zejściu do zera pancierz otwierał się i „opróżniał” Protoplazmatyczny Układ Inteligencji. Marna perspektywa.

Do tego dochodziła strata Gunny’ego Pappasa.

Ale na tym problemy się nie kończyły. Mike wciąż miał prawie dwie kompanie żołnierzy, ale stracił przy lądowaniu kapitana Holdera, w rezultacie czego kompania Charlie zaczęła się rozłazić w szwach. Jedyne sztab w miarę dobrze wyglądał. Ale w tym momencie oficer wywiadu tak naprawdę wcale nie był mu potrzebny; wszyscy wiedzieli, gdzie są Posleeni. Nie potrzebował też oficera operacyjnego. Obcy nacierali po staremu, a oni mieli ich po staremu odpierać. Niech to szlag, batalion nie potrzebował nawet dowódcy.

Najlepszym kandydatem na dowódcę, kompanii był prawdopodobnie Stewart. Miał charyzmę, znał się na taktyce i manewrach operacyjnych i nie miał... problemów Duncana.

A więc czemu Mike przez cały czas uważał, że dowodzenie kompanią Charlie powinien powierzyć Duncanowi?

Zdjął hełm i wypluł przeżuty tytoń na ziemię, a potem rozejrzał się po swoich ludziach. Połowa żołnierzy poszła spać, mając gdzie provigil. Mike sam nie był w lepszej formie, dlatego może rozważał powierzenie dowodzenia kompanią oficerowi, który przeszedł szok bitewny.

Duncan, razem ze Stewartem i Pappasem, był z nim od lat, odkąd tylko otrzymał swoją pierwszą kompanię. Przedtem był na Diess, skąd przeniesiono go na Barwhon. A na Barwhon wydarzyło się coś, co sprawiło, że... coś w nim pękło. Świetnie radził sobie z wzywaniem ognia, z wymyślaniem skutecznych planów kierowania bitwą, ale kiedy stawiało się go na linii ognia... zamykał się.

Miał za to olbrzymie poczucie odpowiedzialności. Postawienie go na czele kompanii Charlie spowoduje, że albo się przełamie, albo na stałe wyłączy.

Poza tym, szczerze mówiąc, gdyby Mike poległ, Stewart mógłby przejąć dowodzenie batalionem. A to mogłoby uratować wszystkim tyłki.

– Duncan – powiedział w końcu. – Jesteś mi na chwilę potrzebny.

\* \* \*

– To jakiś koszmar – powiedziała Shari, po raz kolejny o coś się potykając.

Dolina Rabun Gap kiedyś była przyjemnym miejscem; zbocza porastały drzewa, a na dnie rozciągały się pola uprawne. Ale wielokrotne eksplozje jądrowe wszystko to zmieniły.

Drzewa na zboczach zostały nie tylko zwalone, ale i porzrzućane, często nawet daleko w głąb doliny. Między nimi wały się szczątki żołnierzy korpusu, którzy tu zginęli, potrzaskane czołgi, powywracane haubice, ciężarówki i budynki. Do tego dochodziły zwały ziemi i wyrwane przez wybuchy kratery; niektóre eksplozje były tak nisko, że wyrwały glebę aż do macierzystej skały.

I właśnie przez ten nuklearny koszmar brnęli teraz ze swoim ciężkim ładunkiem. Pancierzom szło to dość łatwo; mając nieograniczone rezerwy energii, praktycznie mogły przelatywać nad

przeszkodami. Ludzie jednak musieli przeczłogiwać się pod nimi lub nad nimi albo je obchodzić dookoła.

– Niech pani nie marudzi – powiedział Tommy, oglądając się nerwowo na wschód. – Gdyby nie to wszystko, już byśmy mieli towarzystwo.

– Posleeni mogą się przez to przebić – powiedział Mueller, a potem zaklął, kiedy noga ugrzęzła mu w jakiejś dziurze. Skrzynia na plecach spowodowała, że poleciał twarzą w ziemię i przez chwilę nie był w stanie się podnieść. – Cholera.

– Nie pokładać się, sierzancie – parsknął śmiechem Tommy. Odłożył jedną ze swoich skrzyń i wyciągnął potężnego podoficera z dziury jak korek z butelki.

– Wie pan, poruczniku, potrafi pan działać człowiekowi na nerwy – uśmiechnął się żałośnie Mueller.

– Kiedy szliśmy do was, ruszaliśmy z końca doliny – ciągnął Sunday. – Jest tam... ogromna sterta ziemi i śmieci. Przyjrzałem się jej ze szczytu wzgórza; wygląda na to, że lądownik musiał być tuż nad ziemią, kiedy wybuchł. Tak czy inaczej, przez tamto usypisko i zwalone drzewa na wszystkich zboczach trochę to potrwa, zanim Posleeni się tutaj przebiją.

– Hmm... – mruknął Mosovich. – A więc jeśli nie przyjdą z zachodu, skład powinien być bezpieczny.

– Albo z północy – dodał Mueller. – Tam też jest droga.

– Musieliby się nieźle zgubić – zachichotała Wendy. – To bardzo nędzna droga.

– Nie da się ukryć – przyznał Mosovich. – I bardzo dobrze.

Spojrzał na górę, na którą mieli się wspiąć – była cała pokryta zwalonymi drzewami – i westchnął.

– Jestem za stary na takie pierdoły.

\* \* \*

– Sierzancie, dziękuję, że pomogliście przynieść ten sprzęt

Mosovich nigdy wcześniej nie spotkał sławnego Mike'a O'Neala, i to, co zobaczył, nie zrobiło na nim szczególnego wrażenia, nawet jego dziwny pancerz z hologramem demona na froncie. Cały oddział majora leżał płasko na plecach na zboczu Black Mountain i wyglądał tak, jakby w najbliższym czasie nie był zdolny do jakiegokolwiek działania. Po przytarganiu całego tego draństwa na samą górę widok najwyraźniej zdechłych pancerzy wspomaganych nie był specjalnie budujący.

– Tak jest, sir – odparł. – Właściwie to nie ja tu dowodzę, tylko kapitan Elgars.

– W pewnym sensie – rzekła Elgars, rzucając na ziemię ciężką skrzynię. – Jak wygląda sytuacja, panie majorze?

– Kiedy tylko naładujemy pancerze, będziemy mogli wrócić do Gap. – W chwili, kiedy O'Neal to mówił, ekipa techników już podłączała kable zasilające do generatorów antymaterii. – Ponieważ to standardowa amunicja, nie będziemy potrzebowali tak dużo energii, jak dotąd. A mając dodatkowe pakiety antymaterii, będziemy w stanie walczyć przez co najmniej dwa dni. Zakładając, oczywiście, że przeżyjemy.

W głosie majora można było wyczuć ironię.

– Cieszę się, że mogliśmy się przydać, sir – rzucił sucho Mosovich.

– Wiem, że kompania pancerzy wspomaganych rozwalonych na trawie głupio wygląda – powiedział O'Neal, zdejmując hełm – ale niektóre z nich musieliśmy nieść przez ostatnie sto metrów, gdyż zabrakło nam zasilania. Gdybym sam mógł pójść, poszedłbym, ale Sunday i jego Kosiarze jako jedyjni mieli wystarczającą ilość energii, żeby dotrzeć do składu. Jeszcze raz dzięki za pomoc.

Mosovich patrzył, jak żel z pancerza ześlizguje się z włosów majora i skapuje do otwartego

hełmu. Oficer był młodszy niż sierżant się spodziewał. Oczywiście był odmłodzony, ale mimo zmęczenia miał w sobie jakąś naturalną młodość.

– Kiedy pan ostatnio odpoczywał, sir? – spytał szorstko.

– Po to właśnie jest provigil, sierżancie – odparł O’Neal, marszcząc brew i spoglądając na dolinę. – Przypuszczam, że pan wie, iż się tutaj wychowałem.

– Tak, sir. – Mosovich zawahał się. – Znałem pana ojca. Mieliśmy wspólnych znajomych. Byłem na jego farmie.

– Rozumiem, że ciało ojca zginęło. – Mike sięgnął do pancерnej skrytki i wyciągnął puszkę Skoala. – Tytoniu?

– Nie, sir, dziękuję. Cally mówiła, że znalazła jego ciało w bunkrze, ale kiedy tam poszliśmy, już go nie było.

– No, przynajmniej Cally jest cała. Musicie już wracać. My szybko się przebroimy i doładujemy, a potem zrobimy tu solidny atak jądrowy. Wewnętrzny skład jest zbudowany z plastalowego pancera i powinien wytrzymać, może was tylko trochę przysypać. Poinformuję Flotę, gdzie jesteście, tak że... kiedy odbijemy ten rejon, będą mogli was wykopać.

– Chyba nie będzie aż tak źle – powiedziała Elgars. – Zewnętrzny skład wytrzymał już dwa uderzenia.

– Przecież powiedziałem „solidny atak jądrowy”, prawda? – uśmiechnął się krzywo O’Neal. – Co pani powie na sto dziesięć megaton?

– O w mordę! – Mosovicha aż zatkało. – Nic tego nie wytrzyma!

– Uderzenie będzie rozproszone – powiedział major. – Poszczególne rejony dostaną po jakieś dwie megatony. Bomba wybuchnie w powietrzu. Skład bez problemu wytrzyma, ale musicie być w środku, tak samo jak moja córka.

– Tak jest, sir – powiedziała Elgars. – Cally została, aby bronić fortu. Powinniśmy już wracać. Wyprostowała się i sprężyście zasalutowała.

O’Neal skinął głową, a potem wolno uniósł dłoń w salucie.

– Do zobaczenia. Powodzenia.

\* \* \*

– Wendy... – zaczął Tommy i przerwał.

– W porządku – odparła, głaszcząc przyłbicę jego hełmu. – Nic mi nie będzie – dodała, zaciskając zęby. – I nie obchodzi mnie, co oni wszyscy mówią, ty do mnie wrócisz. Rozumiesz? Nie możesz nie przyjść na własne wesele.

– Rozumiem – odparł; jego głos dudnił we wnętrzu pancera. – Wrócę.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Jak nie przyjdiesz – powiedziała Wendy, znów głaszcząc jego hełm – dam ci w łeb twoim własnym glockiem.

Dla podkreślenia tych słów postukała w pancierz, a potem ruszyła w dół szlakiem prowadzącym w głąb doliny.

– Miła dziewczyna. Rozumiem, dlaczego chce się pan żenić.

Tommy nawet nie zauważył, kiedy major stanął za nim. Odwrócił się i spojrzał na oficera.

– Tak, sir – odparł. – Naprawdę ją kocham. To miłość jeszcze z czasów liceum. Jak w filmie.

– Rozumiem. Ja poznałem Sharon na studiach, i kiedy sobie uświadomiłem, że ona coś we mnie widzi... wydawało mi się, że umarłem i trafiłem do nieba.

– Ona... nie żyje, sir? – zapytał ostrożnie Tommy.

– Tak. Była poza swoim okrętem – pracowała przy klamrze, która się zacięła – kiedy z hiperprzestrzeni wyszedł B-Dek. Okręt próbował odpalić system, nad którym pracowała. Rakiety, klamra, okręt i moja żona, wszystko zniknęło w chmurze promieniowania i światła. Przy okazji, to było mniej więcej wtedy, kiedy pan zakopywał się pod Fredericksburgiem. – Major przerwał i poklepał Tommy’ego po plecach. – Dlatego powiedziałem, żeby pan korzystał, póki może, synu. Nie ma żadnej gwarancji, że ona nigdy pana nie zostawi. I nie ma gwarancji, że pan nie zostawi jej.

– Nic się jej nie stanie? – spytał Sunday. – To... to kurewsko duża bomba, przepraszam za wyrażenie, sir.

– Skład, w którym był sprzęt, wytrzyma prawie wszystko – odparł O’Neal. – Nic jej nie będzie. Zamkną drzwi, wezmą hiberzynę i pójdą spać, aż ktoś ich wykopie. Przecież sam pan tak robił, prawda?

– Tak, to prawda. A co z nami?

– Słyszałem, że żyje pan po to, żeby zabijać Posleenów – parsknął O’Neal. – Wobec tego mam dla pana dobrą wiadomość: nie zabraknie panu celów.

– Zgadza się, żyję po to, żeby zabijać Posleenów, ale nie będę mógł ich zabijać, jeśli oni mnie zabiją.

– Cóż, jesteśmy przebrojeni. I doładowani. A Kosiarze mają więcej amunicji. Wrócimy i zrobimy to, co zawsze: będziemy się trzymać dotąd, aż nadejdą posiłki.

– Jak długo? – spytał cicho Tommy.

– Dobrze pytanie. Mam nadzieję, że ta cholerna SheVa porządnie depnie na gaz.

\* \* \*

Cally oparła karabin o ramię i wzięła głęboki oddech.

Trzymała steyra AUG II, wersję 7.62x59 pospolitego AUG Bullpup. Broń miała wejść do powszechnego użycia przed pierwszymi masowymi lądowaniami i kilka sztuk pojawiło się u żołnierzy sił specjalnych Stanów Zjednoczonych na chwilę przed tym, jak inwazja zahamowała wszelki normalny handel. Dzięki swoim znajomościom O’Nealowi udało się załatwić jedną sztukę dla Cally i dziewczynka była bardzo zadowolona, że tak się stało. Karabin był niniejszy i krótszy niż większość broni o kalibrze 7.62, więc przy jej drobnej budowie ciała łatwiej jej było się nim posługiwać, a wbudowany bufor redukował odrzut do poziomu karabinka 9 mm. Cally strzelała więc z niego dość celnie, zwłaszcza kiedy miała lunetę o zmiennym zoomie 3-9x.

Z rozmów z tatą i dziadkiem wiedziała, że najważniejszym celem w posleńskiej kompanii jest Wszechwładca. Ma on wszystkie sensory, więc kiedy się go „zdejmie”, reszta kompanii może polegać tylko na czujniku Gałka Oczna Mkl. Poza tym w odpowiedzi na śmierć Wszechwładcy i zburzenie zwykłego porządku duża część normalsów po prostu rozłazi się po okolicy, gdzie dziczejają. A więc pierwszym celem ataku musi być Wszechwładca.

Z drugiej jednak strony Posleeni byli bardzo twardzi; jeśli zostali ranni, przestawali się po prostu na układ rezerwowy i walczyli dalej. Żeby ich zabić, trzeba było trafić w serce albo mózg.

Problem polegał jednak na tym, że Wszechwładca, z którym miała do czynienia, najwyraźniej przyswoił sobie koncepcję posleńskich tarcz i przez cały czas był otoczony przez normalsów, tak więc nie było nawet cienia szansy na trafienie go w serce. Mózg Posleena zaś, podobnie jak u ludzi, mieścił się w głowie umieszczonej na długiej, ruchliwej szyi. A trafić w głowę było ciężko jak diabli.

Niestety, wszystko wskazywało na to, że był to jedyny dostępny cel. Cally wypuściła więc wolno powietrze i dotknęła spustu.

\* \* \*



Cholosta'an obserwował swoje sensory. Wskazywały, że gdzieś na kalenicy nad nim znajduje się jakieś elektroniczne urządzenie. Mógł to być jeden z losowo rozrzuconych czujników, które pozwalały ludziom śledzić ruchy Posleenów. Jeśli tak, nie trzeba się nim przejmować; w okolicy nie ma żadnych ludzi, którzy mogliby zareagować.

Mógł to jednak być człowiek albo wielu ludzi z aktywną elektroniką, na przykład z radiem albo noktowizorem.

Sensory nie potrafiły dokładnie określić położenia sygnału; był tuż poza ich zasięgiem. Cholosta'an zerkał co chwila w górę, próbując wypatrzeć cel, dlatego wcale nie był zaskoczony, kiedy sensory zawyły, ostrzegając przed nadlatującym pociskiem, i oolt'os po lewej stronie jęknął, trafiony w szyję.

Napastnik stał się teraz wyraźnie widoczny; był to człowiek uzbrojony w chemiczny karabin. Cholosta'an obrócił swoje działko plazmowe na właściwy wektor i wypalił, wiedząc, że reszta jego oolt'os robi to samo.

\* \* \*

Cally wcisnęła się w wąską, szczelinę w skale i zakłęła pod nosem. Słyszała o tyra, jak Posleeni reagują na ostrzał, ale słyszeć a być celem to dwie zupełnie różne rzeczy.

Otoczające ją skały na szczęście wytrzymały. Oczywiście dymiły i pękały od trafiających je pocisków, ale większość ognia szła dołem i w lewo. Cally nie wiedziała, co przeszkadzało Posleenom celnie strzelać, ale cokolwiek to było, ocaliło jej tyłek. I była za to wdzięczna.

Ale nie aż tak bardzo, żeby jeszcze raz strzelać z tego samego miejsca. Kiedy ostrzał zelżał, przeczołgała się, ukryta pod płaszczem maskującym, za duży głaz, aby zejść Posleenom z linii ognia.

Pora znaleźć sobie inne miejsce.

\* \* \*

Cholosta'an wysłał jednego z oolt'os na wzgórze, żeby sprawdził, czy znajdzie jakiś ślad snajpera, ale zanim normals dotarł do połowy drogi, rozległ się następny strzał i kolejny oolt'os został trafiony, tym razem prosto w serce.

– To się robi nie do zniesienia – mruknął Cholosta'an i znów namierzył snajpera. Nie wiedział, dlaczego chyba, choć miał szczery zamiar wyśledzić natręta i go zniszczyć.

– Na górę! – krzyknął, wskazując ikonę celowniczą. – Brać go!

Ten człowiek nie może uciec; trzeba go zabić, zanim zaczną wzywać artylerię.

\* \* \*

Aatrenadar prychnął, kiedy kolejna salwa artylerii przeorała jego ool'ondar. Ludzie byli głęboko okopani, a więc nawet przy zmasowanym ogniu tysięcy Posleenów trzymali się, stawiając ścianę zaporowego ognia z karabinów i karabinów maszynowych, podczas gdy ich przekłęta artyleria grzmiała z góry.

Ludzie szybko zareagowali na nuklearny ostrzał, który zdziesiątkował horde; natarli w niepowstrzymanej szarży, wycinając po drodze wszystkich ocalałych obcych. Wielu z nich było tak zaskoczonych, że nie zobaczyli nawet ludzkich czołgów ani piechoty, dopóki nie wsiadła im na karki.

Natarcie zepchnęło niedobitki hordy do saka na południe od miasta Green's Creek. Było tam za mało miejsca, żeby rozwinąć szyk i zmasować ostrzał, a prowadząca tutaj wąska, kręta droga była tak zapchana oolt'os i kessentaimi, że Posleeni z trudem uzupełniali na bieżąco straty. Jeśli jeszcze dodać do tego ostrzał artyleryjski gdzieś w głębi przełęczy, Posleeni chociaż raz mogli użyć terminu „opały”, by opisać własną sytuację.

Jedynym jej jasnym punktem było to, że chociaż horda nie mogła posuwać się naprzód, ludzie

też nie mogli. Posleeni nie mieli miejsca do wykonywania manewrów, ale ludzie tak samo go nie mieli. To była bitwa na wyniszczenie.

Aatrenadar oczywiście może nie zobaczyć ostatecznego zwycięstwa, ale Ścieżka jest ścieżką bólu i śmierci, i równie dobrze może umrzeć tutaj, jak i gdzie indziej. Oby tylko zdołał zatopić kły w jeszcze jednym człowieku.

– Naprzód! – wrzasnął. Oolt’os walczyli jak dzikie zwierzęta, ale młodszy kessentaiowie potrzebowali zachęty. – Naprzód, za horde! Naprzód, za Ścieżkę! Krew i łupy czekają!

Ruszył swoim tenarem do przodu i nagle zamarł, kiedy rozbłysła gigantyczna żarówka. Po chwili znów coś potężnie błysnęło, a potem jeszcze raz. Przez moment widział swój własny cień na plecach poprzedzających go oolt’os, a potem zrobiło się ciemno, jakby słońce zgasło. Jednak wzrok Aatrenadara szybko dostosował się do zmian oświetlenia i Posleen zobaczył masę metalu, która pojawiła się na szczycie odległego wzgórza niczym ruchoma góra.

\* \* \*

– Trzeci pocisk poszedł, sir – powiedział Pruitt. – Nie jestem zadowolony z tego, że musimy odpalać te draństwa prawie pionowo, a nie mamy porządnego danych o wiatrach w górze.

– Zwieje go na tę stronę Gap? – spytał Mitchell-

– Nie, sir, jeśli w ogóle, to spadnie trochę za daleko.

– W takim razie może być – powiedział pułkownik, stukając w klawiaturę mapy. – Dobra, Pruitt, ładuj pociskami z antymaterią. Major Chan, za chwilę wasza kolej. Reeves, kurs na wektor, który wprowadziłem. – Rozejrzył się po kabinie i pokręcił głową. – Czadu.

\* \* \*

Potwór był wielki jak oolt Po’sol, a coś tak wielkiego nie powinno móc pełznąć po ziemi. Wychynął zza wzgórza, przechylony tak, że przy swojej wysokości powinien przewrócić się na bok. Ale on się nie przewrócił, lecz toczył się przed siebie, a ogień wszystkich oolt’os i kessentaiów odbijał się w gradzie iskier od jego przedniego pancerza. Ładunki plazmy orały rysunek na jego przodzie, hiperszybkie rakiety uderzały w niego jak świetliki w szybę, a on parł naprzód.

A potem zniknął za ścianą wody.

\* \* \*

– O cholera – powiedział pułkownik Mitchell, patrząc na monitor, który nagle szerniał. SheVa szarpnęła do przodu, wskazując, że zjeżdżają w dolinę Sutton Branch, co powinno trochę zmniejszyć morderczy ostrzał. Ale utrata wszystkich przekazów wizualnych w samym środku bitwy... to niezbyt fortunne wydarzenie. – Co się stało, do cholery?

– Pułkowniku? – odezwała się w słuchawkach Chan. – Mamy tu... fontannę wody. Wszędzie się leje! Gówna widzimy, za przeproszeniem.

– Wizja: brak, radar: brak, lidar: brak – wyliczał Pruitt. – Co się stało, niech to szlag?

– Cholercia – powiedział Kilzer. – Niech no zajrzę do notatek...

– Panie Kilzer! – krzyknął pułkownik. – To pana robota?!

– No tak – odparł cywil. – To eksperymentalny system obrony przed plazmą. Zamontowaliśmy zbiornik na dwieście metrów sześciennych wody i...

– No to zanim pan zajrzy do notatek, niech pan będzie tak uprzejmy i to wyłączy! Wjeżdżamy na tyły walczącej dywizji! Przejechanie na przykład ich kwatery głównej byłoby dużym błędem!

– Kwatera główna jest za nami, pod Dillsboro, szefie – zauważył Pruitt. – Ale dobrze byłoby wiedzieć, gdzie mamy strzelać.

– Dobrze, dobrze – mruknął cywil, wciskając przełącznik. – Przecież nikt nie zginął...

– Zatrzymaj, Reeves – rozkazał Mitchell, zaskoczony tym, jak daleko zajechali. Minęli już strumień i dotarli do połowy zbocza następnego wzgórza. Pułkownik spojrzął na swój monitor i zobaczył, że kościół, który stał na szczycie, właśnie zniknął pod gąsienicą, a biegnące tamtędy przewody wysokiego napięcia zwisają z przedniego pancerza Bun-Buna.

– Gojira! – krzyknął Reeves, kiedy zaczęli zjeżdżać ze wzgórza.

– Maj... chciałem powiedzieć pułkownikowi – zauważył Pruitt – chyba jesteśmy w zasięgu Posleenów.

Jego słowa potwierdził głuchy brzęk kolejnej hiperszybkiej rakiety zderzającej się z przednim pancierzem Bun-Buna.

– Majorze Chan, czy ma pani zasięg?

– Tak, sir – odparła dowódca MetalStormów. – Nie widzimy za wiele celów, ale jesteśmy w ich zasięgu.

– Ogień na drogę – rozkazał Mitchell. – Wygląda na to, że właśnie po niej bieżą. Po pierwszej salwie rozproszyć ogień na boki, nad pozycjami dywizji.

– Tak jest, sir – powiedziała Chan. – Kiedy tylko będzie pan gotów.

Mitchell otworzył usta i podniósł palec, ale Kilzer powstrzymał go uniesioną dłonią.

– Pułkowniku, to nie jest absolutnie niezbędne, ale szczerze polecam – powiedział, wciskając przycisk. W interkomie rozległ się łomot werbli, a potem skowyt dud.

Mitchell przez chwilę słuchał muzyki, a potem wyszczerzył zęby, kiedy usłyszał pierwsze słowa.

– O tak – powiedział i zaczął machać do rytmu uniesionym palcem. – Co to jest?

– *Marsz Cambreath*.

– Racja. Może być. Majorze Chan!

– Sir! – odparła dowódca MetalStormów, kiwając głową w rytm muzyki.

– Ognia!

*Błysk topora i świst miecza  
Lśniące zbroi pęka splot  
Biegnie rumak, tarcza lśni  
Bij bękartów, bij do krwi.  
Czarna klacz, jak jucha ogier  
Walcz, ta ziemia twą ma być  
Zadmij w róg i okrzyk wznies  
Ilu z nich polegnie dziś!*

*Rób, co każe ci twój wódz  
Niech im krew się zetnie w żyłach  
Walcz, aż padniesz albo legniesz  
Nas dziś nie da się zatrzymać!  
Walcz niepomny bólu, trwogi  
Walcz, aż stracisz całkiem zmysły  
Niech ni jeden się nie przemknie  
Ilu z nich polegnie dziś!*

Heather Alexander,  
*Marsz Cambreath*

Green's Greek, Północna Karolina,  
Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III  
16:48 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
poniedziałek, 28 września 2009

– Boże, jak to dobrze znów strzelać czymś lekkim.

Specjalistka Cindy Glenn nie uważała, w przeciwieństwie do swojego dowódcy, służby w Armii za karierę, zwłaszcza służby w takiej jednostce.

System MetalStorm wymyślono na krótko przed pierwszym kontaktem z wrogiem. Pomysł był uosobieniem prostoty, tak jak większość interesujących wynalazków. Zamiast wkładać pociski w skomplikowany system podający, wpakowano je wszystkie do lufy, jeden za drugim, a między nimi umieszczono ładunek miotający. Detonowana elektronicznie broń miała niewyobrażalną siłę ognia – dosłownie setki pocisków opuszczały lufę w ciągu kilku sekund. Jeden z testowanych egzemplarzy wykazywał nawet szybkostrzelność rzędu miliona pocisków na minutę.

System miał też jednak pewne wady. Ponieważ lufa była jednocześnie magazynem dla pocisków, „przeładowanie” wymagało wymiany całej lufy. Co więcej, system ważył astronomicznie dużo, dlatego nie było to zbyt rozsądne uzbrojenie dla piechoty, która i tak zawsze była przeciążona.

Po inwazji Posleenów MetalStormów zaczęto więc używać jako systemu „rażenia powierzchniowego”, kładącego ogień zaporowy; najlepiej określał to termin „deszcz ołowiu”. Kiedy przychodziło do powstrzymania fali natarcia obcych, siła ognia nigdy nie była za duża, a trudno było o większą niż miał MetalStorm.

Konstrukcję tę wykorzystywano także w pewnych systemach specjalistycznych, z których jednym był „Przeciwlądownikowy Zestaw Zwiększonej Siły Ognia i Opancerzenia MetalStorm”. Broń ta

składała się z korpusu czołgu Abrams i dwunastolufowego pakietu MetalStorm, montowanego zamiast wieży. Lufy miały kaliber 108 mm, a każda zawierała po sto pocisków przeciwpancernych z odrzucanym sabotem. Po naciśnięciu spustu system wyrzucał z siebie w czasie poniżej jednej minuty tysiąc dwieście pocisków. Spodziewano się, że taka burza zubożonego uranu, tego samego typu i kalibru, jaki opracowano dla Abramsów do przebijania sowieckich pancerzy, będzie w stanie poradzić sobie z opancerzeniem posleńskich lądowców, które często urządzały ludzkim umocnieniom piekło. Niestety, rzeczywistość nie do końca była zgodna z założeniami projektu.

System o nazwie „Malefic”, czyli „Groźny”, faktycznie był groźny, ale tylko dla swojej załogi. Abramsa zaprojektowano z myślą o pociskach 105 mm, ale upgrade do kalibru 120 mm powiódł się, co znacząco zwiększyło siłę ognia. Jednak odpalenie tysiąca dwustu przeciwpancernych pocisków z odrzucanym sabotem w czasie poniżej minuty okazało się... wcale nie najlepszym rozwiązaniem. Wielu czołgistów dezercerowało albo umyślnie się okaleczało, by uniknąć służby w MetalStormach. Bo kiedy dwanaście luf zaczynało pluć zubożonym uranem, sześćdziesięcotonowy czołg skakał jak mikser na nierównym podłożu. Rzucana po całym wnętrzu załoga często doznawała złamań kości; porównywano to do turlania się w beczce żwiru.

Mimo wielkiej siły ognia Malefic się nie sprawdził. Pancerze posleńskich lądowców były grube, a same okręty były wielkie i rzadko zbliżały się do ziemi. Tymczasem MetalStormy były w stanie wyrządzić poważniejsze szkody jedynie z niewielkiej odległości, a próba zestrzelenia lądowca była wręcz samobójstwem.

Ponieważ jednak wojsko poniosło olbrzymie koszty i wystawiło nawet kilka kompanii Maleficów, zamiast po prostu zdjąć z nich wieże, a korpusy wykorzystać na części, władze postanowiły ich użyć między innymi do rażenia powierzchniowego.

To wymagało jednak innego systemu uzbrojenia. „Dwunastopak” 105 mm słabo nadawał się do zabijania dużej liczby Posleenów, Pociski miały aż za dużą siłę rażenia, a MetalStorm mieścił ich stosunkowo niewiele.

Ponieważ system miał nie tylko wymienną amunicję, ale i lufę, nie było powodu, aby niewolniczo trzymać się kalibru 105 mm. Zaprojektowano więc i wprowadzono do użycia jeszcze większy pakiet kalibru 40 mm.

Projekt wykorzystywał zwykły granat 40 mm, taki sam, jakim strzelał wysłużony Mk-19 Mod 4; był to pocisk w kształcie kuli, składający się z nieco ponad pół kilograma materiału wybuchowego i drutu. Skuteczny zasięg ognia wynosił trzy tysiące metrów; przy uderzeniu pocisk wybuchał, rozrzucając na wszystkie strony kłęb ponacinanego drutu, który zabijał albo ranił wszystkich w promieniu pięciu metrów.

Każdy z „czterdziestopaków” MetalStormu zawierał dwadzieścia tysięcy takich pocisków.

Zamiast dwunastu zamontowano sto luf, a zamiast stu pocisków do każdej lufy załadowano ich po dwieście.

Widać już było masę Posleenów próbujących, mimo ciężkiego ognia piechoty, precyzyjnie się przez przełęcz. Obcych wyrzynano tak, że kolejne szeregi musiały się wspinać na stosy zabitych, ale i tak centymetr za centymetrem posuwali się naprzód.

Ale to się wkrótce skończy.

Glenn umieściła krzyżyk celownika na czele kolumny i otworzyła ogień.

To, co bluznęło z luf, wyglądało jak fala ognistych wymiocin. Na każde pięć pocisków jeden był smugowy, a przy takiej szybkostrzelności smugowce nie tylko tworzyły ciągły strumień, ale nakładały się na siebie. Pakiet wypluwał więc ścianę ognia półtorametrowej szerokości, która eksplodowała natychmiast, gdy napotykała jakąś przeszkodę.

Każdego Posleena trafiało jednocześnie kilkadziesiąt pocisków, w wyniku czego dosłownie znikał. Kiedy tylko stało się jasne, że natarcie zostało zatrzymane, Glenn przeniosła ogień wzdłuż drogi, by upewnić się, że objęła ostrzałem całą horde. Efekt był taki, jakby Posleeni zostali przez jakiegoś rozwścieczonego boga przepuszczeni przez maszynkę do mielenia mięsa.

Niestety, nawet dwieście tysięcy pocisków zużywa się w krótkim czasie, dlatego już po czterech sekundach Wieża Jeden zamilkła. Po chwili Glenn wcisnęła przycisk odrzucania lufy i potężny stalowy pakiet poleciał do tyłu, na pokład SheVy,

– Jestem pusta, ma'am – powiedziała, włączając kołowrót ładowniczy. – Ale za chwilę będę gotowa.

Chan widywała już skutki działania ognia czterdziestopaków, ale mimo to odpowiedziała dopiero po chwili.

- Pewnie, nie ma sprawy. Wieża Dwa?
- Jest Wieża Dwa.
- Podjąć ogień. Trzy, kiedy Dwójka będzie pusta.
- Wieża Trzy, przyjąłem.

Chan przełączyła się z częstotliwości kompanii na interkom SheVy.

- Pułkowniku Mitchell, niedługo zabraknie nam celów.

\* \* \*

Mitchell pokręcił głową, widząc krwawą jatkę na drodze. Urwiska po obu stronach wąskiej szczeliny były zbryzgane na żółto niemal po same szczyty. Czegoś takiego nie widywało się codziennie.

– Kiedy przejście będzie wolne, przenieście ogień nad wzgórze. Mamy tam mało miejsca do manewrów, a chrupki już jadą.

– Zrozumiano, sir. Dobrze by było, gdybyśmy wjechali na następne wzgórze. Według mojej mapy jest stamtąd widok na drugą stronę. Moglibyśmy chyba coś stamtąd zdziałać.

Mitchell parsknął śmiechem i pokiwał głową.

– Zgoda, prawdopodobnie będziemy mieli kłopoty za przejechanie kościoła. Przedzwonię do dywizji i dowiem się, czy nie mogliby zabrać nam z drogi trochę swoich chrupków.

– Tak jest, sir. – Chwila przerwy. – Wystrzelaliśmy wieżyczki od jeden do sześciu i dwanaście. Pozostałe nie mają pola ostrzału.

– Ile potrwa przeładowanie? – spytał Mitchell, patrząc w bok na machającego do niego cywilnego projektanta.

– Jeszcze jakieś trzy minuty, sir – odparła Chan. – Strzelamy o wiele szybciej niż jesteśmy w stanie ładować.

– Chwileczkę – powiedział Mitchell, wyłączając fonię interkomu i marszcząc brew na widok coraz gwałtowniej szych gestów Kilzera. – O co chodzi?

– Obróćcie wieżę – powiedział Kilzer.

– Już obróciła – odparł jadowicie Mitchell i przerwał. – O Jezu.

– Niech się pan nie przejmuje – powiedział Kilzer, machając ręką. – Obmyślałem to dłużej niż pan.

– No to jak, szefie, mam obrócić wieżę? – parsknął śmiechem Pruitt.

– Major Chan. – Mitchell znów włączył interkom. – Obrócimy wieżę tak, żebyście mogli uruchomić resztę działek.

Odczekał chwilę, potem się uśmiechnął.

– Jeśli właśnie wali pani głową w panel sterowania wieżą, niech się pani nie przejmuje. Ja też

to robię.

– Dziękuję, sir – odpowiedziała Chan i Pruitt wcisnął odpowiednie przyciski.

\* \* \*

– Powoli, Pruitt – powiedziała Chan, przełączając się na częstotliwość kompanii. – Wieża Pięć, teraz ty. – Struga ognia przemknęła nad pobliską kalenicą. – Chcę spróbować załatwić teren po drugiej stronie.

Kiwnęła głową, kiedy wieża SheVy zaczęła się obracać. Pruitt najwyraźniej dobrze wyczuwał ogień MetalStormów nawet w grubo opancerzonej kabinie sterowania, i obrócił wieżę zaraz po tym, jak Piątka skończyła strzelać. Następnie zrobił to samo, kiedy skończyła Szóstka. A więc major mogła się nie martwić.

Wystawiła głowę z włazu i przyglądała się, jak Glenn steruje lądownikiem. Na pokładzie SheVy za wieżyczką zamontowane były cztery pakiety, trzy czterdziestki i jedna stopiątką. Lądownik był obrotowym wózkiem widłowym. Kiedy już złapał za specjalne uchwyty na dnie pakietu, co było najtrudniejszym etapem lądowania, Glenn wcisnęła przycisk „sekwencja lądowania” i lądownik unosił wielotonowy pakiet w górę, a potem ostrożnie opuszczał go w uchwyty broni. Kiedy pakiet był już na swoim miejscu, broń wpuszczała poziome i pionowe trzpienie i cały system był już gotowy do strzału.

Proste. Tak proste, że wszystkie wieże były załadowane, zanim przyszła kolej na Dziewiątkę. Pytanie brzmiało tylko, czy kontynuować ostrzał.

We wnętrzu SheVy znajdowały się kolejne pakiety, ale wydobyć ich wymagałoby dźwigu i kogoś, prawdopodobnie Pruitta, kto potrafiłby go obsłużyć. To zaś oznaczało około godziny na uzupełnienie podręcznych zapasów amunicji, dlatego Chan nie bardzo chciała wystrzelać wszystko na oślep.

– Pułkownik Mitchell – powiedziała, przechodząc z powrotem na interkom. – Proponuję dać im klapsa stąd, a potem albo ruszyć naprzód, przez grzbiet, albo jechać w stronę Franklin.

\* \* \*

Mitchell żałował, że pozwolił Kitteket odejść. Bardzo by mu się przydał ktoś, kto mógłby się zająć łącznością. SheVy nie komunikowały się zbyt często. Zazwyczaj pozostawały w jednym miejscu albo poruszały się według ostrożnych wyliczeń i koordynat miejscowych dowódców, którzy dysponowali nimi jako uzupełnieniami. Rozkazy operacyjne, rozkazy przemieszczenia się i w ogóle cała łączność odbywała się z kilkudniowym wyprzedzeniem, w przeciwnym bowiem razie SheVom zdarzało się rozjechać takie przeszkody, jak umocnienia, kwatery główne albo nawet cały logistyczny „ogon” dywizji. Nie bez powodu załogi SheVy określały wszystko, włącznie z „pomniejszą” bronią pancerną, jako „chrupki”.

W czasie bitwy o Dolinę Tennessee Mitchell miał, jak zdążył się zorientować, niezależne dowództwo podlegające kwaterze głównej Armii, a to oznaczało, że znajdował się poza pętlą decyzyjną miejscowej dywizji. Musiał więc częściej niż inni dowódcy korzystać z radia. A tymczasem był to dla niego wielki problem.

– Zaczekaj, Vickie – powiedział, przełączając się na inną częstotliwość. – Whiskey Pięć Echo Sześć-Cztery, tu SheVa Dziewięć. Odbiór.

– SheYa Dziewięć, nie macie autoryzacji w tej sieci.

– Echo Sześć-Cztery, bardzo się cieszę, że tak dbacie o bezpieczną łączność. Sęk w tym, że za chwilę ruszamy do przodu, i jeśli się nie skoordynujemy, przejedziemy jakieś dwie kompanie waszych żołnierzy. Odbiór.

Pułkownik znalazł się w sieci dowodzenia dywizji, a powinien był trafić na sieć wsparcia. Ale

Mitchell nie znał właściwej częstotliwości; miał tylko pospiesznie nagryzmołaną notkę „miejscowa dywizja” i częstotliwość.

– SheVa Dziewięć, potwierdź Victor Foxtrot.

– Słuchaj no, cała ta cholerna sieć jest inwigilowana, jeśli nikt wam jeszcze o tym nie powiedział. W tym również ten SOI. Poza tym nie mam waszego SOI, więc przykro mi, ale nie mogę potwierdzić. Jesteśmy tą wielką kupą żelastwa na wzgórzu przy Green’s Creek. Jak się dobrze przyjrzyście, zobaczycie na burcie napis „SheVa Dziewięć”, a na przodzie rysunek wielkiego królika. Za chwilę przejedziemy po waszym batalionie, więc może darujemy sobie te łącznościowe gierki!

– SheVa Dziewięć, tu Grizzly Sześć. Odbiór.

Głos był szorstki, z lekkim akcentem. Pasował do kryptonimu.

– Grizzly Sześć, tu SheVa Dziewięć. Odbiór.

Sześć oznaczało dowódcę. Mitchell miał nadzieję, że dowódcę jednostki, którą za chwilę mieli przejechać, a więc jest szansa, że chrupki usuną się z drogi.

– Macie rację, SOI jest infiltrowany. Ale to nie znaczy, że wy to wy. Obróćcie wieżę w tę i z powrotem.

– Chwila, Grizzly, właśnie kończymy salwę. – Mitchell wyciszył radio i spojrzał na Pruitta. – Pruitt, na czym stoimy?

– To była Ósemka. Koniec. Vickie chce zostawić sobie resztę amunicji.

– Dobra, poruszaj trochę wieżę w tę i z powrotem. I nigdy więcej nie nazywaj jej przy mnie Vickie.

– Robi się, szefie – odparł działonowy, wzruszając ramionami. Wcisnął parę przycisków. – Czemu to miało służyć?

– Nie mam pojęcia – odparł dowódca – ale przynajmniej znów rozmawiamy z miejscowymi. –

Włączył mikrofon i wziął głęboki oddech. – Grizzly Sześć, zrobiliśmy to, co chcieliście.

– Potwierdzam i witamy w sieci. Przygotowanie tych ludzi do wymarszu zajmie mi przynajmniej dziesięć minut. Dokąd chcecie jechać?

– Do siodła na kalenicy, na wprost kościoła baptystów w Savannah. Koordynaty: północ 391111, wschód 293868.

Mitchell nie zastanawiał się już nad tym, że jego odpowiedź zabrzmiała dziwnie. Koordynaty podawano na podstawie linii na mapach, i im więcej cyfr użyto, tym dokładność położenia była większa. Osiem cyfr oznaczało dokładność do jednego milimetra. A więc właśnie podał swoją pozycję z dokładnością do jednego metra. Dla czołgu stumetrowej szerokości!

Normalnie w wojsku używano do określenia pozycji co najwyżej sześciu cyfr. Kiedy więc Mitchell podawał położenie w koordynatach dwunastocyfrowych, często słyszał różne uwagi, ale on zawsze miał na to prostą odpowiedź: dalmierz dział SheVa podaje pozycję w koordynatach dwunastocyfrowych.

Sam nie wiedział, dlaczego – może powinien zapytać o to Kilzera? – ale cyfr było dwanaście. Kiedy człowiek widzi cyfry, ma do wyboru dwie rzeczy. Może je zaokrąglić do normalnych, sześciocyfrowych koordynat albo po prostu przedyktować je z ekranu. Zaokrąglanie nie było trudne, trwało kilka sekund, ale często w samym środku pojedynku ogniowego rozpraszało. Dlatego właśnie Mitchell po prostu odczytywał te cholerne dane z ekranu.

– Zrozumiałem, SheVa – odparł po chwili dowódca. – Nie ruszajcie się, dopóki się znowu nie odezwę.

– Przyjąłem i uprzedzam, że mam zamiar po salwie z tej pozycji wycofać się, a potem wyjechać z tej strefy. Wolałbym nie omawiać tego na otwartym kanale. Proszę, uprzedźcie



odpowiednie osoby. Odbiór.

- Zgoda. Po waszej salwie idziemy na obiad.
- Przyjąłem, Grizzly.
- Grizzly Sześć. Bez odbioru.
- Czy ktoś z was wie, kto to był? Dowódca batalionu czy kto? – zwrócił się do swojej załogi

Mitchell.

– W tej okolicy jest sto czterdziesta siódma dywizja piechoty – odparł Kilzer, nie podnosząc wzroku znad swojego notesu. – Ma w logo niedźwiedzia grizzly.

- O cholera – jęknął Mitchell. – To był dowódca dywizji?

\* \* \*

Arkady Simosin dostał drugą szansę.

Niewielu dowódców korpusu, którzy stracili osiemdziesiąt procent swoich ludzi, dostawało drugą szansę. Większość z nich dowodziła potem co najwyżej kompanią porządkową, a więc powinien się cieszyć.

Po Waszyngtonie został zdjęty ze stanowiska i zdegradowany do stopnia pułkownika. Jedynym powodem, dla którego nie wyrzucono go w ogóle z Armii, było to, że komisja śledcza uznała hackerski atak na korpuśny system artyleryjski za niemożliwy do przewidzenia, i stwierdziła, że korpus miał bardzo niewielu oficerów wyszkolonych w nowoczesnych technikach. Simosin trafił więc jako pułkownik do biura planowo-szkoleniowego sztabu operacyjnego Trzeciego Zgrupowania Armii.

Potem znów starał się o awans na generała brygady. Trzy razy. Pierwsze dwa razy poszło nie po jego myśli; oficerowie komisji awansów uznali go za nie nadającego się na generała. Za trzecim razem jednak przeszedł. Dawniej można było próbować tylko jeden raz, ale ze względu na trwającą wojnę, kiedy nawet generałowie byli czasem ofiarami Posleenów, zasady trochę złagodzone.

Simosin został w sztabie Armii, a potem został przeniesiony do korpusu Asheville, kiedy wyszło na jaw, że jedyną troską jego biura było własne przeżycie.

W Asheville nie było łatwo. Od kilkuset dni pięć dywizji bezustannie walczyło na froncie. Z wyjątkiem kilku miast-fortec na równinach, Asheville broniło się chyba najbardziej zażarcie. Lądownikom, C-Dekom i Minogom udało się pokonać Centrum Obrony Planetarnej, a nawet wylądować w obrębie umocnień. Bezustannym problemem były sondujące ataki, najczęściej pojedynczych Wszechwładców, którzy albo byli tak głupi, że nie wiedzieli, na co się porywają, albo cierpieli na przerost ambicji.

A więc jednostki, które stały na liniach – zazwyczaj trzy z pięciu dywizji – miały bardzo mało odpoczynku i prawie zero szkolenia. Z kolei dwie pozostałe jednostki traktowały fakt pozostawiania na tyłach jako przyzwolenie na nieograniczone opierdalanie się. Co prawda dwie trzecie, czasu na tyłach było przeznaczone na „uzupełnienie i odświeżenie sił”, ale resztę czasu żołnierze mieli poświęcać na szkolenia: pracę nad indywidualnymi umiejętnościami, oficerskie „taktyczne ćwiczenia bez żołnierzy” i taktyczne ćwiczenia małymi oddziałami.

Zamiast tego oficerowie wszystkich dywizji odwalali papierkową robotę i pozwalali swoim oddziałom opieprzać się.

Stało się to oczywiście co najmniej rok wcześniej, kiedy niewielka grupa Posleenów zajęła pozycję na Butler Mountain i zaczęła nękać ogniem siły pomocnicze. Aby ich stamtąd przepędzić, wysłano najpierw batalion, potem brygadę, a w końcu całą dywizję jednostek „uzupełniających i odświeżających siły”. Dowodzący Posleenami Wszechwładca był do tego stopnia zawzięty i cwany, że odbudował pozycje obronne i je zajął, ale do wypędzenia go stamtąd nie należało angażować aż

całej dywizji. Gdyby zaś którakolwiek z posleńskich jednostek w okolicy wpadła na pomysł, żeby go wesprzeć, Asheville mogłoby upaść.

Oficer operacyjny i dowódca korpusu zostali odwołani, a nowy operacyjny zażyczył sobie Arkady'ego. Simosinowi powierzono dokonanie oceny indywidualnego szkolenia jednostek.

To, co zastał, było jeszcze gorsze niż się spodziewał. Całe oddziały nie miały nawet skalibrowanych celowników broni. W parku maszyn stały transportery opancerzone dla dwóch brygad, ale żadna z nich od trzech lat nie ćwiczyła.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było obcięcie do jednej trzeciej czasu na „uzupełnienia i odświeżenie” na tyłach. Wiedział, że to nie wystarczy, że jednostki będą wracały zmęczone na front, ale dopóki nie nauczą się na nowo, jak być żołnierzami, odpoczynek musi poczekać.

Potem za zgodą oficera operacyjnego zaczął sprawdzać, które raporty były prawdziwe, a które były tylko wytworami fantazji dowódców oddziałów. Część z nich odwołano, inni obrazili się na długi czas. No trudno. Chodziło o to, żeby się upewnić, że żołnierze będą gotowi walczyć, a nie tylko siedzieć na swoich pozycjach i czekać, aż Posleeni sami nadzieją się na automatyczne systemy obronne.

Ćwiczenia kondycyjne, ćwiczenia z bronią, ćwiczenia taktyczne, taktyka małych oddziałów i piechoty zmechanizowanej, wszystko to naraz ruszyło. A oprócz tego testy mające sprawdzić biegłość wykonywania podstawowego zadania żołnierzy, czyli obsługi automatycznych systemów obronnych Muru.

Powoli, biegnąc co najmniej osiemnaście godzin dziennie przez blisko półtora roku, Simosinowi udało się doprowadzić część jednostek do stanu, w którym mogły dwiema rękami znaleźć własną dupę. Jedną z tych, które nadal nie mogły, była sto czterdziesta siódma dywizja.

Oczywiście to nie była jego wina. Za każdym razem, kiedy dywizja wracała na Mur, ponosiła potężne straty. Podczas gdy inne jednostki miały pięć, dziesięć procent zabitych i rannych w masowych atakach, ona ponosiła straty rzędu trzydziestu, czterdziestu czy nawet pięćdziesięciu procent. Nieustannie potrzebowała więc rekrutów, a rekruci zawsze przychodzili nie doszkoleni.

Kiedy sto czterdziesta siódma po raz drugi przeszła cykl odpoczynku, ćwiczeń i uzupełnień, Arkady pojechał razem z żołnierzami na Mur. Jednostka opuściła tyły z rekrutami, którzy, jak Simosin dobrze wiedział, ledwie zaznajomili się z obsługą własnej broni. Zamiast jednak natychmiast po dotarciu na miejsce rozpocząć ćwiczenia, dywizja przycupnęła w miejscu jak gromada ślimaków. Kilku rekrutów, z którymi generał rozmawiał, wiedziało tylko tyle, że nie mają pojęcia, jak walczyć z Posleenami z tak ciężko ufortyfikowanych pozycji. „Weterani” natomiast byli zdania, że nowych nie warto szkolić; większość z nich i tak polegnie w pierwszym ataku. Po co się więc przemęczać?

Oczywiście oni nigdy nie byli niczemu winni.

Jeden z niewielu wojskowych aforyzmów, które Arkady uważał za wiecznie żywe, brzmiał: „Nie ma złych regimentów, są tylko źli oficerowie”. Słowo szepnięte do ucha oficerowi operacyjnemu wystarczyło, żeby oficer odpowiedzialny za „bieżące ćwiczenia” zaczął zwracać baczniejszą uwagę na metody szkoleniowe sto czterdziestej siódmej.

Jeśli ktoś nauczył się czytać Posleenom w myślach, to na pewno nie był to oficer wywiadu korpusu Asheville. Marshall był przyzwoitym facetem, ale taktyka Posleenów przekraczała jego możliwości pojmowania, tak samo jak jego analityków. Tego dnia Arkady wpadł na codzienne zebranie, żeby popatrzeć, jak jego sztabowcy wygłaszają swoje kazania. Pokazywał się tam od czasu do czasu, wyznając zasadę „ufaj i sprawdzaj”; było to rozsądne podejście zarówno w dowodzeniu, jak i w dyplomacji atomowej.

Młody podpułkownik wywiadu – wszyscy wyglądali po odmładzaniu jak dzieci, ale ten miał

najwyżej trzydzieści pięć, może czterdzieści lat – właśnie skończył swoją prezentację, w której dowodził, że „tylko dwa z trzydziestu pięciu wskaźników zapowiadają większy atak Posleenów w przyszłym tygodniu”. Innymi słowy, wszyscy mogą wyciągnąć się brzuchem do góry i zrelaksować. Następnie facet od korpuśnej artylerii zaczął im serwować cotygodniową dawkę relanium w postaci niezliczonych kolumn mniej lub bardziej niezrozumiałych liczb.

– Średnie dzienne zużycie luf na baterię w ciągu ostatniego miesiąca wykazywało tendencję zniżkową, podczas gdy wskaźnik zużycia standardowych typów amunicji szczęśliwie rósł. Na podstawie sporządzonej przez wywiad analizy zamiarów Posleenów możemy stwierdzić, że prawdopodobnie zaczniemy wyprzedzać krzywą zużycia luf za nie więcej niż trzy miesiące. W ostatnim kwartale zaobserwowano wśród drugorzędneho personelu technicznego znaczne postępy w zakresie analiz naprężeń trzpieni.

Wszystko to mówił cichym, monotonnym głosem. Artyleria zawsze przysyłała tego samego człowieka, i był to jeden z powodów, dla których większość starszych stopniem oficerów unikała codziennych zebrań jak ognia.

Arkady właśnie zaczął przysypiać – wczorajszy dzień był długi i męczący – kiedy szef sztabu korpusu, który przychodził tu codziennie i wyjątkowo jeszcze nie chrapał, wstał i ze zdecydowaną miną przerwał prezentację.

– Dzięki, Jack, to było jak zwykle świetne, ale sto dziewięćdziesiąta trzecia donosi o ciężkim szturmie na Mur przy drodze międzystanowej 40. Myślę, że wszyscy powinniśmy wrócić na stanowiska i wreszcie zacząć zarabiać na swój żołd.

Ciężki szturm Posleenów oznaczał tysiące poległych, a nawet mógł się zakończyć – gdyby żołnierze się nie spisali – upadkiem miasta i milionami cywilnych ofiar. Mimo to widać było, że wszyscy na sali z trudem powstrzymują się od wiwatowania. Udało im się uniknąć reszty prezentacji artylerii korpusu! Hura!

Sto dziewięćdziesiąta trzecia dywizja mocno ucierpiała, ale sto czterdziesta siódma, w którą był wymierzony drugi atak, praktycznie przestała istnieć. Poniosła straty rzędu ponad pięćdziesięciu procent, i gdyby nie jedna z rezerwowych dywizji, Mur by padł.

Kiedy tylko straty dywizji uzupełniono świeżymi rekrutami, Arkady wywalił do kosza program ich szkolenia i zajął się tym, żeby poborowi nabrali biegłości jedynie w podstawowych umiejętnościach bojowych. Dowódca dywizji protestował, twierdząc, że taki program stoi w sprzeczności z polityką sił naziemnych, i miał rację. Ale wybór był prosty: albo dywizja będzie zupełnie nie przygotowana, albo będzie w stanie przynajmniej utrzymać się na umocnionych pozycjach.

Dywizja była akurat w samym środku szkolenia, kiedy Posleeni uderzyli na Rabun Gap i Asheville.

Szturm zmusił sto dziewięćdziesiątą trzecią, która akurat była w fazie odpoczynku, do natychmiastowego przejścia na front. Sto czterdziesta siódma poszłaby za nią, ale Posleeni zajęli Rabun Gap i zaczęli zbliżać się od tyłu do Asheville,

Dowódca korpusu nie miał więc wyjścia – wystawił sto czterdziestą siódmą, żeby spróbowała zatrzymać obcych zbliżających się od strony Rabun. Korpus Rabun zebrał poważne cięgi po niespodziewanym ataku oraz kilku atomowych eksplozjach zniszczonej SheVy i lądowników, które jej siostra zestrzeliła podczas odwrotu. Całą jednostkę trzeba było zastąpić nową albo odtworzyć.

W tym czasie korpus Asheville miał za zadanie „oprócz innych obowiązków” wypchnąć prawie milion obcych z doliny i odsunąć ich od wąskiej nitki autostrady międzystanowej 40, która jako jedyna utrzymywała jeszcze Asheville przy życiu.

To była robota dla Dziesięciu Tysięcy, dla panczerzy wspomaganych. To było zadanie dla elitarniej piechoty zmechanizowanej, z ciężkim wsparciem artyleryjskim.

A tymczasem dostała je sto czterdziesta siódma.

Dywizja zabrała się do tego niewiarygodnie wolno, tak że Posleeni zdążyli zająć bardzo ważną przełęcz Balsam Pass i odciąć nie tylko większą część korpusu Rabun, ale także jedyną SheVę, która mogła wesprzeć kontrofensywę.

Sto czterdziesta siódma spróbowała w końcu szturmować przełęcz. Próbowwała i próbowała. Nie ponosiła przy tym dużych strat, ale jednak było ich za dużo jak na osiągnięte rezultaty. Ponieważ od chwili odwołania ostatniego oddziału z tyłów Arkady nie miał nic do roboty, dowódca korpusu posłał go tam, żeby się zorientował, co się dzieje. Simosin zastał to, czego się spodziewał. Autostrada 74 była w stronę Balsam Pass zakorkowana długą linią pojazdów, a wzdłuż drogi maszerowali w dwuszeregach żołnierze. Żaden pojazd nie stał w szyku obronnym, żaden z żołnierzy nie wiedział, co ma robić, dokąd idzie ani co w ogóle się dzieje. Wszyscy byli ponurzy i nieszczęśliwi, że wyciągnięto ich z wygodnych koszar.

Kwatera główna dywizji wyglądała jeszcze gorzej. Simosin przypomniał sobie przeczytany gdzieś opis Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych podczas pierwszej bitwy o Francję. Pisano tam na temat generałów, którzy „snuli się po namiocie dowodzenia, szukając sznurka”. Był przekonany, że to żart, dopóki nie zobaczył, jak dowódca sto czterdziestej siódmej dywizji pyta wszystkich, czy nie mają zatemperowanego ołówka, a tymczasem z kieszeni wystaje mu długopis.

„Front” nie wyglądał o wiele lepiej. Batalion wysłany do odbicia przełęcz rozpoczął wstępne natarcie bez rozpoznania, dlatego kilka pierwszych ciężarówek pełnych żołnierzy wjechało prosto w zasadzkę. Zostali zatrzymani dosłownie przez jednego Posleena. Zginęło nie więcej niż pluton żołnierzy, ale nagle wszystkie jednostki przeraziły się, że Posleeni mogą być wszędzie!

Dowódca batalionu wahał się, co robić, oficer rozpoznania był skończonym durniem, a oficer wykonawczy doznał załamania nerwowego. Wydany kompaniom rozkaz natarcia został zignorowany, gdyż dowódcy kompanii nie potrafili podnieść swoich ludzi z ziemi. Wezwanie ognia artyleryjskiego doprowadziło do ostrzelania wszystkiego z wyjątkiem celu, w tym żołnierzy z pierwszych szeregów. W końcu samotny Posleen został trafiony pociskiem z moździerza i kilku żołnierzy zaczęło się czołgać do przodu, mimo że mieli do pokonania prawie cztery tysiące metrów.

Arkady wrócił do kwatery korpusu, gdzie w krótkich i dosadnych słowach określił sytuację na przełęcz. Po chwili dowódca korpusu podyktował krótką notatkę.

„Generał dywizji (tymcz.) Arkady Simosin mianowany dowódcą sto czterdziestej, siódmej dywizji piechoty na miejsce generała Wilsona Mosera. Generał Wilson Moser odwołany”.

– Arkady, ma pan dwadzieścia cztery godziny na dojście do Rabun Gap – powiedział dowódca.

– Będzie niewesoło.

– Mam to gdzieś. Niech pan dojdzie do Rabun albo chociaż w pobliże, a te gwiazdki nie będą tymczasowe.

W ten oto sposób Simosin dostał drugą szansę. I mógł się przekonać, że niezależnie od tego, jak trudna była pierwsza szansa, druga zawsze jest trudniejsza.

W kwaterze głównej dywizji wręczył generałowi Moserowi notatkę o mianowaniu go dowódcą. Potem wydał szefowi sztabu kilka rozkazów.

– Opanować mi ten burdel. Jeśli usłyszę choć jeden głos hysterii, zastrzelę. Jeśli zobaczę jednego uciekającego oficera, zastrzelę. Jeśli mapy nie będą skorygowane, zastrzelę pana. Idziemy do Rabun Gap. Jeśli dojdę tam choćby tylko z jednym plutonem, to przynajmniej będzie to pluton, który

wie, co robi.

Potem pojechał na front. Prowadząca kompania znów utknęła na kolejnej posleeńskiej zasadzce.

– Padnij, panie generale! – krzyknął kapitan. Od strony drogi dał się słyszeć trzask wystrzałów, ale pociski poszły górą.

– Kapitanie, czy dookoła giną pana ludzie?

– Nie, sir.

– Tylko wtedy należy padać na brzuch, kapitanie.

Kompania kulila się po obu stronach drogi, wciąż w szyku przemarszowym. Nikt nie próbował podejść dalej.

Generał wyparzył na poboczu kompanijnego snajpera, przyciskającego do piersi barreta kaliber .50.

– Synu, umiesz z tego strzelać?

– Tak jakby...

– Dawaj.

Zabrał karabin i płaszcz maskujący, a potem zsunął się z nasypu do rowu, niemal łamiąc nogę w kostce.

Rów znajdował się po lewej stronie drogi; po prawej było niemal pionowe urwisko, a w dole płynął strumień. Generał wbiegł na wzgórze po prawej; na szczycie zdał sobie sprawę, jak bardzo traci się kondycję po osiemnastogodzinnych dniach pracy bez urlopów. Zarzucił na głowę płaszcz maskujący i podczołgał się do przodu.

Posleen prawdopodobnie siedział jakieś pięćset metrów dalej, ale Simosin za cholerę nie mógł go wypatrzeć. Wytężał wzrok, ale ponieważ wszyscy żołnierze siedzieli pod osłoną, obcy nie strzelał.

– Kapitanie! – zawołał do dowódcy kompanii. – Niech jeden z pana ludzi się podniesie!

– Co?!

– Muszę zobaczyć, gdzie jest ten Posleen. Niech jeden z pana ludzi mu się pokaże.

– Chyba... – Zapadła chwila ciszy. – Chyba się nie zgodzą!

– Dobra – odparł generał i wpackował kulę w mur obok głowy żołnierza na szpicy. – Ty! Wyjdź na drogę. Kiedy Posleen strzeli, znów możesz się schować.

Widział wyraźnie twarz zwiadowcy. Chłopak miał jakieś siedemnaście lat i był przerażony. Spojrzał w stronę wzgórza, na którym leżał generał, i pokręcił głową.

– Nie!

Arkady wziął głęboki oddech i strzelił. Pocisk kaliber pięćdziesiąt zrykoszetował od muru za szeregowcem i rozerwał mu brzuch w fontannie krwi i wnętrzości.

– Ty za nim! Wyłaź na drogę! Ale już!

Żołnierz wyszedł, a wtedy Arkady'emu w końcu udało się wypatrzeć Posleena. Wystarczyła jedna kula.

Kiedy wrócił do kompanii, zobaczył starszego sierżanta sztabowego stojącego z wymierzonym w kapitana karabinem.

– Gdyby pan zrobił to, co do pana należy, ten chłopak by żył – powiedział zimno. – Jeśli pana ludzie nie chcą się ruszać, trzeba ich do tego zmusić. Jeśli nie słuchają rozkazów, trzeba ich do tego zmusić. Daję panu drugą szansę. Ruszaj pan dalej tą drogą. Jeśli pan nie da rady, znajdę kogoś, kto sobie poradzi. A jeśli będę musiał pana odwołać, to jedynie w worku na zwłoki.

Odwrócił się do snajpera i rzucił mu piętnastokilogramowy karabin.

– Naucz się tego używać. Jeśli myślisz, że możesz do mnie strzelić, niech to przynajmniej

będzie twój najlepszy strzał.

Wieści o tym, co się wydarzyło, szybko się rozeszły.

Po tym jak atomówka „załatwiła” większość Posleenów, a na niedobitki uderzyły siły od strony Rabun, dywizja dotarła do przełęczy. Po drugiej stronie poszło już jak z górki. Simosin odwołał całkiem sporo ludzi, a ci, których wyznaczył na ich miejsce, odwołali jeszcze więcej, ale dywizja w końcu zaczęła działać. Generał słyszał jeszcze o dwóch ofiarach własnego ognia, z czego jeden strzał był skierowany z przodu do tyłu, a nie odwrotnie, ale miał to gdzieś. Kiedy tylko przełęcz została oczyszczona, wysłał batalion abramsów i bradleyów na zwiad. Przy niewielkim oporze zdobyli Dillsboro, a potem pod coraz cięższym ogniem potoczyli się drogą do Green's Creek. Nowo mianowany oficer artylerii w końcu znalazł ludzi, którzy potrafili trafić w coś mniejszego od stodoły, a oficer logistyki wreszcie się połapał, jak ma przemieszczać ciężarówki. Trzeba im było tylko wyjaśnić, że powinni zapamiętać dotychczasowe nauczki, w przeciwnym bowiem razie dostaną nowe.

Generał nie lubił zgrywać sukinsyna i bardzo mu się nie podobało, że zabił tamtego biednego, samotnego szeregowca. Ale ten jeden pocisk wyrwał dywizję z marazmu lepiej niż dwa miesiące szkolenia czy zabicie co dziesiątego człowieka.

Pod Green's Creek jednak znów ich zatrzymano, i to na dobre. Czoło dywizji dało się posiekać na kotlety, próbując wypchnąć Posleenów z ich pozycji w Dolinie Savannah. Następna brygada także poniosła ogromne straty, zajmując wyżej położone tereny, ale im się udało. Poważnym problemem było to, że zamiast rozproszonych na skutek nuklearnego ostrzału Posleenów dywizja miała do czynienia z nie kończącymi się świeżymi siłami, które bezustannie wylewały się z przełęczy Rocky Knob. Simosin tracił ludzi w zastraszającym tempie, a obcych przybywało i przybywało. Wreszcie pojawiła się SheVa.

Generał miał już z nią do czynienia, ale pierwszy raz widział ją tak odszykowaną. Na szczycie wieży było zamontowane coś, co wyglądało jak MetalStormy 105, a na przodzie był jakiś dodatkowy pancierz. Tryskająca z czołgu fontanna wody była widoczna z odległości wielu kilometrów. Najwyraźniej w Scott's Creek miało miejsce coś więcej niż tylko pospieszna naprawa.

Jeśli czołg przyjąłby bezpośredni ostrzał, a wyglądał tak, jakby mógł, i strzelałby w głąb doliny, Simosin mógłby natarciem ze swoich obecnych pozycji zepchnąć Posleenów aż na sam kraniec Doliny Savannah. Tamejsze ukształtowanie terenu bardziej sprzyjało obronie, a przy ostrzale atomowym z SheVy dywizja mogłaby się przebić.

– Synu, jedź do drugiego batalionu – powiedział generał. Miał zwyczaj objeżdżać pole bitwy i wszyscy wiedzieli, że Pan Generał w każdej chwili może pojawić się w najmniej oczekiwanym miejscu. – Zobaczmy, czy znajdziemy centrum dowodzenia batalionu.

– Tak jest, sir.

Dowódcy batalionów zaczęli dowodzić z pierwszej linii; tylko w ten sposób mogli mieć pewność, że żołnierze robią to, co im kazano. A ponieważ można tam było również spotkać generała, chowanie się na tyłach nie wchodziło w grę.

Oznaczało to, że kierowca musi pojechać zasranym humvee prosto pod ogień Posleenów. Znowu.

Ale nie zamierzał powiedzieć temu zinnemu, rozgniewanemu oficerowi „nie”.

Wolałby rzucić się ze scyzorykiem na Posleenów.

Green's Greek, Północna Karolina,  
Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III  
17:25 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
poniedziałek, 28 września 2009

– Jakiś chrupek łązi nam pod lewą gaśienicą – mruknął Reeves. Teren, przez który jechali, był wystarczająco trudny nawet bez zawracania sobie głowy chrupkami.

Droga do miejsca, w którym pułkownik Roberts chciał mieć SheVę, była niewiele dłuższa niż sam czołg, ale równie dobrze mogłaby prowadzić na księżyc. Gdyby SheVa próbowała tam dojechać po linii prostej, zaryłaby się przodem w coś, co wszyscy nazwaliby doliną, a co dla czołgu było po prostu rowem.

Dlatego najpierw trzeba było powoli zjechać łagodniejszym zboczem na zachód, potem ostro skręcić w lewo, mając nadzieję, że gaśienice przekopią się przez urwisko, a nie ugrzęzną, a potem należało znów podjechać w górę. Proste i jasne. Można to porównać do próby zaparkowania suburbana, mając po pięć centymetrów luzu z każdej strony.

A jeśli chrupek się nie ruszy, kiedy Reeves zjedzie na dół, zostanie z niego mielonka.

Pułkownik Mitchell spojrzał na monitor i zmarszczył brew. Ten ktoś najwyraźniej zmierzał w stronę wjazdu.

\* \* \*

To był generał targający ze sobą wielką teczkę – kiedyś nazywało się to teczkami na próbki – w towarzystwie kobiety w stopniu kapitana. Generał mierzył około metra osiemdziesięciu i był prawie tak samo szeroki w barach; jego mundur był tak opięty, jakby szwy zaraz miały pęknąć. Część tej masy stanowił tłuszcz, ale większość to były jednak mięśnie.

Kapitan była niewysoka, mierzyła najwyżej metr pięćdziesiąt pięć, miała ciemne włosy i zielone oczy. Najbardziej jednak rzucał się w oczy jej biust; przód jej munduru wyglądał tak, jakby przywiązała sobie do piersi zrolowany śpiwór. Po chwili Mitchellowi udało się oderwać wzrok od biustu kobiety i spojrzeć jej w oczy; były jeszcze bardziej intrygujące niż figura. Po kolejnej chwili oderwał wzrok od jej postaci i zsalutował generałowi.

– Kawał drogi jak na starego człowieka – rzekł generał, odwzajemniając salut. – Arkady Simosin. Na obecną chwilę jestem dowódcą sto czterdziestej siódmej.

– Panie generale, nie musiał pan tu wchodzić! Gdybym wiedział, że to pan, zszedłbym na dół.

– Nic się nie stało, pułkowniku, ma pan lepszą salę odpraw w ładowni niż my gdziekolwiek indziej. – Generał wskazał towarzyszącą mu oficer. – Kapitan LeBlanc jest dowódcą tutejszego batalionu.

– Kapitan? – spytał Mitchell. – Dowódca batalionu? Przecież ona jest z wywiadu!

– Ostatnio mieliśmy dużo gwałtownych odwołań – powiedziała zimno LeBlanc. Głos miała tak cichy, że pułkownik musiał wyęczać słuch, co dodawało znaczenia jej słowom.

– I kilka zgonów – dodał generał. – Kapitan LeBlanc została tymczasowym dowódcą i okazało się, że jest najlepszym człowiekiem do tej roboty.

– Niech pan to powtórzy, jak nam się uda ten numer – powiedziała kapitan. – Rozumiem, że zamierza pan przejechać po moich ludziach, pułkowniku?

– Nie, jeśli możemy coś na to poradzić – odparł Mitchell, wywołując na główny ekran mapę okolicy. – Musimy wjechać na ten szczyt – ciągnął, podświetlając omawiany punkt. – Potem

zjedziemy na południowy zachód, a później znowu wjedziemy na górę.

Zaznaczył omawianą trasę laserowym wskaźnikiem.

– Niezły sprzęt – skomentowała kapitan. – Dobrze, że pan się ze mną skontaktował, bo przejechalibyście moje wysunięte centrum dowodzenia. – Zamyśliła się na chwilę i pokręciła głową. – Wszystkie moje kompanie na tamym grzbiecie są w kontakcie z wrogiem. Nie mogę ich wycofać, bo by ich rozstrzelali. Nawet gdybym posłała po nich transportery.

Mitchell zdjął hełm i podrapał się po głowie, potem wzruszył ramionami.

– Możemy tuż przed ich wycofaniem położyć ogień zaporowy. Może... draśniemy trochę pani ludzi, ale na pewno oderwiecie się od wroga. Kiedy wjedziemy na grzbiet, będziemy mieli sytuację pod kontrolą.

– O ile nie zajdą was z flanki – zauważył generał Simosin – i nie przegryzą się przez wasz pancerz. Nie jesteście odporni na ogień.

– Z przodu jesteśmy – powiedział Kilzer i spojrzał na kapitan. – Czy ktoś już pani mówił, że ma pani wspaniałe piersi?

– Tak – warknęła. – Chwilę przed tym, jak wyciągnęłam mu jądra przez nos.

Potem odwróciła się do Mitchella.

– Naprawdę sądzi pan, że zatrzymacie kucyki, zanim zjedzą moich chłopców?

– Panie generale, jaką artylerię możemy wezwać? – zapytał Mitchell.

– Każdą – odparł Simosin, – Jeśli dacie radę wjechać na ten grzbiet, a potem przykryć ogniem dalszy odcinek doliny, znów będziemy mogli ruszyć naprzód.

– Pani ma wszystkie pojazdy – zwrócił się teraz do kapitan. – Może się pani wycofać, a potem kontratakować? Od razu?

– Spróbuję – odparła LeBlanc, wzruszając ramionami. – Mam w rezerwie pluton czołgów. Zajmą przejście, kiedy reszta będzie się przegrupowywać. Ale muszę mieć porządny plan operacyjny, inaczej to się nie uda. Ile mam czasu?

– Trzydzieści minut. Nie więcej.

– Trzydzieści minut na opracowanie rozkazu, sir? – warknęła. – Czy trzydzieści minut na wykonanie ruchu?

– Nie więcej niż trzydzieści minut na jedno i drugie – odparł Simosin.

– To będzie improwizacja! – zaprotestowała kapitan. – Połowa moich dowódców kompanii to porucznicy! Jedną kompanią dowodzi starszy plutonowy! Moim zdaniem to niemożliwe.

– Musi być możliwe – wycedził przez zęby generał. – Wykonać.

– Cholera – warknęła. – Tak jest, sir!

Odwróciła się i ruszyła do wjazdu. Przed wyjściem zatrzymała się i zwróciła się do Kilzera.

– Twarz mam tutaj! – prychnęła, wskazując, gdzie ma twarz, a potem zniknęła.

– Przypuszczam, że nie na miejscu będzie powiedzieć „va va va voom!”? – spytał Paul.

– Owszem, będzie – warknął generał. – Dobra, godzina. Przygotujcie się.

– Sir, to potrwa dłużej niż godzinę – powiedział cicho Mitchell. – Będzie musiała między innymi przenieść swoje taktyczne centrum dowodzenia.

– To cztery humvee stojące na placu – odparł spokojnie generał. – Dam jej trochę więcej niż godzinę. Tak naprawdę powinienem przenieść czołgi do innego batalionu i pozwolić im poprowadzić natarcie.

– A co jest nie tak z tym batalionem, sir?

– To ona doprowadziła batalion tak daleko, a właściwie to ona zaczęła go prowadzić, kiedy dotarł tak daleko – westchnął generał. – Mam więcej odwołanych pułkowników niż dowodzących, a



ci dowodzący... Większość z nich też odwołam.

– A więc to ona będzie dalej nieść pochodnię? – spytał z powątpiewaniem pułkownik. – To pańska dywizja, generale.

– Będzie moja, jeśli dotrę na czas do Gap – poprawił go generał. – A zamierzam to zrobić, i nie tylko po to, żeby zachować dywizję, ale dlatego, że to moje zadanie. A teraz: jak się tam dostaniemy?

– Jak już mówiłem, sir – powtórzył ostrożnie Mitchell – kiedy wspomozemy pana jednostki w oczyszczeniu tej doliny, będziemy musieli przejechać przez góry. – Wskazał na zachód i wzruszył ramionami. – To nie będzie łatwe, ale da się zrobić. Jednak z praktycznego punktu widzenia nie będziemy wtedy mieli ze sobą kontaktu; szlak, jaki za sobą zostawimy, dla większości pana dywizji będzie nie do przejścia. Zostaniemy odcięci zwłaszcza dlatego, że nie mamy bezpiecznej łączności.

– Skoro o tym mowa – generał otworzył walizkę i wyjął z niej małą teczkę – oto wasza Instrukcja Komunikacji i Elektroniki, dotycząca komunikowania się z moimi jednostkami. Właściwie dzięki niej można się łączyć tylko z dowództwem dywizji. Postaram się załatwić wam IKE batalionu Glennis, zanim pojedziecie, ale w tym czasie korzystajcie z tego, żeby utrzymać łączność.

– Sir – powiedział delikatnie pułkownik – nie wiemy, jak głęboko Posleeni wgryźli się w nasze systemy...

Simosin uśmiechnął się lekko.

– To nie jest „nasz” system, to znaczy to nie jest system sił naziemnych. Noszę to ze sobą od czasów Fredericksburga. Pewien oficer ze sztabu generała Homera napisał kod, ale program uruchamiałem na własnym komputerze, nigdy nie podłączonym do sieci. – Znów postukał w teczkę i zaśmiał się ponuro. – Większość ludzi uważała, że zwariowałem, ale ja zawsze wiedziałem, że przyjdzie taki dzień, kiedy to się przyda.

Mitchell spojrzał na trzymane w ręku arkusze i wzruszył ramionami.

– A więc to jest czyste?

– Tak czyste, na ile tylko pozwala ludzka technologia. Bądźcie gotowi do wyruszenia za czterdzieści pięć minut. Myślę, że przygotowania zajmą kapitan LeBlanc trochę ponad godzinę, ale niewiele więcej. Dam wam znać, kiedy przyjdzie czas.

– Będziemy gotowi.

– I znów w wyłom, drodzy przyjaciele – zaśmiał się Pruitt. – I znów w wyłom.

\* \* \*

Elgars podniosła głowę, słysząc huk wystrzałów na wzgórzu.

– Kłopoty.

– Kto to? – spytał Mueller, ruszając biegiem. Strzały dobiegały z boku ścieżki prowadzącej do Składu.

– Cally – odpowiedziała Wendy, biegnąc za nim. – To musi być ona.

– Ale dzieci są gdzie indziej – powiedziała Shari z napiętą twarzą. Minęli otwarty teren przy dawnej farmie i ugrzęźli w zwalonych drzewach. Podczas dwóch przejść wraz z ludźmi Sundaya częściowo oczyścili ścieżkę, ale i tak nie można było tędy szybko się przemieszczać.

– Problem polega na tym, że ona jest kurewsko daleko – powiedział Mosovich, wskazując na zachód – a ta bomba może spaść w każdej chwili.

Dotarli do grzbietu i Mosovich próbował się zorientować, skąd dobiegają strzały, ale teraz ucichły i słychać było tylko rozbrzmiewające na wzgórzach echo.

– Cholera. Przekażnik, połącz mnie z majorem O’Nealem. – Spojrzał na Elgars i pokręcił głową. – Musimy zatrzymać tę atomówkę, przynajmniej na jakiś czas.

\* \* \*

– Nie.

Mosovich patrzył z niedowierzaniem na przekaźnik.

– Sir, mówimy o Cally. – Rozejrzył się po zewnętrznym składzie i pokręcił głową. – Możemy ją znaleźć i w jakąś godzinę sprowadzić tutaj.

– Sierzancie, czy zapoznał się pan z sytuacją operacyjną na wschodnim wybrzeżu? – spytał O’Neal.

– Nie, sir, nie zapoznałem się – odparł ze złością Mosovich – ale mówimy o Rabun Gap.

– Ja też, sierzancie. Mamy natarcie na Sylva, które odcięło idącą nam na odsiecz dywizję. Nie wiem, jak się przedostali przez tamtejsze umocnienia, ale patrząc na to wszystko, co się dzieje, nie jestem zaskoczony. Mamy też natarcie na Blue Ridge w Wirginii; Staunton już nie ma, tak samo jak budowanych tam czołgów SheVa. Dziesięć Tysięcy jest spychane do saka. Mamy do czynienia z totalnym przełamaniem obrony w Shenandoah. Homer powinien tam użyć atomówki, ale mimo to postanowił jej użyć tutaj. Domyśla się pan, dlaczego?

– Bo jeśli utrzymacie się jeszcze przez kilka godzin, SheVa dojedzie do was – powiedział Mosovich, rozwijając mapę. – Ale nie dojedzie, jeśli napotka ciężki opór.

– Właśnie – odparł Mike. – Jeśli SheVa zatka przełęcz, a robi to, burząc ją, a potem parkując w samym środku, będziemy mogli przelecieć do następnej beznadziejnej bitwy. Ale nie zrobimy tego, jeśli nie będziemy mieli tej atomówki, i to szybko, zanim Posleeni ruszą przeciwko SheVie. Dlatego nie opóźnię jej o godzinę ani o czterdzieści pięć minut, ani nawet o pięć minut, tylko z tego powodu, że wy będziecie szukać jednego cywila.

– Tym cywilem jest pana córka – powiedział zimno Mosovich.

– Co ty powiesz, Sherlocku – odparł z furią O’Neal. – Bardzo chciałbym martwić się losem swojej córki, sierzancie, ale mam do uratowania cały jebany świat. A jeśli to oznacza, że Cally ma umrzeć, to umrze – dokończył.

W tej wściekłej odpowiedzi Mosovich usłyszał cierpienie.

– Tak jest, sir.

– Ładujcie się do składu, sierzancie, i zamknijcie drzwi. Macie dwadzieścia minut.

– Tak po prostu ją skreślił? – spytała Shari. – Nie może tego zrobić!

– Właśnie to zrobił – odparł Mueller, zamykając wrota.

\* \* \*

– Szefie, nie możemy tego po prostu przeczekać – powiedział Stewart.

– Wiem. – O’Neal spojrział na niedobitki batalionu. – Będziemy kopać. – Nachylił się i zaczął rozgarniać ziemię na zboczu góry. – Zakopać zaopatrzenie, a potem ryć najgłębiej jak się da i zasypywać za sobą tunel. Kopać, aż spadną bomby.

Już po chwili cały batalion był zajęty zagrzebywaniem się w ziemi.

\* \* \*

– Billy, musisz wziąć hiberzynę – powiedziała cicho Shari.

– Nie wezmę! – Chłopiec cofnął się pod ścianę składu. – Nie zrobię tego jeszcze raz!

– Synu, wszyscy to zrobimy – powiedział łagodnym tonem Mosovich. Pozostałe dzieci, Wendy, Elgars i Mueller już leżeli nieprzytomni na rozłożonych na skrzyniach materacach. Jeśli ściany składu nie wytrzymają, to i tak nic ich nie uratuje, ale jeśli przeżyją i w pomieszczeniu pozostanie ktoś nie zahibemowany, tlen szybko się skończy; Mosovich już czuł, że powietrze robi się duszne i cuchnące. – Mamy za mało powietrza, żeby nie spać.

– Nie zrobię tego – powtórzył z uporem chłopiec.

Shari miała napiętą i zmęczoną twarz, ale była zdecydowana.

– Tym razem wszyscy idą spać, Billy, nawet ja. – Rozłożyła szeroko ręce, pokazując, że są puste. – Musisz mi zaufać. Ktoś po nas przyjdzie.

– Nie chcę – powtórzył Billy. – Nie mogę.

Mosovich przesunął się tak, że znalazł się poza zasięgiem, wzroku chłopca, a wtedy podskoczył i błyskawicznie zrobił mu zastrzyk w bok szyi. Potem złapał osuwającego się na ziemię Billy'ego i ostrożnie ułożył go na skrzyniach.

– Jeszcze tylko my – powiedział.

– Na to wygląda. – Shari położyła się i przytuliła Billy'ego i Susie. – Nie podoba mi się to tak samo, jak jemu – dodała ze ściągniętą twarzą.

– Nikomu z nas to się nie podoba – mruknął Mosovich i zrobił jej zastrzyk w szyję. Kiedy kobieta zapadła w sen, szybko wymienił jednorazowy pojemniczek iniektora i położył się obok Elgars. Potem spojrzął na zegarek.

– No dobra, leci.

Po chwili w składzie zapadła cisza.

\* \* \*

– Doktorze Castanuelo, jest pan pewien, że to nie wybuchnie?

Centrum sterowania eksperymentalnym działem wyglądało jak rodem z NASA. Było tu co najmniej piętnastu operatorów; każdy był zajęty monitorowaniem różnych aspektów działania broni. Samo działo było zamontowane w budynku wielkości dużego obserwatorium, mieszczącym się na skraju kampusu Uniwersytetu Stanu Tennessee i otoczonym ogrodzeniem niedopuszczającym ciekawskich i samobójców. W końcu je załadowano, a teraz, kiedy batalion panczerzy wspomaganym dostał uzupełnienia, nadeszła pora, aby się przekonać, czy to Knoxville zniknie, czy Północna Georgia.

– Tak, sir – odparł naukowiec. – Prawie na pewno.

– Jakie to pocieszające – powiedział złośliwie rektor Carson. – Panie generale, jeśli da nam pan jeszcze godzinę, ewakuujemy większość okolicy.

– Za godzinę sto tysięcy Posleenów przeleje się przez Gap, panie Carson – odparł Homer. – Doktorze Castanuelo, ma pan dość odwagi, żeby wcisnąć przycisk odpalania?

– Tak, sir.

– A więc proszę to zrobić.

Mickey odrzucił pokrywę mechanizmu spustowego.

– Przygotowanie do wystrzału – oznajmił przez interkom. Potem uruchomił przepływ płynnego materiału miotającego i przekręcił kluczyk, aktywując system. Na koniec zatrzymał dłoń nad guzikiem odpalania, zmrużył oczy i nacisnął.

Homer, odwrócony do monitorujących wydarzenie kamer wideo, obserwował to wszystko z rozbawieniem. Doszedł do wniosku, że jeśli coś pójdzie nie tak, on nigdy się o tym nie dowie.

\* \* \*

Kotlina, przez którą przejeżdżali, była tak wąska, że SheVa wzięła drogę między gąsienice, jadąc prawie trzy metry w powietrzu.

– To niedobrze dla ramy – stwierdziła Indy, kiedy SheVa ze skrzypieniem i jękiem gramoliła się z jednego wzgórza na drugie.

– Wytrzyma – odparł Kilzer. – Puszczaliśmy ją po czymś takim na testach.

Wszyscy starali się nie myśleć o tym, co ich czeka. Błyski ładunków plazmy i hiperszybkich

rakiet wzdłuż całego grzbietu wskazywały, że mimo ognia MetalStormów i artyleryjskiej nawały, po drugiej stronie jest masa Posleenów. Kiedy tylko SheVa minie szczyt, stanie się największym celem w zasięgu wzroku.

– Sir, nie mogę schować kadłuba – powiedział Reeves. – Zbocze jest nachylone pod złym kątem.

– Zrób, co możesz – odparł Mitchell.

Reeves kiwnął głową i ruszył olbrzymią maszyną na skraj grzbietu. Widział piechotę wycofującą się z tamtejszych umocnień. Część z nich połączona była okopami, jednak większość to były pojedyncze dołki i obrońcy musieli się czołgać pod wrogim ostrzałem. Niektórym to się nie udawało.

– Będzie ciężko – mruknął Mitchell, kiedy pierwszy MetalStorm otworzył ogień. Większość pocisków przelatowała nad kalenicą i spadała za nią. – Cholera, tego się bałem.

Ze względu na wysokość czołgu pociski 40 mm miały zasięg około tysiąca metrów, a ponieważ działka MetalStormów mogły obniżyć lufy zaledwie o kilka stopni pod poziom horyzontu, wokół SheVy była strefa sięgająca od pięciuset do tysiąca metrów, której nie można było przykryć ogniem.

– Pułkowniku, mówi Chan. – Dowódca MetalStormów mówiła bezbarwnym głosem dobrze wyszkolonego zawodowca, który znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. – Ta dolina jest... Sir, to psalm dwudziesty trzeci. To właśnie jest Ciemna Dolina.

– Bez obaw – mruknął Kilzer, kiedy wieża SheVy wyłoniła się znad wzgórza i pierwsze ładunki plazmy oraz rakiety zaczęły bębnić o pancierz. – Jesteśmy na to przygotowani, bo Bun-Bun jest najgorszym skurwysynem w tej dolinie.

– Co? – spytał Pruitt. Po raz pierwszy czuł się całkowicie bezużyteczny. Jego jedynym zadaniem była obsługa dział, a w tych okolicznościach nie miał do czego strzelać.

– Niech podejda bliżej – powiedział cywil. – Na większą odległość nic nie zrobię, ale z bliska jesteśmy kryci.

W końcu działo wyłoniło się zza grzbietu wzgórza i połączone z nim systemy wizualne ukazały to, co było po drugiej stronie. Przyczyna gorączkowego zamieszania na kanałach MetalStormów od razu stała się jasna.

W gasnącym świetle zachodzącego słońca dolina wydawała się kołysać i falować. Była wypełniona od brzegu do brzegu Posleenami. Tysiącami, dziesiątkami, setkami tysięcy obcych, którzy napierali, próbowali sforsować wzgórza i przejść przez Gap, strzelali do SheVy.

MetalStormy bluznęły kolejną falą zniszczenia. Ale na miejsca tych Posleenów, którzy zginęli, natychmiast pojawiali się następni, z tylnych szeregów. Pułkownik Mitchell widział, jak ocalałe centaury zbierają strzępy ciał swoich zabitych pobratymców i ocalałą ciężką broń, a potem albo mocują ją sobie na grzbietach, albo podają do tyłu.

– My ich nie zabijamy, tylko napełniamy im spiżarnie – mruknął.

Nadleciała następna fala nieprzyjacielskiego ognia; coraz więcej strzałów padało z boków, przechodząc przez stosunkowo lekki pancierz wzdłuż krawędzi wieży. Przyszła pora, aby się przegrupować.

– Major Chan, utrzymujcie maksymalny ciągły ogień do wszystkich widocznych celów – powiedział Mitchell. – Reeves, cofamy się. Musimy ustawić się tak, żeby MetalStormy miały odpowiedni kąt do bezpośredniego ognia, ale żeby reszta dział była zasłonięta.

– Spróbuję – powiedział kierowca, zerkając na mapę i wrzucając wsteczny – ale nie widzę dobrego miejsca.

– Szukaj dal... – Mitchell wzdrygnął się, kiedy po wnętrzu czołgu rozszedł się echem potężny

huk. – Co jest, do cholery?!

– Kucyki są blisko! – krzyknął Pruitt, kiedy kadłub zadygotał od kolejnych trafień. – Lewo przód. Pełna kompania. Nie wiem, skąd się wzięli.

– Cofaj, Reeves!

– Chwileczkę, pułkowniku – powiedział Kilzer, wciskając przycisk. Rozległ się kolejny grzmot, o wiele potężniejszy niż pierwszy. – Problem rozwiązany.

– Jasna cholera! – zaklął Pruitt, patrząc na monitor. Kiedy opadł kurz, okazało się, że to, co pozostało z kompanii Posleenów, wygląda tak, jakby ktoś walnął w nią olbrzymim młotkiem do mięsa. – Co to było, do licha?

– Claymore – odparł Kilzer. – Mamy dwa z przodu, dwa z tyłu i po trzy na burtach. Każdy ma sześć strzałów.

– Fajnie.

– Tam na dole to nam nie pomoże – powiedział Mitchell.

– Sir, mam pomysł – oznajmił Reeves i zatrzymał czołg. Następnie zablokował jedną gaśnicę, a na drugą dał pełną moc, wzbijając tuman kurzu i przesuwając ważący siedem tysięcy ton czołg w dół wzgórza.

– Wiem, co pan robi – uśmiechnął się Kilzer – ale ostrożnie. Może się pan zakopać jak cholera.

– Dobra, poddaję się – powiedział zdumiony Mitchell. – Co robisz?

– Próbuje się okopać – wyjaśnił Kilzer za kierowcą. – Kręcąc w miejscu gaśnicą, wykopał górną stronę okopu.

Wyglądało na to, że może się udać. Krucha skała zbocza pękała pod gaśnicami SheVy, a z każdym obrotem czołg coraz niżej osiadał. Po chwili Reeves obrócił potworny pojazd w miejscu i odgarnął gruz, żeby zrobić więcej miejsca, i z powrotem zabrał się do pracy.

– Panie pułkowniku, mówi Chan – odezwała się dowódca MetalStormów. – Wzdłuż wschodniej krawędzi grzbietu idzie następna grupa. Piechota na dalekim wzgórzu przegrupowała się i ich atakuje, ale chyba zamierzają do nas podejść. Mam ich w martwej strefie.

– Niech podchodzą – odparł Mitchell. – Pan Kilzer będzie na nich czekał.

– Tak jest, sir – powiedziała major zdziwionym tonem.

– Wyjaśnię później – obiecał pułkownik. – Jak tam u was?

– Cuchnie – powiedziała major. – Glenn właśnie zarzygała całą kabinę.

Mitchell skrzywił się. Siedzenie na szczycie SheVy, kiedy ta obraca się w miejscu, nie mogło być zabawne.

– No, chyba Reeves już może przestać nas męczyć. Mamy dobre pole do ostrzału, a większa część wieży jest zasłonięta.

– Dobra, Reeves, ustaw nas stabilnie i zatrzymaj – powiedział pułkownik. – Major Chan, proszę skoncentrować ogień na strefie na wprost nas aż do drogi. Musimy ich do siebie nie dopuścić, ale także stworzyć sytuację, w której piechota będzie mogła ich przełamać. – Na monitorach wciąż widać było dolinę. Pułkownik pokręcił głową. – Chociaż co do tego ostatniego być może wykazujemy za dużo optymizmu.

– Co mam robić? – spytał Pruitt.

– Iść do dźwigu i zacząć wyciągać pakiety MetalStorm – odparł Mitchell. – Myślę, że nam się przydadzą.

– Sprawdzę uszkodzenia po tym ostrzale – powiedziała Indy, odpinając pasy i wstając w ślad za działonowym. – Ostatnie starcie nie podobało mi się.

– Nie próbuj okopywać gąsienic – rzucił Mitchell. – Nie wiem, kiedy będziemy się stąd zbierać.

Wrócił do monitorów. Pociski „rażenia powierzchniowego”, które wystrzelili na drogę, zmiotły dużą część tego, co mogło być posiłkami dla wroga w dolinie. Przy połączonym ostrzale artylerii, która właśnie przenosiła ogień na główne masy Posleenów, i MetalStormów zaczęły się pojawiać wolne skrawki ziemi, a szeregi Posleenów dość szybko topniały. Mitchell zerknął na zegarek; minęło dopiero piętnaście minut, odkąd opuścili poprzednie wzgórze, a jemu wydawało się, że to całe godziny. Gdzieś na południu panczerze wspomagane szykowały się do odbicia Gap, a pod Knoxville miała wystrzelić broń z piekła rodem. Ale żeby panczerze przeżyły, a zapora w Gap została utrzymana, trzeba usunąć tych Posleenów i wykonać resztę zadania. Mają na to piętnaście minut.

– Proście mnie, o co chcecie, ale nie o czas.

*A najpierwszym z wrogów dla Boha Da Thone  
Był kapitan O'Neil z „Czarnego z Tyrone”  
I jego to kompania, siedem dziesiątek chłopca  
Rozwiązłemu wodzowi pogoniła kota.  
Chłopcy z Louth i z Meath i chłopcy z Galwayu,  
Co szli prosto po śmierć, mnąc w zębach kawały  
I gorliwie czcili, w dobrych i złych chwilach  
Błoto na obcasach „Łajdaka” O'Neila  
Ale wciąż ich wysiłki na marne spęzwały  
I z pościgu wracali z pustymi rakami  
Aż ogorzali chłopcy z „Czarnego z Tyrone”  
Zapałali uczuciem do Boha Da Thone.  
I jeżeli pościg wieńczy posiadanie  
Boh i chłopcy z Tyrone byli towarzyszami.*

Rudyard Kipling, *Ballada o Bohu Da Thone*

Clarkesville, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

19:05 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
poniedziałek, 28 września 2009

Tulo'stenaloor zerknął na odczyty sensorów i szarpnął swój kolczyk; miał lepsze rzeczy do roboty niż zdobywać umiejętności, które inni już posiadali.

– Ile mamy czasu?

– Niewiele – odparł z namysłem Goloswin. – Przygotowują się do strzału.

Estanaar spojrział na krwistoczerwony owal na planie i westchnął. Poświęcił całe lata na naukę odczytywania map, a teraz tego żałował. Mógł bez trudu wyobrazić sobie skutki działania tej piekielnej broni.

– A promieniowanie?

– Wysokie – przyznał technik. – Strefa bezpośredniego trafienia będzie się rozciągać w górę doliny, prawie do miasta Dillard. Główny izotop, węgiel 13, ma wysoki stopień jonizacji i spowoduje uszkodzenia cieplne przy absorpcji. Według mojego modelu, straty oolt przechodzących przez tę strefę w pierwszej godzinie wyniosą dwadzieścia procent, potem z każdą następną godziną będą o jeden procent mniejsze. Ludzie, oczywiście, są bardziej delikatni; nie będą mogli wejść do strefy bez osłony przez co najmniej dziesięć dni. – Zatrzepotał grzebieniem i z rozbawieniem kłapnął paszczą. – To bardzo... Jak to ludzie mówią? To bardzo elegancka broń. Owszem, ma przerażającą siłę, ale na jakiś czas uniemożliwia wejście w pole rażenia. Grunt oczyści się za miesiąc czy dwa, przynajmniej na tyle, by wróciło tam życie. To bardzo elegancka broń.

– To straszne. – Tulo'stenaloor odwrócił się z warknięciem do swojego oficera operacyjnego. – Wyciągnąć stamtąd wszystkie siły estanaral, które da się wycofać, i posłać w to szaleństwo tylko miejscowych. Zacząć opracowywać plan naszych ruchów po ataku; do tej pory uderzaliśmy na ludzi falami, co dawało im czas, żeby się pozbierać. Niech siły estanaral atakują teraz na zmianę z miejscowymi, żeby szturm odbywał się jednym ciągłym strumieniem.

Oficer operacyjny pokiwał łbem i wystukał coś na klawiaturze swojej jednostki sensorów.

– Większość estanaral była przygotowana na wykorzystanie okazji do ataku, więc stoi z dala

od rejonu, gdzie uderzy broń, Ale kończą nam się lokalne jednostki.

– Nie wiemy, gdzie dokładnie uderzą ludzie – powiedział po chwili Tulo'stenaloor – dopóki tego nie zrobią. Część przeżyje. To wystarczy. – Znów kłapnął grzebieniem i włączył komunikator. – Orostanie.

\* \* \*

Orostan prychnął, kiedy jego komunikator rozświetlił się.

– Tak, estanaarze.

– Ludzie zamierzając wystrzelić w stronę Gap z tej piekielnej broni. – Tulo'stenaloor streścił pokrótce sytuację i zamilkł, czekając na reakcję.

Orostan kłapnął w podnieceniu grzebieniem i parsknął.

– Ile uzupełnień stracę?

– Około połowy – przyznał wódz.

– Za dużo. Ta piekielna SheVa została wzmocniona, opancerzona i ma wiele różnych rodzajów broni, a nie tylko jeden. Zajęła pozycję niedaleko Doliny Savannah i pożera oolt, jakby to były *abat*.

– To ty miałeś ją zatrzymać – przypomniał Tulo'stenaloor – a nie ona ciebie.

– Staram się – warknął Orostan. – Moje drużyny czekają, aż przejedzie przez przełęcz. Myślę, że ma słabo bronione boki, więc możemy zniszczyć jej koła i gąsienice, To ją zatrzyma kawałek przed miejscem, z którego mogłaby ostrzelać przełęcz. Ale to ty miałeś zająć i utrzymać przełęcz, estanaarze. A przy takim oporze, jaki stawiają ludzie – ten pomiot piekieł, oby demony pożarły ich dusze – potrzebuję więcej sił.

– Pracuję nad tym – odparł Tulo'stenaloor – ale, jak mówią ludzie, to kompletny syf.

\* \* \*

– Co za syf – szepnęła Cally. – Jestem o wiele za młoda, żeby umierać.

Udało jej się oderwać od Posleenów, ale w dalszym ciągu tropili ją jak posokowce. Teraz rozproszyli się wokół jej kryjówki, idąc w górę zbocza.

– Papa nie dałby się wpędzić w taką pułapkę – mruknęła, sprawdzając ilość naboju. Nie miała granatów i zostały jej tylko dwa magazynki, z tego jeden częściowo pusty. Po prawej stronie miała Posleenów, tak że gdyby próbowała tamtędy się wymknąć, dopadliby ją. Tak samo było po lewej. Za nią była jednolita ściana. Jak to było w tym starym żarcie? „I tak sobie siedzę... Czy się bałem? Jasne, bałem się, że któryś ucieknie.”

Coś zaszeleściło w krzakach w dole, więc skierowała w tę stronę broń.

– No, pora „zdjąć” jeszcze jednego – westchnęła, przyciskając policzek do kolby. Kiedy brązowożółty pysk wychynął z zarośli, podciągnęła luz na spuście. To był Wszzechwładca.

Nie może zniszczyć wszystkich Posleenów na świecie, ale może zabić przynajmniej tego jednego.

\* \* \*

Dowódca drużyny zatrzymał się i podniósł pięść, opadając do półprzysiadu. Przed nimi, między drzewami, rozległ się wystrzał karabinowy, a potem trzask ognia karabinów Gaussa, przetykany łomotem działka plazmowego.

Major Alejandro Levi był od niepamiętnych czasów Cyberpunkiem. Został zwerbowany tuż po szkole, podobno dlatego, że był finalistą Stypendium Westinghouse'a i obrońcą drużyny futbolowej. W ciągu dziesięcioleci brał udział w wielu trudnych misjach, ale włączenie się po nuklearnym polu bitwy pełnym Posleenów, wrogo nastawionych ludzi i potencjalnie wrogo nastawionych „innych” biło je wszystkie na głowę.



Obejrzał się za siebie, potem spojrzął w bok i nagle wyciągnął lewą rękę i zacisnął na czymś niewidocznym.

– Co my tu mamy? – szepnął, patrząc na Himmita, który tymczasem wyłączył kamuflaż i owinał ramiona wokół swojego ciała. – Szpiegowałeś nas, tak?

– Szpiegowałem dla was – zagwizdał Himmit w znośnym angielskim. Stworzenie dorównywało wzrostem człowiekowi, ale było lżejsze i przypominało symetryczną żabę. Miało czworo „ramion” rozmieszczonych na przeciwległych krańcach ciała i wiązką zmysłową przebiegającą w pobliżu jego środka. Po obu stronach wiązki znajdowała się para oczu.

Alejandro trzymał obcego za delikatne wgłębienie ciemieniowe; wystarczył jeden ruch silnych ludzkich rąk, aby zadać śmiertelny cios.

– Jesteś tu z tego samego powodu co ja!

– Skąd mam to wiedzieć? – Cybers lekko poluzował chwyt.

– Jesteś tu po to, żeby zabrać Cally O’Neal i Michaela O’Neala Seniora – odparł obcy. – Ale się spóźniłeś.

– Były straszne korki – powiedział sucho Alejandro. – Gdzie oni są?

– Michael O’Neal Senior został pochwycony przez falę ciśnienia po detonacji i odniósł śmiertelne rany. Cally O’Neal właśnie walczy z grupą Posleenów. Myślę, że znalazła się w pułapce.

– O’Neal nie żyje? – spytał dowódca drużyny, kręcąc głową.

– „Nie żyje” to bardzo nieściste określenie. W tej chwili znajduje się na pokładzie mojego statku.

Normalnie Himmit odpowiadałby na takie pytanie przez cały dzień. Najwyraźniej musiał być wzburzony, skoro tak szybko udzielił odpowiedzi. A może to dlatego, że palce Cybersa wbijały się w jego himmicki odpowiednik nosa.

– Ilu jest Posleenów?

– Mniej niż kiedy zaczęła. To wyjątkowy podczłowiek.

– Ilu i gdzie? – powtórzył Levi, zwiększając lekko nacisk.

– Czternastu, siedemdziesiąt pięć metrów stąd – odparł Himmit, wskazując kierunek. – Są rozproszeni. Cally siedzi za osłoną na górze, ale jeśli się poruszy...

– Wszechwładca?

– Jeden kessentai, karabin plazmowy. Używa przenośnych sensorów, ale nie posługuje się nimi zbyt skutecznie; sprawia wrażenie przyzwyczajonego, że zawsze ktoś za niego celuje.

Cybers wyprostował się i wykonał serię gestów, wskazując, że drużyna ma się rozproszyć, przygotować do starcia z wrogiem i wyłączyć wszystkie elektroniczne urządzenia. To ostatnie było wyjątkowo przykre, ale czujniki Wszechwładców wykrywały najłżejsze emisje, nawet tło.

Levi patrzył, jak jego ludzie pojawiają się pozornie znikąd – ze spleśniałych liści, kory drzewa, krzaków. Cyberpunkowie już przed wojną z Posleenami ćwiczyli wkraczanie na teren wroga i niszczenie systemów bojowych, których nie dało się „zhackować” na odległość. Poruszali się jak cienie na polu bitwy, jak duchy, najgroźniejsze na ziemi, śmiertelnie niebezpieczne duchy. Teraz okazał się, czy także najszybsze.

Himmit patrzył, jak komandosi znikają w zaroślach, a potem ruszył naprzód, pozostając jednocześnie cały czas w ukryciu. Za nic nie może tego przegapić. Cóż to będzie za opowieść!

\* \* \*

Cholosta’an ostrożnie zrobił krok do przodu. Odkąd dziewczynka wyłączyła ostatnie urządzenie elektroniczne, zgubił ją. Może uciekła na szczyt wzniesienia, ale na stromym, odsłoniętym zboczu prawdopodobnie by ją zobaczyli. Najpewniej schowała się w krzakach u podnóża urwiska. Jeśli tak,

wkrótce ją dopadną.

Wcześniej widział ją tylko przelotnie i mógł stwierdzić, że to ludzka samica, jak powiedziała by Tulo'stenaloor.

Teraz na widok lufy jej karabinu zdążył jeszcze pomyśleć: To pisklak?!

\* \* \*

Tulo'stenaloor kłapnął grzebieniem na widok otrzymanej informacji.

– Już po Cholosta'anie – mruknął jego oficer operacyjny.

– Rzeczywiście, już po nim – powiedział estanaar. – I po planie zatrzymania uzupełnień dla oddziału threshkreen czy nawet uderzenia na nich od tyłu, biorąc pod uwagę, że wszystkie pozostałe siły w dolinie zbierają się, żeby zatrzymać SheVę.

– Sytuacja jest prosta – ciągnął. – Jeśli zniszczymy threshkreen na przełęczy, możemy wysłać do Gap tyle sił, żeby zniszczyć SheVę. A kiedy zniszczymy SheVę, w końcu rozwalimy wszystkich threshkreen. Jeśli nam się ani jedno, ani drugie nie uda... przegramy.

– Jak na razie wcale nie idzie nam lepiej niż Orostanowi – stwierdził essthree.

– Tak, to prawda. Naszym zadaniem jest zniszczyć threshkreen na przełęczy. Musimy równomiernie wprowadzać nasze wojska do bitwy. Uderzamy nieregularnie, falami, a to daje ludziom czas na zebranie sił.

– Tak, estanaarze – powiedział z powątpiewaniem pomniejszy oolt'ondai – ale pytanie brzmi, jak to zrobić. Za każdym razem kiedy ustawi się oolt w szeregi, zaczynają nacierać... nierówno, niektórzy szybko, niektórzy wolno. To stąd biorą się przerwy w szyku.

– Niech elitarni oolt'ondaiowie ustawią swoje oddziały wzdłuż trasy. Jeśli jeden z maszerujących do bitwy oolt natknie się na ogień threshkreen i zostanie zniszczony, następny natychmiast będzie mógł zająć jego miejsce. To zapewni ciągłość, o którą nam chodzi.

– Poczekajmy, aż wybuchnie piekielna broń, estanaarze.

– Tak, ruszemy zaraz po tym – prychnął Tulo'stenaloor. – Po co marnować więcej oolt niż musimy?

\* \* \*

Cally wstrzymała ogień, kiedy żółta czaszka zniknęła pod gradem pocisków kaliber 7.62, i przesunęła lufę w prawo, gdzie mógł się kryć kolejny Posleen. Ale kiedy znów ściągnęła luz spustu, usłyszała serię stłumionych puknięć, a potem wściekły łoskot karabinu Gaussa, którego pociski zrykoszetowały od skały nad jej głową.

Z tego, co wiedziała, najbliższymi walczącymi ludźmi był batalion jej taty albo reszta jej grupy. Ale nikt z nich nie używał broni z tłumikiem. A więc kto tam jest? Wróg czy przyjaciel?

Wiele lat temu przysłano do ich domu zabójcę, żeby zabił Papę O'Neala, i zginął tylko dlatego, że nie docenił umiejętności ośmioletniej dziewczynki. Ale to nie znaczy, że nie mogą pojawić się następni. Zgoda, pomysł wysłania zabójcy w sam środek nuklearnego poboju jest pewną przesadą, ale trudno mówić o paranoi, kiedy ktoś naprawdę chce cię zabić.

Cally usłyszała dobiegający z dołu szelest, a potem nad zabitym Posleenem pojawił się człowiek.

Był to żołnierz oddziałów specjalnych. Miał na sobie – prawdopodobnie to był „on” – kamuflaż, a na plecach maskującą siatkę. Na oczach Cally zrobił krok w bok i nagle zniknął. Przez chwilę wyteżała wzrok, aż wreszcie uświadomiła sobie, że ten krzak widoczny pod jedną z topoli to on. Był niezły, prawdopodobnie nawet lepszy niż Papa. Patrzyła, jak powoli rusza przed siebie, sprawdzając każdy centymetr ziemi, a potem znów się zatrzymuje.

\* \* \*

Alejandro zatrzymał się, kiedy poczuł słaby zapach człowieka. Powinien był wyczuć go wcześniej, ale stłumił go smród zabitych Posleenów.

U podnóża wzgórza prawie nie było wiatru, powietrze było wilgotne, chłodne i nieruchome. Ale czuł, że gdzieś tam leży człowiek i poci się, jakby... jakby miał za sobą długi, forsowny bieg.

Levi rozejrzał się, ale nikogo nie widział. Z tej odległości dziewczyna powinna być widoczna jak góra. Albo on się zestarzał, albo ona miała za sobą zaawansowany kurs zwiadu.

– Cally O’Neal? – szepnął.

– Jeden niewłaściwy ruch i już po tobie – usłyszał.

Alejandro westchnął i spojrzał w kierunku, z którego dobiegał głos. Dziewczyna leżała pod siatką maskującą przyrzuconą liśćmi. Levi zdziwił się, jak udało jej się nie poruszyć ściółki, ale zaraz potem uświadomił sobie, że strząsnęła liście z rosnącej nad nią małej brzoźki. Sprytnie.

– Przysłano mnie, żebym cię stąd zabrał – powiedział, prostując się i kierując MP-5 w bok.

– Jasne. – Cally usłyszała cichy szelest z boku i zrozumiała, że jest brana w kleszcze. – Jeśli twój kumpel podejdzie bliżej, będziecie mogli się przekonać, ilu was dam radę „zdjąć”. Zaczę od ciebie.

– Chyba jesteśmy w impasie – powiedział Alejandro. – Ty mi nie ufasz, a ja nie wiem, jak cię przekonać.

– Ale ja wiem – szepnął jakiś głos z góry.

Cally zamarła, kiedy nagle w powietrzu pojawił się Himmit i opuścił na ziemię.

– Panno O’Neal, jesteśmy tu po to, by pani bronić – zagwizdał. – Nie mamy na to żadnych dowodów, ale daję pani słowo członka klanu Fos, że nie stanie się pani krzywda. Za piętnaście minut rozpocznie się tutaj ostrzał jądrowy...

– Co?! – krzyknęła Cally, ale zagłuszył ją Cyberpunk.

– Wszyscy do mnie! – wrzasnął. – Gdzie jest wycelowany?

– Jest wycelowany w Gap, majorze Levi – powiedział Himmit, znów znikając w kamuflażu; jego głos wydawał się oddalać. – Zasięg wybuchu jest... duży. Miejsce, w którym się znajdujemy, należy uznać za epicentrum wybuchu o sile dwóch megaton.

– Czeka! Czy twój statek może nas stąd zabrać?

– Ach, więc teraz mi pan ufa – odezwał się Himmit spośród korony drzewa. – Możecie z nami lecieć albo nie. Wybór należy do was.

– Z drogi, komandosie – powiedziała Cally, gramoląc się na nogi i zerkając na kompas. – Za wolno się ruszasz.

\* \* \*

– Tutaj.

Himmit znów pojawił się w powietrzu; jego skóra zmieniła kolor z przypominającego korę drzewa na „normalny” purpurowo-zielony. Wskazał dziurę w ziemi i pospiesznie się w niej ukrył.

Cally zatrzymała się zdyszana i pokręciła głową.

– Chowanie się w dziurze nie ocali nas przed atomowym wybuchem! – krzyknęła.

– Może pani iść ze mną albo zostać – powiedział Himmit, wystawiając z otworu swoją „tylną” połowę. – Poproszono mnie o wydostanie stąd pani i oddziału Cybersów. Ale nie zamierzam tu zostać i zamienić się w radioaktywny pył! Macie cztery minuty.

I zniknął w otworze.

– Cholera – mruknęła Cally, zerkając na Alejandro. – Cybersi, co? – zapytała, a potem nachyliła się i wsunęła w szczelinę.

Otwór był szerszy niż się wydawało, ale niełatwy do przejścia, nawet dla niej; nie była pewna, czy Cybersi sobie z nim poradzą. Zsuwała się w dół pod kątem jakichś dwudziestu stopni. Tunel kilka razy zakręcał. Wkrótce zrobiło się ciemno, ale Cally czołgała się dalej. Kiedy zaczęła się właśnie zastanawiać, czy szczelina nie jest czasem prostą drogą do piekła, pojawiła się purpurowa poświata. Za następnym zakrętem zobaczyła otwarty właz himmickiego statku. Szybko wpełzła do środka i przeszła na drugi koniec przedziału.

Himmita nigdzie nie było widać.

Cally słyszała o himmickich niewidzialnych statkach, ale nigdy się nie spodziewała, że dane jej będzie zobaczyć wewnątrz któregoś z nich. Był... dziwny. Przedział miał około trzech metrów szerokości, po obu stronach stały rzędy foteli. Był dość wysoki, ale dziewczynka podejrzewała, że dla Cybersów i tak będzie za niski. Oświetlenie było bardzo słabe, a fotele, choć sprawiały wrażenie przeznaczonych dla istot wielkości człowieka, miały niskie oparcia i wąskie siedziska. Podejrzewała, że Cybersi już po chwili zaczną się czuć jak na mękach. Ale pewnie człowiekowi byłoby równie trudno zrobić coś wygodnego dla Himmita.

W powietrzu unosił się ostry, kwaśny zapach, przypominający ścieki z przetwórnicy chemicznej, a w tle słychać było dziwne skrzypienie i jęki. Ogólnie rzecz biorąc, było to dość nieprzyjemne miejsce.

W wąskim przejściu pojawił się schylony pierwszy Cybers. Szybko usiadł naprzeciw Cally i odchylił się do tyłu, zdejmując maskujący kaptur.

– Himmici – mruknął. – Czemu to musieli być akurat Himmici?

– Rozumiem, że byłeś już w czymś takim? – spytała Cally.

– W ten sposób dostaliśmy się tutaj – odparł Cybers, patrząc w stronę wejścia. – Wolałbym przejść pieszo sto kilometrów niż spędzić piętnaście minut w czymś takim.

– No, podczas burzy każdy port się nada – powiedziała filozoficznie Cally, marszcząc czoło. – Nie chciałabym się żalić nieznajomemu, ale to były dwa parszywe dni. Mój pies nie żyje, konie nie żyją, mój kot nie żyje i mój dziadek nie żyje. Mój tata utknął w beznadziejnym kurestwie i pewnie do rana zginie. Aha, i przeżyłam dwa atomowe bombardowania. Dlatego himmicki statek zaczyna mi się coraz bardziej podobać.

Wszedł następny Cybers, a zaraz za nim pojawiła się reszta drużyny. Kiedy tylko dowódca przestąpił próg, właz zaczął się zamykać. Jednocześnie to, co wydawało się przednią ścianą przedziału, rozwarło się i z otworu wyszedł młody mężczyzna.

Wszyscy Cybersi zamarli na widok nieznajomego, ale Cally wprost nie mogła oderwać od niego wzroku. Wyglądał zupełnie jak jej ojciec; mógłby być jego bratem, gdyby tylko Mike O'Neal miał brata. Po uważniejszym przyjrzeniu się stwierdziła, że nieznajomy ma dłuższe ręce, sięgające prawie do kolan, i o wiele mniejszy nos niż jej tata. Właściwie gdyby nie wiek, wyglądał zupełnie jak...

– Dziadek?

Knoxville, stan Tennessee, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

22:00 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
poniedziałek, 28 września 2009

Potężne działo rzygnęło ogniem, i to było wszystko. Pocisk opuścił lufę zbyt szybko, by ludzkie oko mogło za nim nadążyć.

Jednak główny ekran był podłączony do kamery, która była w stanie śledzić lecący w powietrzu pocisk, i wszyscy odetchnęli z ulgą, że wciąż jeszcze są tutaj. Obok obrazu wyświetlał się zegar odliczający czas do odpalenia kaset i detonacji. Pocisk był „inteligentny”, czyli oceniał swoje położenie i wysokość tak, by precyzyjnie zrzucić zabójczy ładunek. Po pierwszym odpaleniu kaset zegar zaczął odliczać czas do detonacji.

– Siedem, sześć... – powiedział Castanuelo. – Cholera, chciałbym być na zewnątrz, żeby popatrzeć!

– A będzie widać? – spytał rektor Carson.

– Będzie widać aż w Pensylwanii!

Homer otworzył nagle metalowy futerał i wyrwał z niego swój przekaźnik.

– O’Neal! Łupnie za... sekundę!

\* \* \*

Słyszając ostrzeżenie, O’Neal wzruszył tylko ramionami, o ile we wnętrzu pancerza można to było zrobić. Przeżył już... Jezu, stracił rachubę. Przynajmniej pięć atomówek. Nie wspominając już o tym, że został pogrzebany pod walącym się budynkiem przez wybuch klasy podatomowej i przejechany dwa razy przez działo SheVa.

Szczerze mówiąc, bycie zakopany pięć metrów pod ziemią w epicentrum dwumegatonowej eksplozji nie było nawet w części zbliżone do jego najgorszych doświadczeń. Na swój sposób było to pocieszające.

– Jasne – powiedział, przełączając się na wewnętrzną częstotliwość. – Batalion, będzie leciało.

Coś krótko zagrzmiało, potem wszystko zadrżało, a w niecałą sekundę po pierwszym dygocie ziemia wokół jego pancerza zaczęła spazmatycznie podskakiwać. Wstrząsy trwały około pięciu sekund i były porównywalne do jazdy jeepem po ciężkim terenie. A potem wszystko się skończyło.

– I co, już? – zapytał ktoś na ogólnej częstotliwości.

\* \* \*

– Dziadek? – spytała cicho Cally, patrząc na nieznanego.

– Tak, skarbie – odparł, podchodząc i mierzwiąc jej włosy. – To naprawę ja. Chyba.

– Ale ty... Ja myślałam...

– Że nie żyję? – parsknął śmiechem.

– Aha.

– No, jest tutaj Tch... Tph... jeden Krab, który umie to lepiej wyjaśnić. Generalnie Galaksjanie uważają śmierć za coś mniej definitywnego niż ludzie.

– A więc byłeś zabity czy nie? – spytała ze złością Cally.

– Cally, mała księżniczko...

– A więc byłeś „prawie nieżywy”.

– Właśnie. Serce już mi chyba stanęło, jeśli o to ci chodzi, ale Himmit znalazł mnie na czas,

żeby podać hiberzynę, a potem ten Krab mnie tutaj... zrestartował.

Cally znów zmierzyła go wzrokiem i pokręciła głową.

– A więc to ty?

– Chyba tak – odparł Papa, wzruszając ramionami. – Mam dziury w pamięci, ale jestem młodszy, silniejszy. To... zadziwiająco przyjemne uczucie.

– Ha, nie ty jeden! Szkoda, że nie widziałeś Shari. Pękłyby ci spodnie.

– Shari?

– To długa historia, ale przeżyli i wydostali się z Podmieścia.

Papa O’Neal pokiwał głową, a potem zmarszczył brew.

– Z Podmieścia? Przeżyli?

– Nie wiedziałeś, że nie ma już Podmieścia Franklin? I że Posleeni są w całej dolinie?

– Nie było mnie przez ostatnie kilka dni. Co się tutaj dzieje? – Popatrzył na Cybersów, którzy zaczęli pakować swój sprzęt. – To dobrzy czy źli?

– Chyba dobrzy – odparła Cally. – A za chwilę trafi nas atomówka.

– Jasna cholera – zaklął O’Neal. – Jeszcze jedna?

Coś w sposobie, w jaki to powiedział, sprawiło, że Cally zaczęła chichotać, a potem roześmiała się na głos.

– Tak – wydyszała po minucie, ocierając załzawione ze śmiechu oczy i nos. – Jeszcze jedna.

W tym momencie podłoga zaczęła dygotać.

\* \* \*

Pruitt ostrożnie wyciągnął pakiet z czeluści czołgu i podał go do MetalStorma Dziewięć. Dziewiątka w którymś momencie musiała strzelić dwa razy i nie miała już pakietów. Wyciągnięcie nowych w krótkim czasie nie było łatwe.

Sama robota nie była specjalnie przyjemna. Posleeni zauważyli MetalStormy i próbowali je dosięgnąć z bardzo dużej odległości, dlatego w okolicy regularnie przelatywały zabłąkane pociski z karabinów, hiperszybkie rakiety i ładunki plazmy. Z drugiej strony wysokość dawała najlepszy widok na całe pole bitwy. A widok był świetny.

Piechota wróciła na swoje pozycje po obu stronach, chociaż utrzymywała spory dystans; czerwone pociski smugowe błyskały w zapadającym zmroku, uderzały, znikwały i rykoszetowały w dal. Fascynujący był także bezustanny grad artylerii. Potem w przerwach odzywały się MetalStormy, plując w dolinę płynnym ogniem. A Posleeni przez cały czas wypełniali powietrze strugami plazmy.

Było to wspaniałe widowisko.

W momencie kiedy Pruitt to pomyślał, jasny rozbłysk po prawej stronie, za górami, oderwał jego wzrok od monitorów. Zanim zdążył podnieść głowę, cały horyzont za górami rozbłysnął jaskrawą bielą, jakby ktoś włączył na kilka sekund i wyłączył stroboskop wielkości całego stanu.

Pruitt poderwał rękę, żeby zasłonić oczy, ale było już za późno. W serii rozbłysków widać było wznoszące się w powietrze atomowe grzyby. Wyglądało to tak, jakby świat na południu został pożarty przez słońce, a potem na powrót szerniał.

– Jasna cholera – mruknął, kiedy SheVa zakołysała się w tę i z powrotem. – Muszę zmienić definicję wspaniałego widowiska.

Jeszcze przez jakiś czas potrząsał głową, żeby odzyskać wzrok, a potem się poddał.

– Jasna cholera.

\* \* \*

Cally przestała się śmiać dopiero, kiedy grzmot ucichł.

– Są w tej balii jakieś karty? – zapytała.

– Jakby tego wszystkiego było mało, jeszcze mam tracić forse – wyszczerzył się w odpowiedzi Papa O’Neal. – Niech to szlag, wnusiu, jak to dobrze znów cię widzieć.

\* \* \*

Wstrząs szarpnął składem i sprawił, że Billy wysliznął się z objęć Shari. Potem znów zapadła grobowa cisza.

\* \* \*

– NAPRZÓD! – ryknął O’Neal na częstotliwości batalionu.

– Naprzód, na Gap!

I wprowadził własne słowa w czyn, drąc ziemią nad sobą i udeptując ją stopami. Do powierzchni ziemi mieli tylko pięć metrów, ale mimo to kopanie wymagało czasu, czasu, którego mogli nie mieć. W końcu gdy zobaczył nad sobą otwór, wytknął głowę i rozejrzał się wokół.

Jak okiem sięgnąć widać było tylko przeoraną ziemię. Nie ocalało ani jedno drzewo, ani jeden dom, ani jedno źdźbło trawy; tytaniczny ogień zdarł wszystko aż do gołej ziemi,

O’Neal pokręcił głową, sprawdził monitory promieniowania i zbladł. Pancerze bez problemu wytrzymały czterysta rem na godzinę, ale taka dawka zabijała każdego człowieka. Co więcej, zabijała większość karaluchów.

Pył powoli opadał. W świetle księżycy wszystko było czarne i szare, mimo że systemy pancerzy rozjaśniały wszystko tak, jakby to był dzień.

Mike wcisnął przełącznik i skierował reflektor pancerza na odarty z ziemi granit pod stopami, a potem odszedł od swojej jamy, znowu spojrzął na ziemię i zaklął.

– Generale Homer, tu O’Neal.

\* \* \*

– Dobrze cię słyszeć, stary przyjacielu – powiedział generał. – Jak poszło?

– Byliśmy pod ziemią – odparł O’Neal. Horner niemal widział, jak wzrusza ramionami. – Generale, skąd była ta bomba, która właśnie wybuchła?

– Z Knoxville – odpowiedział zdziwiony Horner. – Czemu pytasz?

– To znaczy gdzie ją zbudowano?

– W Oak Ridge. I na Uniwersytecie Stanu Tennessee.

– To wszystko tłumaczy. Pomyślałem, że powinien pan wiedzieć, iż całe hrabstwo Rabun jest teraz w pomarańczowym kolorze.

– Co? Gleba w tamtym rejonie...

– Nie, generale. Gleba, skały, jebane góry. Wszystko jest pomarańczowe. I to nie jest pomarańczowy z „międzynarodowego sygnału niebezpieczeństwa”, szefie. Ten jest o wiele bardziej czerwony.

Homer uśmiechnął się od ucha do ucha, kiedy spojrzął na doktora Castanuelo. Doktor właśnie wyjął z kieszeni puszką tytoniu do zucia i zaglądał jednemu z techników przez ramię. Miał na sobie czapkę Uniwersytetu Stanu Tennessee i wiatrówkę Ochotników. Obie były jaskrawopomarańczowe.

– Tak się właśnie dzieje, kiedy pozwala się wieśniakom na zabawę z antymaterią, szefie – powiedział O’Neal.

Homer nie wyjaśnił mu, gdzie Castanuelo się urodził, ale nie miał wątpliwości, że faceta, który właśnie przemalował połowę północnej Georgii na kolor jednego z ich najbardziej zajadłych futbolowych rywali, można określić „redneckiem”.

– Doktorze Castanuelo – powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha – pozwoli pan na chwilkę?

\* \* \*

Pruitt wrócił do Wyładowywania pakietów MetalStorm, kiedy tylko odzyskał wzrok. Dysponował reflektorami, w tym wielkim punktowcem, dzięki któremu na pokładzie SheVy byłoby jasno jak w dzień, ale nie chciał z siebie robić lepszego celu niż to było absolutnie konieczne.

Na szczęście system wyładunkowy, który zainstalowali ludzie z brygady naprawczej, był wyjątkowo prosty, a dźwig Dziewiątki miał automatyczny chwytak, który faktycznie działał, w przeciwieństwie do złomu, którego Pruitt używał w czasie szkolenia. Musiał tylko wyciągać pakiety z włazu, przesuwając dźwig i zrzucać je we właściwe uchwyty. Robił to nawet szybciej niż MetalStormy je zużywały.

W końcu wyładował wszystko i postanowił porządnie się rozejrzeć. Dźwig był wyposażony w niezłe systemy wizyjne, a do tego był podłączony do głównych monitorów.

Najlepszy widok dawał monitor siódmy. Kamera była zamontowana tak wysoko, że widać było nawet więcej niż z dźwigu, a ponadto miała tryb podczerwieni, pozwalający dostrzec więcej szczegółów.

W oddali widać było wciąż nadchodzące drogą z Gap strumienie Posleenów, ale były bardziej rozproszone i poruszały się o wiele wolniej. Chyba wreszcie na końcu tunelu pojawiło się światło.

Przesunął obraz w lewo, tam, gdzie East Branch spływała z gór i rozlewała się szeroko. Zobaczył ślady poprzedniego przejazdu SheVy i westchnął. Człowiek nie powinien być zmuszany do jeżdżenia czymś takim po górach więcej niż raz w życiu.

– „Ponad górami” – zaśpiewał, przesuując kamerę dalej – „unieś mnie w niebo...”.

Na grzbiecie góry nad East Branch zobaczył grupę Posleenów; Pruitt dał maksymalne zbliżenie, ale dopiero kiedy włączył podczerwień, zorientował się, co widzi.

– Panie pułkowniku – sapnął po chwili. – Niech pan lepiej popatrzy na monitor siódmy.

\* \* \*

Mitchell wcisnął odpowiednie przyciski i dał obraz z siódemki na główny ekran.

– O co chodzi, Pruitt?

– Niech pan się przyjrzy grupie na grzbiecie po lewej stronie. – Pruitt mówił martwym głosem, jakby ktoś właśnie wyrwał mu duszę.

– Grzbiet nad East Branch? – spytał pułkownik, powiększając obraz.

– Tak, sir. Niech pan włączy podczerwień.

Mitchell zrobił to i zaklął.

– To są... Czy to są ludzie?

\* \* \*

– Major Chan, przeładować broń – powiedział Mitchell. – Przygotować się do bliskiego wsparcia ogniowego. Reeves, wycofaj nas ze wzgórza. Pruitt, zabieraj dupą do włazu jeden.

– Tak jest, sir. – Kierowca sprawdził monitory, a potem obrócił czołg w miejscu i zjechał ze wzniesienia. Podejrzewając, jaki będzie następny rozkaz, cofnął do oporu i wjechał tyłem na wzgórze Savannah Church. Na widok potężnej ściany metalu chrupki na wzgórzu spanikowały, ale on miał ważniejsze rzeczy na głowie. Na przykład jak długo jeszcze będzie żył?

– Romeo Osiem-Sześć, tu SheVa Dziewięć – powiedział pułkownik na dywizyjnej sieci artyleryjskiej. – Potrzebuję ognia brygady na kwadrat UTM 29448 wschód, 39107 północ. Dajcie wszystko, co macie.

– Eee, przyjąłem, SheVa – odpowiedział dyżurny. – Ale to zajmie kilka minut. Poza tym to nie jest nasz priorytet ostrzału.



- Wykonać – powiedział Mitchell. – Mam gdzieś wasz priorytet, natychmiast wykonać.
  - SheVa Dziewięć, tu Quebec Cztery-Siedem. – To był głos kapitan LeBlanc. – Co wy wyprawiacie, do cholery?
  - Szykujemy się do natarcia w stronę East Branch.
- Zapadła cisza, kiedy kapitan przetrawiała tę rewelację.
- SheVa, plan był inny.
  - Ale plan się zmienił. Jest tam grupa ludzi, których Posleeni używają jako ruchomej stołówki.
- A my po nich pojedziemy.

\* \* \*

Angela Dale odwróciła się, kiedy na południu błysnęła seria wybuchów, ale potem znów wycofała się w swój własny udręczony świat. Wiele dni temu Posleeni schwyтали ją w pobliżu Franklin, kiedy podczas desperackiej ucieczki z miasta zgubiła rodziców. Była pewna, że tak samo jak wszyscy, którzy nie wytrzymywali tempa marszu, zostali pożarci.

Nie pamiętała, nie chciała pamiętać, ilu ludzi zginęło, ale na początku grupa, z którą wędrowała, była o wiele większa. W drodze przyłączały się do nich gromady zdezorientowanych uciekinierów, w tym grupka Indowy z wielkimi plecakami i tobołami na plecach.

Angela pozdrowiła ich tak jak nauczyła się w szkole, a mali zieloni kosmici najwyraźniej uznali ją za swojego najlepszego przyjaciela i natychmiast stłoczyli się wokół niej. Ich przywódca mówił po angielsku, choć z dziwnym akcentem; powiedział, że Posleeni przywieźli ich z innego świata jako inżynierów. Indowy zbudowali kilka mostów, ale potem, kiedy centaury zostały zmuszone do odwrotu, dołączono ich do grupy ludzi – użył posleńskiego określenia „thresh” – jako ruchomą przekąskę.

Od czasu do czasu któryś z eskortujących ich Posleenów wyciągał kogoś z grupy, a potem szły w ruch noże. Ludziom czasami proponowano jedzenie, ale chociaż żołądki przyrastały im już do kręgosłupów, nikt nie przyjmował ociekających krwią strzępów ciała, które jeszcze przed chwilą było jednym z nich.

Angela już nie zwracała na to uwagi. Schowała się w cieplej, bezpiecznej kryjówce w swojej głowie, gdzie nikt nie mógł jej skrzywdzić. Wierzyła, że pewnego dnia znów będzie jej ciepło, znów będzie bezpieczna, ale to raczej nie nastąpi na ziemi, dlatego nic już jej nie obchodziło. Szła tam, gdzie kazano jej iść, i. siadała, gdzie kazano usiąść.

Dlatego dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że artyleryjski ostrzał, który spadał na równinę, ucichł, tak samo jak ogień Posleenów. Ale to, co się działo na polu bitwy, nie miało dla niej żadnego znaczenia; mogła ją ocalić już tylko śmierć, śmierć, która była lepsza niż pożarcie.

Ale po chwili poprzez mgłę obojętności dotarły do Angeli pomruki zgromadzonych dookoła ludzi i okrzyki podniecenia Posleenów. Bała się, że to oznacza wybór kolejnego kandydata do zjedzenia, więc przesunęła się tak, żeby znaleźć się w centrum grupy. Szybko jednak stało się jasne, że chodzi o coś innego. W świetle ogni płonących w dolinie i słabego blasku księżyca, który wstał na wschodzie, ujrzeli olbrzymią masę metalu, która przewalała się przez odległy grzbiet wzgórza, podczas kiedy artyleria znów zaczęła strzelać.

\* \* \*

- Gaz do dechy, Reeves! – krzyknął Mitchell. Kierowca ruszył w dół Chuch Hill i z powrotem pod górę z maksymalną prędkością, ponieważ to był najgorszy moment całego manewru. Przez chwilę spód opancerzonego działa był wystawiony na ostrzał, i gdyby Posleeni to wykorzystali, SheVa byłaby załatwiona. Tam bowiem znajdowały się systemy napędowe i reaktory. Ich uszkodzenie zatrzymałoby czołg na wzgórzu, gdzie staliby się nieruchomym celem dla co najmniej

pięćdziesięciu tysięcy Posleenów.

Ale dzięki ostrzałowi artyleryjskiemu i zaskoczeniu szybkim natarciem wrogie pociski zabębniły o pancierz dopiero wtedy, kiedy zjeżdżali już w dół po drugiej stronie grzbietu.

– Kilzer! Zasłona wodna! Teraz!

– Eee... – Paul spojrzął na Mitchella i wzruszył ramionami. – Chyba zapomniałem powiedzieć, że woda się skończyła. Starcza tylko na pięć minut, dlatego już wszystko zużyliśmy.

– Cholera – zaklął pułkownik. – Chan!

Ale rozkaz był niepotrzebny, bo wszystkie MetalStormy już strzelały, jakby od tego zależało ich życie. I, prawdę mówiąc, zależało.

Dolina wciąż była pełna Posleenów, i nawet ci, którzy walczyli wręcz z ludzkimi obrońcami na wzgórzach, odwrócili się, żeby ostrzelać gigantyczny czołg, który parł w dół zbocza drogą na Savannah. Ale SheVa Dziewięć dawała z siebie wszystko.

Znow w kierunku Posleenów wystrzeliły wstęgi czerwonego ognia; ostrzał artylerii stworzył prostokąt otwartej przestrzeni, w kierunku którego pędziła SheVa, rzygając ogniem na wszystkie strony.

– Mitchell! – Generał Simosin zdawał się nieco poirytowany. – Co wy robicie, do cholery?

– Chciał pan przełamać opór, generale, no to go przełamujemy.

– Ty głupi sukin...

– Nad East Branch są ludzie – przerwał mu Mitchell. – Jedziemy tam i nic nas nie zatrzyma.

\* \* \*

Arkady Simosin przez chwilę patrzył na radio, a potem wzruszył ramionami.

– Jedziemy za wami.

– Synu – rzekł do kierowcy bradleya, w którym właśnie siedział – jeśli nie dogonisz tej SheVy, zanim dojedzie do połowy doliny, każę cię rozstrzelać.

– Tak jest, sir! – odparł kierowca, wrzucając bieg. – Żaden problem – dodał z drapieźnym uśmiechem, kiedy dowódca włączył silowniki uzbrojenia. Bradley był modelem zwiadowczym wyposażonym w podwójne działka Gatlinga kaliber 7.62 i był gotów rozpocząć żniwa.

Simosin odepchnął na bok radiowca i włączył częstotliwość dowodzenia dywizji. W słuchawkach słychać było niewyraźne rozmowy pół tuzina dowódców, ale generał natychmiast je uciszył.

– Wszystkie jednostki, DO ATAKU! TERAZ, TERAZ, TERAZ! Naprzód za SheVą. Zapomnieć o planach, zapomnieć o poprzednich rozkazach. Rozkaz brzmi: NAPRZÓD ZA SHEVĄ!

\* \* \*

– Ruszać się! – warknęła LeBlanc, wspinając się po stopniach czołgu. Dla kobiety, która mierzyła metr pięćdziesiąt wzrostu, był to kawał drogi; tak naprawdę powinna była jechać bradleyem albo humvee, ale jeśli chciała dowodzić swoją jednostką, musiała się wdrapać.

– Ale co robimy? – spytał dowódca kompanii Bravo. Idiota stał przy swoim abramsie i zdezorientowany rozglądał się wokół.

– Jedziemy do Savannah! – odparła LeBlanc, podłączając się do interkomu pojazdu. Już miała rozkazać kierowcy, żeby ruszał, ale on sam zamknął włącznik i pchnął czołg do przodu. Maszyna jechała z płynnością, z której słychać abramsę, i wydawało się, że nic jej nie może zatrzymać, choć oczywiście wystarczyłoby jedno trafienie z działka plazmowego. W czasie wojny pancierz abramsę ulepszone, ale ładunek plazmy albo hiperszybka rakietą wciąż były w stanie go przebić.

– Z powrotem do swojej jednostki, ruszać się! – wrzasnęła na dowódcę kompanii, a potem włączyła częstotliwość dowodzenia batalionem. – Wszystkie jednostki, generalny szturm! Jechać za

SheVą!

Wyjrzała przez właz dowódcy, kiedy czołg przyspieszając, jechał w górę zbocza, i pokręciła głową. Sto czterdziesta siódma dywizja jest gówniana, to pewny i niepodważalny fakt, ale przez ostatni dzień czy dwa coś się wydarzyło, jakby ludzi natchnął nowy duch. Mogli być pierdołami, ale przeszli z Balsam Gap aż tutaj, podczas kiedy innym to się nie udało. I chyba spodobało im się wygrywanie z Posleenami, zamiast bezustannego dostawania po tyłku.

Dlatego właśnie nie musiała kopać swoich dowódców kompanii po dupach. Żołnierze sto czterdziestej siódmej podnosili się z okopów jak niepowstrzymana fala i z krzykiem rzucali się przed siebie.

Posleeni uciekali przez potęgą SheVy, a oni mieli im dołożyć.

\* \* \*

– Co za burdel! – mruknął Mitchell, patrząc na monitory. Nie spodziewał się wsparcia, a tymczasem, na Boga, właśnie je dostał.

Żołnierze dywizji, niektórzy najwyraźniej bez rozkazów, wysypali się z umocnień, które zajmowali przez ostatnie kilka godzin, i rzucili się do ataku. Biegli pieszo, więc zostawali w ryle za SheVą, ale odciągali od niej ogień, choć sami byli przy tym wyrzynani.

To jednak nie miało znaczenia. Mitchell zobaczył bradleya, który wyłonił się zza grzbietu wzgórza i wjechał prosto w zgrupowanie Posleenów, kilku z nich rozjeżdżając. Przez chwilą żołnierze siedzący w środku grzali do obcych z pokładowej broni, a potem rampa desantowa opadła i piechociarze wysypali się na zewnątrz, zajmując pozycje dookoła swojego pojazdu i zasypując Posleenów ogniem. Obcy, przyzwyczajeni do rzucania się na pozycje ludzi, byli zaszokowani i wyraźnie przestraszeni; tym razem to króliki atakowały stado wilków.

Cała dolina zamieniła się w dom wariatów. Grupy ludzi biegly w głąb doliny, niektórzy dnem, inni stromymi zboczami, a przez Gap przelewał się strumień opancerzonych transporterów i czołgów. Inne pojazdy – czołgi, bradleye, humvee, a nawet jakieś ciężarówki – zjeżdżały ze wzgórz i szarżowały, zatrzymując się czasem, żeby zabrać piechotę.

Artyleria zupełnie straciła orientację i strzelała niemal na oślep; niektóre pociski spadały na ludzkie oddziały, ale nawet to nie spowalniało natarcia.

– Czy myśmy wszyscy powariowali? – spytał Mitchell, przełączając się na przedni monitor. Ale kiedy spojrzął na falujące masy Posleenów i prowadzony przez nich ciężki ostrzał, uśmiechnął się szaleńczo. – Aha.

*A gdy pijani potęg zwidem  
Język na świat rozpuścim wolno  
I za nic mając Twoje imię  
Jak pogan plemię bez praw, podle  
Panie Zastępów, bądź wciąż z nami  
Bo zapomnimy – zapominamy!*

Rudyard Kipling, *Pieśń na wyjście*

Green's Creek, Północna Karolina,

Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

22:38 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,

poniedziałek, 28 września 2009

Paul Kilzer wyszczerzył w uśmiechu zęby, kiedy włączył systemy obrony bezpośredniej i z SheVy bluznęła fala ognia. Reeves najwyraźniej się tego spodziewał, ponieważ wjechał prosto w masę Posleenów i miliony kulek łożyskowych przeorały horde jak młockarnia.

– Dobrze być królem – parsknął śmiechem Paul, widząc, jak gąsienice SheVy miażdżą gromady obcych. – Chyba było coś takiego: „naoliwimy gąsienice ich bebechami”?

– Patton – powiedział Pruitt przez interkom. – „Dlaczego prawie mi żal tych biednych Szwabów”. Często się zastanawiałem, co by zrobił z Posleenami.

– Sprawdziłby, ilu uda mu się zabić – warknął Mitchell.

\* \* \*

LeBlanc przez chwilę patrzyła na CEOI, a potem pokręciła głową.

– Alpha, tu batalion, jak wasza sytuacja?

Odczekała chwilę, a potem znów włączyła radio, kiedy Abrams dotarł na dno zbocza, a wstrząs rzucił ją jak marionetką.

– Bravo! Charlie. Czy ktoś jest w tej sieci, niech to szlag??

– Mówi... o cholera, mówi radiowiec kapitana Hutchinsona, ma'am – wydyszał radiooperator dowódcy kompanii Alpha. – Kompania po prostu... wstała i ruszyła za SheVą, ma'am! Kapitan próbuje ich zatrzymać.

– Diabła tam zatrzymać! – krzyknęła LeBlanc. – Wszyscy na tej sieci, naprzód! Nawiązać agresywny kontakt z Posleenami! Wesprzeć SheVę! Naprzód! Każdy dowódca kompanii, który pozostanie z tyłu, będzie odwołany. A kompania, która dotrze do Savannah jako ostatnia, będzie miała dodatkową służbę przez miesiąc.

Przełączyła częstotliwości i zakłęta, kiedy czołg wpadł w koryto strumienia i znów ją rzuciło.

– Tak się nie robi – mruknęła. – Zwiad! – warknęła, włączając mikrofon.

– Alpha Sześć-Siedem. Odbiór!

Przypomniała sobie, że dowódca plutonu zwiadu był absolwentem VMI, Instytutu Wojskowego Stanu Wirginia. Najwyraźniej potrafił trzymać się instrukcji łącznościowej nawet w samym środku bitwy, chociaż to nic trudnego, jeśli wciąż siedział na Church Hill.

– Gdzie jesteście? – warknęła.

– Jakies czterysta metrów za SheVą, ma'am – odparł spokojnie dowódca plutonu. W tle słyhać było warczenie gatlinga. – W tej chwili nie można tu narzekać na nudę.

Kapitan wysadziła głowę przez właz i rozejrzała się.

– Jedziemy za wami i powoli się zbliżamy – powiedziała. – Uważajcie, macie z tyłu i z lewej grupę Posleenów.

Złapała uchwyty gatlinga i posłała w tamtą stronę serię, włączając jednocześnie interkom.

– Działonowy! Cel na godzinie dziesiątej!

\* \* \*

Otinanderal nie wiedział, co robić. Ludzie, którzy normalnie walczyli jak *abat*, teraz byli wszędzie. Jego oolt zasypywał ogniem wielki ludzki czołg, ale równie dobrze mogliby próbować zadrapać burty oolt'pos. Wszędzie dookoła były inne ludzkie czołgi, ale Otinanderal nie mógł się zdecydować, który ostrzelać. Dopiero kiedy jeden z nich zaczął do niego strzelać, wszystko stało się jasne.

\* \* \*

– Za te dary, które mamy otrzymać... – mruknęła Glennis, zwalniając blokadę fotela i opadając w głąb czołgu. Pojazd zadygotał, a temperatura wyraźnie podskoczyła, kiedy ładunek plazmy otarł się o przedni pancerz. Chwilę później hiperszybka rakietka oderwała pokrywę wjazdu i zaalała wnętrze białym, palącym blaskiem i żarem. Ale działonowy zdążyła nakierować główne działo na cel i otworzyć ogień z broni koncentrycznej.

Czołg abrams został zaprojektowany po to, aby niszczył inne czołgi, głównie radzieckie i poradzieckie. Miał nowoczesny pancerz kompozytowy, szybkostrzelną stabilizowaną armatę 120 mm, bardzo dokładne systemy celownicze, osłonę atomową, biologiczną oraz chemiczną i – dzięki silnikowi Lycomingsa z turbiną odrzutową – zdumiewającą zdolność rozwijania dużych prędkości na małych dystansach. Na wielu polach bitew na całej Ziemi okazało się, że ta siedemdziesięcotonowa, szybka i niewiarygodnie groźna maszyna jest zdolna pokonać i wymanewrować każdy inny czołg. Ale z chwilą najazdu Posleenów zmiany w konstrukcji stały się nieuniknione; nie warto było strzelać do nich pociskami z rdzeniem ze zubożonego uranu kaliber 120 mm.

Ponieważ abrams okazał się wyjątkowo wrażliwy na plazmę czy nawet ogień karabinów kaliber 3 mm, stworzono nowe, lżejsze opancerzenie. Wieżę M-1A4 i główny pancerz przedni obłożono warstwami bojowej stali, nadprzewodnika w temperaturze pokojowej, kompozytu wysokomodułowego i włóknami syntetycznego szafiru, dzięki czemu czołg potrafił wytrzymać frontalne trafienie każdym pociskiem, poza bezpośrednim uderzeniem hiperszybkiej rakietki.

Boki nie były aż tak dobrze opancerzone, jak przód, ale jeśli Posleeni zaszli człowieka z flanki, to znaczyło, że i tak dał dupy.

Żeby poradzić sobie z głównym problemem – faktem, że Posleenów jest po prostu za dużo – zmodyfikowano uzbrojenie czołgów, instalując po obu stronach wieży dodatkową broń. Były to działka kaliber 25 mm, takie same, jak główne działka bradleya, ale podczas gdy bradley miał tylko jedno działko, abramsowi zamontowano najpierw dwa, po jednym z każdej strony, potem cztery, a na końcu osiem. Działko dowódcy kaliber .50 zastąpiono gatlingiem kaliber 7.62, który wyrzucał 8000 pocisków na minutę, a „koncentryczny” karabin maszynowy kaliber 7.62, zamontowany wzdłuż armaty, zastąpiono drugim takim samym. W taki oto sposób abrams „A4” potrafił pluć zadziwiającą ilością ołowiu.

Ponieważ szkoda było demontować główne działo, bo jako armata było doskonałe, postanowiono je zostawić i zmienić zestaw amunicji. W magazynie wciąż jeszcze pozostało sporo pocisków kasetowych.

W przeciwieństwie do złożonych pocisków z rdzeniem ze zubożonego uranu czy kumulacyjnych pocisków przeciwpancernych, pociski kasetowe były wyjątkowo proste; w zasadzie była to powiększona wersja naboju do strzelby. Każdy zawierał dwa tysiące fleszetek, upakowanych przed

potężnym ładunkiem miotającym.

Kiedy następny ładunek plazmy odbił się od pancерnej płyty czołowej, działonowy Glennis nakierowała krzyżyk celownika na kompanię Posleenów, przełączyła dźwignię na „wszystko” i uderzyła w przycisk spustu.

Obcych trafił tylko jeden pocisk kasetowy, ale za to rozniósł jedną trzecią ich kompanii. Działonowy przesunęła „drugorzędne” uzbrojenie czołgu z boku na bok i po chwili reszta też przestała istnieć.

– To się nazywa szybka robota – mruknęła, kiedy ładowniczy zatrzasnął w komorze następny pocisk. Całe starcie trwało mniej niż cztery sekundy.

– Dobra robota – powiedziała LeBlanc, włączając mikrofon. – SheVa Dziewięć, tu kapitan LeBlanc. Zbliżamy się do was na szóstej. Jak wygląda wasza sytuacja?

\* \* \*

Mitchell skrzywił się i spojrzał na panele Indy; połowa systemów była już na żółtym polu i pojawiało się coraz więcej czerwonych światełek.

– No, grzali do nas jak do kaczek, ale poza tym... – Przerwał, gdy uświadomił sobie, że ostrzał słabnie. – Czy mi się tylko wydaje, czy...

– Panie majorze, osobiście w to nie wierzę, ale wygląda na to, że oczyściliśmy tę dolinę – odparł dowódca batalionu z uśmiechem, który słychać było nawet przez radio.

Mitchell spojrzał na monitory. Największą ocalałą grupą Posleenów była ta otaczająca ludzi, ale do tej pory specjalnie jej nie atakował. Była to jedynie niecała kompania. Poza kilkoma niedobitkami w bocznych dolinach, droga była czysta. Mitchell parsknął, a potem zaczął się histerycznie śmiać.

– Panie majorze? – zawołał Reeves, widząc, że Mitchell wyłączył radio i szamocze się w fotelu, nie mogąc przestać się śmiać. – Sir?!

– Och! – sapnął major, opanowując trochę śmiech. – O cholera. Przepraszam, Reeves. Cholera!

– Co pana tak rozbawiło, sir?! – wrzasnął kierowca. – Przecież musimy jeszcze wydostać stamtąd tych ludzi!

– Wiem. – Mitchell otarł oczy. – Po prostu coś mi przyszło do głowy. Rozglądałem się i jedyne, o czym mogłem myśleć...

Znów zaczął się śmiać, aż dostał zadyszki.

– Co takiego?

– Pomyślałem sobie: „Ka-CLICK!”

\* \* \*

Kierowca Simosina najwyraźniej dosłownie potraktował jego groźbę, chyba że po prostu był wariatem. Wpadli na zbocze Deere Creek z taką prędkością, że bradley aż wyskoczył w powietrze i z łoskotem spadł po drugiej stronie wzgórza.

Generał wyprostował się i pomachał do dowódcy.

– Powiedzcie mu, że nie trzeba aż tak szybko! – krzyknął i podciągnął się, żeby wyrzeć przez wizjer, ale ponieważ nie wiele mógł w ten sposób zobaczyć, znów pomachał do dowódcy i wypędził go z jego wjazdu.

Kiedy w końcu wgramolił się na miejsce i wyrzwał, dopiero po chwili zorientował się, co widzi. Najpierw przestraszył się, że wyprzedzili SheVę albo że jego dywizji już nie ma, ale szybko zauważył lekki ogień prowadzony po obu stronach doliny i nieco cięższy, w tym wykwitły plazmy, na końcu doliny. Potem zwrócił uwagę na to, że bradley brnie przez stopy centauroidalnych trupów.

Kazał dowódcy czołgu podać hełmofon, po czym włączył go do interkomu.

– Synu, nie martw się, że mogą cię trafić. Zapomnij na chwilę o SheVie i wjedź na wzgórze. Muszę się rozejrzeć.

Bradley posłusznie skręcił w lewo i wjechał na najbliższe zbocze. Na szczycie stał dom, a raczej resztki domu, a kierowca transportera dopełnił dzieła zniszczenia, ryjąc podjazd i całe podwórze. Ale za to widok był stamtąd jak cholera.

Dolina, która przedtem dosłownie się ruszała, teraz była pełna trupów. Ludzkich i posleenkich, ale głównie posleenkich. Gdzieniegdzie dymił jakiś pojazd. Sądząc po rezultatach bitwy, ceną za przejechanie przez całą dolinę było może pół batalionu żołnierzy. A takie straty ponosili co kilka godzin podczas obrony swoich pozycji.

– Święta Mario, matko Boża – mruknął. – Święta... – Spojrzał w dół, na dowódcę transportera, i pokręcił głową. – Wysadź drużynę, niech zabezpieczy teren. Niech radiowiec połączy się z kwaterą główną, a oni niech się skontaktują z generałem Homerem i przekażą mu, że zajęliśmy Savannah i szykujemy się do dalszego natarcia.

\* \* \*

Angela zadrżała, kiedy olbrzymi czołg zaczął jechać w ich stronę. Inne czołgi, dużo mniejsze, rozjeżdżały się na obie strony, a za nimi były jeszcze inne pojazdy.

Posleeni, którzy ich pilnowali, nie strzelali; wyglądali na równie zaskoczonych sytuacją, jak ich jeńcy. Setki tysięcy obcych w dolinie po prostu zniknęły, a teraz bezlitośnie polowano na niedobitków.

Olbrzymi czołg – to musiało być działko SheVa, Angela widziała takie w telewizji – zbliżył się na odległość kilkudziesięciu metrów i zatrzymał się. Stał tak, zdawało się, przez całą wieczność, a potem otworzył się właz u podstawy i wyjechała z niego winda. Następnie ze środka wyszedł samotny człowiek. Miał na sobie prochowiec i okulary przeciwsłoneczne, a w rękach karabin plazmowy zwrócony lufą do dołu.

Kiedy ruszył w stronę grupy ludzi i Posleenów, na szczycie SheVy zapalił się potężny reflektor. Przez chwilę obracał się, a potem zalał całą grupę białym światłem, chowając w mroku pozostałe czołgi, ale rozlegające się w ciemności odgłosy otwierania włazów, skrzyp wieżyczek i tupot stóp jasno wskazywały, co się tu dzieje.

Samotny człowiek podszedł do Wszechwładcy na spodku, zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, a potem wymówił tylko jedno słowo:

– Precz.

Angela patrzyła na przywódcę ich oprawców i zastanawiała się, co się stanie. Gdyby doszło do walki, zamierzała paść na ziemię i mieć nadzieję, że wyjdzie z tego cało. Podejrzewała, że dookoła są już rozstawieni strzelcy, ale gdyby któryś z czołgów wystrzelił, ludzie byliby zgubieni.

Nie wiedziała, czy Posleeni rozumieją angielski. Słyszała, że niektórzy tak, ale nigdy nie mówili w tym języku, pokazywali wszystko na migi.

Wszechwładca popatrzył na człowieka i zatrzepotał wolno grzebieniem. Musiał się zorientować, czego się od niego oczekuje i jaka kara grozi mu za odmowę.

W końcu rozwinął swój grzebień, podniósł działko plazmowe i powoli zawrócił spodek. W ciągu kilku sekund Posleeni zniknęli w ciemnościach nocy.

Angela spojrzała na wielki czołg i wymalowanego na przodzie królika, a potem zemdlała.

\*\*\*

Mitchell spuścił trap z włazu dla personelu i niedbale zasalutował na widok generała Simosina. Generał, który siedział na rampie desantowej bradleya, chrząknął tylko i wrócił do zajadania zupy z

wołowią. Jego hełm i taśmy LBE leżały rzucone na stos obok niego.

– Właśnie rozmawiałem z Keetonem – powiedział po przełknięciu ostatniej łyżki. Otarł usta dłonią, a dłoń wytarł o brudne spodnie. – Próbował mnie zmusić, żebym powiedział, iż ciągle jestem w Green's Creek. Zwłaszcza po tym, jak mu powiedziałem, że moja szpica melduje z połowy drogi do Rocky Knob.

– Zaczynam żałować, że tam nie jestem, sir – odparł pułkownik, patrząc na SheVę. Z tyłu nie wyglądała źle, ale boki przypominały szwajcarski ser. – Ktoś dostanie cholernie duży rachunek za naprawy.

– Och, niech pan nie będzie taki skromny – chrząknął generał. – Jest pan bohaterem dnia. Wie pan, jak rzadko udaje się odbić posleenkich jeńców? Gdyby nie to, że ciągle jest tu pełno Posleenów, już by nas obleźli reporterzy.

– Ach, sława. – Mitchell prychnął, a potem usiadł na schodach z perforowanej blachy. Uwierały go w tyłek, ale ponieważ i tak bolało go całe ciało, nie zwracał na to uwagi. – Sława i kilka miliardów kredytów znów postawi SheVę na nogi. Nie jest najgorzej, panie generale, ale będziemy potrzebowali wielu napraw, zanim odzyskamy pełną skuteczność bojową. Między innymi pod sam koniec straciliśmy zasilanie MetalStormów. Potrzeba nam także więcej pakietów; nie wiem, czy tu w ogóle są jakieś pakiety.

Simosin zerknął na wznoszącą się nad nim ścianę metalu i wzruszył ramionami.

– Wasz batalion naprawczy dostał priorytet ruchu, a drogą z Asheville jedzie tu pełny batalion ciężarówek zaopatrzeniowych z MetalStormami. Każę sztabowi dywizji znaleźć wam miejsce w dolinie na naprawy. Wciąż zamierzacie przejechać przez Green's Pass?

– Łatwiej tam podjechać z obu stron – odparł Mitchell i ziewnął.

– W Dolinie Tennessee będziecie zdani tylko na siebie – zauważył generał. – W tę stronę idzie wszystko, co mi się udało poruszyć, ale nie mogę pojechać za wami całą dywizją. Za bardzo niszcycie drogi.

– Cóż zrobić, sir. Nie możemy przejechać przez Rocky Knob, bo rozwalimy wam wszystkie drogi. Nawet przejazd przez Betty narobi jeszcze większego bałaganu niż jest teraz, sir.

– Hmm... – Simosin uśmiechnął, kiedy obok jego bradleya zatrzymał się abrams. – To chyba dobry znak.

Mitchell spojrział na gramolącą się z wieżyczki kapitan LeBlanc i parsknął śmiechem.

– Wielki czołg, mała kobietka. Coś mi tu pachnie Freudem.

– Coś w tym musi być – odparł generał. – Ja też pomyślałem: „wielkie działo, mała kobietka”.

– Wzywał mnie pan, panie generale? – spytała kapitan, salutując. Kiedy generał odwzajemnił salut, skinęła głową Mitchellowi. – Pułkowniku.

– Pani kapitan – rzekł poważnie Mitchell – chciałbym podziękować pani za wsparcie. Gdyby nie pani jednostka, nie byłoby nas tutaj.

– To prawda – powiedziała nieskromnie – ale to zasługa nie tylko mojego batalionu. Gdzieś czytałam, nie pamiętam, czy u Keegana, czy w „O zabijaniu”, że czołgi nie mają za zadanie, jak się powszechnie uważa, przerwać linię wroga, ale powinny dać się otoczyć, żeby wywołać w piechocie odruch niesienia pomocy. „Patrzcie, jak ci głupi czołgiści się zagalopowali; jak im nie pomożemy, to ich zabijają”. Myślałam o tym, kiedy jechaliśmy na Bałakławę.

Mitchell znów zaczął chichotać, ale szybko się opanował.

– Pewnie jest w tym jakaś prawda, pani kapitan. „Naprzód, naprzód jechało sześcuset...”

– Pani major – poprawił go generał. Sięgnął do bocznej kieszeni spodni i przez chwilę ją przetrząsał, po czym wyjął parę listków majora. – Zanim się pani zorientuje, będzie pani miała



wystarczająco wysoki stopień, żeby naprawdę dowodzić, pani major.

– Ale wciąż będę z wywiadu – powiedziała major, przypinając listki do munduru. – I kobietą. To dwie największe przeszkody na drodze do dowodzenia batalionem piechoty.

– Po to właśnie, moja droga, są rezygnacje – powiedział wyniośle generał. – Później przyjdą związane z tym nagrody i rozkazy; opowiedziałem dowódcy korpusu i generałowi Keetonowi o tym, jak się pani spisała. Jakie mamy straty?

– Około dwudziestu procent – odparła major, siadając nagle na ziemi. – Ale to nie tylko zabici; brakuje mi kilku dowódców kompanii. Niektórzy wciąż mogą być wymieszani z innymi jednostkami, ale myślę, że inni po prostu dali nogę.

– Jeśli tak, zgarnie ich żandarmeria. – Simosin wyjął notatnik i coś w nim zapisał. – Dam pani dwie kompanie z drugiej brygady, jedną zmechanizowaną, drugą zmotoryzowaną. Prowadziły w pierwszym szturmie, więc nie są zupełnie „zielone”. Proszę połączyć to, co pani zostało, w trzy kompanie. Każda z nich będzie zbyt liczna, ale jestem pewien, że ten problem sam się rozwiąże.

– Tak jest, sir – odparła LeBlanc. – Co potem?

– Zatankować i uzupełnić amunicję – ciągnął generał, wzdychając. – To może trochę potrwać; sztab, który odziedziczyłem, nie opanował jeszcze podstawowych pojęć wojny manewrowej, takich jak podciąganie elementów logistycznych. – Spojrzał na major ze zdziwieniem. – Czemu pani się uśmiecha?

– Och, tak sobie – zaśmiała się. – Tankowanie i uzupełnienia nie będą problemem, panie generale. Wysłałam jednego ze swoich podoficerów, żeby znalazł nasze ciężarówki z zaopatrzeniem. I znalazł je.

– Wasze ciężarówki?

– Prawie. Czyjeś, ale równie dobrze mogą być moje. A kiedy podoficer podkreślił, że ma dwa w pełni uzbrojone bradleye z załogami, a oni tylko jakieś nędzne pięćdziesiątki, od razu nabrali ochoty do rozmowy. Alpha i HCC są już zatankowane i uzupełniły amunicję, reszta zajmuje się naprawami.

Generał pokręcił głową i znów westchnął.

– Może powinienem mianować panią moim szefem sztabu. Nie, niech pani zapomni, że to powiedziałem, nie chcę tłumaczyć się generałowi Keetonowi, dlaczego inne dywizje nie mają paliwa i zapasów.

– Skoro mowa o innych dywizjach – powiedział Mitchell – czy nie byłoby dobrze, żeby ktoś inny tędy przeszedł, kiedy wy będziecie się przegrupowywać?

– Byłoby dobrze, gdybyśmy mieli kogoś, kto mógłby przejść – skrzywił się Simosin. – Z Knoxville idzie jedna dywizja, ale jest zupełnie „zielona” i brakuje jej jednej brygady. Pewnie ją dostanę, a wtedy dodam ją do swojej i będę bardzo ostrożnie używał. A więc zostaliśmy tylko my.

Spojrzał na LeBlanc i uśmiechnął się ponuro.

– Dlatego właśnie mój oficer operacyjny uznał mnie za wariata, kiedy postanowiłem odesłać swoją główną jednostkę zmechanizowaną.

– Słucham? – spytała major, a potem spojrzała na SheVę.

– Majorze LeBlanc, pani i pani wzmocniony batalion zostajecie odesłani jako wsparcie SheVy Dziewięć, która wykona manewr oskrzydający w Dolinie Tennessee – powiedział oficjalnie generał.

– Niech to szlag trafi – zakłęła major, kręcąc głową. – No to mamy przejebane.

– Jesteście mi potrzebni żywi i we Franklin – powiedział Simosin, widząc uniesioną brew Mitchella. – Nie potrzebuję dymiącego wraku w dolnym Tennessee.

– Tak jest, sir – odparł pułkownik i wzruszył ramionami. – Jak znów ugrzęźniemy, będziemy mieli do pomocy Abramsy. – Odwrócił się do majora LeBlanc i wyszczerzył w uśmiechu zęby. – Jedziemy tam, gdzie orłom leci krew z nosa, wie pani?

– O tak – powiedziała z goryczą major. – Ale do diabła z tym, jeśli ten wielki drań da radę, to mam nadzieję, że my też.

– A więc do zobaczenia we Franklin – powiedział Simosin, z trudem gramoląc się z rampy. – SheVa ma wsparcie. – Oblizał łyżkę i schował ją do bocznej kieszeni spodni, a puste opakowanie po zupie wyrzucił. – Paliwo dla czołgów już jedzie, ludzie idą naprzód, teraz ja muszę wracać i zrobić porządek z tym burdelem, który mi się dostał zamiast kwatery głównej.

– Niech pan go zbombarduje, sir – odparła LeBlanc. – To jedyny pewny sposób.

– Nie, niech pani pomyśli, ile to papierkowej roboty. Mam już dość zmartwień.

\* \* \*

– Ruszać się, RUSZAĆ SIĘ! – krzyczał O’Neal, pędząc po wypalonym zboczu Black Rock Mountain.

To był wyścig z czasem. Gdzieś na południu byli Posleeni, którzy spieszyli się, żeby dotrzeć do linii Mountain City przed piechotą mobilną. Ale pancierzom nie wystarczyło dobiec tam przed nimi; musiały mieć jeszcze trochę czasu, żeby się okopać i przygotować. Gdyby Posleeni złapali ich na otwartym terenie, żołnierze równie dobrze mogliby popodrzynać sobie gardła.

– Dranie – mruknął Stewart. – Zasypali wszystkie nasze okopy!

Posleeni wydeptali sobie drogę przez poprzednie umocnienia batalionu i wszystkie okopy, oprócz najbardziej wysuniętych na boki, zostały zasypane. W dodatku zniknęły pracowicie wykopane transzeje komunikacyjne.

– A więc z powrotem do roboty – powiedział O’Neal. – Bravo, Charlie, zacznijcie się okopywać. Kosiarze i technicy, przygotujcie sobie jakieś jamy, a potem zacznijcie kopać transzeje. Każdy ma zejść najszybciej jak się da poniżej poziomu gruntu.

\* \* \*

Duncan popatrzył na rejon przydzielony jego kompanii i zaczął wyznaczać sektory dla plutonów.

– Bandy ci na linię, panczerze dowodzenia na tyły – powiedział. – Ruszać się, ludzie!

Dobiegł do połowy drogi do wyznaczonej strefy dowództwa batalionu i rzucił na ziemię ładunek kopiający. Wciąż nie widział ani śladu Posleenów, i to go niepokoiło.

– Stewie, co ze zwiadowcami? – zapytał na dyskretnym kanale batalionowego S-2.

– Zostało mi tylko dwóch – odparł z irytacją Stewart. – Zamierzałem wysłać ich na flanki.

– Dobrze byłoby wiedzieć, kiedy chłopcy wpadną na herbatę – powiedział dowódca kompanii.

– Zgadza się.

\* \* \*

Sunday zaczekał, aż wszyscy jego Kosiarze się okopią, a potem rzucił trzy ładunki kopiające, łącząc ze sobą, ku konsternacji ich właścicieli, dwie jamy.

– Niewiele brakowało, sir! – rzekł z wyrzutem Pickersgill; wybuch ładunku zwałił na niego ścianę wykopu.

– Mógłbym to zrzucić prosto na ciebie i nic by się nie stało – odparł Sunday, zeskakując w sam środek połączonej sekcji Kosiarzy. Miał ze sobą zamaskowaną skrzynię, z której wyciągnął teraz broń. Złożył ją ostrożnie w jamie, upewniając się, że nikt tego nie widzi.

– Bierzcie się za transzeje – powiedział, kiedy panczerze skończyły kopanie swoich jam. – Dołączę do was.

- Co pan tam ma, sir? – zapytał McEvoy, zaglądając do jego wykopu.
- Pokażą ci, jak wrócisz – odparł Tommy z uśmiechem.

\* \* \*

Stewart popatrzył na przekaz od zwiadowcy, który właśnie wszedł na szczyt Hogsback, i zmarszczył czoło.

- Szefie, nie mamy żadnego wsparcia ogniowego, zgadza się? – spytał żartobliwym tonem.

– Aha. – Zapadła chwila ciszy, kiedy major O’Neal najwyraźniej także oglądał przekaz. – No, ciekawie się zapowiada.

- Dam im jeszcze jakieś piętnaście minut, zanim wyjdą z za rogu – stwierdził Stewart.

- Wystarczy z zapasem – powiedział w zamyśleniu O’Neal. – Nie idą tak szybko, jak zwykle.

Czy widzi pan przerwy między kolejnymi grupami?

- Tak, widzę. Spójrz na krawędź obrazu. Rozsuwają swoje bataliony.

- Żeby uderzyć jednym strumieniem? – domyślił się Stewart.

- Nie lubię cwanych Posleenów, szefie. Wcale a wcale.

– No, może i są cwani, ale za to wolniejsi. Wykorzystajmy jak najlepiej ten czas. – Major spojrział na wzniesienia po obu stronach i zmarszczył czoło. – Miejmy nadzieję, że nie wykombinują, jak się wspinać.

Green's Gap, Północna Karolina,  
Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III  
00:37 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
wtorek, 29 września 2009

Pruitt spojrział na porośnięte drzewami góry, które wypełniały cały główny ekran, i zaśmiał się głośno.

– Bun-Bun to królik, a nie małpa!

Naprawianie SheVy przebiegało z godną podziwu szybkością, ponieważ brygada naprawcza już na nich czekała. Kiedy działo dojechało na miejsce, Kilzer i Indy wspólnymi siłami opracowali pełny przegląd zniszczeń. Potem spawacze i elektrycy uporali się ze swoimi zadaniami i zainstalowano nowe uzbrojenie przeciwpiechotne. Nadeszła pora, aby jechać dalej, tym razem w eskorcie abramsów i bradleyów, rozproszonych jak chihuahua strzegące słonia.

Ruszyli w górę strumienia Brushy Fork. Bradleye, abramsy i ciężarówki z napędem na sześć kół z trudem gramoliły się po koleinach zostawionych przez SheVę; gigant niwelował nieprzejezdne wertepy, ale pod jego ciężarem granit zamieniał się w gruby na metr pył. Nie było jednak innego wyjścia; wąska gruntowa droga byłaby nieprzejezdna dla czołgów, nawet gdyby jej nie zniszczyło olbrzymie działo.

W końcu dotarli do wzgórza nad Brushy Fork, około trzech kilometrów od Green's Gap. Mniejsze pojazdy ustawiły się na innych grzbietach, a kilka czołgów w korycie strumienia; na szczycie było miejsce tylko dla SheVy.

Załogi wyglądały przez włazy, oceniały czekającą ich trasę i kręciły głowami. Słońce dawno już zaszło, zabierając ze sobą całe ciepło. Prawie pionowe ściany skalne lśniły w świetle księżyca szronem.

– Ja jestem za tym, żebyśmy zawrócili – zatrzeszczał w radiu głos LeBlanc.

– O, wy małej wiary – zadrwił Kilzer. Miał na swoim wyświetlaczu kolorowy trójwymiarowy obraz okolicy; teraz wcisnął parę przycisków i przesłał jego fragmenty do systemów celowniczych Pruitta. – Dobra, Pruit, ładuj burzący.

Pruitt spojrział na ekran i zadrzał.

– Pan żartuje, prawda?

– Nie. – Kilzer znów postukał w klawisze i zaznaczył na zboczu góry piętnaście celów. – To będzie nas drogo kosztowało, ale przynajmniej będziemy mieli drogę.

Pruitt spojrział na zadumanego pułkownika.

– Panie pułkowniku, co pan na to?

– Czy to się uda, Kilzer? – spytał oficer. – Pociski nie są aż tak duże...

– O Boże, to się panu udało, sir! – zaśmiał się cywil. – Najwyraźniej za długo walczy pan w SheVach, sir. To pociski o mocy DZIESIĘCIU KILOTON! To odpowiednik dziesięciu tysięcy ton TNT. Dziesięć milionów kilogramów materiałów wybuchowych!

– Hmm... – Po chwili Mitchell uśmiechnął się. – Ma pan rację. Mam trochę wypaczone pojęcie o „małej” eksplozji. Niech pan mówi dalej.

– Każdy pocisk zniesie spory kawał północnokarolińskiej skały, sir. Piętnaście strzałów, według moich wyliczeń, obniży szczyt tylko o jakieś sześćdziesiąt metrów, ale te sześćdziesiąt metrów to najbardziej stromy odcinek podjazdu.

– Pruitt, co ty na to?

– Sam nie wiem, sir – przyznał działonowy. – Coś mi mówi: „hej, przecież to Bun-Bun, no problemo”, a potem odzywa się głos rozsądku i mówi „przecież to zasrana góra!” – Przez chwilę drapał się pod hełmem, a potem wyszczerzył w uśmiechu zęby. – Do cholery z tym, sir. Jeśli piętnaście nie da rady... Ile mamy w rezerwie?

– Następne jadą z rezerw Asheville – powiedział Mitchell. – Jak wystrzelimy piętnaście, będziemy mieli dwa komplety pocisków burzących i sześć sztuk rażenia powierzchniowego.

– Pułkowniku, jak tam wygląda sytuacja? – Major Chan nie słyszała rozmowy i dlatego zaczynała się niecierpliwić.

– Omawiamy pewne szczegóły techniczne – odparł Mitchell na grupowej sieci. – Dobra, Pruitt, zrób to. – Znow włączył mikrofon i westchnął. – Uwaga, wszyscy przygotować się na kupę huk.

\* \* \*

Major LeBlanc nie widziała dotąd strzelającej SheVy i musiała przyznać, że nawet dla kogoś, kto jeździł abramsem, ten widok był imponujący. Szesnastocalowa gładkolufowa armata rzygnęła ogniem z hukiem przypominającym ryk olbrzyma. Sam pocisk był zasadniczo powiększoną wersją podstawowego pocisku przeciwpancernego abramsa, z rdzeniem ze zubożonego uranu. Główna różnica polegała na tym, że pociski SheVy miały w rdzeniu czop antymaterii.

Tak samo jak „srebrne kule” abramsów i łezkowe pociski karabinów grawitacyjnych piechoty mobilnej, pocisk burzący z rdzeniem ze zubożonego uranu i wolframowymi lotkami stabilizującymi pozostawił za sobą smugę srebra. Wszedł prosto w zbocze góry po prawej stronie i zniknął. Po chwili z dziury błysnęło światło i ziemia zadrżała.

– Mam nadzieję, że następny będzie bardziej imponujący – powiedział jeden z czołgistów. Strzał sprawiał bowiem wrażenie kropli wody wpadającej do oceanu.

\* \* \*

Pruitt wystrzelił wszystkie osiem pocisków, które czołg miał na pokładzie, ale każdy z nich znikł bez śladu.

– Nie widzę żadnych efektów, Kilzer – powiedział Mitchell.

– Już niedługo, sir – odparł cywil. Ale wyglądał na nieco zdenerwowanego.

Tymczasem Pruitt czekał, aż zakończy się proces ładowania. Najpierw każda z ciężarówek z amunicją – specjalnie przystosowany HMETT – podjeżdżała pod tył SheVy i ładowała pociski, a potem były one transportowane do magazynu za wieżą. Trwało to dość długo, więc czołgiści powychodzili ze swoich pojazdów; łazili dookoła, rozmawiali, żartowali i palili papierosy. Niektórzy rozpalili ogniska, żeby podgrzać sobie racje polowe.

– Panie pułkowniku, może niech załogi wrócą do swoich pojazdów – zaproponował Kilzer, kiedy Pruitt załadował następny pocisk.

Czując się trochę jak służbista, Mitchell przekazał rozkaz LeBlanc, a ta powoli zebrała swoich ludzi. W końcu kiedy wszyscy siedzieli z powrotem w pojazdach, pułkownik dał Pruittowi pozwolenie na strzał.

Pierwsze osiem pocisków uderzyło wzdłuż szczeliny biegnącej jakieś sześćdziesiąt metrów pod kalenicą, a dziewiąty i dziesiąty w sam środek. Efekt znowu był taki sam, czyli żaden.

– Czy zobaczymy w końcu jakieś rezultaty, Kilzer? – spytał zniecierpliwiony Mitchell.

– Ten ostami powinien być coś poruszyć. – Cywil zmarszczył czoło. – Zajrzę do notatek...

– Co tam. – Pruitt po raz kolejny wycelował. – Mamy dużo pocisków.

Pocisk trafił jakieś dwadzieścia metrów nad miejscem, w które wbił się pierwszy pocisk.

Okazało się, że wszystkie poprzednie wystrzały jednak odniosły pożądany skutek. Wybuchy

antymaterii unicestwiły wielkie kawały skał, tworząc niezwykle gorące jaskinie o średnicy od pięćdziesięciu do stu metrów, poprzedzielane skalnymi filarami.

Jedenasty pocisk już bez trudu przebił naruszoną przez poprzednie wybuchy skałę; rezultat dziesięciokilotonowej eksplozji był dosłownie wstrząsający.

\* \* \*

– Jasna cholera! – mruknęła LeBlanc, kiedy cała przełącz zaczęła się poruszać. – Cofaj!

Patrzyła bezradnie, jak kawał skały większy niż SheVa zaczyna się osuwać na jej czołgi. Załogi schowały się we wnętrzu maszyn i właśnie zaczęły ruszać, kiedy jej własny czołg nagle ryknął i szarpnął w tył, rzucając ją na wypaloną bryłę żużlu, która kiedyś była mocowaniem klapy wjazdu. A potem zobaczyła, jak najpierw jeden, a potem drugi czołg znikają pod lawiną.

\* \* \*

– No – powiedział Kilzer. – Wreszcie coś się ruszyło...

\* \* \*

– Wszystko w porządku, pani major – powiedział pułkownik uspokajającym tonem. Chwilę trwało, zanim cały batalion i jego dowódca opanowali się na tyle, że można było z nimi rozmawiać. – Wystają im lufy, więc możemy ich wziąć na hol i wyciągnąć.

– Będziecie jeszcze strzelać! – ucięła LeBlanc. – Zasypie ich.

– Prawdopodobnie nie – powiedział Kilzer. – Reszta gruzu powinna pójść na drugą stronę. Ten strzał miał tylko usypać podjazd.

– Usypać podjazd!? – wrzasnęła major. – Właśnie zasyпалиście dwie moje załogi!

– Przecież oni żyją. Byli w środku, w czołgach, kiedy spadła lawina, prawda?

– Pojadę tam..

– Nie, nie pojedzie pani – powiedział Mitchell. – Kilzer, zamknij się i idź zajrzeć do notatek. Proszę posłuchać, pani major. Wydostaniemy ich, kiedy przestaniemy strzelać i otworzymy przełącz. Dopóki możemy zacząć o coś łańcuchy, SheVa wyciągnie ich jak korek z butelki.

– Wiedziałam, że to zły pomysł jechać z wami.

\* \* \*

Pruitt podniósł spory kamień i załomotał nim w jedyny odsłonięty kawałek wieżyczki.

– Jest tam kto?! – zawołał.

Odpowiedzi nie było słychać, ale wściekłość jakoś się przebiła. Właściwie, sądząc po odgłosach, to dziwne, że nie przepaliła pancerza.

– Dobra! – krzyknął Pruitt. – Za moment was wyciągamy!

Załoga pierwszego wyciągniętego z rumowiska abramsa leżała rozciągnięta na porysowanej powierzchni czołgu, oddychając prawdziwym powietrzem i klnąc jak... no, jak żołnierze, którzy zostali żywcem pogrzebani, a potem bezceremonialnie wywleczeni spod ziemi. Sam pojazd był w pełni sprawny – trzeba było czegoś więcej niż wielotonowej lawiny granitu, żeby zniszczyć abramsa – ale dowódca kompanii i major mieli cholerne problemy z przekonaniem załogi, że muszą wejść z powrotem do środka i jechać dalej.

Pruitt sprawdził zamocowanie grubego łańcucha na osłonie działa, a potem poszedł jakieś sto metrów w górę zbocza. Zawsze istniała możliwość, że łańcuch się ześlizgnie, a on wolał być w takiej sytuacji daleko, żeby uniknąć ewentualnej reakcji załogi. Nie martwił się, że łańcuch może pęknąć; takie same łańcuchy wykorzystywano do cumowania lotniskowców, a ten konkretny zaadaptowano do holowania dział SheVa.

– Dobra, Reeves, dawaj. – SheVa zaczęła wolno pięć się w górę. Mimo że kierowca dał

niecałe dziesięć procent mocy, a zbrocze wznosiło się pod kątem trzydziestu stopni, łańcuch napiął się i siedemdziesięciotonowy czołg wyskoczył z rumowiska jak wyścigowy koń z boksu.

– Stój, kolego! – zawołał Pruitt; czołg włókł abramsa jeszcze kawałek w górę, zanim się zatrzymał. – A następnym razem, kiedy będziesz potrzebował pomocy na drodze...

\* \* \*

Mitchell stał z boku i patrzył, jak dowódca batalionu sprawdza, co się stało z załogą drugiego czołgu. Czołgiści nie odnieśli w lawinie żadnych ran, jedyne dowódca złamał nos, kiedy pojazd został wyrwany z ziemi jak chwast.

Kiedy LeBlanc skończyła rozmawiać z załogą, podeszła do niego. Ziemia była zryta i zasypana głazami wielkości małych samochodów, więc musiał uważać. Ale nie tylko na to.

– No, mamy przejazd – powiedział, wskazując na przełęcz. To, co kiedyś było lekko wygiętym siodłem z ostrymi urwiskami po obu stronach, teraz zamieniło się w głębokie i niemal płaskie U. – A pani ma swoje czołgi i wszyscy są zadowoleni.

– Oni mogli zginąć – mruknęła LeBlanc, ale słysząc było, że nie mówi tego z przekonaniem. Odwróciła się, popatrzyła na SheVę i pokręciła głową. – To jest po prostu...

– Niesamowite?

– Niebezpieczne – odparła, ale po chwili uśmiechnęła się. – I niesamowite.

– Tak, to rzeczywiście niesamowite. Ale kiedy ma pani z jednej strony pojazd ważący siedem tysięcy ton, a z drugiej siedemdziesiąt, to wiadomo, że ten pierwszy może tego drugiego bez trudu holować czy nawet wyrwać z zaschniętego betonu. A jeśli pani myśli, że teraz było ciężko, niech pani zaczeka, aż spotkamy pierwszy lądownik.

\* \* \*

Przedostanie wsparcia przez przełęcz okazało się o wiele trudniejsze niż przejazd czołgów przez wzgórza. Skończyło się na tym, że abramsy i SheVa musiały przeciągnąć ciężarówki przez gruzowisko.

W końcu zjechali w dolinę Cowee i zatrzymali się w miejscu połączenia strumieni Cowee i Caler, żeby opracować dalszy plan.

– Musimy dojechać do Doliny Tennessee i połączyć się z dywizją, prawdopodobnie w pobliżu Watuga Creek.

Pułkownik Mitchell poświecił latarką na mapy, a potem rozejrzał się po otaczających ich wzgórzach. Większa część jednostek pancernych stała na szczytach, wypatrując Posleenów, a w tym czasie kilka pojazdów uzupełniało paliwo. Żadnemu z czołgów nie brakowało paliwa, ale to mogła być ostatnia szansa na tankowanie, a czołgiści nienawidzili jeździć czołgiem, który nie był zatankowany na full.

Jak dotąd wroga nie było widać, co pułkownika bardzo cieszyło.

– To nie jest daleka droga, ale dość ciężka. Niełatwo będzie precyzyjnie się przez Iotla. Prawdopodobnie spotkamy tam Posleenów. Nie wiem, dlaczego nie ma ich w tej okolicy. Byli tu, kiedy przejeżdżaliśmy tędy po raz pierwszy; szczerze mówiąc, spodziewałem się, że będzie tu pełno tych małych drani.

– Puszczę przodem dwie drużyny rozpoznania w bradleyach – powiedziała LeBlanc. – Pojadą trzy, może cztery kilometry. Jeśli wpadną w kłopoty, damy radę szybko je dogonić.

– Może być – powiedział Mitchell. – Ale ciężarówki muszą mieć jakieś wsparcie.

– Wyślę kompanię Charlie. – Dowódca czołgów zdjęła hełmofon i podrapała się w głowę. – Zrobimy tak: Bravo na szpicy, potem Alpha, potem wy, potem pojazdy wsparcia, a na końcu Charlie. Ja pojedę z Alpha.

– Zgoda. – Pułkownik wyłączył latarkę. – Chyba nie muszę pani przypominać, że macie mieć oczy dookoła głowy?

– Nie – uśmiechnęła się LeBlanc – ale może pan być pewien, że przekażę to swoim ludziom.

\* \* \*

LeBlanc rozejrzała się dookoła przez peryskop i pokręciła głową. Zatrzymała kompanię na zboczach wzgórza na południe od Cowee Church, podczas gdy Bravo pojechała dalej. Jak dotąd wróg jeszcze się nie pojawił, co było mocno podejrzane.

Po obu stronach wznosiły się wysokie góry, a na zachodzie u podnóża gór widać było rzekę Tennessee. Wyływała z szerokiej doliny niedaleko Franklin, potem mijała wąską przełęcz wychodzącą na dolinę, w której właśnie byli. Teren był wyjątkowo dobry do obrony, ale problem polegał na tym, że czołgi dążyły do kontaktu z wrogiem, i gdyby go nawiązały, musiałyby przypuścić szturm. A teren nie sprzyjał szturmom.

Major obróciła peryskop na południowy zachód, w kierunku niskich wzgórz za rzeką. Posłeni generalnie nie radzili sobie z czytaniem map, ale w ich działaniach była pewna logika. Lubili duże cele – miasta i zakłady przemysłowe – więc najczęściej trzymali się głównych dróg, zakładając, że prędzej czy później doprowadzą ich do takich miejsc. Co jakiś czas jednak zapuszczali się w boczne drogi, a za rzeką była ich cała sieć. LeBlanc jeszcze raz spojrzała na mapę i włączyła mikrofon.

– Juliet Sześć-Jeden, mówi Alpha Sześć-Jeden. Odbiór.

Pora wysłać za rzekę siły asekurujące.

– Juliet Sześć-Jeden. Odbiór.

A więc porucznik Wolf, nowy dowódca kompanii Bravo, nie śpi. Był oficerem wykonawczym kompanii do czasu Savannah, kiedy to poprzedni dowódca znalazł się wśród zaginionych. Kiedy LeBlanc dowiedziała się później, że to Wolf poprowadził natarcie, natychmiast mianowała go dowódcą.

– Znajdźcie bród i wyślijcie przodem pluton, żeby się upewnić, czy za rzeką nie mamy żadnych gości. Odbiór.

– Przyjąłem. Bez odbioru.

Po chwili major zobaczyła trzy bradleye i jednego abramsa, zbliżające się ostrożnie do rzeki. Znowu spojrzała na południe.

– Charlie Sześć-Jeden, podajcie pozycję. Odbiór.

– Przygotowujemy się do zatrzymania na zachód od Blizzard Ridge; zwiad jest pod samym Iotla. Jedziemy w szyku przemarszowym; nie ma tu miejsca, żeby go rozwinąć, i nie ma żadnej możliwości przejścia przez rzekę.

– Widzę – odparła LeBlanc. – Podejdźcie bliżej Iotla, tam możemy rozwinąć szyk na wschód, jeśli będzie trzeba.

– Przyjąłem, pchnę też zwiadowców na krawędź Doliny Franklin.

– Czy widzą most Iotla? Odbiór.

– Zaczekajcie.

Major czekała, zastanawiając się, dokąd dojechał pluton z Bravo i kiedy dojdzie do pierwszego kontaktu z wrogiem.

– Nie, Alpha. Wysyłam ich w tej chwili w stronę mostu.

– Przyjęłam. Idźcie naprzód i rozproście się; bądźcie przygotowani na to, że Juliet przejedzie przez wasze pozycje.

– Przyjąłem. Bez odbioru.

LeBlanc przełączyła się na interkom i kazała kierowcy ruszać. Kiedy tylko czołg drgnął,



pomyślała, że może powinna skontaktować się z Mitchellem.

\* \* \*

– Jest dobra – mruknął Mitchell.

– Słucham, sir? – spytał Pruitt. Siedzieli w przedziale niemal sami. Reeves miał swoje stanowisko z przodu i o poziom niżej, więc nie mógł słyszeć ich rozmowy, jeśli nie używali interkomu, a Indy i Kilzer zniknęli gdzieś w czeluściach SheVy. Pruitt zaczekał, czy pułkownik odpowie, i przełączył widok z monitora siódmego na ósmy. Widział, jak pluton czołgów przejechał rzekę i zniknął za pasmem wzgórz, i zastanawiał się, czy nie jest ich tam za mało.

– Dobrze panuje nad swoimi jednostkami i ma niezłych podwładnych – odparł po chwili Mitchell. – Nie wyprzedza zdarzeń, skutecznie używa swoich sił i kontroluje wszystko bez wdawania się w manipulowanie pododdziałami. Ja prawdopodobnie pchnąłbym zwiadowców dalej niż ona, ale z mojej strony to byłoby po prostu przyzwyczajenie do działania zgodnie z regulaminem, no i musiałbym unieważnić rozkaz dowódcy kompanii. Szczerze mówiąc, gdybym miał batalion czołgów, bardzo bym się cieszył, mając ją za dowódcę kompanii.

– Ale ona jest dowódcą batalionu, sir – przypomniał Pruitt.

– Prawda jest taka, że wystarczyłby kurs w College’u Dowodzenia Sztabu Generalnego.

– Ależ ona nigdy nie doszłaby do tej pozycji normalną drogą, sir. – Pruitt wzruszył ramionami.

– Co będzie, jeśli jej czołg będzie musiał, zmienić gąsienicę? Albo załatwić ładowniczego? Nie da rady załadować pocisku, nie da rady zdjęć gąsienicy. Jest za drobna i za słaba. Prawda jest taka, że ona może być tylko dowódcą czołgu.

– To akurat wychodzi jej świetnie, a dowódcy kompanii i batalionu zazwyczaj nie zajmują się serwisem swoich czołgów. Poza tym ty też nie możesz zerwać gąsienicy SheVy.

– Nikt nie może, sir – zauważył działonowy – ale prawie każdy facet dałby radę zerwać gąsienicę abramsa. I muszą to robić w walce. Przecież ona nawet nie uniesie liny holowniczej.

– Pewnie by uniosła, ale rozumiem, o co ci chodzi – powiedział Mitchell. – Na szczęście to ona trafiła na stanowisko dowódcy, zamiast jakiegoś faceta z wielkimi mięśniami i małym mózdzkiem.

Pruitt obrócił monitor tak, żeby widzieć czołgi. Były rozproszone najszerzej jak się dało, ale potem jeden, a następnie drugi pluton wróciły do szyku przemarszowego.

– Dopóki będzie w stanie osłaniać nas aż do Franklin, mam gdzieś to, czy sika na stojąco, na siedząco, czy stojąc na głowie – powiedział Mitchell.

– No, mam nadzieję, że jednak nie robi tego stojąc na głowie, sir. To musiałby być paskudny widok.

Starszy kapral Jerry Bazzett czołgał się pod osłoną krzaków, myśląc o tym, że noc jest za zimna, żeby kłaść się na ziemi. Przyjrzał się przez celownik dolinie – w słabym świetle zachodzącego księżyca widać było tylko zniszczony krajobraz i ciemność – ale kiedy uruchomił podczerwień, zobaczył, że cała dolina jest pełna Posleenów czekających nieruchomo na sygnał.

\* \* \*

Mitchell spojrział na uaktualnione informacje i włączył radio.

– Alpha Sześć-Jeden, tu Listopad Siedem-Zero. Jaki mamy plan?

– Listopad, tu Alpha. Co powiecie na „mecz odwołany z powodu braku motywacji zawodników”? Mamy około trzydziestu tysięcy na płaskim terenie, do tego jeszcze więcej na wzgórzach. Szykowałam się na przełamywanie lekkiego oporu, ale to nie pasuje do mojej definicji „lekkiego oporu”.

– Możemy spróbować przekraść się Sanders’ Town Road – powiedział z powątpiewaniem

Mitchell.

– Słowa „przekraść się” i „SheVa” jakoś mi do siebie nie pasują. – Nawet przez radio wyraźnie słycać było w tych słowach rozbawienie.

– Możemy wycofać się i ostrzelać ich pociskami rażenia powierzchniowego. Albo... Czy możemy już dostać wsparcie artyleryjskie sto czterdziestej siódmej?

– Nie, wciąż tkwią pod przełęczą; artyleria strzela z Savannah, czyli jest o wiele za daleko.

– Wszyscy Posleeni patrzą na wschód?

– Według moich zwiadowców, sprawiają wrażenie, jakby na coś czekali. Nie wygląda to najlepiej.

\* \* \*

LeBlanc znów spojrzała na mapę i zmarszczyła czoło.

– Listopad, czy możecie przejechać przez rzekę?

– Potwierdzam. Odbiór.

Drugi brzeg rzeki wciąż był czysty; zwiadowcy zatrzymali się, kiedy zauważyli duże zgrupowanie Posleenów.

– Chyba wiem, jak to rozegrać.

\* \* \*

– Będziemy dużym, widocznym celem – powiedział Kilzer, kiedy SheVa ruszyła z grzmotem do przodu.

– Powiedział pan, że z przodu jesteśmy praktycznie odporni na ostrzał – odparł Pruitt. – I jak dotąd tak było.

– „Praktycznie” to nie to samo co „całkowicie” – powiedział Kilzer. – Poza tym nie jesteśmy niewrażliwi na ostrzał z boków. Mamy tam bardzo dużo zniszczeń, których nikt nie naprawił.

– Damy sobie radę – odparł Pruitt, spoglądając w bok, gdzie pod wzgórzem wspierającym przyczółek mostu zebrała się kompania Bravo. Jak dotąd Posleeni wydawali się zupełnie nieświadomi faktu, że na ich flance znajduje się pancerny oddział.

*Twoje zdrowie, Kudłaty, twego syna, twej pani;  
Rozkaz był, by was złamać, więc jesteście złamani.  
Spiliśmy was martini, co dość było zuchwałe,  
Lecz choć wszystko wbrew tobie, szyk nasz raz  
przełamaleś.*

Rudyard Kipling,  
*Kudłaty* (Sudańskie Siły Ekspedycyjne)

Iotla, Północna Karolina, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 03:17 czasu  
wschodnioamerykańskiego letniego,  
wtorek, 29 września 2009

Alentracla rozejrzał się po słoczonej hordzie i niecierpliwie zatrzepotał grzebieniem.

Wyciągnięto go ze strumienia Po'oslana'ar zmierzających w stronę Rocky Knob, gdzie trwała bitwa. Oddał bez żalu swoją strzelbę i lekki karabin, a w zamian dostał wraz ze swoimi towarzyszami wyrzutnie hiperszybkich rakiet, działka plazmowe i trzymilimetrowe karabiny. Wszystko to trafiło do ich rak bez zaciągania długu! To niesamowite!

Nie dość, że jego oolt został wyposażony w najpotężniejszą dostępną broń, oszczędzono mu też rzezi, która trwała w górach. Spodziewano się, że ludzie niedługo dotrą na równiny, a tam Posleeni mieli dużą przewagę i mogliby ich zatrzymać, ale zamiast tego ludzka artyleria masakrowała hordę, a siły naziemne bezlitośnie parły do przodu.

Tu było lepiej, ale czekanie irytowało.

Alentracla zsiadł z tenara i przeszedł wzdłuż szeregów swojego oolt, sprawdzając broń oolt'os. Wszyscy mieli umiejętności wymagane do jej obsługi, ale zdobyli je dopiero niedawno, więc kessentai chciał się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Zamiast strzelb i lekkich karabinów, które nosili jeszcze dzień wcześniej, każdy oolt'os był uzbrojony w działko plazmowe albo wyrzutnię hiperszybkich rakiet. Alentraclę zdziwiła hojność wodzów, ale kiedy poznał jej powód, wszystko zrozumiał.

Kiedy polujesz na grubego zwierza, potrzebujesz porządnej broni.

Skończył inspekcją i właśnie wracał do swojego tenara, kiedy spojrzał na północ i zamarł: w ciemności u podnóża gór poruszał się olbrzymi cień. Wyglądało to tak, jakby jedno ze wzgórz sunęło wzdłuż rzeki.

– Tam! – krzyknął, wskazując kierunek. – Nadchodzi! Nadchodzi!

\* \* \*

Alentracla natychmiast rozpoznał, że to SheVa, ale inni Wszechwładcy nie zareagowali na jego krzyk, nawet kiedy otworzył ogień.

Wątpliwości zniknęły dopiero wtedy, kiedy SheVa zrobiła to samo.

\* \* \*

– Iiihaaa! – krzyknął Pruitt. – Patrzcie na MetatStormy! Karmazynowe wachlarze czterdziestomilimetrowego ognia rozpostarły się nad masami Posleenów i zaczęły ich kosić całymi batalionami. Strzelały nie tylko działka w przedniej części wieży, ale również te po bokach. Przez chwilę wydawało się, że ich ogień zupełnie zdusi obcych, ale niestety każde stanowisko ma określoną ilość amunicji i co jakiś czas trzeba ją przeładować.

I wtedy nadeszła kolej Posleenów.

\* \* \*

– Ognia! – wrzasnął Alentracla, patrząc ze strachem na górę metalu. Nic dziwnego, że Orostan dał im takie bogate dary, żeby tylko ją zabić; właśnie jedną salwą wycięła jedną trzecią hordy w dolinie.

\* \* \*

– Słodki Jezu! – krzyknął Pruitt, kiedy burza ognia uderzyła w SheVę. Większość posleeńskich oddziałów miała głównie karabiny – na szczęście pociski kaliber 3 mm odbijały się od nowego opancerzenia czołgu – ale ten oddział był wyposażony chyba wyłącznie w działka plazmowe i rakiety. MetalStormy odpowiedziały ogniem, ale został zagłuszony przez ścianę plazmy; ostrzał był tak silny, że w okolicy zrobiło się jasno jak w dzień.

– Cofaj! – krzyknął Mitchell. – Szybko!

– Cofam – odparł przez zęby Reeves. Nagle SheVa zadygotała, co nie miało nic wspólnego z nierównym terenem pod gąsienicami, i alarmy radiacyjne zawyły. – Właśnie straciłem kontrolę nad lewą stroną, sir!

– Indy!

\* \* \*

– Święta Mario, matko Boża – szepnęła mechanik, kiedy lewa przednia strona komory reaktorów została przebita i powietrze natychmiast wypełnił czarny pył. Ale to nie był pył, tylko paliwo reaktora: radioaktywne granulki o średnicy poniżej jednego milimetra.

Indy odwróciła się i uciekła. Niewiele więcej mogła zrobić.

– Wyciek z reaktora w maszynowni! – zawołała przez radio. – Trafiło w granulki!

\* \* \*

Major Chan odruchowo się skuliła, kiedy nawała plazmy i raket uderzyła w górny pokład SheVy. Większość ognia była skierowana w podstawę działka, ale przynajmniej jeden Wszechwład – ca celował w MetalStormy. Odpowiedzieli ogniem ze wszystkich skierowanych do przodu działek, ale ponieważ nie mogli odwrócić głównej wieży, musieli przeładować działka, zanim udało im się znacząco uszczuplić masę Posleenów.

Teraz Posleeni odpowiedzieli ogniem.

– Nie jest dobrze – powiedziała Glenn, kiedy ładunki plazmy zabębniły o wieżę. Została przebudowana tak samo jak A4, ale nawet nadprzewodniki mają swoją wydolność i wewnątrz wieży zaczynało przypominać piekarnik. Nagle Glenn poczuła szarpnięcie, a potem pojawiło się dziwne wrażenie, że wieżyczka się przesuwająca.

– Co to jest, ma'am? – spytała, odwracając się.

– Chyba puszczają pierścienie wieży. – Chan mówiła całkowicie opanowanym głosem, choć wieżyczka znów przesunęła się w stronę sześćdziesięciometrowej przepaści.

\* \* \*

– Mamy też uszkodzoną gąsienicę po lewej stronie – powiedział Mitchell, kiedy SheVa w końcu wycofała się za wzgórze, obrywając jeszcze w maszynownię. Noc wciąż jaśniała plazmowym ogniem, wskazując, że stojąca po drugiej stronie zbocza kompania piechoty ma pełne ręce roboty. To zdumiewające, że w ogóle jeszcze się trzymali; powietrze nad ich pozycjami dochodziło do setek stopni ciepła.

– Jestem z powrotem w komorze reaktorów – powiedziała Indy głosem stłumionym przez galtechowski kombinezon radiacyjny. – Dostaliśmy w dwa reaktory. Jeden jest tylko dziurawy, ale z drugiego granulki wysypały się na całą komorę; wszystko jest gorące jak cholera.

– Tu Kilzer – powiedział cywil na tym samym obwodzie. – To po lewej to nie jest gąsienica, to silniki; jeden z silowników koła jest usmażony. Odciałem go, ale będziemy musieli wolno się poruszać, dopóki tego nie naprawimy.

– Niedobrze – rzekł Mitchell. – Kilzer, wieża Chan zsunęła się z pierścienia albo pierścień został przestrzelony. Dostaję zupełnie sprzeczne meldunki, więc idź tam i zobacz, co się da zrobić. Pruitt, obróć wieżę, żeby tylne Stormy mogły strzelać ponad wzgórzami. Reeves, zaparkuj za kompanią Bravo. Mam nadzieję, że wytrzymają.

\* \* \*

Bazzett kulił się w pospiesznie wydrapanym okopie i strzelał ze zdalnie sterowanego AIW. Musiał wystawić rękę na ostrzał, ale za to mógł wykorzystać połączenie ze swoim monokulem, żeby celować w kierunku nacierającej hordy. To szczęście w nieszczęściu, że centaurów było tak dużo, iż trudno było kogoś nie trafić. Bradleye strzelały ze swoich dwudziestopięciomilimetrówek w trybie pośrednim, zza szczytu wzgórza, i zaliczały sporo trafień, a Abramsy dzielnie stawiały czoła huraganowi plazmy i jechały do przodu, by bezpośrednio zaatakować wroga. SheVa również kosiła tłumy Posleenów ogniem swoich MetalStormów, ale to nie zatrzymywało niemal ciągłego potoku plazmy, pocisków i rakiet.

W stronę Bazzetta leciało więcej plazmy niż widział przez całe swoje życie. A zdążył się już przekonać, że o ile bliskie trafienie hiperszybkiej rakiety bywa nieprzyjemne, o tyle bliskie trafienie ładunku plazmy jest niemal tym samym, co bezpośrednie trafienie: żar zabija w promieniu czterech metrów.

Bazzett był pewien, że w ciągu tej bitwy przynajmniej dwa razy znalazł się w „śmiertelnej” strefie. Na szczęście nowe ubiory na zimę, w tym rękawice, miały zewnętrzną powłokę Nomexu, dzięki czemu nie zamienił się jeszcze w skwarę.

Usłyszał strzał ze snajperskiego barretta kaliber .50 i pokręcił głową; Caprano nigdy nie wie, kiedy sobie odpuścić.

– Cap, stary, rozwałą cię! – wrzasnął. Aby strzelić z wielkiego karabinu, trzeba było przyłożyć go do ramienia, a to znaczyło, że snajper musi wychylić się z dołka. Bazzett wyjrzał zza osłony i w świetle płomieni zobaczył sylwetkę kolegi.

– Gównu stąd widzę! – odkrzyknął snajper i jego karabin zagrzemiał. Potem szybko schował się, kiedy ładunek plazmy uderzył tuż przed nimi obsypał ich obu parującą ziemią. – Ale i tak go dostałem!

– Daj sobie spokój, stary! – krzyknął Bazzett i widząc jakiś ruch u podstawy wzgórza, wystrzelił w tamtą stronę kilka pocisków. Przez monokular nie było mowy o porządnym celowaniu; przypominało to trochę patrzenie przez słomkę. – Chowaj dupę!

– Nie o dupę się martwię! – odkrzyknął ze śmiechem Caprano i podniósł się, a zaraz potem wrzasnął i padł, obmyty przez falę plazmy.

Bazzett też znalazł się na skraju wybuchu; poczuł, że jego dłoń zamieniła się w pieczeń. Tymczasem snajper podniósł się na kolana, wrzeszcząc z bólu. Jego twarz wyglądała jak czerwono-czarna plama z błyskającymi pośrodku zębami. I wtedy trafił go kolejny ładunek. Do jamy wpadły już tylko dymiące nogi i biodra ze sterczącymi kawałkami kości.

Bazzett wrzasnął z przerażenia i wściekłości i opróżnił cały magazynek w kierunku obcych. Teraz nie było mu już zimno.

W odpowiedzi Posleeni ruszyli przed siebie w typowej samobójczej szarży; jeśli ktoś czegoś szybko nie zrobi, za parę chwil zaczną się wspinać na wzgórze.

\* \* \*

Kilzer załomotał we właz dowódcy, ale był na stałe zaspawany. To samo było z włazem działonowego.

Wieża była niebezpiecznie nachylona do przodu, a przednia krawędź jej pierścienia wystawała już poza krawędź pokładu SheVy. Żar buchający niczym z pieca był odczuwalny nawet przez kombinezon radiacyjny. Kilzer słyszał szum systemu podtrzymywania życia, który próbował wydalić nadmiar ciepła, ale było to prawie niemożliwe.

Załomotał jeszcze raz.

– Żyje tam ktoś?

Odpowiedział mu stukot, który uznał za potwierdzenie. Wiedział, że jeśli nie wyciągnie ich stamtąd, i to szybko, wszyscy się upieką,

– Trzymajcie się! – krzyknął i włączył radio.

– Pułkowniku Mitchell, Chan jest uwięziona w swojej wieży. Potrzebny mi jest tutaj Pruitt, i to już. Niech przyniesie trochę materiałów wybuchowych, kilka pasów Nomexu, żaroodporny klej i detonatory.

Ciekawe, z jak mocnym spawem będą mieli do czynienia.

\* \* \*

Pruitt patrzył ze sterowni dźwigu, jak Kilzer rozkłada ładunki wokół krawędzi włazu. Nie był pewien, po co to robi. Klocki C-4 nie mogły rozerwać pancerza wieży, a gdyby nawet to zrobiły, pozabijałyby załogę.

Cywil pomachał do niego i włączył radio.

– Ciągnij – powiedział, kiedy zaczepił linę o osłonę włazu.

Pruitt uruchomił wciągarkę i ciągnął linę tak długo, aż poczuł opór.

– Więcej nie dam rady – powiedział przez radio.

– Tak trzymaj. – Kilzer podszedł do podstawy dźwigu i wcisnął przycisk detonatora.

C-4 rozbłysło purpurowo-pomarańczowym ogniem i właz z głośnym szczękiem odskoczył. Hak dźwigu poleciał po paraboli w górę, a kiedy spadł w dół, silnik wciągarki zawył i zaczął go wciągać.

Pruitt szybko wyłączył mechanizm i wybiegł ze sterowni, a tymczasem cywil zaczął wyciągać z czołgu członków załogi i układać ich na pokładzie SheVy.

– Musimy ich znieść na dół – powiedział. Działonowy Glenn była nieprzytomna, a skórę miała wysuszoną na grzankę.

– Przecież pan wie, że pod dźwigiem jest stacja medyczna – powiedział Pruitt.

Kilzer włókł teraz Chan po stalowym pokładzie.

– Jest poprzestrzelana na wylot. Musimy ich przenieść do batalionowego punktu medycznego.

Zawrócił po ostatniego członka załogi.

– Nie – szepnęła Chan. – Dajcie mi tylko... kroplówkę i przeniosę się do jakiejś innej wieży.

– Pruitt! – rozległ się w radiu głos Mitchella. – Ściągaj dupę na dół, jedziemy stąd!

– Sir, mamy tu na górze rannych!

– No to szybko się nimi zajmijcie.

SheVa miała windę, ale znajdowała się dość nisko na liście priorytetów naprawczych, dlatego tylko jeden Bóg wiedział, jakich uszkodzeń doznała podczas ostatniego starcia. Samo zniesienie rannych do punktu medycznego – nie osłoniętego punktu medycznego – wymagało zejścia dwa piętra po schodach.

– Cholera – mruknął działonowy, zarzucając sobie Chan na ramię. – Teraz przydałaby się nam odsiecz kawalerii, tylko że to my jesteśmy kawalerią.

\* \* \*

– Gazu, Nichols – warknęła major LeBlanc. Wysforowali się przed resztę batalionu, ale miała to gdzieś; jeśli reszta oddziału nie ściągnie na siebie ognia Posleenów, kompania Bravo będzie musiała zginąć.

Czołgi i bradleye okrążyły wzniesienia i wtedy ich oczom ukazała się ściana ognia plazmowego i raketowego. Wyglądało to tak, jakby płonęło powietrze łączące dolinę i szczyty gór.

– Jezu Chryste! – usłyszała major w radiu. – Co to za goście?

– Cicho – powiedziała. – Eszelon w lewo, naprzód skokami, Charlie prowadzi.

– Charlie, ognia!

– Alpha, eszelon w lewo!

Glennis poczuła nagle zimny ogień w żołądku; było to dziwne uczucie, którego nie umiała określić, ale zrozumiała je, kiedy batalion rozwinął szyk na płaskim terenie i Abramsy oraz Bradleaye ruszyły z maksymalną prędkością, tworząc niemal ciągłą linię. Manewr był po prostu piękny; rycząc ogniem, czołgi spadły na flankę Posleenów jak rozwścieczona stalowa bestia.

Ona to stworzyła, ona zaplanowała, jak wciągnąć obcych w walkę na dwa fronty. I to jej batalion miał zniszczyć Posleenów, mimo ich lepszego uzbrojenia i przewagi liczebnej.

LeBlanc uśmiechnęła się jak celtycka bogini, kiedy pierwsze pociski zapalające z batalionowego plutonu moździerzy spadły między szeregi obcych. Biały fosfor tworzył zasłonę dymną dla sił walczących na wzgórzu, a płonące kawałki metalu kosiły Posleenów.

To ona wprawiła tę maszynę w ruch.

To się nazywa dowodzenie.

– Ognia!

\* \* \*

– Ognia! – krzyknął Mitchell, kontrolujący bezpośrednio MetalStormy. – Ogień zaporowy przed kompanią Bravo.

Spojrzał na Pruitta, który właśnie wskakiwał w fotel działonowego.

– Jak major Chan?

– Poważne odwodnienie, tak samo pozostała dwójka. Glenn dostała drgawek, kiedy nieśliśmy ją do punktu medycznego. Całą trójkę podłączyliśmy do kroplówek, a Kilzer właśnie pakuje Glenn do wody. Poza tym niewiele możemy zrobić, dopóki nie odstawimy ich do porządnego szpitala.

– Przy tego typu obrażeniach samo nawodnienie powinno pomóc – powiedział Mitchell. – Wracamy na pozycję.

– Zauważyłem – odparł działonowy i włączył ekran celowniczy.

– Kiedy oczyścimy wzgórze, masz strzelić ponad Posleenami. Najniżej jak się da.

Pruitt włączył mapę i powiększył obraz. Potem pokręcił głową.

– Ale nie ma żadnego celu, sir. Do czego mam strzelać?

– Do niczego – uśmiechnął się lekko dowódca. – Pamiętaj tylko: najmniejszy kąt, jaki ci się uda ustawić.

\* \* \*

Ostrzał był coraz cięższy, noc jaśniała strugami plazmy i wybuchami rakiet. Wystawiając głowę z wjazdu, Glennis ostrzeliwała się z gatlinga; prawdą mówiąc, świetnie się bawiła. Batalion ciął stłoczonych Posleenów jak kosa zboże, co było bardzo pożądaną odmianą. Jeśli ich się odpowiednio zaskoczy, pomyślała, wcale nie reagują lepiej niż ludzie.

Rozejrzała się na boki i zmarszczyła brew. Aby utrzymać dominację, trzeba mieć wystarczającą

siłę ognia, a tymczasem Posleeni zaczęli się wymykać bokami, mimo że rozsunała front natarcia najszerzej jak się dało. Do tego zaczęli odpowiadać ogniem; na jej oczach Abrams na flance rozblęsnął srebrnym ogniem i dymiąc, stanął w miejscu. Musi szybko coś zrobić, w przeciwnym razie cały batalion zostanie okrążony.

– Charlie, wysuń się trochę na lewo – rozkazała przez radio. – Alpha, szerszy eszelon. Batalion, przygotować się do obrotu w prawo.

W ten sposób odsłonią się na ogień maruderów ze wschodu, ale Bravo kładła tam solidną zapórę ogniową, a prędzej czy później SheVa...

Jej rozmyślenia przerwał przelatujący przed jej oczami stumetrowej długości płomień.

\* \* \*

– Coś pięknego! – krzyknął Pruitt, kiedy płomień wystrzału pocisku burzącego rozrucił front Posleenów; jeśli nie ma możliwości wykorzystania samego pocisku, bronią samą w sobie jest płomień i podmuch wystrzału z olbrzymiego działa. Ich siła powaliła środek formacji Posleenów na kolana, a część z nich wyrzuciła w powietrze; nawet ci stojący dalej przez chwilę byli zbyt wstrząśnięci, by cokolwiek zrobić.

– Panie Kilzer, przednie systemy przeciwpiechotne, jeśli łaska – powiedział spokojnie pułkownik. – Pożegnajmy naszych gości. MetalStormy, ogień według uznania. Pamiętajcie, że na wschodzie są nasi.

\* \* \*

– Jak ja nienawidzę ludzi – powiedział Orostan, marszcząc skórę, co było posleńskim odpowiednikiem westchnienia.

– Tak, oolt'ondai.

Spojrzał na młodszego kessentai i zatrzepotał grzebieniem.

– Masz już dość wysłuchiwanie tego?

– Nie, ja też mam dość ludzi – zapewnił pospiesznie kessentai.

– Przygotowania trwały całe godziny! Poświęciłem wszystko, oprócz moich osobistych lenn! Złożyłem obietnice, których, jak Sieć dobrze wie, nie mogę dotrzymać. Te oolt'ondary czekały, żeby zaatakować ich z flanki! Miały zaatakować SheVę z zasadzki, a nie na odwrót!

– Tak, oolt'ondai.

– Mam ich już śmiertelnie dość – warknął wódz, patrząc na bitwę pod Iotla. – Dlaczego, dlaczego ten nędzny, dwupłciowy, włochaty, dwunogi, obsrany przez demony pomiot *grat* nie może chociaż raz zachować się rozsądnie?!

– Nie wiem, oolt'ondai.

Wódz patrzył, jak Posleeni zgromadzeni u podnóża przełęczy spoglądają w stronę toczącej się w oddali bitwy, a potem kierują się w trzy różne strony; jedni ruszają w stronę Iotla, inni w stronę zbliżającego się przełęczę przeciwnika, a jeszcze inni robią w tył zwrot. Wszystko to odbywało się bez żadnego zgrania, jedynie mniej więcej równocześnie.

Na miejscu pozostała zgraja wściekłych kessentaiów i zdezorientowanych oolt'os, którzy zgubili swoich Wszechwładców i odreagowywali złość na innych oolt'os.

– To jest jak zaganianie stada kotów – warknął Orostan. – Tak to nazywają ludzie. Zaganianie kotów! – krzyknął, kiedy pierwszy oolt'os, wbrew rozsądkowi i dyscyplinie, zaczął strzałami torować sobie drogę przez tłum dzielący go od jego Wszechwładcy. Od tej pory mogło być już tylko gorzej, zwłaszcza że znów zaczął się ostrzał artylerii.

– Zaganianie kotów. Co to są, u diabła, te koty?!



\* \* \*

Bazzett podparł się na łokciach, kiedy ogień zelżał, i wyrzwał z okopu. Całe zbocze wzgórza było zeszlone.

Na szczęście Posleeni nie próbowali już do niego strzelać. Część z nich skierowała swój ogień na powracającą SheVę, która właśnie z łoskotem wyłoniła się zza wzgórza i na oczach Bazzetta zabiła kilka tysięcy Posleenów samym płomieniem i podmuchem wystrzału.

Po strzale SheVy niektórzy Posleeni zaczęli nacierać na flankę czołgów, a spora liczba rzuciła się do ucieczki na południe. Część wciąż wdzierła się na zbocze, ale kompania miała nad nimi przewagę liczebną, a w walce jeden na jednego nie byli aż tak niebezpieczni.

– Tchórze! – wrzasnął Bazzett, przyciskając karabin do ramienia i wyszukując kolejne cele. Wystrzelał cały magazynek pojedynczymi strzałami, w większości trafiając, potem wsunął następny. Z obu stron słyszał szczekanie innych karabinów i stukot karabinu maszynowego. Co jakiś czas dobiegał go grzmot karabinów snajperskich i widział srebrno-purpurowe rozbłyski, kiedy któremuś z nich udało się wysadzić w powietrze spodek Wszechwładcy. Kątem oka dostrzegł czerwone wachlarze ognia z SheVy, która wjechała w koryto rzeki i teraz gramoliła się na drugi brzeg. Nagle po obu stronach czołgu rozległy się eksplozje. Bazzett przestraszył się, że pojazd wyleci w powietrze, ale SheVa parła dalej przed siebie, zostawiając ziemię po obu stronach zasłaną poszarpanymi trupami; to draństwo miało na burtach gigantyczne claymore'y!

W końcu – nie do wiary – już nikt nie strzelał w ich stronę. Bazzett wstał i popatrzył na przypominające zjawy postacie oraz fale żaru bijące ze zbocza, a potem z rykiem podniósł karabin nad głowę.

– Już po was! – wrzasnął. – Już po was, wy żółte skurwysyny!

\* \* \*

– Sporo tych żółtych skurwysynów – stwierdził Stewart.

– Tym razem chyba nie żartują – odparł O'Neal.

W przeciwieństwie do poprzednich ataków, kiedy szturmowali falami, dając obrońcom chwile wytchnienia między natarciami, tym razem szli jednym ciągiem. Każda wyrwa w linii ognia – a było ich sporo, kiedy strzał jakiegoś szczęściarza niszczył broń albo ukryty w okopie pancierz – pozwalała masie żółtych ciał przesunąć się odrobinę do przodu.

Wszechwładcy znów używali swoich spodków, co jakiś czas wyskakując ponad horde, by wypatrzeć i ostrzelać ludzkich obrońców. Chociaż byli wtedy łatwym celem dla pancerzy, wyrządzali ogromne szkody. To głównie Wszechwładcy niszczyli umocnienia i zabijali tuziny żołnierzy, i to głównie Wszechwładcy przesuwali do przodu linię szturmujących, rzucając się w ogień w próbie osiągnięcia znenawidzonych ludzi.

Obie strony rozdzielał szeroki wał trupów; obcy, którzy co chwila pojawiali się na jego szczycie, ślizgając się w płynach ustrojowych swoich pobratymców, tworzyli kolejną warstwę ciał. Wszystko to spowijał unoszący się w powietrzu gorzki opar śmierci i mgiełka lotnego uranu, tak gęsta, że zaczęła osadzać się na ziemi cienką warstwą srebra.

Natarcie można było nazwać powolnym przesuwaniem się wału ciał do przodu.

– To irytujące – rzekł Mike. – W końcu jesteśmy, na Boga, formacją manewrową. Siedzenie w miejscu i czekanie, aż ktoś nas zabije, to zadanie dla piechoty liniowej.

– Próbowaliśmy już manewrów – przypomniał mu Stewart. – W tych warunkach raczej nie dają szansy przeżycia. Dobrze, że nie musimy przejmować się za bardzo zużyciem luf. Pamiętam stary dowcip sprzed wojny o tym, że „jeśli zużyłeś tylko wiadro amunicji, możesz uznać, że miałeś zły dzień i zasłużyłeś na przerwę”. Przez ostatni dzień każdy żołnierz zużył średnio cztery miliony

pocisków.

- Wiem – odparł dowódca – tylko że to takie... beznadziejne. Zabiliśmy ich... Ilu? Sto tysięcy? Dwieście? Milion? A oni idą dalej.
- Zawsze tak robią.
- Prawie zawsze. Tym razem jestem naprawdę zaskoczony. Nawet Posleeni poddają się, gdy w jednym miejscu tracą kilka milionów.
- No, nie przychodzą mi do głowy żadne błyskotliwe podstępny – odparł Stewart. – A panu?
- Mnie też nie – mruknął Mike. – Tylko siedzieć tutaj i obrywać.
- Na szczęście Posleeni też nie mają żadnych pomysłów.

\* \* \*

- Ilu straciliśmy tutaj i w dolinie? – prychnął Tulo'stenaloor.
- Według ostatnich wyliczeń cztery miliony koma trzy – odparł essthree.
- Cztery koma trzy – warknął wódz. – Dziękuję bardzo! – Znów spojrzał na ludzką mapę i pokręcił głową. – Droga przez góry nie istnieje, ale wyślij przynajmniej sześć oolt'ondarów na to wzgórze zwane Hogsback i każ im spróbować się tam wspiąć. Może to odwróci uwagę ludzi.

Popatrzył na listę dostępnych sił i zachmurzył się.

- Wyślij też wezwanie do każdego, kto chciałby spróbować swoich sił z oolt Po'osol. Normalnie ludzie już powinni się wycofać. W końcu znajdziemy jakiś sposób, żeby ich zniszczyć!
- Albo sami zginiemy – mruknął essthree, ale tak cicho, żeby rozwścieczony wódz go nie usłyszał.

Porter's Bend, Północna Karolina,  
Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III  
04:42 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
wtorek, 29 września 2009

Indy wyciągnęła rękę z kombinezonu antyradiacyjnego i starła papierowym ręcznikiem parę z przezroczystej przyłbicy. Nauczyła się tego, kiedy będąc w liceum, dorabiała sobie w komorach azotowych.

– Chyba już po nas – powiedziała do stojącego w dole oficera.

Pułkownik Garcia, przyglądający się pochłaniaczowi wstrząsów głównej armaty SheVy, przyznał w duchu, że Indy może mieć rację. Armata została trafiona – przy takim stopniu zniszczeń trudno było stwierdzić, czy przez pocisk, hiperszybka rakietę, czy przez ładunek plazmy – i przez półmetrową dziurę w boku potężnego pochłaniacza wstrząsów tryskał strumień płynu hydraulicznego.

– Mamy płyn na wymianę – powiedział Garcia, mając na myśli części i zapasy, które miała ze sobą brygada naprawcza. – Ale nie mamy zastępczego pochłaniacza i nie możemy sprowadzić go sterowcem. Wkurza mnie to, jesteśmy inżynierami i powinniśmy radzić sobie z takimi problemami!

SheVa stała osłonięta za niskim pasmem wzgórz, niedaleko na południe od Rocky Knob. Sto czterdziesta siódma dywizja przebiła się przez dolinę, a teraz zajmowała pozycje wzdłuż linii wyznaczonej przez rzekę Tennessee i Oak Ridge. Większość Posleenów na tym brzegu rzeki została wybita, ale druga strona wciąż pozostawała pod kontrolą rozproszonych grup obcych, i każdy sterowiec, który pojawiłby się nad górami, zostałby celem numer jeden dla około dwustu tysięcy ocalałych Posleenów.

Pasma wzgórz było jednym z punktów zakotwiczenia linii obrony, więc SheVa wraz z tym, co ocalało z jej wsparcia, przycupnęła tam, kiedy tylko ominęła Rocky Knob, o ile słowa „przycupnąć” można użyć w stosunku do studwudziestometrowej masy metalu.

– Przyspawana łata raczej nie wytrzyma – rzekł Garcia, kiedy Kilzer wyszedł spod armaty. – Ciśnienie w czasie oddawania strzału jest za duże, od razu by ją zerwało.

– Są spawy i spawy – powiedział cywil, ścierając smugę czerwonego płynu hydraulicznego z kombinezonu. – Macie ze sobą jakieś łaty?

Łaty były cieńsze od standardowego piętnastocentymetrowego pancerza, ich grubość wahała się od dwóch i pół do ośmiu centymetrów.

Garcia znów spojrzał na pochłaniacz i wzruszył ramionami; mechanizm miał rozmiary miniaturowej łodzi podwodnej, a ciśnienie w jego wnętrzu osiągało taką wielkość, że żaden spaw nie miał prawa tego wytrzymać.

– Mamy – powiedział z ociąganiem.

– Dobra, będzie mi potrzebna łata o wymiarach: trzy metry na dziewięć metrów i czterysta dwadzieścia trzy centymetry.

– Dokładnie? – spytał pułkownik, uśmiechając się i unosząc brwi.

– Dokładnie. I pojazd do zmiany gąsienic, przecinak, dwa plutony techników w kombinezonach antyradiacyjnych, oficer inżynieryjny, szesnaście uprząży do pracy na wysokości, cztery zestawy spawalnicze, dwieście kilo C-4 i kubek kawy Kona.

Garcia zastanawiał się przez chwilę.

– Mogę załatwić wszystko oprócz kawy Kona.

– Niech szlag trafi tych Posleenów za to, że przecięli nam linie zaopatrzenia!

\* \* \*

Kilzer, wciąż ubrany w kombinezon antyradiacyjny, obszedł płytę dookoła, zaznaczając coś na jej powierzchni.

Płyta w kształcie prostokąta – o długości dokładnie dziewięciu metrów i czterystu dwudziestu trzech centymetrów – została wycięta przecinakiem. Maszyny te wykorzystywały chemicznie napędzany laser, służący do bardzo precyzyjnego cięcia na określoną głębokość i pod określonym kątem. Przydawało się to na przykład wtedy, kiedy trzeba było wyciąć fragment kadłuba osłaniający reaktor jądrowy.

Po wycięciu łaty ten sam pojazd wykonał w burcie SheVy otwór o wymiarach sześć na sześć metrów, a potem odjechał, aby znaleźć sobie jakieś inne zajęcie. Nikt tutaj nie narzekał na brak roboty.

Podczas gdy Kilzer i Indy zajęli się naprawianiem uszkodzonej armaty, reszta brygady zaczęła usuwać „drobniejsze” zniszczenia. Po tej stronie Knoxville nie było już więcej reaktorów, a nie można było przywieźć ich sterowcem, więc czołg musiał jechać dalej na połowie mocy. Zniszczeń było tyle, że brygada miała co robić; wymieniali uszkodzone wsporniki, latali dziury w poszyciu kadłuba, zdejmowali zniszczoną wieżę MetalStormów i kładli na nowo setki poprzerrywanych kabli.

– Trzy klamry tutaj – powiedział Kilzer do spawacza, pokazując odpowiednie miejsca, a potem przeszedł na drugi koniec płyty i pokazał drugiemu spawaczowi, gdzie umocować drugi zestaw klamer. – Kiedy obaj skończycie, dajcie jeszcze dwie klamry do lin asekurowanych.

Potem zaprowadził dwóch innych spawaczy do środka i pokazał im poszarpaną dziurę w pochłaniaczu wstrząsów.

– Wytnijcie uszkodzony metal i zróbcie ładny, gładki otwór.

Jeden ze spawaczy spojrział na cienką warstwę płynu hydraulicznego pokrywającego wszystkie powierzchnie i pomachał kumpłowi, żeby odsunął się od urządzenia.

– Trzeba wezwać strażaków, sir – powiedział,

– Aha. – Paul popatrzył na rozchlapany płyn i pokręcił głową we wnętrzu bulwiastego kombinezonu. – Wiedziałem, że o czymś zapomniałem.

Ekipa specjalistów od gaszenia ognia składała się z dwóch załóg gaszących i osoby odpowiedzialnej za bezpieczeństwo. Ponieważ brygada naprawcza SheVy często musiała działać w mało bezpiecznych warunkach, opracowała techniki radzenia sobie na przykład ze spawaniem w pobliżu materiałów wybuchowych.

Kiedy laserowe spawarki wgryzły się już w metal, ekipa ogniowa zajęła się płynem hydraulicznym. W wysokiej temperaturze płyn najpierw parował, a potem się zapalał. Zazwyczaj były to małe ogniki, łatwe do ugaszenia, zdarzały się jednak większe i bardziej żywiołowe, ale gaśnice z dwutlenkiem węgla stosunkowo łatwo sobie z nimi radziły.

Przygotowanie do cięcia trwało dłużej niż samo cięcie. Dwaj technicy byli bardzo doświadczeni; z gracją artystów usunęli poszarpane kawałki metalu, zostawiając idealnie gładki otwór.

Kiedy skończyli i poszli szukać innego zajęcia. Paul najpierw oczyścił powierzchnię metalu sprayem do czyszczenia gaźników, a potem nałożył na wierzch pochłaniacza wstrząsów cienką warstwę czegoś, co wyglądało jak dwustronna taśma.

– Jak rozumiem, chce pan przysłonić dziurę płytą – powiedziała Indy, zaglądając mu przez ramię. – Jest wystarczająco długa, żeby ją owinąć dookoła. Nie rozumiem tylko, w jaki sposób ma się trzymać; nie można jej przyspawać od spodu, a taśma nie da rady. I nie wiem, jak pan chce ją

owinąć, skoro nie mamy tak dużej prasy.

– Są pewne sposoby – odparł tajemniczo cywil.

Płyta pancerna zaczęła się już wsuwać do wnętrza czołgu. Technicy zamocowali liny dźwigu w odpowiednich miejscach, ale ich długość – nie wspominając już o wadze olbrzymiej sztaby metalu – sprawiała, że płyta posuwała się krótkimi szarpnięciami.

– Zaczepecie z boków liny asekuracyjne – powiedział Garcia, wychodząc z komory reaktorów.

– A z tyłu podczepecie spychacz, niech ją stabilizuje.

Troje inżynierów patrzyło, jak płyta unosi się nad pochłaniaczem i zatrzymuje, lekko kołysząc.

– Nie ciągnąć – powiedział Kilzer. – Powoli opuścić na pochłaniacz.

Płyta zakołysała się lekko, a potem przechylając się na bok, spoczęła na wierzchu pochłaniacza.

– Świetnie – powiedział Kilzer, wyjmując z kieszeni pilota.

– Teraz ją przytrzymajcie.

– Paul, co pan... – zaczął Garcia, kiedy kciuk Paula opadł na czerwony przycisk. Rozległ się głośny szczęk i spod płyty wystrzeliły płomienie.

– Materiał spawający!

– Trzeba było chociaż krzyknąć „Uwaga!” albo coś takiego! – wrzasnęła Indy, potrząsając głową. – To było głośne jak cholera! Aż mi dzwoni w uszach!

– Leży na swoim miejscu. W czym problem?

– Paul, to nie był najbezpieczniejszy sposób – rzekł ostrożnie Garcia. – Komuś mogła się stać krzywda. Jestem pewien, że wszyscy będziemy mieli spory ubytek słuchu.

– Ja nie – oznajmił Kilzer, wyciągając z uszu zatyczki.

– Mogłeś nam powiedzieć! – krzyknęła Indy.

– Bla, bla, bla. – Paul pomachał do techników dyndających w górze na uprzężach. – Załóżcie ładunki!

– Jeszcze więcej materiałów wybuchowych? – spytała Indy. – O nie.

– Paul, jest pan pewien? – spytał Garcia.

– Pytała pani o prasę, chorąży Indy – odparł z uśmiechem cywil. – Sto kilo C-4 będzie doskonale.

\* \* \*

– O cholera – warknął Stewart. – Szefie, mamy kłopoty!

O’Neal zastanawiał się właśnie, czy nie zaproponować kapitan Slight, żeby poprawiła trochę ustawienie swojej linii. Jak dotąd kompania Bravo miała prawie dwie trzecie strat; widać było wyraźną wyrwę w drugim plutonie. Ale na słowa Stewarta spojrzął na przesłane dane i westchnął.

– Duncan – powiedział, przełączając się na tryb prywatny. – Potrzeba mi... trzech twoich ludzi.

– Będzie ciężko, szefie – odparł dowódca kompanii. – I tak coraz więcej kucyków mi się tutaj prześlizguje.

Potem Mike usłyszał, jak dawny S-3 przeklina, patrząc na ikony blisko czterech tysięcy Posleenów wspinających się na zbocze Hogsback. – Szefie, nie wiem, czy dadzą radę.

– Wiem, że nie dadzą rady w razie jakiegokolwiek oporu, ale Slight ma jeszcze większe straty niż ty.

– Wiem – odparł Duncan, a po chwili zastanowienia dodał: – Panie majorze, nic tutaj nie robię, tylko siedzę w jamie. Wezmę dwóch żołnierzy i sam pójdę na górę.

Mike zmarszczył czoło.

– Zadaniem dowódcy, kapitanie...

– Jest dowodzić, a to nie to samo co przewodzić. Znam to, ale mam tutaj dwóch sierżantów,

którzy mogą się tym zająć równie dobrze jak ja, a jeśli już mamy odciągać ludzi z okopów, wolałbym, żeby brać jak najmniej z pierwszej linii.

Mike znów zmarszczył czoło, a potem westchnął.

– Zgoda, kapitanie, jak chcesz. Zabierajcie swoje dupska na górę.

– No, robi się coraz weselej – powiedział Stewart, kiedy Duncan się rozłączył. – Teraz mamy jeszcze emanacje ładownika.

– Dlaczego SheVy nigdy nie ma pod ręką, kiedy jest potrzebna?

\* \* \*

– Chyba nie rozumiem.

Pułkownik Mitchell właśnie skończył rozmowę przez radio z generałem Keetonem. Piechota mobilna ponosiła ciężkie straty, i jeśli SheVa nie zapewni im szybko wsparcia ogniowego, Gap znów się otworzy. Mitchell wiedział, że kiedy Posleeni zaczną bezkarnie przelewać się przez przełęcz, żadne pociski z antymaterią ich nie zatrzymają. Chyba że mieliby jeszcze kilka tych piekielnych rakiet, które wynalazł uniwersytet...

A więc najważniejszym celem jest dotarcie do Franklin, zanim pancerze w Gap zamienią się w batalion dymiących dziur w ziemi. A żeby to się udało, trzeba na nowo uruchomić armatę. Dlatego właśnie Mitchell pocił się w kombinezonie antyradiacyjnym, zamiast nadzorować postęp pozostałych napraw czy – Boże uchronaj – iść się przespać.

– Ten pochłaniacz musi działać – powiedział pułkownik Garcia. Musiał przyznać, choć niechętnie, że plan Kilzera, choć jest wariacki, ma szanse powodzenia, ale jest tak niebezpieczny, że dowódca SheVy powinien być świadom konsekwencji.

– Właśnie! – wtrąciła Indy. – Musi działać, a nie zostać trwale uszkodzony! .

– Paul zaproponował – ciągnął Garcia, uspokajając chorążego wzrokiem – żeby owinać wokół niego kawał stali pokrytej od spodu materiałem spawającym, a potem go odpalić, przykładając do zewnętrznej powierzchni płyty ładunki C-4. Kiedy metal ułoży się na swoim miejscu, detonator odpali spaw. Efekt może być dwojaki. Albo plan się uda i armata wystrzeli jeszcze kilka razy, albo pochłaniacz zostanie całkowicie zniszczony.

– Indy?

– To szaleństwo – powiedziała cicho chorąży. – Kiedy C-4 wybuchnie, zgniecie pochłaniacz jak blaszaną puszkę. To proste prawa fizyki.

– Pułkowniku Garcia?

Cisza.

– Paul?

– Pani chorąży, to nie jest fizyka wysokich energii. Zacznę eksplozję od zewnętrznej krawędzi, tak że płyta prędzej się owinie wokół pochłaniacza aniżeli metal pod spodem zostanie zgnieciony. A ładunki spawające są słabe, nie przetną stali.

– Zasadniczo wszystko się zgadza – powiedział pułkownik Garcia, wruszając ramionami. – To się może udać, ponieważ otwór jest z boku pochłaniacza, a od góry osłania go solidny łuk metalu. W dodatku płyty pancerza to piętnastocentymetrowa stal. Ściana pochłaniacza to stal ośmiocentymetrowa, więc nie ma mowy, żeby zwykły spaw wytrzymał takie naprężenia. Poza tym już nic więcej nie da się zepsuć. Armatę jest wyłączona, a w ten sposób możemy ją uruchomić. To głupi pomysł, ale jeśli się uda...

– To wcale nie jest taki głupi pomysł – przerwał mu Mitchell. – Jakie mamy szanse powodzenia?

– Uczciwie? – spytał Garcia. – Pewnie czterdzieści do sześćdziesięciu. Może trzydzieści do

siedemdziesięciu. Ale to zawsze jakaś szansa. A zwykły spaw nie wytrzyma. Koniec, kropka.

Mitchell ze znużeniem potarł twarz. Szybka w kapturze skafandra zaparowała i wszystko zrobiło się szare. W końcu pokręcił głową.

– Do roboty – powiedział. – I tak nic nie robimy, a w ten sposób mamy szansę coś jeszcze zdziałać.

– Ostatni problem – powiedziała Indy. – Cały ten płyn hydrauliczny zajmie się ogniem.

– Och, z tym damy sobie radę – zaśmiał się Garcia. – Normalny mały pożar to będzie miła odmiana.

\* \* \*

– Jasny gwint! – wrzeszczał Paul, wymachując na wszystkie strony gaśnicą; całe wnętrze komory działa aż huczało od płomieni. – Powiniennem był zajrzeć do notatek!

\* \* \*

Kiedy brygada naprawcza zaatakowała pożar gaśnicami, armatkami azotowymi, a w końcu kocami, szalejące płomienie udało się wreszcie ugasić.

– Dobrze, że mamy tyle dziur – warknęła Indy, kiedy dowódcy i Kilzer zebrali się znów w miejscu zbrodni. – Gdyby nie to, pewnie byśmy wylecieli w powietrze.

– Niech już pani da spokój – warknął Kilzer. – Płyn hydrauliczny ma bardzo wysoką temperaturę wrzenia. Ani przez chwilę nie groził nam wybuch.

– Ani przez chwilę – zaśmiała się histerycznie Indy. – Ani przez chwilę.

– Och, zamknij się.

Pułkownik Garcia badał poczerniały metal owinięty wokół amortyzatora. Wszystko wskazywało na to, że niezwykle pomysł zadziałał.

– Chyba wytrzyma – powiedział.

– Po pierwszym strzale pewnie będzie ciekło jak cholera – zauważył Kilzer – ale dopóki Indy będzie o to dbała i dopóki to ustrojstwo zupełnie nie odpadnie, działko powinno strzelać.

– Indy ma dużo innych rzeczy na głowie – przypomniał mu Mitchell.

– Chyba poproszę o pluton ochotników, którzy pojechaliby z wami – powiedział Garcia. – Ciągłe jest jeszcze sporo rzeczy do naprawienia, będą też nowe. Przyda wam się pomoc.

– Amen – mruknęła Indy.

– Bardzo proszę – powiedział Mitchell. – Co poza tym?

– Wszystko, co dało się zrobić, jest zrobione – odparł dowódca brygady naprawczej. – Musieliśmy zdjąć jedno koło; było za mocno uszkodzone, żeby je wymieniać, ale przy waszej zmniejszonej prędkości to nie powinno mieć znaczenia.

– Dobra, w takim razie jedziemy.

\* \* \*

– Orostanie, widzę, że SheVa wciąż się zbliża. – Wódz spojrzał na mapy i potrząsnął łbem. – To bardzo niedobrze.

– Spodziewałem się, że pojedzie za ludźmi przez przełęcz albo ich poprowadzi – odparł ze złością oolt'ondai. – Nie myślałem, że zajdzie mnie z flanki. A w ten właśnie sposób przełamała obronę pod przełęczą.

– Ludzie właśnie tacy są – powiedział Tulo'stenaloor, potrząsając grzebieniem. – Zawsze pojawiają się tam, gdzie się ich najmniej spodziewasz. Ale trzeba SheVę zatrzymać.

– Staram się.

– No tak. – Wódz z rozbawieniem kłapał paszczą. – Mam więcej oolt'poslenar niż godnych

zaufania pilotów. Ale chyba wyśle część pilotów, bo tutaj nie mam z nich żadnego pożytku.

– Ta SheVa ma niewiarygodne szczęście – warknął Orostan. – Nie wiem, ile naszych okrętów zniszczyła, ale dużo. A kiedy...

– Tak, problemy, problemy, problemy – przerwał mu estanaar. – Ja się tym zajmę. Ty tylko zgromadź siły i zatrzymaj ten przeklęty czołg. Inaczej obaj skończymy jako ozdoby na ścianie jakiegoś człowieka!

\* \* \*

Duncan wspiął się na zbocze, a potem padł płasko na brzuch i przez ostatnie kilka metrów czołgał się, żeby nie pokazywać się na tle nieba.

Opuszczenie okopów było trudniejsze niż wejście na wzgórze. Ostrzał pozycji batalionu był niemal ciągły, więc jedyna droga wiodła przez łączące okopy transzeje. I chociaż Kosiarze i pancerze techniczne połączyli ze sobą wszystkie pozycje strzeleckie i jamy dowodzenia, nie zawracali sobie głowy kopaniem linii odwrotu.

Duncan i jego dwaj żołnierze musieli więc przekopać się na tyły, a potem skręcić na wschód do miejsca, w którym wystający odłam skały zasłaniał ich przed ogniem atakujących Posleenów. Nie trwało to zbyt długo, ale trochę czasu jednak zajęło. Kiedy tylko wydostali się spod ostrzału, Duncan pospieszył na górę, w stronę Muru.

Długi Mur został zbudowany w latach między pierwszymi pojedynczymi lądowaniami Posleenów a ostatnią wielką falą. Ciągnął się niemal przez całą długość wschodniej krawędzi Kontynentalnego Wododziału. W przełęczach i tam, gdzie spodziewano się zmasowanych posleńskich ataków, wzniesiono nowoczesne fortece z betonu i stali, najeżone bronią. Na pozostałych obszarach Mur miał około siedmiu metrów wysokości i był zbudowany ze zbrojonego betonu, z usztywniającą „stopą” po wewnętrznej stronie. Tam też biegła droga, właściwe ścieżka, ciągnąca się przez całą długość wschodnich Stanów Zjednoczonych, którą – jeśli akurat nie toczyła się nigdzie mordercza bitwa – chodziły patrole, od czasu do czasu wyglądające na drugą stronę, by sprawdzić, czy nie czają się tam Posleeni.

Tam, gdzie uderzyła piekielna broń z Uniwersytetu Stanu Tennessee, jedna trzecia umocnień Muru została zrównana z ziemią, a reszta wyszczerbiona.

Jedynym plusem tej sytuacji było to, że wśród ocalałych resztek można było zająć świetne pozycje obronne.

Dowódca kompanii wystawił głowę ponad kawał betonu i zaklął; okazało się, że Posleeni budują drogę.

Nie była to najlepsza droga, ale usuwali gruz i wycinali krętą ścieżkę na wzgórze, które bez tego byłyby dla nich zaporą nie do przebycia.

– Race, zejdź tamtędy jakieś trzydzieści metrów w dół – powiedział Duncan, wskazując na wschód. – Poole, to samo na zachód. Otworzyście ogień, kiedy ja zacznę strzelać. Celujcie we Wszechwładców.

Zaczekał, aż oba pancerze zajęły pozycje i namierzyły odległe cele. U podstawy wzgórze, jakieś dwa tysiące metrów dalej, znajdowało się skupisko betonowych kikutów zdradzających, że kiedyś stał tutaj budynek. Właśnie wokół tych ruin zebrała się większość Wszechwładców, ale nawet dwa tysiące metrów to była niewielka odległość dla systemów celowniczych przekaźników. Duncan upewnił się że żołnierze namierzyli cele, a potem sam wycelował i przycisnął karabin do ramienia.

– Na trzy. Raz, dwa, trzy.

\* \* \*

Panoratar kołysał się w swoim tenarze w przód i w tył, obserwując, jak jego oolt męczy się nad



oczyszczaniem drogi na wzgórzu. Część ziemi zdarł tytaniczny ogień ludzkiej broni, ale to, co zostało, było zdzierane jeszcze głębiej, a potem z grubsza wygładzane, aby choć trochę przypominało drogę.

Z ludzkim sprzętem byłoby szybciej, ale w okolicy nie było żadnego – wszystko zostało zniszczone przez ostatnie ataki – a gdyby nawet był, żaden z miejscowych kessentaiów nie wiedziałby, jak go używać. Dlatego musieli pracować starym i powolnym sposobem.

Mając czas i kilku sprawnych w obróbce kamienia oolt'os, zrobiliby drogę, która przetrwałaby nawet kilka tysięcy obrotów słońca. Ale to nie było konieczne, ten oddział potrzebował tylko wąskiej ścieżki, by pogonić swoje oolt na wzgórzu, a potem zaatakować wroga od tyłu.

– Ależ ludzie się zdziwią – mruknął Panoratar do Imarasara na moment przed wybuchem jego tenara.

\* \* \*

Spodkowate pojazdy posleenńskich Wszechwładców używały jako akumulatorów kryształowych matryc. Był to bardzo wydajny system, niemal identyczny z tym, z jakiego korzystały panczerze wspomagane. Jednak mimo że matryca była zdolna do przechowywania olbrzymich ilości energii, była ona bardzo słabo kontrolowana; jeśli ulegała uszkodzeniu, rozpoczynał się łańcuchowy proces uwalniania energii. Innymi słowy, dochodziło do potężnej eksplozji. W przypadku częściowo rozładowanego systemu Panorataru był to odpowiednik stu kilogramów TNT. Do tego dochodziły odłamki rozerwanego tenara.

Wybuch zabił prawie wszystkich otaczających go Wszechwładców wraz z ich normalsami i wyłączył wszystkie tenary z dalszej akcji.

A potem na oddział u podnóża wzniesienia spadły srebrne błyskawice.

\* \* \*

– Niezły strzał, sir! – zawołał Race. Specjalista przeciągnął serią po normalsach stojących na czele grupy budowniczych; łożki zubożonego uranu rozerwały każdego z nich na żółte strzępy – To chyba byli kolesie kierujący budową.

– Pewnie ci, co mieli jakieś umiejętności – powiedział Poole, celując do Wszechwładcy na skraju stłoczonej grupy. – Niech to szlag.

– Nie trafiłeś w akumulator, co? – spytał Duncan. – Twoje systemy celownicze go nie pokażą, ty musisz go wskazać.

– Jak pan to robi? – zapytał Race, kiedy huragan trzymilimetrowych pocisków uderzył w beton, za którym się chował.

– Daj, pokażą ci – odparł Duncan, przejmując kontrolę nad panczerem Race'a tak, żeby żołnierz widział wywoływane menu.

– A nie mógłby mi pan po prostu powiedzieć? – Race czołgał się tyłem w dół wzgórza. – Jesteśmy trochę zajęci.

– Najpierw rozwijasz menu drugorzędnych parametrów celowania – powiedział Duncan, ignorując uwagę szeregowca i serię rakiet, które wybuchły poniżej ich pozycji. – Potem wybierasz „systemy zasilania”. Kiedy to włączysz, zobaczysz, że karabin zacznie automatycznie wybierać nie tylko Wszechwładców, ale kryształy mocy w ich osłonach. Wtedy tylko wciskasz spust – dokończył, posyłając serię pocisków w system zasilania zbliżającego się kessentaia i detonując jego spodek. – Zauważysz też, że wyskakuje ci okienko z poziomem zasilania. Jeśli masz czas, możesz wybierać lepiej naładowane spodki.

U stóp wzgórza leżało teraz sześć przewróconych tenarów i dwa zniszczone; jeśli jacyś Wszechwładcy jeszcze żyli, nie wychylali się. Duncan podświetlił tenary.

– To oddział zebrany z różnych stron – zauważył, powiększając obraz. – Zwróć uwagę, że dwa

mają prawie spiczaste dzioby, jeden półkolisty, a jeden ma tylko lekko zaokrąglony przód. Już wcześniej zauważono różnice między spodkami, które Posleeni nazywają tenarami, i między typami broni do lądowników. Wygląda na to, że mają cztery czy pięć stylów.

Schowany za betonem Poole starał się nie chichotać, słuchając tego wykładu.

– Wie pan, sir, to idealny moment na wykład o projektowaniu posleeńskich spodków.

– Skąd się biorą te różnice? – zapytał ze śmiechem Race.

– Nikt nie wie – odparł Duncan. – Ale wypływa z tego interesujący wniosek, że chociaż nasz wróg sprawia wrażenie bezkształtnej masy, występują u niego indywidualne i grupowe różnice. To prawdopodobnie taka sama różnica jak między fordem a chevroletem, ale mimo wszystko to różnica. Przynajmniej u ich dowódców, kessentaiów.

Spojrzał w dół zbocza, gdzie normalisi wciąż próbowali wspiąć się na wzgórze.

– Ale z tymi żartownisiami niewiele można zrobić – westchnął, zasypując ich ogniem. – Można ich tylko zabijać, dopóki oni nie przestaną próbować zabić ciebie.

Mitchell zerknął na główny ekran i pokręcił głową; cała dolina za rzeką była pokryta czerwonymi ikonami wroga.

– Wszyscy gotowi? – zapytał.

– Mamy wody tylko na cztery minuty – powiedział Kilzer. – Znaleźliśmy zbiornik przeciwpożarowy, ale było tam jedynie sto pięćdziesiąt metrów sześciennych wody. Kiedy ją zużyjemy, będziemy odsłonięci na ostrzał plazmy.

– Cały czas jesteśmy z wami – zameldowała LeBlanc. – Zostaliśmy przezbrojeni i dostaliśmy tyle posiłków, że uzupełniliśmy straty do dziewięćdziesięciu procent. Wygląda na to, że rzekę da się przejechać.

– Mamy około pięćdziesięciu procent mocy – powiedział Reeves. – Kiedy MetalStormy się rozkręca, prędkość w terenie spadnie o dwie trzecie.

– Stormy są gotowe. – Major Chan miała zmęczony głos. Jej załoga zużyła połowę kroplówek, które były na pokładzie, a Glenn trzeba było ewakuować. Ale poza tym wszyscy byli cali. Wyczerpani, ale cali. – Garcia przeprojektował zapasy amunicji, żeby każda wieża miała po sześć pocisków. Zostały nam tylko pięćdziesiąt trzy sztuki, więc przydzieliłam po sześć do systemów z przodu, a pozostałe rozdzieliłam po równo. Kolejne pociski są w drodze z Knoxville, a to duża odległość. Musimy jak najszybciej „załatwić” tych drani.

– Osiem pocisków załadowanych – zameldował Pruitt. – Sześć przeciwładownikowych i dwa zwane „głowicami rażenia powierzchniowego”. Znanie też są jako Żarówka Boga albo Te Duże. Za nami jadą pojazdy, które wiozą jeszcze więcej piekielnego ognia, gdyby naszego nie wystarczyło. Poza tym mamy pół paczki papierosów, pełen bak, a do Franklin jest piętnaście kilometrów, i okulary przeciwsłoneczne.

– Co?!

– Przecież tu nic nie widać!

– Pruitt, wyłącz się.

Mitchell pokręcił głową. Nawet po tylu starciach Pruitt wciąż jest niepoprawny.

– Dobra – rzekł. – To chyba będzie musiało wam wystarczyć.

– Tak! I choć KROCZĘ ciemną doliną, zła się nie UŁĘKNĘ! – zawył Pruitt, włączając armatę i sprawdzając odczyty. Hydraulika wciąż świeciła na żółto, ale do diabła z nią. – Bo ja jestem najgorszym królikiem w tej dolinie!

– Pan jest moim pasterzem; niczego mi nie braknie – wyszeptał Kilzer. – Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć; orzeźwia moją duszę.

Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoją chwałę. Tak, chociażbym przechodził przez ciemną dolinę, zła się nie ulękne, bo Ty jesteś ze mną. Kij Twój i laska pasterska są moją pociechą. Stół dla mnie zastawiasz na oczach mych wrogów. Namaszczasz mi głowę olejkim, a kielich mój pełny po brzegi. Dobroć i łaska pójdą w ślad za mną przez wszystkie dni mego życia, i zamieszkać w domu Pana po najdłuższe czasy.

Zapadła chwila ciszy.

– Ten jeden raz chyba wolę tę wersję – powiedział cicho Mitchell. – Dobra, zróbmy krzywdę bliźniemu, zanim bliźni nam zrobi. Jedź, Reeves.

\* \* \*

Kiedy wjechali na szczyt wzgórza, świat zniknął w wodzie; wcześniej jednak ujrzeli, jak cała dolina wybucha ogniem.

– Indy, właśnie straciliśmy zasilanie Wieży Dziewięć – zameldowała Chan, kiedy SheVa zadrżała od kolejnych trafień.

– Mitchell, mówi LeBlanc. Wszędzie są skupiska wroga. Na szczęście wszyscy strzelają do was.

– Pułkowniku, dostajemy! – zameldowała Indy. – Ciężki ostrzał z prawej.

– Reeves, dziesięć stopni w prawo – powiedział Mitchell, patrząc na mapę i oceniając ich obecne położenie. – Kilzer, wyłącz tę wodę, musimy wiedzieć, co robimy.

Kiedy wodospad zniknął, okazało się, że wszystkie wzgórza są obsadzone Posleenami. Teren był wyjątkowo poszarpany, więc w bocznych kotlinach prawdopodobnie było ich jeszcze więcej, ale ci na widoku byli wystarczającym powodem do zmartwienia.

– Major Chan, wolny wybór celów – powiedział, starając się wybrać drogę, na której byliby najlepiej zasłonięci od ognia. Najcięższy ostrzał pochodził z okolicy lotniska; Posleeni najwyraźniej zdążyli zająć ten rejon.

– Reeves, trzymaj się doliny rzeki. Skręcimy do Franklin, zanim dojedziemy do tej przeszkody, która jest przed nami.

\* \* \*

– Gaz, Charlie – powiedziała LeBlanc. Według jej zwiadowców rzeka wyglądała na łatwą do przebycia, ale major nie miała żadnych danych na temat jej głębokości ani najlepszych do przepłynięcia miejsc. W takim przypadku najlepiej wjechać do wody na pełnym gazie i mieć nadzieję, że uda się dotrzeć na drugi brzeg.

Kiedy major pomyślała o zimnej wodzie i nocnym chłodzie, uznała, że nawet duma czołgisty ma swoje granice, i szybko schowała się do środka. Prawdopodobnie i tak będzie przemoczona, ponieważ jakiś zabłąkany pocisk odstrzelił jej właz.

Poczuła silne uderzenie, kiedy czołg zsunął się z brzegu i na ułamek chwili zawisł w powietrzu.

\* \* \*

Dla olbrzymiej SheVy rzeka była ledwie zauważalną przeszkodą, przynajmniej jeśli chodzi o jej głębokość.

– Panie pułkowniku! – zameldowała Indy, kiedy czołg ruszył wzdłuż brzegu. – Właśnie skoczyły nam w górę wykrywacze promieniowania! To nie tylko przebiecia reaktorów.

\* \* \*

Glennis spojrzała na jazgoczące nad jej głową pudełko. Przez chwilę nie docierało do niej, co się dzieje. Dopiero kiedy woda chlusnęła jej na plecy, uświadomiła sobie znaczenie tego wycia.

– Kurwa mać! – wrzasnęła. Miała na sobie goretexowy mundur chroniący przed zimnem, więc

woda spłynęła po nim, ale za to poczuła wilgoć we włosach. Alarm radiacyjny wciąż był. – Wszystkie pojazdy! Rzeka jest gorąca! Promieniowanie! Podopinać się!

Na szczęście rzeka była płytka i Abrams nie zmniejszył prędkości. Po chwili czołg był już na drugim brzegu i wspinał się na zbocze, jadąc na prawej flance SheVy.

Major zerwała z siebie kurtkę i mundurową bluzę, a potem zaczęła wycierać włosy, które wymknęły się spod hełmu.

– Nichols, znajdź coś, żeby wytrzeć to gówno – powiedziała, wskazując na rozlewającą się na podłodze kałużę. – Musimy to wywalić z wieży najszybciej jak się da.

– Tak jest, ma'am – odparł ładowniczy, łapiąc za szmaty i wysuwając się ze swojego fotela. W czołgu było ciasno i żołnierz uderzył ramieniem o jeden z niezliczonych wystających metalowych elementów. – Co za syf, ma'am.

– Co ty powiesz – szepnęła Glennis. Alarm radiacyjny był tak, że mógłby obudzić nieboszczyka; zastanawiała się, ile rem właśnie przyjęła. – Pułkowniku Mitchell – powiedziała, włączając radio. – Mówi major LeBlanc, mamy problem. Odbiór.

\* \* \*

– Generale Simosin, tu SheVa Dziewięć – zameldował Mitchell. – Uprzedzamy, że woda jest gorąca, prawdopodobnie to materiał radioaktywny z wybuchu w górze rzeki.

Pułkownik przerwał i spojrzał na odczyty taktyczne. O dziwo, nikt do nich chwilowo nie strzelał.

– Major LeBlanc została napromieniowana, ale nie wiemy, jak bardzo. Wszystkie jej pojazdy i SheVa są gorące.

– Zrozumiałem – odparł Simosin przez trzeszczące radio. – Przeprowadzanie się ciekawie.

– Przeprowadzanie raczej nie wchodzi w grę, panie generale – odparł Mitchell.

*Gdybyś w śnie jakim dusznym wraz z nami mógł kroczyć  
Za tym wozem, na któryśmy go potem rzucili  
I widzieć jego białe, rozszalałe oczy  
W twarzy zwisłej, jak diabła, co go grzech już zbrzydził,  
Gdybyś słyszał, jak z każdym kół wozu podskokiem  
Krew z charkotem uchodzi pianą z płuc rozdartych  
Jak rak odrażająca, gorzka jak żołądka soki  
Na niewinnym języku, wrzodami przeżartym.  
Przyjacielu, nie kłamałbyś wtedy jak pies  
Dzieciom złaknionym jakiejś rozpaczliwej glorii  
Powtarzając to łgarstwo: Dulce et decorum est  
Pro patria mori.*

Wilfred Owens,  
*Dulce et Decorum Est*

Porter's Bend, Północna Karolina,  
Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III  
05:23 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
wtorek, 29 września 2009

– Zatrzymaj się tutaj – powiedział Kilzer przez radio. Miał na sobie kombinezon przeciwradiacyjny i kierował pojazdy w stronę małego zagłębienia u podnóża wzgórz. W tej chwili dekontaminacja była ważniejsza niż atak.

LeBlanc patrzyła na swoje czołgi przytulone do burty SheVy i zastanawiała się, czy już jest chora, czy tylko jej się wydaje; przekona się o tym już za kilka minut.

– Wszyscy jesteśmy na miejscu, Kilzer – powiedziała przez radio i zasunęła właz stalową płytą, którą dał im cywil. – Zaczynaj.

Na pojazdy runęła ściana wody.

– Nawet nie brałem pod uwagę takiej możliwości – powiedział Kilzer, patrząc na wodospad – ale to świetny pomysł.

Kiedy ostatnie strumyczki wody wyleciały z dysz, wyszedł, aby zbadać czołgi i transportery przenośnym licznikiem.

– Jak jest? – spytała LeBlanc.

– Cały czas jesteście gorący – odparł – i chociaż nie ma bezpośredniego zagrożenia życia, musimy was przenieść w ciągu kilku godzin do „zimnej” strefy. Promieniowanie spadło po prysznicu co najmniej o połowę.

Następnie kazał jej wyjść z czołgu.

Zsunęła się na ziemię, zastanawiając się, ile promieniowania zebrała w ten sposób na kombinezon. Zauważyła, że przynajmniej raz Kilzer nie patrzy na jej piersi; to dobrze, że potrafi być poważny w trudnej sytuacji. Z drugiej strony fakt, że sytuacja jest aż tak trudna, iż musi być poważny, był dość przerażający.

Przesunął licznikiem wzdłuż jej ciała, potem kazał jej się odwrócić i sprawdził plecy oraz boki.

– Problem w tym, że ziemia, na której stoimy, jest gorąca od wody – powiedział zamyślonym tonem.

– Jest bardzo źle? – spytała LeBlanc, ale on w dalszym ciągu machał długim, cienkim prętem i nic nie mówił. A więc musi być niedobrze.

– Ochlapało panią?

– Tak. – Miała ochotę złapać go za ramiona i potrząsnąć. – Jest bardzo źle?

– Tak – odparł krótko. – Zastanawiam się, co robić. Musi pani przejść pełną dekontaminację, i to szybko.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, co to znaczy.

– Cholera. Nawet nie mogę oskarżyć pana o szukanie pretekstu, żeby pogapić się na moje cycki, prawda?

– Prawda – odparł Kilzer, włączając radio. – SheVa Dziewięć, będzie mi tu potrzebna pomoc.

\* \* \*

– Ruszaj się – warknęła Indy, zarzucając na ramię zestaw dekontaminacyjny. Pruitt biegł za nią z pojemnikiem piany. – Musimy szybko wydostać się z tego błota, wszystko tu jest gorące.

Oboje mieli na sobie kombinezony antyradiacyjne i mimo nocnego chłodu pocili się jak w saunie.

– Daję wam piętnaście minut – powiedział przez radio Mitchell. – Batalion jest rozstawiony na wzgórzach, i choć Posleeni do nich nie celują, jednak idą w tę stronę. A więc nie macie dużo czasu.

– Damy radę – powiedziała mechanik, zbliżając się do dwóch postaci stojących samotnie w świetle księżyca. Bez kurtki i bluzy LeBlanc dygotała z zimna, a jej oddech unosił się parą w nocnym powietrzu.

– Niech pan zawoła tutaj resztę załogi – powiedziała Indy do Kilzera. – Ten czołg jest skażony, nie ma sensu, żeby siedzieli w napromieniowanej puszczy.

– Szkoda, że mnie to nie bawi – powiedział Pruitt, rzucając na ziemię pojemnik z pianą i wracając biegiem po resztę sprzętu.

– Wyciągamy wszystkie pojazdy z błota, jest gorące jak cholera – powiedziała Indy, kiedy pozostałe transportery przytulone do SheVy odjechały.

– A Sh-SheVy nie? – spytała major, szcękając zębami.

– Nie. – Indy zarzuciła linę na konar rosnącego w pobliżu dębu, ale lina spadła; za drugim razem już się udało, – Jest skażona, ale mamy odpowiedni sprzęt, żeby sobie z tym poradzić. A wy nie.

– To z mojej strony prze-przeoczenie.

– Zważywszy na to, kiedy przejęła pani batalion, nikt nie ma prawa mieć pretensji – uśmiechnęła się. Pojawił się Kilzer z trójką czołgistów.

– Cała czwórka, rozbierać się – powiedziała chorąży, podciągając na linie przenośny prysznic. – Kilzer, potrzebne mi jest światło.

– Zobaczę, co da się zrobić – odparł cywil i pobiegł do SheVy, nawet nie oglądając się za siebie.

LeBlanc westchnęła i zdjęła koszulę, a potem biustonosz.

– Drugi taki znajdę dopiero w Asheville – mruknęła, patrząc na tę ostatnią sztukę odzieży.

– I tak nie będzie pasował – westchnęła Indy, podnosząc szczotkę.

– Mam nadzieję, że nie mówi pani tego z zazdrości.

– Nie, mam dość swoich problemów z kręgosłupem.

\* \* \*

Kilzer przyciągnął na wzgórze przedłużacz, zaczepił na gałęzi latarnię i włączył ją, a dopiero potem spojrzał na rozgrywającą się pod dębem scenę.

Kierowca abramsa, z głową ogoloną na zero i gdzieś pokaleczoną, golił głowę ładowniczego, podczas gdy Pruitt zajęty był szorowaniem ostrzyżonego już działonowego pianką dekontaminacyjną.

Indy robiła to samo z major LeBlanc; zabrała się za nią tak szybko, że nawet jej nie ostrzygła. Kiedy zapaliło się światło, major odwróciła się i parsknęła ze złością; jej jasne oczy rozbłyły jak u rozwścieczonej pantery złapanej w snop reflektora. Była zupełnie naga, nie licząc cieniutkiej warstwy żółto-białej pianki.

– Proszę się zamknąć, pani major – powiedziała Indy, szorując ją za uchem. – Muszę coś zobaczyć.

Kilzer stał przez chwilę nieruchomo, szybko mrugając; potem zamknął oczy i pokręcił głową.

– Mam inne rzeczy, którymi powinienem się zająć – powiedział tonem, który miał brzmieć zdecydowanie, ale zabrzmiał niepewnie. – Przepraszam, pani major, właśnie wyłączył mi się tryb awaryjny.

– Nic się nie stało – odparła zduszonym głosem. – Bardziej martwi mnie śmierć z napromieniowania niż to, że ktoś się na mnie gapi.

– Ma'am, a co z nami? – spytał działonowy i prychnął, kiedy trochę pianki dostało mu się do ust.

– Wy dostaliście mniejszą dawkę – powiedziała Indy. – Mogą wam wypaść włosy, możecie mieć różne inne objawy, ale raczej przeżyjecie. Mimo to musimy was szybko ewakuować, a wszystkie ambulanse są na drugim brzegu rzeki.

– A co z panią major? – zapytał ładowniczy. – Daj już sobie spokój – powiedział do kierowcy, odpychając elektryczną maszynkę.

– W dzisiejszych czasach są sposoby, żeby sobie z czymś takim radzić – odparła Indy, ale w jej głosie wyraźnie słychać było powątpiewanie.

Kilzer wziął przenośny licznik i machnął nim z dala od grupy, sprawdzając promieniowanie tła. Z dala od skażonych przedmiotów ziemia była czysta, ale kiedy pojawił się z licznikiem z powrotem na polanie, wskazówka natychmiast ruszyła w górę.

Potem wyłączył alarm dźwiękowy i przesunął urządzeniem nad ciałem major LeBlanc. Po chwili pokręcił głową.

– Wciąż źle? – spytała Indy.

– Nie jest aż tak źle – odparł cicho, patrząc LeBlanc w oczy. – Przepraszam, że wtedy tak zamarłem, pani major, ale muszę powiedzieć, że jest pani ładną kobietą, nie mówiąc o tym, że zdolną. To atrakcyjne połączenie, zwłaszcza w powłoce z miękkiej, śliskiej pianki.

– Bardzo dziękuję, panie Kilzer – odparła sucho oficer. – Jest bardzo źle, co?

– Tak, proszę pani – powiedział cywil, wyciągając w jej stronę dwie żelowe kapsułki. – Rad-Off. Nie utrzymają pani przy życiu, ale trochę wszystko przeciągną.

– A co utrzyma mnie przy życiu? – spytała Glennis, uśmiechając się ponuro,

– Ewakuacja powietrzem do galaktycznego zbiornika regeneracyjnego – odparł Kilzer. – Nie jestem ekspertem od tego typu spraw, ale przy takich odczytach za jakieś dwie godziny uszkodzenia będą raczej nieodwracalne. A najbliższy zbiornik regeneracyjny, o którym wiem, jest w Asheville, w obecnych warunkach odległym o jakieś trzy godziny.

Glennis znów uśmiechnęła się ponuro i pokręciła głową. – To... do dupy.

– Wiem, pani major. – Kilzer spuścił wzrok i wzruszył ramionami.

– Chryste, pani major – odezwał się działonowy. – Nie możemy nic zrobić?

– Bez galtechu niewiele można poradzić na wysokie napromieniowanie – westchnęła Indy,

opuszczając szczotkę. – Czasem pomaga szybkie odkażenie. Z wami wszystko jest w porządku, ale...

– Cholera, co wy wszyscy jesteście tacy smutni? – powiedziała LeBlanc, próbując się uśmiechnąć. – Skończmy z tym i ruszajmy. Mamy Posleenów do zabicia!

– Powinna pani pojechać do szpitala dywizji, pani major – stwierdziła Indy roztrzęsionym głosem.

– Po co, skoro i tak mam umrzeć? – Glennis wzruszyła ramionami, strzepując trochę piany. – Równie dobrze mogę odejść w blasku chwały, prawda?

Indy pociągnęła nosem i znów zaczęła szorować jej plecy.

\* \* \*

Pruitt skończył szorować działonowego abramsa, który, szczerze mówiąc, bardzo tego potrzebował, niezależnie od promieniowania, i podszedł do nagiej i drżącej major. Położył jej delikatnie dłoń na ramieniu i pokręcił głową.

– Mnie też jest bardzo przykro, ma'am – powiedział, starając się patrzeć tylko w jej oczy.

– Dzięki, ale moi ludzie nie są przez to lepiej wyszorowani – odparła, wskazując na czekających ładowniczego i kierowcę.

Pruitt pokiwał głową, podszedł do Kilzera i zabrał mu licznik, a następnie przesunął nim wzdłuż pleców major.

– Chciałbym zamienić z panem Kilzerem kilka słów – powiedział. Objął cywila za ramiona i poprowadził go w ciemność.

– Dobra, jak długo jeszcze będzie pan to ciągnął? – spytał, starając się powstrzymać od śmiechu.

– O co chodzi? – Kilzer zmarszczył czoło.

– Nie widzi pan, że licznik ma czułość rozkręconą prawie na full? Myślałem, że świetnie się pan bawi! Czekałem, aż rzuci pan jakiś tekst w rodzaju „No, skoro została nam tylko godzina życia...” albo „Chyba nie chcesz umrzeć dziewczynką, prawda?”.

– O kurwa – zaklął Kilzer. Wyrwał mu urządzenie z rąk i wcisnął kilka przycisków. Wskazówka napromieniowania natychmiast opadła o dwie trzecie. Major LeBlanc w żadnym wypadku nie przyjęła śmiertelnej dawki promieniowania. – Cholera!

– Ależ ma pan przejebane, człowieku. – Pruitt odwrócił się plecami do pozostałych; miał cholerną nadzieję, że drżenie jego ramion potraktują jako szloch, a nie rechot, którego nie mógł opanować. – Rzeka nie może być aż tak gorąca. Jasne, alarmy się włączyły, bo to kurestwo jest tak czułe, że reaguje nawet na tarczę zegarka. Wybuch był dopiero kilka godzin temu, więc w rzece nie ma aż tyle radioaktywnego śmiecia, żeby licznik tak szalał. Poza tym między nami a miejscem opadu jest tama.

– Dlaczego nic wcześniej nie powiedziałeś!? – syknął Kilzer, gapiąc się na licznik i marząc, żeby zniknął.

– Uznałem, że to podstęp, żeby rozebrać major LeBlanc, a takiego osiągnięcia nie wolno lekceważyć. Swoją drogą, wyszło idealnie. Pianka dekontaminacyjna też nieźle wygląda. To na prawdę budujący widok. Moje morale poszło w górę ze hej.

– Mam przerąbane! Nie musieliśmy ich nawet odkażać!

– Aha, ale za to zobaczyliśmy major LeBlanc pokrytą lodowatą pianką, z ciężkim przypadkiem sutkus erectus. I Indy, która ją myje. Dwie pieczenie naraz. Cały czas myślałem o tym, co zrobić, żeby chorąży przebrała się w biały t-shirt, ale nic mi nie przychodziło do głowy. A teraz niech pan uważa, bo ona pana zwiąże, rozbierze do naga, przemaluje na niebiesko i rozjedzie którymś ze swoich czołgów. Prawdopodobnie zaczynając od krocza. Skoro o tym mowa, czy czołg faktycznie jest



gorący?

– Nie wiem, sprawdzałem go, ale przy takim ustawieniu licznika... Ale mam przejebane!

– Lepiej od razu się zastrzel, kolego – poradził Pruitt, wybuchając w końcu zduszonym śmiechem. – Ja stąd znikam. – Zasłonił dłonią usta i pobiegł w stronę wjazdu SheVy, licząc, że może tam będzie bezpieczny.

\* \* \*

Indy stała na chłodzie z uniesioną szczotką i patrzyła, jak Kilzer wraca na wzgórze. W jednej ręce trzymał licznik Geigera, drugą zasłaniał obronnym gestem krocze.

– Gdzie poszedł Pruitt? – spytała.

– Musiał... musiał coś przynieść z SheVy – powiedział szybko Kilzer, a potem podał Indy licznik, wskazał pokrętkę czułości i odwrócił się. – A ja muszę mu pomóc! – I pogalopował w dół zbocza. Indy przesunęła licznikiem wzdłuż pleców Glennis i spojrzała na urządzenie.

Znieruchomiała na chwilę, a potem popatrzyła w mrok za uciekającym cywilem i wrzasnęła:

– TCHÓRZE!

Glennis przechyliła głowę i zadrżała.

– Zaczynam podejrzewać, że może jednak nie umrę.

\* \* \*

– Jak się czuje major LeBlanc? – spytał Mitchell, kiedy Indy opadła na swój fotel.

– Nic jej nie jest – odparła ze znużeniem chorąży. Wygrzebała skądś provigil i połknęła go bez popicia. – Jest wściekła, ale zdrowa. To niesamowite, jak szybko człowiek może się rozgrzać w wydechu turbiny abrams. – Mechanik spojrzała na Pruitta i pokręciła głową. – Zdajesz sobie sprawę, że ty też jesteś na jej liście do odstrzału?

– *Moi*, ma'am? – spytał działonowy z niewinnym wyrazem twarzy. – Co ja takiego zrobiłem?

– Nie zwróciłeś uwagi na błąd ustawienia czułości, a to jest to samo, co świadomy zamiar obejrzenia nagiego dowódcy batalionu. Ktoś inny mógłby cię oskarżyć z artykułu piętnastego. Chyba po prostu pozwolę LeBlanc cię wytropić.

– O cholera – mruknął pod nosem działonowy.

– Muszę usłyszeć szczerą odpowiedź, Pruitt – powiedział cicho Mitchell. – Kiedy zdałeś sobie sprawę, że coś jest nie tak?

– Prawdę mówiąc, sir, dopiero wtedy, kiedy szorowałem działonowego. Zacząłem się zastanawiać, ile rem mógł przyjąć, a potem pomyślałem, którędy płynie rzeka i gdzie mogło dojść do skażenia. Wszystko to nie trwało zbyt długo, najwyżej kilka sekund, więc rzeka nie powinna być aż tak gorąca. Kiedyś na szkoleniu sam zrobiłem błąd z ustawieniem czułości; wychwyciłem go prawie od razu, ale widziałem, co się stało. Wszyscy biegali w kółko jak bezgłowe kurczaki... Kiedy skończyłem szorować działonowego, poszedłem sprawdzić i okazało się, że Kilzer oczywiście miał czułość rozkręconą na full. To ustawienie fabryczne, bo najpierw powinno się łapać niskie promieniowanie tła, a dopiero potem stopniowo przechodzić na wyższy poziom. Kilzer używał licznika w SheVie, a ponieważ w komorze reaktorów poziom promieniowania był wysoki, czułość była maksymalnie rozkręcona. Pewnie Kilzer zapomniał, że system się resetuje, kiedy się go wyłączy. To z jego strony zwykły błąd, ale ja przynajmniej o tym pomyślałem.

Spojrzał z wyrzutem na Indy.

– Ty, a nie na przykład nasz ekspert od promieniowania? – wyszczerzył zęby Mitchell.

– To wcale nie jest śmieszne! – warknęła Indy. – Major LeBlanc została upokorzona; myślała, że jej życie dobiega końca i... i...

– I została pokryta śliską pianką? – spytał Pruitt – Jej ładowniczy, działonowy i kierowca też

tam byli, rozebrani do naga, i trzęśli się na zimnie razem z nią. Jak chcesz się bawić z chłopcami, musisz się bawić w to samo co oni. – Wzruszył ramionami, a potem parsknął śmiechem. – Przynajmniej nie próbowałem ciebie przebrać w biały t-shirt. To by dopiero był widok, można by sprzedawać bilety.

– Wystarczy, Pruitt – powiedział Mitchell, kiedy chorąży głośno wciągnęła powietrze. – Wystarczy, chorąży Indy. Mamy Posleenów do zabicia. O przypadkowe sytuacje z erotycznym podtekstem będziemy się martwić dopiero wtedy, kiedy wyjdziemy stąd cało, zgoda?

– Zgoda, sir – odparła chorąży. – Ja... Nieważne. Cały czas jesteśmy w kiepskim stanie, to znaczy SheVa.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Będziemy musieli radzić sobie z tym, co mamy. Pruitt?

– Hydraulika wciąż świeci na żółto – odparł działonowy tonem zawodowca. – Wszystkie pozostałe systemy są sprawne.

– W takim razie jedziemy z tym cyrkiem w trasę. – Mitchell włączył mikrofon na częstotliwości ogólnej. – Wszystkie dodatkowe jednostki, plan bez zmian. Jedziemy.

\* \* \*

Plan dla SheVy zakładał jazdę wzdłuż rzeki, z jednym zestawem gąsienic w radioaktywnej wodzie, a reszta pojazdów miała jechać za nią tym samym brzegiem. Mimo iż wszyscy wiedzieli, że woda nie jest niebezpiecznie gorąca, groza przeprawy zrobiła na nich duże wrażenie. Pojazdy bez problemu nadążały za czołgiem, bo po utracie mocy z trzech reaktorów jego prędkość spadła do zaledwie około czterdziestu kilometrów na godzinę, trudniej jednak było uchronić się od rozbryzgów lekko radioaktywnej wody i błota spod jej gąsienic.

SheVa mogłaby przeżyć atak jedynie ograniczonej liczby Posleenów, dlatego jazda wąską doliną wydawała się najlepszym wyjściem. Wprawdzie góra czołgu wystawała ponad szczytami wzgórz, ale jak się nie ma tego, co się lubi, to się lubi, co się ma.

– Tango Osiem-Dziewięć, tu Quebec Cztery-Sześć. Poprzedniego dnia nastąpiła rotacja kryptonimów i teraz wszyscy musieli od nowa nauczyć się swoich oznaczeń. Powodowało to wiele komicznych sytuacji, tak samo jak polowanie na właściwe częstotliwości.

– Quebec, tu Tango-Papa. Odbiór.

LeBlanc zmarszczyła brew; nie wiedziała, dlaczego Pruitt, któremu wciąż nie wybaczyła, odpowiada za pułkownika. Ale czasem trzeba dogadywać się nawet z radiooperatorem.

– Wysyłam przodem zwiad – powiedziała. – Przesuniemy się do przodu, żeby osłonić waszą zachodnią flankę.

– Dzięki, Quebec. – Teraz odezwał się Mitchell. – Jednostka Mike melduje brak kontaktu wzrokowego z wrogiem. Odbiór.

– Potwierdzam, będziemy musieli go poszukać.

\* \* \*

– Wysiadać! – zawołał dowódca, kiedy w szarym świetle księżyca rampa desantowa opadła z hukiem na ziemię.

Bradley zatrzymał się u podnóża zalesionego wzniesienia; według map za wzgórzem rozciągał się otwarty teren i żołnierze mieli to sprawdzić.

Bazzett poprawił uchwyt na swoim AIW i pobiegł w lewo, w stronę lasu. Gdzieś na zachodzie, może kilometr dalej, była autostrada 28. Posleeni na pewno wykorzystywali ją do przemieszczania się; zadaniem zwiadowców było dowiedzieć się, czy w okolicy są jakieś większe zgrupowania wroga.

Od momentu przeprawy przez rzekę nie widzieli żadnych kucyków; może przyczyną była bitwa

za rzeką, gdzie reszta sto czterdziestej siódmej dywizji najwyraźniej ich prała.

Kiedy specjalista dotarł na skraj zarośli, padł na zimną ziemię i zaczął się czołgać. Krzaki kończyły się ogrodzeniem. Owce czy krowy, które kiedyś pasły się tutaj na pastwisku, dawno zniknęły, ale po drugiej stronie doliny widać było jakieś poruszenie. Tym razem nawet nie próbował patrzeć przez monokular, tylko podniósł do oka celownik karabinu i przyjrzał się dalekim wzgórzom.

– Kurwa mać – mruknął. – Dlaczego to się zawsze przytrafia właśnie mnie?

\* \* \*

– Tango Osiem-Dziewięć, tu Quebec Cztery-Sześć – powiedziała ze znużeniem LeBlanc. Wzięła provigil, połknęła nawet tabletkę amfy, ale mimo to wciąż była zmęczona. Dlaczego te cholerne kuce nie mogą po prostu się odpieprzyć?

– Tango – odparł Mitchell. On też wydawał się zmęczony.

– Zwiad melduje o dużym skupieniu wroga pod Windy Gap Church – odparła. – Rozstawiam żołnierzy wzdłuż grzbietu, aby stworzyć bazę ogniową, i wezwałam wsparcie artyleryjskie dywizji. Wciąż są w ruchu, więc dostaniemy tylko jedną baterię. Mogę przełączyć wizję. Odbiór.

\* \* \*

Mitchell zerknął na ekran i pokręcił głową. Autostradą 28 posuwała się zwarta masa Posleenów, a duży ich oddział zgromadził się na wzgórzu zajmowanym przez kościół. Być może wykorzystywali też do transportu drogę Windy Gap Road, a to oznacza, że nawet gdyby SheVa i batalion zalali ich ogniem, obcy będą mieli rezerwy do przeprowadzenia kontrnatarcia. A tymczasem SheVa ma już tylko dwie przednie wieże, nie wspominając o tym, że cały przedni pancerz jest mocno poszarpany.

Pułkownik zaczynał już mieć dość tych ciągłych potyczek. Wywołał mapę i przyjrzał się jej. W tej chwili batalion i SheVa były schowane za wzgórzem, ale kiedy tylko zajmą pozycje bojowe, znajdą się na widoku i rozpęta się piekło. Najlepszym rozwiązaniem wydawał się plan LeBlanc: położyć zasłonę ogniową, a potem zaatakować Posleenów czołgami, pośrednim i bezpośrednim ostrzałem.

W ten sposób jednak posuwając się naprzód, zostawiliby wroga na tyłach.

Wzgórze Windy Gap Hill było dosyć strome, ale dzięki drogom Posleeni mogli na nie bez trudu wejść. A MetalStormy mogą je pokryć celnym ogniem dopiero wtedy, kiedy znajdzie się w ich polu widzenia.

Z drugiej strony jednak jest tak odsłonięte...

– Pruitt – powiedział po namyśle Mitchell. – Widziałeś film *Poszukiwacze zaginionej Arki*?

– Dwa razy – odparł działonowy. – Czemu pan pyta?

– Pamiętasz tę scenę, kiedy wielki, zły facet wychodzi z tłumu, a Indy do niego strzela?

– Tak, sir.

*We smutku łzy scałowałem z jej twarzy  
Czule objąłem ramieniem  
Gdy w uszach nam nagle wystrzał rozbrzmiał wraży  
Co rozległ się w dzikiej gęstwinie.  
Kula przeszła bok mej ukochanej  
We wczesnej młodości wiosnie.  
I na mej piersi skonała krwią zlanej  
Gdy wiatr cicho igrał w owsie.  
Lecz krew za krew bez fałszywej skruchy;  
W Oulart Hollow swą pomstę wziąłem.  
Złożyłem jak lód zimne ciało ukochanej  
Tam, gdzie wkrótce za nią głowę złożę.  
I wkoło jej grobu ponury krążyłem  
W dzień, w noc i o porannej rosie,  
I serce pękało mi, kiedy słyszałem.  
Wiatr, co cicho igrał w owsie*

Dr Robert Dwyer Joyce, *Wiatr, co igra w owsie*

Porter's Bend, Północna Karolina,  
Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III  
06:48 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,  
wtorek, 29 września 2009

Tenalasan czekał, aż z północy nadjedzie wielki czołg SheVa. Maszyna przebiła się już przez dwie grupy, które miały ją zatrzymać, i spodziewano się, że w każdej chwili pojawi się na drodze. Ale jak dotąd z tamtej strony nie dobiegał żaden odgłos wystrzałów i nie widać było jakichkolwiek śladów wielkiej bestii.

Księżyc zaszedł; dla ludzi była to smoliście czarna noc, ale źrenice obcych rozszerzały się, łapiąc światło migoczących w górze gwiazd. Niebo oczyściło się i temperatura spadła, lecz Po'oslena'ar niewiele to obchodziło; potrafili przeżyć w temperaturze, która dla nieodpowiednio ubranego człowieka oznaczała śmierć.

Śnieg był dla nich przykry nie dlatego, że był zimny, lecz dlatego, że zwalniał tempo marszu hordy i oznaczał brak żywności. Wprawdzie z dala od swoich baz Po'oslena'ar potrafili przeżyć wiele dni, żywiąc się taką ilością pożywienia, która starczyłaby ludziom zaledwie na jeden dzień, ale potem musieli to nadrobić.

Oolt Tenalasan nie jadł od dwóch dni, ale prawdopodobnie dopiero po upływie kolejnego dnia pozwoli im przetrząsnąć sakwy z pożywieniem. Dostali po kilka kawałków mięsa z ludzkich thresh, ale było tego za mało, żeby postawić ich na nogi. Jeśli szczęście im dopisze i wygrają nadchodzącą bitwę, będą mieli mnóstwo thresh, aby się pożywić.

Ale póki co muszą czekać.

– Nie znoszę czekać – powiedział Artenayard. Młodszy kessentai zakołysał tenarem z boku na bok i zatrzepotał grzebieniem. – Powinniśmy ruszyć stąd i ich poszukać.

– Zgodziliśmy się słuchać estanaara – odparł Tenalasan. Brał udział w tylu starciach z ludźmi, że wołał czekać na nich w zasadzce niż rzucać się na ich umocnienia.

- Powinniśmy iść z nimi – warknął kessentai, wskazując sunącą drogą zwartą masę Po’oslena’ar. – Idą po bogactwa, które są do zdobycia tuż za górami!
- Jeśli SheVa dotrze do Franklin, cała ofensywa zostanie zatrzymana. Dlatego czekamy.
- To ludzkie metody!
- Metody, które się sprawdzają – odparł starszy kessentai. To była pierwsza bitwa Artenayarda; jak dotąd uczestniczył jedynie w ustawieniu wojsk w szyku przed Gap, a potem w długim nocnym marszu. Już niedługo przekona się, że walka z ludźmi to nie żarty.

\* \* \*

- Jeszcze jedna zasadzka – powiedział Pruitt, regulując kąt nachylenia działa.
- Aha, uczą się – mruknął Mitchell. – Ale o czymś zapomnieli.
- O czym?
- O zabezpieczeniu flank.

\* \* \*

Ziemia zaczęła drżeć. Bazzett przycisnął karabin do ramienia, kiedy nad jego głową rozbłysła pierwsza salwa czterdziestomilimetrówek. Ponieważ działka strzelały prawie na maksymalny zasięg, miały bardzo szeroki rozrzut; ostrzał objął połowę posleenkich sił, które natychmiast wpadły w panikę.

Bazzett złapał w zoom swojej lunety Wszechwładcę, który właśnie ruszył przed siebie, i nacisnął spust.

\* \* \*

Tenalasan wycofał swój tenar, kiedy tylko głowa Artenayarda zniknęła w eksplozji żółtej krwi i mózgu.

– Na wschód! – wrzasnął, machając na swoich oolt’os i normalsów zabitego. – Atakować na wschód!

\* \* \*

– Ładnie – mruknął Mitchell, kiedy pierwsza kamera pokazała Posleenów. Obcy dzielili ogień między SheVę i siły atakujące ich flankę, co Mitchellowi było bardzo na rękę. Ale to nie mogło długo trwać.

– Majorze LeBlanc, proszę kazać swoim ludziom wycofać się do pojazdów. Natychmiast.

\* \* \*

– Wycofać się!

Bazzett spojrzał na sierżanta plutonu i pokręcił głową. – Dajemy radę!

– Rozkazy! – zawołał sierżant. Był zwykłym sierżantem, ale jako najstarszy stopniem spośród ocalałych żołnierzy dowodził plutonem. I skurwiel wcale nie żartował.

– Co jest, kurwa? – zapytał specjalista, wyczołgując się z okopu. Ogień obcych na szczęście przechodził głównie górą i zrywał gałęzie z drzew. Bazzett zarzucił karabin na plecy i wycofał się; kątem oka widział inne szare cienie między drzewami. Bradleye podjechały na sam skraj lasu, miażdżąc rosnące tam krzaki; porucznik najwyraźniej nie żartował z tym wycofaniem.

– Do bradleyów! – Wolf biegł wzdłuż linii, waląc opieszających w plecy. – NIE patrzeć w stronę Posleenów!

\* \* \*

- Pułkowniku, już się zebraliśmy – oznajmiła LeBlanc. – A kucyki lecą na złamanie karku.
- Świetnie – powiedział Mitchell. – Przygotujcie się do wykonania ruchu. Pruitt, ognia!

\* \* \*

– Łajno demona! – krzyknął Tenalasan. Wystrzał z olbrzymiego czołgu wyrzucił w górę tuziny oolt'os i kessentaiów, ale to był najmniejszy problem; tym razem pocisk burzący wbił się we wzgórze Windy Gap Hill i wysadził wierzchołek w powietrze.

A wzgórze było oblepione Posleenami: oolt próbującymi się zebrać po ostrzale snajperów i MetalStormów oraz właśnie podchodzącymi pod szczyt posiłkami. Wszyscy oni zniknęli wraz z wierzchołkiem, w miejscu którego pojawiło się duże półkoliste wgłębienie.

Granit z głębi wzgórza został zamieniony na pył, a zewnętrzne warstwy w postaci żwiru i kamieni wielkości samochodów uniosły się w powietrze i runęły w dół.

Na widok tej kamiennej lawiny Tenalasan aż zatrzepotał grzebieniem w podziwie dla ludzkiej przemysłności.

\* \* \*

– Quebec Osiem-Sześć, naprzód. Wykończyć niedobitki, a potem skręt na południe.

– Następny przystanek: Franklin – powiedział Pruitt, ładując kolejny pocisk.

\* \* \*

Glennis poruszyła pokrętłami ekranu dowódcy i podświetliła grupę Posleenów, którzy wciąż próbowali maszerować na północ autostradą 28. Było jasne, że obcy nie widzieli czołgów, które wysunęły się z lasu, i major wołała, żeby tak zostało.

– Cel: kompania Posleenów.

Batalion przejechał przez niedobitki posleńskich sił, a potem zakręcił na południe, osłaniając SheVę i szukając punktów oporu. Na wzgórzach i na drodze wciąż znajdowały się rozproszone oddziały wroga, ale jak dotąd żaden z nich nie odpowiedział ogniem, a tym bardziej nie zadał im żadnych strat. Przynajmniej raz udało im się Posleenów całkowicie zaskoczyć.

Działonowy nakierował sprzężone działka na cel i wystrzelił serię, zamieniając większość oolt w karmę dla psów. Kilku obcych strzeliło w ich kierunku, ale czołg wciąż był poza ich zasięgiem, więc ogień poszedł górą lub bokiem. Kolejna seria wykończyła niedobitki i oddział wyjechał spod osłony zarośli, kierując się w stronę Franklin.

Znaleźli się na skraju małego miasteczka, którego niewielkie zakłady i sklepy zaopatrywały miejscowy korpus. Miasteczko otaczały pola poprzecinane siecią dróg.

– Quebec Osiem-Sześć, tu India Trzy-Dziewięć.

LeBlanc włączyła mikrofon i zerknęła na wzgórze, gdzie zwiadowcza grupa bradleyów zajęła pozycje; widać było stamtąd całe Franklin, dlatego właśnie posłała tam transportery.

– Mówcie.

– Pewnie będzie pani chciała to sama zobaczyć, pani major.

Popatrzyła na wzgórze i wzruszyła ramionami. Pewnie mają rację.

\* \* \*

LeBlanc zsunęła się po przednim pancerzu czołgu i poszła przez podwórze na tyły domu, gdzie pod płotem przykucnęło dwóch żołnierzy z kompanii Charlie. Dom był najwyraźniej opuszczony; tylne drzwi wyrwano z framugi i ciśnięto na ziemię, a wewnątrz był taki bałagan, jaki zostawiali tylko Posleeni. Idąc przez patio, major nadepnęła na pluszowego misia; mimo padających deszczów, wciąż był w dobrym stanie. Spojrzała w dół i poszła dalej; po dziesięciu latach walk smutna historia, którą zabawka mogłaby opowiedzieć, była już stara i banalna.

– Dzień dobry, ma'am – powiedział starszy stopniem żołnierz, specjalista, podając jej lunetę na podczerwień. – Niech pani spojrz na miasto.

– Kucyki – mruknęła, zerknawszy we wskazanym kierunku.

– Czy oni naprawdę nie wiedzą, że dostali?

Miasto było pełne Posleenów, którzy cały czas napływali ze wschodu i południa. Wielu z nich pracowało przy jakiejś podziemnej budowlu w pobliżu centrum, zupełnie jakby się „okopywali”.

– Wygląda na to, że nie, ma’am – odparł ze śmiechem zwiadowca, zabierając lunetę. – Co robimy?

– Rozwalimy miasto SheVą – odparła major po chwili namysłu.

– Co oni tam budują, ma’am? – spytał młodszy żołnierz.

– Myślę, że jakiś bunkier dowodzenia. – Uświadomiła sobie, że myśli jak oficer wywiadu, a nie jak dowódca batalionu. – Nie, cofam to. Infrastruktura Posleenów znajduje się pod ziemią. Powiedziałabym, że to jakaś fabryka albo przetwórnia żywności. Może jedno i drugie.

– Czyżby szykowali się do przeprowadzki?

– Albo próbują rozwinąć logistykę. Cokolwiek to jest, za chwilę dostaną dziesięciokilatonowy prezent.

\* \* \*

Orostan popatrzył na kenellaia, który kierował zaopatrzeniem.

– Jak idą prace?

– Tunele wkrótce będą gotowe, oolt’ondai. Potem potrzebujemy około dwunastu godzin do ukończenia fabryki.

– Za długo – warknął Orostan, rozglądając się po stłoczonych oolt’os i kessentaiach. – W tym czasie skończy nam się amunicja i thresh.

– Szybciej się nie da, oolt’ondai.

– Oolt’ondai, zbliża się SheVa – oficer operacyjny wskazał na północ – i towarzyszące jej siły. Oddział w Windy Gap...

– Nie istnieje, wiem – warknął wódz. – Ale nie mogą nas w ten sam sposób zaatakować. Wyślijcie dwa oolt’ondary na spotkanie czołgów, a reszta niech zajmie pozycje na tamtym wzgórzu; nie pozwolimy jej dotrzeć do miejsca, skąd mogłaby strzelać.

– Jak rozkażesz, oolt’ondai.

Wódz spojrzał jeszcze raz na północ, a potem włączył komunikator i zaczął, aż ten wyszuka Tulo’stenaloor.

– Tu Orostan – powiedział, kiedy urządzenie oznajmiło połączenie.

– Orostanie, jak idzie? – spytał Tulo’stenaloor.

– Jakby Demony Nieba wzięły losy wojny w swoje ręce – odparł, trzepocząc grzebieniem. – Kiedy ustawiam swoje siły, żeby zaatakować SheVę z boku, ona zachodzi je z flanki. Kiedy ustawiam je na wprost, ona atakuje z boku. Jak na coś tak wielkiego piekielnie trudno ją przyszpilić.

– Czy dotrze do Franklin?

Wódz zastanawiał się przez chwilę, a potem zmarszczył skórę, wzdychając.

– Być może, estanaarze, być może. Spróbuję ją zatrzymać, zanim dotrze do Franklin. Ale nie wiem, za jaką cenę.

– Cena nie gra roli. Jeśli będziesz musiał wysłać przeciw niej resztki swoich sił, zrób to. Niedługo znów będziemy mieli Gap, wtedy wyślę wam więcej wojsk. Ale musisz ją zatrzymać; nie uda nam się odbić Gap w czasie jądrowego ostrzału.

– Tak jest, estanaarze, zatrzymam ją.

– Zrób to – odparł Tulo’stenaloor – a wtedy ten świat będzie nasz. Powodzenia.

– Zatrzymam ją – warknął Orostan. – Na kości Alld’nt, zatrzymam ją.

\* \* \*

- Nie da rady – powiedział Pruitt, kręcąc głową.
- Dlaczego? – Mitchell spojrział na mapę.
- Tamto wzgórze było dość strome, mieliśmy porządny cel. To wzgórze ma po naszej stronie długie, łagodnie nachylone zbocze. Nie mogę wpakować tam pocisku, jeśli nie będę miał jakiegoś urwiska.
- Tam jest cholernie dużo Posleenów, a oni nie będą siedzieli z założonymi rękami,
- Wiem, sir – odparł specjalista – ale nie damy rady strzelić. Co innego, gdybyśmy byli po południowej stronie, ale chyba nie chce pan teraz tam jechać, prawda?
- Nie przy takim rozmieszczeniu sił w okolicy – powiedział pułkownik. – Masz jakieś propozycje?
- Hmm... – Pruitt spojrział na wyświetlacz i wprowadził kilka poprawek, a potem coś zmierzył. – Jeśli cofniemy się do ostatniego miejsca, z którego strzelaliśmy...
- Minimalny dystans to cztery tysiące metrów – powiedział pułkownik, zerkając na mapę. – Ledwie się zmieścimy. Nie zniesie pocisku?
- To... może być problem – przyznał działonowy.. – Wiatry generalnie wieją z północnego zachodu na południowy wschód. Kto wie, być może będziemy musieli strzelić dwa razy!
- Będziemy strzelać praktycznie pionowo w górę; jeśli ten cholery pocisk do nas wróci, już nigdy więcej nie strzelimy!

\* \* \*

- Quebec Osiem-Sześć, wycofaj swoje wysunięte jednostki. Będziemy musieli zawrócić niemal do punktu wyjścia. Wydziel pododdział, żeby nas osłaniał.
- LeBlanc przez chwilę zastanawiała się nad tym, co usłyszała, a potem zadrżała, mimo gorąca buchającego z wnętrza czołgu.
- Czy to ma coś wspólnego z odległością poniżej czterech tysięcy metrów?
- Potwierdzam. Odbiór.
- Nawet w punkcie wyjścia będziemy poniżej czterech tysięcy metrów od celu. Odbiór.
- Potwierdzam. Zalecam wycofać się i schować.
- Nie będzie dobrze.
- Nie będzie.

\* \* \*

- Wiesz, jaki jest problem z SheVą? – powiedział Utori. – Zero finezji.
- O co ci chodzi? – spytał Bazzett, otwierając puszkę zjedzeniem. Jeśli mają się zatrzymać na kilka minut, może w tym czasie zjeść.
- Batalion pospiesznie zawrócił, oddając teren, który z takim trudem zdobył. Pozostał tylko jeden Abrams, ukryty za osłoną, z wyłączoną elektroniką i odwrócony tyłem do wybuchu. Wszyscy żołnierze zostali wycofani do pojazdów; gdyby Posleeni się przebili, nic by z nich nie zostało.
- Tylko popatrz. Albo nuklearne zniszczenie, albo nic. – Operator ciężkiej broni otworzył swój karabin maszynowy i szorował komorę zużytą zieloną szczoteczką do zębów.
- Ma MetalStormy – zaprotestował Bazzett. Obaj ignorowali fakt, że w każdej chwili może im spaść na głowy pocisk z antymaterią. Pociski rażenia powierzchniowego miały minimalny zasięg między innymi dlatego, że SheVa strzelała na niewielkie odległości wyjątkowo niecelnie. Zaprojektowano ją z myślą o zasięgu rzędu pięćdziesięciu kilometrów i więcej, tak więc mniejsze dystanse oznaczały strzelanie niemal pionowo w powietrze. Przy takim kącie nachylenia miejsce lądowania pocisku było niemal wyłącznie kwestią szczęścia.
- Jasne, ale to tylko czterdzieści milimetrów. – Utori złożył z trzaskiem broń i napił się wody z



bukłaka. – Przydałyby im się stopiątki z małymi pociskami z antymaterią. Na przykład... dziesięć kiloton; to by wystarczyło, żeby oczyścić szczyt wzgórza. A nie jakieś jebane sto kiloton, które zmiecie całe zasrane hrabstwo.

– Może i tak, ale one nie były zaprojektowane do tak bezpośredniego ostrzału. – Bazzett odłożył łyżkę, widząc zagląającego do przedziału załogi dowódcę.

– SheVa właśnie wystrzeliła;

– Cholera, jaki jest czas lotu? – spytał Utori, łapiąc za hełm i wciskając go na głowę.

– Pewnie około minuty – odparł dowódca, wracając na swój fotel. – Trzymać mi się, kurwa – dodał, wyłączając radio i wysadzając wszystkie bezpieczniki; wybuch może spowodować nieprzyjemny impuls elektromagnetyczny, który mógłby uszkodzić elektronikę transportera.

Bazzett podniósł plastikowo-metalowy pojemnik i wycisnął resztkę fasoli z wołowiną do ust, a potem wyrzucił opakowanie do pustej skrzynki po amunicji, używanej jako kosz na śmieci. Popił wodą, wsadził palce w uszy, zgiął się wpół i otworzył usta.

– Będzie kiepsko.

\* \* \*

– Cholera – mruknął Pruitt, patrząc na przesuwający się wskaźnik toru pocisku, aby na tej podstawie określić prawdopodobny punkt trafienia. – Nie jest dobrze.

– Gdzie spadnie? – spytał Mitchell.

– Skręca na północny wschód. Jeśli nie zawróci, wyląduje w połowie drogi między Posleenami a oddziałem LeBlanc. Na szczęście ustawiłem głowicę na detonację nad celem, więc jeśli wyląduje po tej stronie doliny, gdzie jest Franklin, Posleeni powinni się znaleźć w cieniu wybuchu.

Mitchell tylko chrząknął. W tej chwili nikt już nie mógł niczego zrobić.

\* \* \*

Tulo'stenaloor spojrział na meldunek o ogniu balistycznym i zatrzepotał w podnieceniu grzebieniem.

– Niech demony nieba i ognia pożrą i wydalą ich dusze! – warknął. – Orostanie!

\* \* \*

Oolt'ondai zobaczył lecący w niebo słup ognia. Mógł oznaczać tylko jedno.

– Przykro mi, estanaarze – powiedział, nie patrząc nawet na komunikator. – Teraz wszystko zależy od ciebie.

A potem spojrział w niebo, czekając na ogień.

\* \* \*

Stukilotonowy pocisk był cięższy niż głowica burząca ze względu na węglowo-uranową matrycę, która chroniła niebezpieczny ładunek przed niepożądanymi uderzeniami. Pancierz odpadł jednak zaraz po wystrzale i pocisk pomknął w górę, do apogeum toru lotu, kiedy to system śledzący go zgubił.

Na szczęście dla ludzi głowica złapała jeszcze jeden podmuch wiatru z zimnego frontu atmosferycznego, który niedawno tędy przeszedł, i skierowała się odrobinę na południe, w pobliże wieży ciśnień miasta Franklin. Tutaj sto metrów nad ziemią detonowała.

W wyniku wybuchu antymaterii dosłownie wszystko zostało zniszczone; pozostał tylko skrawek ziemi w samym centrum eksplozji i kilka nie naruszonych budynków.

Rozchodząca się od epicentrum fala plazmy i szczątków dokonała największych zniszczeń wśród zgromadzonych w centrum miasta Posleenów. Pozostawiony na wierzchołku wzgórza abrams

zakołysał się pod straszliwym uderzeniem, ale uszczelnienia zaprojektowane w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku z myślą o wojnie z ówczesnym Związkiem Radzieckim wytrzymały i załoga ocalała. Czołgistów wytrzęsło, ale przeżyli.

Fala poszła dalej, nad wzgórze, na którym wznosiło się centrum Franklin, i zrównała z ziemią większość zabytków, które nadawały miastu idylliczny charakter. W miarę jak krąg powietrza pod ciśnieniem powiększał się, jego siła była coraz mniejsza, a gdy powietrze wypełniło próżnię w centrum wybuchu, fala uderzeniowa powróciła i zniszczyła wszystko to, co ocalało po przejściu pierwszej fali. Pozostały jedynie piwnice i fundamenty gmachu sądu oraz połowa budynku muzeum kamieni szlachetnych i minerałów.

\* \* \*

Bazzett kołysał się wraz z kolejnymi uderzeniami fali i mrucał pod nosem.

– „Jeśli bradley się buja, nie pukaj do drzwi...”. – Spojrzał na Utoriego, który wyglądał bojaźliwie spod hełmu, i wzruszył ramionami. – Zauważyłem, że bujamy się do rytmu.

Zdjął AIW ze stojaka i włączył kciukiem celownik, sprawdzając stan elektroniki.

– Zrobię sobie tatuaż. Zawsze mówiłem, że nie zrobię sobie tatuażu, dopóki nie przeżyję wojny atomowej. A to chyba coś takiego, nawet jeśli to nasi do nas strzelają.

– Odpierdała ci, człowieku – mruknął Utori, kiedy silnik transportera z rykiem ożył.

– Większość maszyn na chodzie! – zawołał dowódca. – Teraz jedziemy pełnym gazem. Trzymać się, kurwa.

– „Jak maszyna się buja, nie pukaj do drzwi...”.

\* \* \*

– Tango Osiem-Dziewięć, tu Quebec Cztery-Sześć – powiedziała Glennis. – Impuls elektromagnetyczny wyłączył mi trzy maszyny; osłony na pozostałych wytrzymały. Do tego mam rozmaite uszkodzenia elektroniki, trochę z powodu wstrząsu.

– Ale jesteście mobilni, tak?

Glennis spojrzała na sunące przez mrok czołgi i transportery i pokiwała głową.

– Chyba można tak powiedzieć, Tango.

– Następny przystanek: pozycja Omega, Quebec. Bez odbioru.

– No tak, nasze zadanie to doprowadzić SheVę do miejsca, skąd będzie mogła wesprzeć panczerze, a nie zabijać każdego Posleena, który pojawi się w dolinie. – Popatrzyła dookoła na zdewastowany krajobraz, zrujnowane domy, porozrzucane pnie drzew i poczerniałą ziemię. – Chociaż...

\* \* \*

– Szefie – odezwał się McEvoy na częstotliwości plutonu – mam emisje posleńskich ładowników. Trzy źródła, jedno ciężkie, dwa lekkie. System twierdzi, że to dwa Minogi i C-Dek. Mamy zawrócić i podczepić systemy przeciwlądunkowe?

Ponieważ panczerze miały uzupełnić zaopatrzenie Bandytów, Tommy kazał im zamienić ciężkie działka grawitacyjne na flesztkowe. Gdyby zrobiło się gorąco, prawdopodobnie musieliby zatrzymać, a przynajmniej spowolnić, natarcie naziemnych sił Posleenów, a nie ładowniki.

Tommy popatrzył na odczyty i odsłonił w uśmiechu zęby.

– Nie trzeba, ja się tym zajmę.

Po chwili czujniki poinformowały go, że do okopu wślizguje się inny pancierz, dowódca batalionu. Odwrócił się i zasalutował.

– A więc jak zamierza pan „zdjąć” trzy ładowniki, poruczniku? – spytał Mike, odpowiadając

na salut machnięciem ręki.

– Za pomocą tego, sir! – odparł Tommy, ściągając brezent z ukrytego pod nim urządzenia. – Ta-dam!

– Hmm.. – chrząknął O’Neal, patrząc na terawatowy laser. Broń ta była popularna na początku wojny, ale w ciągu pierwszych dwóch lat wyszła z użycia. Lasery były jednak bardzo skuteczne przeciwko lądownikom, przynajmniej Minogom i nie spodziewającym się niczego C-Dekom, a więc w tych okolicznościach broń powinna zadziałać. – Czemu zrobił pan z tego tajemnicę?

– Uznałem, że jeśli nikt inny o tym się nie dowie, nie dowiedzą się także Posleeni, sir.

– Ale pana przekażnik wiedział.

– Kazałem mu zmienić wysłaną listę sprzętu – powiedział ostrożnie porucznik. – Skoro pan się nie dowiedział, Posleeni też nie wiedzą. Przepraszam, sir.

– Och, w porządku – machnął ręką Mike. – Wie pan, dlaczego wycofano je z użycia? – spytał.

– Nie, sir. Nigdy nie mogłem tego zrozumieć.

– No, w tej bitwie to i tak nie będzie miało znaczenia. Wracam do swojej jamy. Powodzenia, poruczniku. Celnych strzałów.

– Tak jest i dziękuję, sir.

\* \* \*

Mike wsunął się do jamy wykopanej dla dowództwa batalionu w chwili, kiedy pierwszy lądownik wychynął zza gór.

– Dlaczego nie kazał przebroić się swoim ludziom? – warknął Stewart.

– Bo ma lepszy pomysł – zaśmiał się Mike. – Miałem w składzie laser terawatowy.

– I on zamierza go użyć? – zdziwił się S-2.

– Na to wygląda. Będzie wesoło, ale najlepiej popatrzeć na to z bezpiecznej odległości.

\* \* \*

– Tym razem chyba nie żartują.

SheVa Dziewięć pełzła wolno przez ruiny śródmieścia Franklin, szukając pozycji do rozpoczęcia ostrzału.

Wzgórze, na którym kiedyś było miasto, i wszystkie ciągnące się jak okiem sięgnąć wzniesienia nosiły ślady wybuchu jądrowego. Drogi pokrywał gruz i śmieci, a wokoło miasta leżały zwalone drzewa i tliły się pożary wywołane żarem eksplozji. SheVę poprzedzały jadące wachlarzem czołgi. Po raz pierwszy, odkąd została okaleczona, była w stanie dotrzymać im kroku; to, co one musiały omijać, ona miażdżyła gąsienicami.

Szukali miejsca w okolicach Franklin, z którego mieliby zasięg na Gap. Problem był dwójaki: kąt ostrzału – musieli trafić aż do środka przełęczy – i wysokość – Gap leżała nieco wyżej niż Franklin, a ponieważ mieli użyć głowic wybuchających w powietrzu, potrzebowali nieco większego zasięgu niż w przypadku pocisków uderzeniowych. Najlepsze wydawało się wzgórze, na którym dotąd stało miasto, chociaż jednocześnie istniało ryzyko, że staną się przez to lepszym celem ataku.

Pruitt patrzył, jak kółko celownika balistycznego wolno przesuwają się w górę Doliny Rabun, czasem zbliżając się do Gap, czasem oddalając, kiedy nagle SheVa zakołysała się od wystrzału z ciężkiego działka plazmowego.

– Jezu! – wrzasnął działonowy, obracając wieżę i włączając radar i lidar dalekiego zasięgu.

– Pułkowniku! Mamy cztery, nie, sześć C-Deków startujących zza wzgórz! I są rozproszone!

– Niech to szlag – mruknął Mitchell, włączając mapę terenu. W czasie odwrotu SheVa dawała już sobie radę z sześcioma okrętami naraz, ale wtedy teren pozwalał im się schować zaraz po

oddaniu strzału. A Dolina Franklin była szeroko otwarta; niskie, łagodne wzgórza gdziekolwiek tylko miały wyższe szczyty. Dawały pewną osłonę przed naziemnymi siłami Posleenów, ale w walce z okrętami można było ukryć się wśród nich z takim samym powodzeniem, jak na polu golfowym.

SheVa mogła zatem liczyć tylko i wyłącznie na to, że posleeńskie strzelectwo pozostawia sporo do życzenia; okrętowe działa trzeba było nakierowywać na naziemne cele ręcznie, a podczas odwrotu wyszło na jaw, że koncepcja „naprowadzania” była najeźdźcom obca. Pojedynek z sześcioma lądownikami w sytuacji, gdy SheVa miała tylko cztery pociski przeciwlądunkowe i osiągała maksymalną prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, nie dawał wielkich szans na przeżycie.

– Niech ktoś zadzwoni do piechoty mobilnej i powie, że trochę się spóźnimy.

\* \* \*

Tommy przykucnął za laserem i wycelował w pierwszego C-Deka, który pojawił się nad górami. Musi trafić za pierwszym razem.

Holograficzny celownik pokazywał zewnętrzne i wewnętrzne cele, w tym system utrzymywania antymaterii. Tommy ominął go, strzelając pod takim kątem, by przebić słaby punkt pancerza i trafić w maszynownię krążownika.

Broń wypluła wiązkę purpurowego światła w chwili, kiedy C-Dek otworzył ogień z pierwszej broni, jaką zdołał nakierować na cel, czyli przeciwokrętowego działa plazmowego. Strzały chybiły pozycje batalionu i wyryły krater wielkości domu w prowizorycznej drodze usypanej przez Posleenów.

Rdzeniem lasera była słabo kontrolowana reakcja jądrowa między dwoma potężnymi polami elektromagnetycznymi, konwertowana w czyste fotony. Promień o mocy liczonej w megadżulach na sekundę przeciął ciężki pancerz posleeńskiego okrętu jak chusteczkę higieniczną, przebił wewnętrzne grodzie i wdarł się do przedziału silnikowego, niszcząc system antygravitacyjny i odcinając zasilanie zewnętrznego uzbrojenia. Pozbawiony antygravitacyjnego wsparcia, krążownik zatoczył się i runął w dół.

\* \* \*

– Jasna cholera – prychnął Duncan, patrząc w górę. Widział, że krążownik dryfuje w stronę jego pozycji, ale ostrzał z tego, co mieli we trzech do dyspozycji, byłby dla okrętu jak pieszczota, więc schował się, mając tylko nadzieję, że C-Dek znajdzie sobie jakiś inny cel. Ale kiedy terawatowy laser uderzył w bok okrętu, statek znajdował się niemal bezpośrednio nad nimi.

Krążownik zakołysał się i zaczął spadać z przyspieszeniem dziewięć i osiemdziesiąt jeden metra na sekundę do kwadratu.

Uderzył w szczyt wzgórza zaledwie piętnaście metrów od pozycji Duncana, choć na szczęście po posleeńskiej stronie grzbietu, a potem zaczął się staczać w dół.

Siła uderzenia wielotonowego okrętu wyrzuciła wszystkie trzy pancerze w powietrze. Duncan kilka razy odbił się od ziemi, ale niemal natychmiast znowu znalazł się na górze; chciał wszystko dokładnie zobaczyć.

Posleeński okręt turlał się w dół zbocza, wciąż plując bryzgami plazmy i ognia z włazów i gniazd broni, potem przetoczył się przez pozycje Posleenów, a na koniec runął w koryto rzeki.

– Cholera, sam bym tego lepiej nie wymyślił – mruknął Duncan, patrząc na pozostałe dwa okręty. Były to Minogi, o wiele mniejsze niż C-Dek, ale mimo wszystko bardzo niebezpieczne. – Żeby tylko ten cholerny laser się nie rozleciał.

\* \* \*

Tommy skierował laser na Minoga, który leciał nieco wyżej i otworzył już ogień z ciężkiego

lasera na jednej z faset; strzał pędził zygzakami po ziemi w kierunku punktu dowodzenia.

Tym razem Sunday nie celował aż tak dokładnie; okręt był dalej i detonacja systemu utrzymywania antymaterii nie byłaby aż tak niebezpieczna.

Purpurowy promień lasera wgrzył się w burtę Minoga w rozbłysku srebrnego ognia i wszedł głęboko w jego wnętrze. Nie trafił w system utrzymywania antymaterii, ale za to przeciął przełączniki energii do silnika. Okręt zatrzymał się w powietrzu, a potem runął w dół jak kamień. Część Posleenów w obu zestrzelonych statkach przeżyła, ale najważniejsze było zlikwidowanie samych okrętów.

Sunday szybko obrócił broń w kierunku trzeciego z nich, ale tym razem odrobinę się spóźnił.

\* \* \*

– Kapitanie Slight! – zawołał Mike i zaklął. – Z tyłu!

\* \* \*

W ciągu pięciu lat, odkąd została dowódcą kompanii Bravo, Karen Slight przeżyła mnóstwo bitew i potyczek. Czasami czuła się tak, jakby uciekła przed karzącą ręką statystyki. I jeśli tak było, ta ręka właśnie jej dosięgła.

Kapitan przełączyła wizję i zerwała się na równe nogi, kiedy zobaczyła zbliżającą się od tyłu linię wybuchów hiperszybkich rakiet. Ale było już za późno. Zanim ona albo sierżant Bogdanovich zdążyły coś zrobić, pociski trafiły w ich okop. A kiedy seria przeszła dalej, pozostawiła za sobą tylko rozrzucone szczątki pancerzy.

\* \* \*

– Niech to szlag – mruknął Tommy, namierzając trzeci okręt. Widząc los poprzedników, Minóg próbował robić uniki, aby rozproszyć ogień, ale terawatowy laser miał o wiele większą moc niż lżejsze działka grawitacyjne. Promień wbił się w trzeci okręt, rozcinając przedział załogi i mostek. Pilot nie miał większego doświadczenia w lataniu na tak małych wysokościach – posleńskie okręty przeważnie działały w trybie automatycznym, dlatego bardzo niewielu obcych przygotowywało się do ręcznego sterowania – więc kiedy okręt przyspieszył, by uniknąć promienia lasera, zderzył się ze zboczem Black Rock Mountain, odbił od niego i wpadł prosto w ów promień.

Nie wiadomo, czy to zasługa lasera, czy zderzenia, ale Minóg zatrzymał się w powietrzu, a potem spadł prosto na C-Deka, niemal całkowicie blokując wąską przełęcz.

Tommy odprowadził go wzrokiem na sam dół, a potem rozsunął trójnog lasera, by wystawić go ponad krawędź okopu, skąd miał dobry widok na zbliżających się Posleenów. Obcy mieli spore kłopoty z ominięciem przeszkody w postaci dwóch zestrzelonych okrętów, ale mimo to wciąż nacierali zwartym murem. A ogień Bravo po śmierci sierżanta i dowódcy kompanii zaczął słabnąć.

Jednak Tommy miał na to radę; z gniewnym prychnięciem zaczął ostrzeliwać zbliżających się centaurów.

\* \* \*

– Dobra robota, poruczniku – powiedział Mike z ledwie słyszalnym westchnieniem ulgi – ale lepiej niech pan już wstrzyma ogień.

\* \* \*

– Z całym szacunkiem, sir, Bravo potrzebuje wsparcia – odparł Tommy, siejąc laserem po liniach Posleenów. Snop purpurowego światła przeznaczonego do niszczenia okrętów wgrzył się głęboko w ich szeregi, ścinając za jednym zamachem po sześciu albo siedmiu obcych.

\* \* \*

– Tak, ale jest pewien mały problem – powiedział Mike. – Chodzi o to, że...

„Mały problem” został odkryty po roku używania terawatowego lasera na polach bitew. Jak już wspomniano, podstawą jego działania była słabo kontrolowana eksplozja jądrowa. Do komory lasującej wypełnionej argonem wstrzykiwano starannie odmierzone dawki antywodoru. Antywodor, przeciwieństwo prawdziwej materii, zderzał się z argonem i natychmiast przekształcał w czystą energię.

Ową uwolnioną energię przechwytywały inne atomy argonu, a kiedy one z kolei ją uwalniały, miała już postać fotonów światła. Fotony te znów były przechwytywane i gromadzone, aż po osiągnięciu szczytowego ciśnienia były uwalniane.

Wszystko to działo się w ciągu nanosekund i było kontrolowane przez wibrujące pola magnetyczne, czerpiące energię z tej samej reakcji.

Taki sam typ lasera wykorzystywano w kosmicznych myśliwcach i okrętach liniowych. W obu przypadkach podchodzono do niego z nabożnym szacunkiem, gdyż był równie groźny dla własnego okrętu, jak i dla wroga, dlatego stworzono potężne drugorzędne pola magnetyczne, które zapewniały bezpieczeństwo, jeśli pierwszorzędne pola zawiodły.

W wersji naziemnej owe drugorzędne systemy były jednak niedostępne, dlatego też kiedy moc w komorze lasującej przekraczała dozwolone maksimum mocy pól magnetycznych, pobudzony argon i drobiny wciąż nie przetworzonego antywodoru uciekały z zamknięcia i niszczyły broń, uwalniając całą resztę argonu w dość widowiskowy sposób.

W jednej chwili Tommy strzelał z lasera, a już w następnej leciał nad ziemią, wściekle wirując. Jego sensory znów zostały przeładowane, ale z tego, co udało mu się mimo to odczytać, wynikało, że temperatura na zewnątrz gwałtownie spada, zbliżając się do tej, jaka panuje w fotosferze gwiazdy.

Potem nastąpił krótki, raptowny wstrząs i Sunday przestał się obracać. Miał wrażenie, że zsuwa się po zboczu góry.

Zauważył, że nie może zebrać myśli, i zaraz potem stracił przytomność.

\* \* \*

Mike wyrztał z jamy dowodzenia batalionem i westchnął.

– Mówiłem mu, żeby przestał – powiedział. Powietrze wciąż było pełne niewiarygodnie rozgrzanych gazów i pyłu, ale systemy już zaczynały się stabilizować i widać było, że oddział nikogo nie stracił. Laser, który wybuchł, oczyścił teren z Posleenów.

– Atomówki – mruknął Mike. – Trzeba było zabrać atomówki.

– No właśnie – zaśmiał się Stewart. – Dlaczego wcześniej na to nie wpadliśmy?

– Nie wiem, może dlatego, że były zabronione? – mruknął O’Neal. – Dlaczego wciąż musimy prosić innych o pomoc?

– A może trzeba było po prostu zabrać lasery? – znowu zaśmiał się Stewart. – Dlaczego mu pan nie powiedział o ubocznych skutkach ich działania?

– Och, doświadczenie to najlepszy nauczyciel. Poza tym, cholera, nikt inny nie zamierzał strzelać z tego draństwa. – Spojrzał na odczyty i wzruszył ramionami. – Żyje. Okrętów nie ma, Posleenów też nie. Wygląda na to, że odwalił kawał dobrej roboty.

– Ja też tak myślę – powiedział Stewart, śmiejąc się. Potem spoważniał. – Ale straciliśmy Slight. Szlag by to trafił.

– Tak. Mógłbym dać kompanię Sundayowi, kiedy tylko odzyska przytomność, ale myślę, że jednak dostanie ją któryś z sierżantów – I tak zostało tam tylko półtora plutonu.

Stewart wstał i próbował rozejrzeć się poprzez opadający kurz.

– Pora zobaczyć, jak sobie radzą.

- Tak, a ja ściągnę na dół Duncana. Tam na górze nie ma już nic do roboty.
- O'Neal spojrział na schemat pola bitwy.
- Nie wiem, czy w ogóle jest jeszcze coś do roboty.
  - No – przytaknął Stewart. – Chyba moglibyśmy zaszarżować.

*Niech synów Bachusa niepokój nie dręczy,  
Niech każdy z nich się do mnie przysiadzie,  
Napije się, śpiewa, i wspomóż mnie,  
Wspomóż mnie z refrenem.*

*Ref.*

*Zamiast wód mineralnych pijem ciemne piwo,  
A długi płacimy od ręki,  
Nie pójdzie siedzieć żaden za dług,  
Żaden z Garryowen w glorii.*

*Woźnych pobijem dla zabawy,  
Burmistrza i szeryfów przepędzimy,  
Myśmy są chłopcy, co nie śmie im się nikt naprzykrzać,  
O ile chce ujść cało.*

*Ref.*

*To nasze serca nieustraszone zdobyły nam sławę,  
Bo szybko wszyscy się dowiadują, kto my zacz,  
Gdziekolwiek pójdziem, tam lękają się,  
Nazwy Garryowen w glorii.*

*Garryowen,*

Tradycyjna pieśń siódmego pułku kawalerii powietrznej

Franklin, Północna Karolina, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 07:26 czasu

wschodnioamerykańskiego letniego,

wtorek, 29 września 2009

– Quebec, za mną! – rozkazała LeBlanc na częstotliwości batalionu, a potem przełączyła się na interkom. – Drummond, gaz do dechy, trzymaj się drogi!

– Dokąd jedziemy?

Glennis wywołała mapę i zmarszczyła brew; to dobre pytanie. W końcu znalazła to, czego szukała.

– Jedź dwudziestą ósmą – powiedziała, przełączając się z powrotem na częstotliwość batalionową. – Wszystkie jednostki Quebec, porządek kolumny: Bravo, Alpha, Charlie. Pojedziemy do autostrady 64 i wdrapiemy się na nasyp; jeśli będziemy trochę wyżej, może abramsy będą w stanie ostrzelać C-Deki.

– To szaleństwo, ma'am – zaprotestował działonowy czołgu. – Z naszymi działami ledwie je zadrapiemy!

– SheVa ma tylko cztery pociski przeciwlądownicowe – odparła LeBlanc – a okrętów jest sześć.

– Tak jest, ma'am – powiedział działonowy. – Balenton, ładuj srebrną kulę.

– Tak jest! – potwierdził ładowniczy. – Ale jak ona zacznie śpiewać *Garryowen*, ja stąd znikam.



\* \* \*

– Reeves, szybko cofaj – powiedział Mitchell, patrząc na mapę. – Jedź na północny zachód. Major Chan! Przełączcie się na stopiątki, mogą się przydać!

– Co jest na północnym zachodzie? – spytał Pruitt. Miał poważny problem: czy najpierw „zdjąć” zewnętrzne statki, czy zacząć od środka? O, do cholery z tym, poleci od prawej do lewej. – Cel: C-Dek, dwanaście trzydzieści.

– Potwierdzam – odparł Mitchell, włączając odpowiedni ekran. Posleński okręt przelatywał właśnie nad Pendergrass Mountain, niecałe osiem kilometrów dalej. Inne były bliżej; SheVa znów zakołysała się po trafieniu z ciężkiego działa. – Przy Windy Gap jest kilka wzgórz. Pewnie nie dojedziemy aż tak daleko, ale jeśli dojedziemy, wpadniemy na ich siły naziemne. Ale tym będziemy się martwić później.

– Poszło! – zawołał Pruitt, śledząc na wizji lot pocisku. – Cel! – krzyknął, kiedy z włazów okrętu buchnął srebrny ogień. Ładownik zaczął spadać, a potem wybuchł, ale nie była to eksplozja antymaterii. Szczątki runęły na zbocze góry i tocząc się w dół, zniknęły z pola widzenia,

– Tym razem chyba trafiłem w magazyn amunicji – mruknął Pruitt, przesuając armatę w lewo. – Bun-Bun wstąpił na WOJENNĄ ŚCIEŻKĘ!

\* \* \*

– Piekło i szatani! – warknął Kilzer, kiedy coś obryzgało plecy jego kombinezonu. Obejrzał się na gigantyczny amortyzator armaty i pokręcił głową. – Pułkowniku Mitchell, poprosimy o czas dla drużyny!

\* \* \*

– Szeffie, hydraulika na czerwonym! – zawołał Pruitt.

– Niedobrze – mruknął Mitchell. – Kilzer, Indy, meldować. Jest bardzo źle?

\* \* \*

– Tu Indy – odparła chorąży, wychodząc przez właz z pokładu maszynowni. – Cała komora działa jest zachlapana płynem hydraulicznym, ale nie widzę dziury.

– Bo nie ma dziury – powiedział Kilzer, trąc dłońmi ścianę amortyzatora. – Płyn przeszedł przez spawy. Powinniśmy to w miarę szybko zatkać.

– Jak szybko? – warknął Mitchell, patrząc na zbliżające się C-Deki. – Jesteśmy pod ostrzałem, gdybyście nie wiedzieli!

– Szybko. – Indy przywołała jednego z wypożyczonych techników brygady naprawczej z węzem. – Nie więcej niż dwie minuty!

– Niedobrze – mruknął Pruitt. Jakby dla podkreślenia jego słów SheVa zatrzęsała się od bliskiej eksplozji.

– Pracujemy nad tym – powiedziała Indy.

– Reeves, cały czas cofaj – rozkazał Mitchell. – Nie zbliżają się zbyt szybko.

– Nie, ale są coraz bliżej. – Pruitt włączył wskaźnik poziomu płynu hydraulicznego i patrzył, jak ten wchodzi na żółte, a potem na zielone pole. – Sir...

– Gotowe – przerwała mu Indy. – Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli skończy nam się płyn!

– Zaraz komuś każe się tym zająć – odparł Mitchell. – Pruitt?

– Cel: C-Dek!

– Strzelaj sam – powiedział pułkownik. Nagle SheVa zadrżała przy wtórze tytanicznego huku, który wstrząsnął całą konstrukcją. – SUKINSYN!

\* \* \*

Indy zdążyła się uchylić, kiedy nad jej głową przeleciał kabel pod napięciem. Trafił w jednego z techników, rzucając nim po całym pokładzie. Pomieszczenie wypełniła fala przegrzanego powietrza. W końcu wstrząsy ustały i powietrze oczyściło się, lecz zbyt szybko. Indy spojrzała w górę i tam, gdzie przedtem były cztery MetalStormy, zobaczyła gwiazdy.

– O mój Boże – jęknęła, włączając radio.

\* \* \*

– Panie pułkowniku, dostaliśmy – powiedziała. – Właśnie straciliśmy górną lewą część osłony działa. Razem z trzema wieżami MetalStormów.

Mitchell zamknął oczy i pokręcił głową.

– Pruitt, działamy?

– Według przyrządów armata działa, sir.

– Armata nie dostała – wtrąciła Indy – tylko bok osłony. Ale myślę, że nie możemy odpalić MetalStormów, dopóki nie upewnimy się, że konstrukcja się trzyma.

– Pułkowniku Mitchell, tu Kilzer – powiedział przez radio cywil. – Ja też widzę uszkodzenia. Może będziemy mogli strzelać z MetalStormów z tyłu, po prawej, ale wszystkie pozostałe mają za słabe mocowania, żeby wytrzymać wstrząs wystrzału. Przedni pancierz... trochę się sypie. Trafienie oblużowało wsporniki po lewej, widzę zwisające dźwigary. Wszystko tu wygląda tak, jakby do przedziału armaty dostał się skręcający precelków ze specyficznym poczuciem humoru. Połączenie temperatury i wstrząsów prawdopodobnie zerwało spawy. Mamy dużo uszkodzeń w elektryce.

– Ale ciągle możemy strzelać z głównego działa, prawda? – naciskał Mitchell.

– Dopóki się trzyma, sir – odparła nerwowo Indy.

– Pruitt, „zdejmij” ilu się da i dopóki w ogóle się da.

\* \* \*

Działonowy obrócił wieżę i wyszukał następny cel, a tymczasem SheVa mozolnie gramoliła się na północ. Nie było gdzie się schować; można było tylko strzelać i mieć cholerną nadzieję, że kucyki będą pudłować. Na szczęście dotąd tak było.

Pruitt wycelował w trzeciego C-Deka, kiedy nad SheVą przeleciał następny strzał, który trafił w ziemię i zrobił tak duży krater, że mógłby się w nim zmieścić Abrams.

– Poszło! – zawołał działonowy, a potem: – Cel!

Tym razem okręt zniknął w srebrnym ogniu, a na jego miejscu wykwitła chmura w kształcie grzyba, ale znajdujący się najbliżej niego C-Dek zakołysał się tylko w podmuchu eksplozji; ani nie został zniszczony, ani nie zmienił kursu.

– Cholera, są za daleko od siebie! – warknął Pruitt. – Czemu akurat teraz musieli się wycwanić?

Namierzył czwarty okręt.

– Chcę być trochę bliżej, sir.

– Dobrze – odparł Mitchell i zerknął na mapę, a potem na zewnętrzne monitory. Większość nie działała, ale kilka na prawej burcie wciąż przekazywało obraz. – Reeves, widzisz tę szczelinę po prawej z tyłu?

– Tak, sir – odparł kierowca, skręcając czołgiem nieco w prawo. – Damy radę tam się schować?

– Prawie.

– Dobra, są bliżej – odezwał się Pruitt. – Hydraulika działa. Poszło!

Pocisk wszedł w sam środek C-Deka; okręt zatoczył się w bok, jakby miał chwilowe problemy z silnikami, a potem spadł do rzeki.

Słyszając potworne chlupnięcie, Pruitt westchnął.

– To by było na tyle, sir. Cztery pociski. Więcej nie ma. – Spojrzał na wskaźniki, a potem na cele. – A może jednak nie. Sir, gdzie są wysunięte oddziały dywizji?

\* \* \*

– Generale Simosin, tu SheVa Dziewięć. Odbiór!

– Tu stacja w tej sieci, potwierdź swoją identyfikację!

Mitchell zmarszczył brew; do tej pory za każdym razem, kiedy chciał skontaktować się z generałem, rozmawiał z generałem. Kto, do cholery, siedzi teraz przy radiostacji?

– Słuchajcie, tu SheVa Dziewięć. Nie mam czasu na identyfikację, bo jeśli nie zauważyliście, lecą tu posleenie lądowiki. Spróbujemy „zdać” ostatnie dwa, ale jest pewien problem: możemy też trafić w dywizję. Gdzie są wasze wysunięte jednostki?

– Dopóki nie potwierdzicie identyfikacji, na pewno nie podam położenia naszych jednostek.

– Dobra, jak chcecie. W takim razie mam cholerną nadzieję, że wszystkie są za pasmem wzgórz wokół Wooten Mountain. Jeśli dojechały do wschodniego Franklin, powiedzcie im, żeby sobie znalazły jakieś kryjówki, bo to nie będzie przyjemne. Bez odbioru. Pruitt, strzelaj, kiedy będziesz gotów.

– Sir, jest pan pewien? – Działonowy wystukał parametry strzału i właśnie wprowadzał nowy cel. – Wybuch obejmie także dywizję.

– To mi się nie podoba, ale nie ma innego wyjścia – odparł ze znużeniem Mitchell. – Ognia!

– Przyjąłem, sir – powiedział Pruitt, patrząc wprost we wschodzące słońce. – Poszło.

\* \* \*

Pocisk rażenia powierzchniowego dotarł dokładnie do punktu położonego dwa tysiące metrów nad linią łączącą oba C-Deki, a potem detonował.

Okręty były międzygwiazdowymi krążownikami oraz transporterami jednostek Posleenów. W normalnych okolicznościach stukilotonowa głowica, detonująca dwa tysiące metrów od nich, nie zrobiłaby na nich wrażenia, ale w tym wypadku statki nie znajdowały się w próżni ani między planetami.

Fala uderzeniowa rzuciła okręty w dół. Jeśli gwałtowne przyspieszenie jądrowego huraganu nie wystarczyło, by je zniszczyć, dokonało tego zderzenie z twardą ziemią. Poddane działaniu sił, których nie mogły wytrzymać, oba okręty zgniotły się, odbiły od ziemi i po kilku obrotach zatrzymały, jeden na wschód od Cullasaja Bridge, a drugi na szczątkach Wal-Martu w zachodnim Franklin.

\* \* \*

Glennis wyrzała przez właz i potrząsnęła głową, żeby pozbyć się dzwonięcia w uszach. Większość jej pojazdów była nietknięta, czego nie można było powiedzieć o ich załogach. Każdy, kto zostawił otwarty właz, prawdopodobnie już nie żył. Jeden abrams miał odstrzeloną pokrywę magazynu amunicji, co wskazywało, że w środku doszło do tragedii. Jeden z bradleyów leżał do góry gąsienicami, a więc jego załoga prawdopodobnie również nie przeżyła.

Na wschodzie Glennis zobaczyła wystającą z doliny Cullasaja fasetę C-Deka, na której zamontowane było działo plazmowe, strzelające iskrami od elektrycznego przeładowania. Na oczach major broń rzygnęła na wysokość trzystu metrów purpurowym ogniem.

– Jebać to – mruknęła LeBlanc. – Wracam do wywiadu.

Ale generalnie nieźle wyglądali jak na jednostkę, która znalazła się na skraju jądrowej

eksplozji.

Oczywiście nie mieli żadnej łączności. Jeśli nawet jakieś radio działało, ona i tak go nie słyszała.

– Wracamy, żeby nawrzeszczyć na Mitchella – zapytała sama siebie – czy zostajemy tutaj?

Rozejrzała się po zdewastowanym krajobrazie, popatrzyła na ludzi, którzy wolno gramolili się z pojazdów, a potem pokręciła głową.

– Głupie pytanie.

– Jeśli ktoś ma działające radio, niech odezwie się do SheVy i dowie się, za ile tu będą! – wrzasnęła do rozproszonych żołnierzy. – Nie ruszymy się ani o centymetr dalej!

Uśmiechnęła się, słysząc rachityczne wiwaty, i opadła na fotel.

– Co za kurewska noc – mruknęła, wyciągając formularz zapotrzebowania na uzupełnienia. – Zastanówmy się. Potrzeba nam około stu ludzi, pełnego zapasu amunicji...

\* \* \*

W końcu mając nawet uzupełnienia, standardowe pociski, Kosiarzy i powtarzające się jądrowe ataki, batalion O’Neala nie mógł już nic więcej zrobić,

Kiedy tylko Posleeni znaleźli przejście przez zaporę, bez chwili zwłoki zaatakowali w szaleńczej żądzy dopadnięcia znieprawionych pancerzy. Ocalałych stu czterdziestu żołnierzy nie mogło postawić wystarczającej zapory ogniowej, by ich zatrzymać; obcy zbliżali się metr za metrem, mimo nawały pocisków.

– Pusto! – krzyknął jeden z żołnierzy, kiedy zapasy pocisków do działka grawitacyjnego zaczęły się kończyć. – Potrzebuję uzupełnień!

Jednemu po drugim żołnierzom topniała amunicja; liczniki schodziły najpierw do tysiący, potem do setek, a potem stawały na zerze.

– Wyrwa po lewej! – zawołał Duncan, gramoląc się ze swojego okopu z opuszczonym do strzału karabinem. Grupa centaurów przebiła się do niedobitków kompanii Charlie i zaczęła atakować żołnierzy mieczami borna.

Monomolekularne ostrza nie mogły przebić jednym ciosem wykutego przez Indowy pancerza, ale pod gradem uderzeń zbroja w końcu pękała, a ukryty w jej wnętrzu człowiek kończył rozsiekany na śmierć.

Żołnierze powoli tracili nadzieję. Jeden po drugim wychodzili z okopów i wycofywali się; ci, którzy mieli jeszcze amunicję, strzelali do Posleenów, próbując utrzymać ich na odległość ramienia.

– NIE! – wrzasnął O’Neal, wyskakując ze swojej jamy. – NA NICH!

Wybiegł przed szereg swoich ludzi i wpadł między centaury, tnąc i rąbiąc własnymi ostrzami.

– Kapitanie! – zawołał żołnierz z kompanii Charlie; jego okrzyk nagle się urwał.

– Jasna cholera, szefie! – zaklął Stewart, pędząc do swojego dowódcy i strzelając seriami z karabinu. – WRACAJ!

– Nie pozwolę im zdobyć tej przełęczy! – warknął O’Neal, rąbiąc na wszystkie strony. Ale fala obcych była niepowstrzymana; nawet on w końcu to zrozumiał. Posleeni zdobyli linię umocnień i nie miał kto jej bronić. Ikony pancerzy, które zostały na swoich pozycjach, robiły się żółte, potem czerwone, a potem znikwały z ekranu.

– Wycofać się! – rozkazał Mike, zerkając na odczyty. – Wycofać się do Kosiarzy!

\* \* \*

Sunday strzelał z biodra, wyciągając jedną ręką kolejne magazynki i wciskając je w gniazdo karabinu. Ale nic nie pomagało. Ocalałe pancerze uciekały przed nacierającą falą żółtych ciał i żadna siła ognia nie mogła tego zatrzymać.

– Kosiarze, przygotować się do salwy na krótki dystans – rozkazał, kiedy Posleeni minęli linię umocnień, jeszcze do niedawna zajmowanych przez żołnierzy. Nie próbował nawet sprawdzać, kto został.

– Gdzieś trzeba umrzeć – mruknął, szczęśliwy, że miał okazję jeszcze raz widzieć Wendy. Zmienił kolejny magazynek, kiedy do okopu zsunął się Stewart, a za nim major.

– Wycofać się do Kosiarzy! – powtórzył O’Neal, odwracając się błyskawicznie i otwierając ogień.

– Amunicja! Już nie mam! – Jeden z Bandytów wpadł do okopu z zaopatrzeniem i zaczął zdzierać pokrywy ze skrzyń. – Amunicja dla Kosiarzy!

– Kosiarze, ognia! – rozkazał Tommy, kiedy front natarcia Posleenów zbliżył się na trzydzieści metrów.

Każdy z czterech Kosiarzy miał zamontowane cztery działka flesztkowe; grad metalowych ostrzy wyorał olbrzymią wyrwę w masie obcych i na moment ją zatrzymał. Ale nacierający z tyłu popchnęli przednie szeregi wprost na nawałę ognia, której zasadniczym minusem było to, że bardzo szybko zużywała amunicję.

– Pusto! – zawołał McEvoy. – Kończy mi się amunicja!

– Mam – powiedział Bandyta, otwierając skrzynię i wysuwając ładownicę. – Idzie uzupełnienie! – oznajmił, przechylił pojemnik i wysypał jego zawartość do ładownicy.

– Uzupełnienie! – krzyknął następny Kosiarz, stawiający ścianę ognia na północy.

Ale w miarę jak Kosiarze zużywali kolejne skrzynie amunicji, masa Posleenów coraz bardziej zbliżała się do ich okopu.

– Koniec! – krzyknął McEvoy, a potem obejrzał się na stojącego za nim żołnierza. – Cześć, panie majorze.

– Bierz kamień! – warknął O’Neal, kiedy jego pusty magazynek wypadł na ziemię.

– Skrzynie są puste!

– Koniec! – zawołał Sunday, wyrzucając ostatni magazynek, i zamachnął się karabinem na pierwszego Posleena, który dotarł do okopu. Ciężka kolba roztrzaskała się od siły uderzenia, a w jego rękę pozostała jedynie irydowa lufa, którą natychmiast rozbił łeb następnego obcego.

– KURWA MAC! – wrzasnął O’Neal. – Nie chcę zdychać w tej śmierdzącej JAMIE!

– SKURWYSYNY! – krzyknął Sunday, widząc, jak major wspina się z powrotem na krawędź okopu, gdzie tnie i rozrywa obcych na kawałki. – Wracaj, majorze!

Tommy zabił jeszcze dwóch Posleenów, zanim pierwszy miecz trafił go w ramię. Niemal tego nie zauważył, ale potem spadł następny, i następny, i poczuł, że już nie może ciąć i tłuc na wszystkie strony naraz. Kosiarze opierali się plecami o tył okopu i walili Posleenów pięściami, Stewart i McEvoy zniknęli pod masą ciał, majora nie było widać, a...

Nagle niebo zajaśniało ogniem. W ułamku sekundy Tommy zobaczył, jak źrenice żółtych ślepiów Posleenów kurczą się do rozmiarów łebka od szpilki, a w ich tęczęwkach odbija się Żarówka Boga. Padł na ziemię.

I wtedy poczuł na plecach uderzenia olbrzymiego młota, który raz za razem podrywał go w górę i ciskał nim o ziemię. Potem jakaś siła rzuciła go na ścianę okopu, boleśnie wykręcając w tył rękę. Wiedział, że jest złamana, ale konstrukcja pancerza wytrzymała. Gdyby nie to, z pewnością by zginął. Czekał i czekał, przez chwilę, przez całą wieczność, aż w końcu wszystko ucichło i mógł się rozejrzeć.

Przez jakiś czas zaden z systemów pancerza nie potrafił niczego ustalić, ale potem sensory powoli ożyły i Sunday mógł się zorientować, co się wokół niego dzieje. Pierwsza wróciła telemetria

pancerzy. Nie było ich wielu. Jeden tu, jeden tam...

Tommy szukał ikony swojego dowódcy, ale nigdzie nie było jej widać.

\* \* \*

Kiedy wystrzelony przez SheVę pocisk z antymateriałą wybuchł, Mike był, w przeciwieństwie do Sundaya, poza okopem, w masie Posleenów. Po raz drugi w życiu znalazł się na drodze jądrowej eksplozji. Tym razem przynajmniej miał chwilę, aby się przygotować, więc zamiast chwycić się ziemi, co prawdopodobnie i tak byłoby daremne, skoczył w górę i zwinął się w kłębek, zastanawiając się, gdzie wylądaje.

Fala uderzeniowa porwała go i uniosła na południe. Otarł się o coś bardzo twardego – uderzenie zabolowało go, pomimo żelowej wyściółki i kompensatorów inercyjnych – ale potem było już tylko powietrze.

Sensory pancerza wciąż nie działały, ale mimo to Mike wyczuł, że fala słabnie, więc na wypadek gdyby spadał prosto w dół, przybrał pozycję spadochroniarską. Udało mu się w pewnym stopniu zapanować nad kompensatorami i wykorzystać to, żeby ustabilizować swój lot.

W końcu siła jądrowego wybuchu zaczęła słabnąć i nadeszła fala powrotna, która pochwyciła go i rzuciła z powrotem.

W sumie był w powietrzu niecałe piętnaście sekund, chociaż zdawało mu się, że to trwało całą wieczność.

Kiedy powietrze się oczyściło, spojrzał w dół i wybuchnął histerycznym śmiechem. Leciiał siedemset metrów nad ziemią, prosto na ruiny swojego liceum, w których roili się wciąż żywi Posleeni.

– Zawsze chciałem tutaj wrócić w wielkim stylu...

\* \* \*

– Sunday!

– Majorze?

Sunday przejrzał mapę, ale nigdzie nie widać było ikony dowódcy. Stewart i Duncan byli ciężko ranni, pozostali oficerowie nie żyli. Mimo złamanego ramienia, Tommy był w najlepszej ze wszystkich formie. Został mu niecały pluton żołnierzy, więc brzemień dowodzenia nie było zbyt ciężkie.

– Tak, żyję. Za moje grzechy. Opuszczam właśnie Clayton. Skontaktowałem się z SheVą jest gotowa do ostrzału na wezwanie do momentu, aż Posleeni ją zaleją albo ktoś inny przyjedzie, aby uratować nam wszystkim tyłki. Wygląda na to, że u was już jest czysto.

– Tak, sir. Nie widać żadnych Posleenów.

– Zbierają się pod Clayton. Wzywam ogień, ale nie powinien objąć waszej pozycji. W najbliższej przyszłości powinniście mieć spokój.

– Tak, sir.

– O’Neal. Bez odbioru.

\* \* \*

– SheVa Dziewięć?

– Słucham, majorze.

– Jeden rażenia powierzchniowego, UTM północ 386187, wschód 280579.

– Przyjąłem. Jaka jest pana pozycja? Odbiór.

Mike tkwił po pachy w ziemi i kamieniach.

– Zabezpieczona. Proszę, strzelajcie.

- Strzał. Odbiór.
- Strzał. Bez odbioru.

Chwila ciszy.

- Kontakt. Odbiór.
- Kontakt. Bez odbioru.

Mike uśmiechnął się, kiedy atomowa kula ognia pochłonęła jego dawne zagłębienie rozrywki.

- Tak naprawdę nigdy nie lubiłem Clayton.

Zaczekał, aż kurz z grubsza opadnie, a potem rozejrzał się w poszukiwaniu następnego celu.

– Największy problem z atomówkami to znaleźć dobre miejsce do kierowania ostrzałem – powiedział sam do siebie. Włączył powiększenie i pokręcił głową. – SheVa, dacie radę sięgnąć UTM północ 385846, wschód 278994? Przysięgłbym, że zbierają się przy Tiger.

– Eee, nie, wciąż są poza zasięgiem. Poza tym... znowu utknęliśmy. Ale chrupki już jadą. Kiedy tylko wymyślą, jak przedostać się przez strefę promieniowania, pomogą nam.

– Tu dowódca pięćset pięćdziesiątej piątej dywizji. My mamy zasięg na ten cel. I będziemy tam szybciej.

Mężczyzna mówił po angielsku z niemieckim akcentem, a w tle grała jakaś muzyka, ale za cicho, żeby Mike mógł rozpoznać melodię. Nagle z nieba spadła przypominająca meteor smuga ognia i nad Tiger wybuchła kula płomieni, a potem wzbił się w powietrze nuklearny grzyb.

W oddali zobaczył skaczące w niebo promienie światła i inne, liczniejsze, strzelające w dół. Rozejrzał się; to samo widać było ze wszystkich stron.

– Tu Dowództwo Obrony Ameryki, trzymajcie się – odezwał się w sieci nowy głos. Przypuszczalnie we wszystkich sieciach. – Tu wiceadmirał Huber, dowódca siedemdziesiątej siódmej grupy uderzeniowej. Przygotujcie się na ciężki ostrzał.

W oddali widać było podnoszącą się z ziemi falę ognia i na niebie jedna po drugiej zaczęły rozkwitać kule płomieni. Broń kinetyczna niszczyła wszystkie posleeeńskie okręty w zasięgu wzroku, i nie tylko. Na całej planecie.

Potem na niebie pojawiły się promy – statki wyglądały tak, jakby w połowie składały się z powietrza – i spadający na słupach ognia żołnierze. Ich pancerze, podobnie jak okręty, wydawały się niemal nierzeczywiste; stapiały się z ziemią i niebem, a na czujnikach w ogóle nie było ich widać. Powietrze wypełniła muzyka; Mike znów zaśmiał się histerycznie, kiedy rozpoznał *Jazdę Walkirii*.

Jeden z promów ruszył w jego stronę i na zabarwioną na pomarańczowo ziemię opadła pancerna sylwetka. Zaczekał, aż nieznajomy się zbliży, a potem na widok podwójnych gwiazdek generała majora sił uderzeniowych Floty zsalutował.

– Panie generale – powiedział, opuszczając rękę, kiedy salut został odwzajemniony.

– Panie pułkowniku – odparł generał, zdejmując hełm. Jego twarz miała twarde, teutońskie, dobrze znane rysy.

– O cholera – zaśmiał się Mike. – Niech to szlag, Steuben, wszystko tu świeci jak cholera. Załóż z powrotem ten pieprzony hełm, z łaski swojej, panie generale.

– Przepraszam, że tak długo to trwało, ale musieliśmy czymś się zająć po drodze – powiedział generał, a potem zamknął pancerz Mike'a w mocnym uścisku.

## \* EPILOG \*

– Sir, jest tu generał Steuben.

Mike opierał się o skałę i patrzył na dolinę, która kiedyś była jego domem. Kiedy ujrzał wyciągniętych z jaskini uciekinierów i zwiadowców, wśród których nie było Cally, odwrócił się i odszedł. Ten bunkier został zbudowany tylko w jednym celu – miał utrzymać przy życiu jego córkę.

– Pułkownik O’Neal – powiedział generał, dotykając ramienia Mike’a. – Za chwilę odlatujemy. Potrzebują nas w Europie.

– Tak, sir – odparł Mike i wyciągnął rękę. – Dziękuję za pomoc.

– Jak zwykle miał pan sytuację pod kontrolą. – Generał odwrócił się i popatrzył na doliny i wzgórza. Wszędzie wokół rozciągała się pomarańczowa pustka; gleba została zdarta aż po skałę. – Słyszałem... że musiał pan wybierać.

– Tak, sir. – Głos O’Neala był zimny i nieobecny.

– To był... słuszny wybór, pułkownik. Nie wiem... nie wiem, czy sam bym go dokonał, ale to był słuszny wybór.

– To byłby słuszny wybór, ale nie wtedy. Posleeni nie mieli szans wdrzeć się do Cumberland. – Mike przerwał. – Od samego początku nie mieli szans. Zdażylibyście przylecieć przed nimi.

– A Asheville? – spytał cicho generał. – Cztery miliony cywilów, pułkownik. Zniszczyć SheVę? Wyrznąć jeszcze jedną dywizję żołnierzy? Albo dwie, cztery czy pięć? A wy nie mogliście wiedzieć, bo było jasne, że o wszystkim wiedzieliby też Posleeni. Nie wiem, co by zrobili, gdyby wiedzieli, zwłaszcza że ten jeden, Tulo’stenaloor, był bardzo sprytny. Kto wie, co by zrobił?

– To prawda – westchnął Mike. – Ale... – Osunął się na ziemię i zwinął w kłębek. – O Boże, moja córka!

Generał przez chwilę patrzył na niego, a potem westchnął.

– Chyba... Europa musi poczekać. Przynajmniej na mnie.

Schylił się i podniósł Mike’a, a potem objął go i ruszyli razem do czekającego promu.

– Myślę, że pójdziemy się upić, a potem będziemy opłakiwać śmierć świata.

\* \* \*

– To absolutnie nie do przyjęcia! – krzyknął Tir.

Ciekawe, czy mogę go doprowadzić do *lintatai*?, pomyślał wielebny O’Reilly. Nie, nie ma powodu, aby zmieniać plany.

– Jak to nie do przyjęcia, mój dobry Tirze? – spytał. – Przecież nastał dzień radości.

Przez drzwi sali konferencyjnej słychać było odgłosy świętowania; O’Reilly pomyślał, że chyba jest jedyną osobą w całym kompleksie, która teraz pracuje. No, ale chociaż pozbycie się Posleenów było ważną rzeczą, dla Bane Sidhe był to tylko pierwszy krok w o wiele bardziej skomplikowanej wojnie.

– Te siły miały nie opuszczać Irmansul bez ochrony! – Tir był już znowu opanowany. – Musimy wyciągnąć... konsekwencje.

– Sądzę, że to raczej sprawa Floty – odparł O’Reilly. – Jak już wielokrotnie podkreślano, Flota nie należy do Stanów Zjednoczonych czy nawet do Ziemi, lecz do Federacji. Wszelkie... uchybienia w rozmieszczeniu jednostek to z całą pewnością problemy... federacyjne. – Wielebny uśmiechnął się i wykonał skomplikowany gest dłonią. – Proponowałbym zająć się tym razem z waszymi admirałami, Tirze. Rząd Stanów Zjednoczonych ma pełne ręce roboty w związku z nagłym ustaniem działań wojennych.

– Mówisz – syknął Tir – że to sprawa Floty? Najwyraźniej Flotę trzeba będzie przywołać do



porządku.

O'Reilly uśmiechnął się i pokręcił głową. Ci Darhelowie są tak naiwni. Czemu, u diabła, tyle czasu zajęło Bane Sidhe, żeby ich podpuścić?

– To oczywiście twoje prerogatywy, Tirze, ale póki co trwają obchody zwycięstwa, a mnie na nich nie ma.

Jezuita zabębnił palcami w stół, wstał i wyszedł, aby poszukać butelki bushmillsa. Kościół na pewno nie miałby nic przeciwko jednemu wieczorowi radości.

A jutro – z powrotem do spraw wojny.

Przecież nie wszyscy zrobili sobie przerwę.

\* \* \*

Tulo'stenaloor przedzierał się przez leśną gęstwinę, pokazując swoim oolt'os, jak wycinać ścieżkę. Sam nie wiedział, po co się trudzi; ludzie opanowali orbity i każdy statek, który próbował opuścić planetę, był niszczone. Estanaar mógł tylko uciekać i ukrywać się jak *abat*, a to było bardzo upokarzające.

Nagle oolt'os idący na przodzie zatrzymał się, a potem sięgnął po karabin. Przed nimi stał samotny Indowy.

– Stać – powiedział Tulo'stenaloor, machając na oolt'os, żeby opuścili broń; zieloni nigdy nie byli groźni.

Podszedł bliżej, a mały Indowy na jego widok machnął ręką.

– Ty jesteś Tulo'stenaloor, Mistrz Bitewny Pierwszego Rzędu ze Sten Po'slena'ar? – zapytał po posleeńsku.

– Tak, to ja – odparł Tulo'stenaloor. Nagle z zarośli dookoła zaczęli wyskakiwać ludzie z bronią wycelowaną w jego obstawę. – Kim jesteś?

– Jestem Indowy Aelool – odparła mała istotka i ukazała w bardzo drapieżnym uśmiechu wszystkie zęby. – Chciałbym ci złożyć propozycję nie do odrzucenia.

\* \* \*

– Co teraz? – spytała Elgars oficera przydziałowego.

Mężczyzna był niski, otyły, łysiejący i najwyraźniej nie miał ochoty tracić czasu na żołnierzy, którzy zgubili swoje jednostki.

– Na razie przydzielę pani pojedynczą kwaterę oficerską – odparł – a obu podoficerów umieszczę w kwaterach podoficerów. Potem wyślę do administracji zapytanie, co mam z wami zrobić. Dopóki nie będziemy wiedzieli, proszę się trzymać w pobliżu.

Podał każdemu z nich kartkę papieru i wskazał drzwi.

– To było... – powiedziała Elgars, kiedy szli korytarzem. Kwatera główna korpusu Asheville sprawiała wrażenie, jakby wszyscy potracili głowy. Wraz z powrotem Floty połowa żołnierzy spodziewała się natychmiastowego przeniesienia, nagle nikt już nie wiedział, co przyniesie przyszłość, a na swój sposób było to gorsze nawet od Posleenów.

– Obcesowe – dokończył Mosovich, otwierając szarmanckim gestem drzwi. – Kiedy wykonuje się takie dorywcze roboty, człowiek przyzwyczaja się do tego, że rzadko dostaje podziękowania, a na co dzień wszyscy go ignorują. To, czy zadanie było trudne i czy dobrze się je wykonało, zwykle nikogo nie obchodzi.

– Co teraz, szefie? – spytał Mueller.

– Jeśli pani kapitan wolno sponiewierać się publicznie z dwiema łajzami z zaciągu, proponuję znaleźć jakiś bar i porządnie się spić – odparł sierżant.

– Dobry pomysł – stwierdziła Elgars, patrząc w stronę bramy. – Za mną!

I ruszyli; obaj mężczyźni z trudem dotrzymywali kapitan kroku.

– Ostatnio wydaje się pani... jakby bardziej pełna.

– Rzeczywiście czuję się pełna – odparła z uśmiechem Elgars. – Od kilku dni nie zmienia mi się osobowość, czuję się tak, jakbym po raz pierwszy, odkąd się obudziłam, była sobą.

– A wie pani, kim pani jest? – zapytał ostrożnie Mosovich.

– Aha.

– Kim?

– Annie Elgars – odparła stanowczym tonem. – Po prostu Annie.

Mosovich pokręcił głową i przez chwilę przyglądał się kobiecie, a potem westchnął, jakby właśnie dowiedział się o śmierci przyjaciela.

– Tak, pora paskudnie się spać, ma'am.

\* \* \*

Pułkownik Garcia wysiadł z windy osobowej, kręcąc głową jak lekarz, który właśnie ma powiedzieć rodzicom, że mały Timmy nie wróci do domu.

– Niewiele możemy zrobić, pułkowniku – powiedział do Mitchella, patrząc na pozostałych. Cała załoga SheVy plus Kilzer i major Chan zebrała się, żeby usłyszeć wieści.

– Maszynownia jest zasypana granulkami – ciągnął Garcia – i jest potwornie gorąca. Do tego dochodzą uszkodzenia z bitwy. Biorąc pod uwagę, że większość SheV ma być wycofana z użycia, zdejmujemy z niej MetalStormy i wszystko, co się da uratować, rozbiorimy armatę, a potem oblepimy ostrzeżeniami o promieniowaniu. Cała okolica jest tak gorąca, że i tak pewnie będzie zamknięta.

Mitchell westchnął.

– Miałem nadzieję na coś lepszego, ale... – Popatrzył na górę metalu, która przez ostatnie kilka dni była ich domem, i pokręcił głową. – Co teraz?

– Odpoczynek – zaproponował Garcia.

– Zrobi się – odparł Mitchell. Spojrzał na Indy i Chan, po czym wzruszył ramionami. – Drogie panie, przypuszczam, że w Asheville jest klub oficerski, który właśnie nas wzywa. Czy mogę postawić paniom drinka? Na pewno znajdziemy sobie jakiś transport.

– Hej, a co z nami? – spytał Pruitt, wskazując Reevesa. – Odjedzie pan sobie w kierunku zachodzącego słońca, zabierze dziewczyny i zostawi nas na środku radioaktywnej pustyni?

– Pruitt, pierwszym obowiązkiem oficera jest zadbać o swoich ludzi – odparł poważnie Mitchell, obejmując ramionami chorążego i panią major. – Ty i Reeves macie czterodniową przepustkę. Zameldujecie się w kadrach sto czterdziestej siódmej za cztery dni. Nie jeździcie po pijanemu. To wszystko, jeśli chodzi o omówienie warunków bezpieczeństwa na przepustce. Bawcie się dobrze.

Odwrócił się i ruszył w stronę pobliskiego parku pojazdów.

– No to kicha – warknął Reeves. – Gdzie się mamy podziać, do cholery?

– Za nimi – powiedział Pruitt, widząc wchodzącą na wzgórze major LeBlanc. – I to jak najszybciej!

Kilzer zauważył ją mniej więcej w tej samej chwili i rozejrzał się w panice. Znajdowała się w połowie drogi między nim i pojazdami, a powrót do SheVy bez kombinezonu antyradiacyjnego byłby samobójstwem. Ale i tak przyszło mu to na myśl. Podejrzewał, że straci jaja, więc równie dobrze mogło się to stać na skutek stosunkowo bezbolesnego napromieniowania.

– Aaa, pan Kilzer – powiedziała major, podchodząc i biorąc się pod boki. – Poświęci mi pan chwilkę?

– Tak, proszę pani – odparł Paul.

LeBlanc spojrzała na jego dłonie odruchowo zasłaniające krocze.

– Nie zamierzam kopać pana w jaja – powiedziała, kręcąc głową, a potem, kiedy się uśmiechnął i opuścił ręce, kopnęła go.

– Och! – zawołała, kopiąc go jeszcze raz, kiedy już leżał na ziemi. – Przepraszam! Pomyliłam się! Chciałam powiedzieć „Zamierzam kopać pana w jaja!”. Nie wiem, skąd się tam wzięło to „nie”! Może to uboczny skutek napromieniowania?

– Aaa! Przepraszam! To była pomyłka!

– Tak, wiem, że pan przeprasza. – LeBlanc odsunęła się i pokręciła głową. – Niech pan wstaje, wygląda pan jak dziecko, skamłając tak i ściskając się za jaja.

– A nie kopnie mnie pani znowu? – jęknął Kilzer.

– A nie będzie pan aroganckim dupkiem?

– O cholera:

– Wstawaj, postawię ci drinka.

– Naprawdę, mnie już pani nie kopnie? – spytał Kilzer, podnosząc się z trudem na jedno kolano. – Obiecuję pani?

– Tak, chyba że znów coś spieprzysz.

– Cholera.

\* \* \*

– Musimy przestać tak się spotykać – powiedziała cicho Wendy.

– Ile razy widziałas mnie na warsztacie, raz? – spytał Tommy z wnętrza zbiornika. Był cały zanurzony w czerwonym roztworze, a wokół ust i nosa tworzyła mu się banka powietrza. Uśmiechnął się i wskazał swój bark otoczony ciemniejszą, mniej przejrzystą chmurą. – Szkoda, że nie mogą mi powiększyć fiuta!

– Nie potrzeba – powiedziała Wendy, nagle postrzegając zbiornik jako przestarzałą technologię. Dla większości ludzi była to magia zdolna do regenerowania kończyn i leczenia wszystkich ran, oprócz śmiertelnych, ale ona widziała prawdziwą magię, dla której nawet śmierć nie była barierą nie do przebycia.

– Wyjdę stąd za parę dni – powiedział Tommy. – Szykuje mi się przepustka, ale potem, skoro Flota wróciła, nie wiem, co z nami zrobią. Tak czy inaczej, tak sobie myślałem... Chcesz za mnie wyjść?

Wendy spojrzała na chłopaka i pokręciła głową.

– W tym stanie nie możesz uklęknąć i wyciągnąć pudełka, a potem założyć mi na palec pierścionka, dlatego w tych okolicznościach przyjmuję takie oświadczyń! – powiedziała z szerokim uśmiechem.

– Świetnie!

– A Flota? Co oni powiedzą?

– Jebać ich. Co mi mogą zrobić, posłać na samobójczą misję?

– Już nie, kochany – powiedziała cicho Wendy. – Już nie.

– No, coś muszą robić – stwierdził Tommy zmartwionym tonem. – Mówi się o cięciach we Flocie, nawet w siłach uderzeniowych. Mogę zostać zwolnionym porucznikiem bez szkolenia i bez przyszłości. Nie byłoby zbyt wesoło mieć kogoś takiego za męża!

– O to będziemy się martwić w swoim czasie – powiedziała Wendy. – Ale prawdę mówiąc, wcale bym nie żałowała, gdybyś nie pracował dla Floty.

– No, coś muszę robić.

\* \* \*

– Cały czas próbuję zrozumieć, czy nosicie białe kapelusze, czy czarne – powiedział Papa O’Neal, upijając łyk kawy.

Sala spotkań mieściła się bardzo głęboko pod ziemią, ale teraz, kiedy O’Neal wiedział już, co himmicki statek może zrobić ze skałą, nie był tym zaskoczony. Był za to zdziwiony osobą swojego rozmówcy.

– Bane Sidhe kwalifikuje się moim zdaniem do białych – powiedział cicho wielebny O’Reilly. – Poznał pan już część naszej historii, dowie się pan jeszcze więcej. Co do reszty, no cóż, jesteśmy ludźmi, którzy pana uratowali. Wyświadczaliśmy też przysługi pana synowi. Ale to leży w naszym własnym interesie, Michael O’Neal jest bowiem jedną z osób, które mogą nam pomóc pokonać naszego prawdziwego wroga. Dlatego pana uratowaliśmy, mając nadzieję, że się pan zaangażuje w to wielkie dzieło.

– Aha – powiedziała Cally. Trzymała w ręku puszkę coli, ale jak dotąd nawet jej nie otworzyła. – A więc kto jest prawdziwym wrogiem?

– Oczywiście Darhelowie – odparł O’Reilly. – To oni czekali do ostatniej chwili z ostrzeżeniem Ziemi o zbliżającym się niebezpieczeństwie. To oni, kiedy stało się jasne, że ludzie są bardziej pomysłowi niż początkowo sądzili, spowolnili produkcję na potrzeby wojny poza planetą i na Ziemi. To oni dostarczali Posleenom istotnych informacji, i to bez ich wiedzy. To oni przeforsowali wybór dowództwa na Diess, przez co omal nie zginął twój ojciec, to oni zhakowali sieć informacyjną dziesiątego korpusu i wysłali do was zabójcę, kiedy miałaś osiem lat, żeby jeszcze bardziej uprzykrzyć wam życie. Jedyną twoją osobistą stratą, z którą Darhelowie nie mieli do czynienia, była śmierć twojej matki. To był przypadek, chociaż... powinna była dowodzić krążownikiem, a nie tkwić na nie dokończonych, kiepsko zaprojektowanej fregacie. A to też można złożyć na karb Darhelów.

– A my możemy w to wszystko wierzyć albo nie – powiedział Papa.

– Damy wam dowody naszej dobrej woli – odparł sucho O’Reilly. – Myślę, że kiedy już nas lepiej poznacie, prawda stanie się oczywista. Pojawienie się Michaela O’Neala seniora czy Cally O’Neal wywołałoby sporo komentarzy, zważywszy na to, że oboje zostaliście uznani za martwych.

– Pewnie powiedzenie prawdy nie byłoby najlepszym pomysłem, co? – spytała Cally.

– Ziemskie władze uznałyby was za wariatów, a Darhelowie bardzo szybko by was uciszyli. Potrzebujemy dobrze wyszkolonych, samodzielnych ekspertów do zadań specjalnych. Pan, panie O’Neal, ma dużo doświadczenia w tych sprawach, a Drużyna Conyers odniosła bardzo korzystne wrażenie podczas swojej krótkiej wizyty.

– Ciekaw byłem, kiedy do tego dojdziemy – powiedział O’Neal, kiwając głową.

– To samo, oczywiście oprócz doświadczenia, dotyczy panny O’Neal. Bane Sidhe od niepamiętnych czasów wierzyło w związki krwi, dlatego ty jesteś najlepszym... surowcem, jaki można sobie wyobrazić. Nie wierzę, że mogłabyś nie okazać się świetnym agentem, a ty?

– Nie – powiedziała Cally, uśmiechając się i wzruszając ramionami. W końcu napiła się coli.

– Oboje potrzebujecie nowej tożsamości, nowego życia i... ochrony, mimo waszej anonimowości. Gdyby Darhelowie wpadli na wasz trop... Potrzebujemy ludzi, a wy oboje jesteście najlepszymi kandydatami, jakich znam.

Cally westchnęła.

– Co tam, ja w to wchodzę, pod warunkiem, że zadania będą sensowne.

– Jeszcze przez jakiś czas nie będziesz musiała się przejmować zadaniami, młoda damo – powiedział wielebny. – Przed tobą kilka ładnych lat szeroko pojętej nauki.

– Szkoła? – spytała przerażona Cally. – Pan żartuje, prawda?

- Nie, nie żartuje – uciął Papa O’Neal. – Musisz zdobyć wykształcenie. Nawet jeśli zajmiesz się tym... cokolwiek to jest, i tak musisz być wykształcona.
- Szkoła – jęknęła Cally. – Super. Na pewno zabiorą mi wszystkie spluwy.
- Tylko po to, żeby je oddać do zbrojowni – powiedział z uśmiechem O’Reilly. – Jak powiedziałem, potrzebujesz „szeroko pojętej nauki”. Po prostu... postaraj się nie zabić żadnej zakonniczki, dobrze?
- Coraz lepiej. Zakonniczki. – Ale kiwnęła głową. – Dopóki nie będą próbowały tłuc mnie po palcach linijką, pozwolę im żyć.
- Dobrze, mamy Cally z głowy – powiedział Papa O’Neal, patrząc na kapłana ze zmarszczonym czołem. – I ja też się na to piszę. Będę najlepszym łowcą Sidhe, jakiego mieliście. – Przerwał i poruszył szczęką, jakby szykował się do bójk. – Ale pod jednym warunkiem...

\* \* \*

Shari stała na zimnym, zacinającym deszczu, czekając w kolejce uchodźców, aż zostanie przyjęta do obozu pod Knoxville.

Wendy poszła do szpitala, aby zobaczyć swojego chłopaka, a Mosovich i Mueller zniknęli tam, gdzie znikają żołnierze po walce, i zostawili ją z Billym, Kelly i Susie. W kolejnym obozowisku. W kolejnym tłumie przerażonych, obcych ludzi. Żeby jeszcze raz zaczęła wszystko od nowa.

Zrobiła kilka kroków do przodu, trzymając Kelly i Susie za ręce i nie spuszczać oka z Billy’ego. Po tych wszystkich przejściach chłopiec wyglądał... lepiej, jakby przeżycie na nowo koszmaru w jakiś sposób go oczyściło. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby...

Byłoby lepiej, gdyby Posleeni nigdy nie przylecieli. Byłoby lepiej, gdyby Fredericksburg nie został zniszczony. Byłoby lepiej, gdyby w Podmieściu nie zginęły dwa miliony ludzi, a pięć miliardów na całej planecie. A więc myślenie o tym, że byłoby lepiej, gdyby nie zginął jeden stary człowiek, było...

– Hej, panienko, zatańczysz? – szepnął jej ktoś do ucha.

Odwróciła się, wściekła, żeby uderzyć natrętną świnię w pysk, ale znieruchomiała, kiedy spojrzała mężczyźnie w oczy.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha – powiedział nieznajomy, uśmiechając się i wyciągając ręce. Był trochę za wysoki i o wiele za młody, miał ogniście rude i długie włosy, zamiast krótkich, rzednących i siwych. Ale miał coś w oczach, w rysach twarzy... I policzek wypchany wielką pecyną tytoniu do żucia.

– Szkoda – powiedział, biorąc ją za ręce i kołysząc się. – Słyszałem, że lubisz tańczyć. „O, to wspaniała noc na księżycowy taniec, z gwiazdami wysoko w naszych oczach...”.

Nic nie widząc przez łzy, objęła go. Teraz już wszystko musi być dobrze. Wbrew nadziei i rozsądkowi, wszystko musi być dobrze.

*Koniec*

## \* POSŁOWIE \*

David Drake uważa, że objaśnianie książek to „kiepska sztuka”. Cóż, w takim razie przez chwilę będę uprawiał kiepską sztuką, żeby się usprawiedliwić.

To, co właśnie skończyliście czytać, to zakończenie innej powieści. Nigdy nie zamierzałem napisać więcej niż trzech książek w pierwszym cyklu powieści, który stał się znany jako *Dziedzictwo Aldenata*. Trylogia bowiem oznacza trzy książki, a nie cztery, pięć czy dziewięć. Powód, dla którego jest ich cztery, sprowadza się do dwóch najbardziej przykrych słów we współczesnej Ameryce: Jedenasty Wrzesnia.

Rankiem jedenastego wrzesnia miałem napisane dziewięćdziesiąt tysięcy słów *Tańca z diabłem*. Wtedy zadzwonił do mnie brat i powiedział, żebym włączył telewizor. Do terminu oddania całości książki zostało mi jeszcze sporo czasu – miałem ją oddać pierwszego października – ale od jedenastego wrzesnia nie udało mi się napisać już ani słowa.

Mój wydawca raz i drugi dał mi więcej czasu, ale już nie można było dłużej zwlekać. Skróciliśmy wstępne czytanie, pospiesznie zakończono skład i posłano całość do drukarni. Oczywiście w skróconej wersji. To wszystko moja wina.

Nie staram się wykręcić od odpowiedzialności, mówię wam tylko, co się stało i dlaczego. Tak jak Shari, nie zamierzam jednak płakać nad niedokończoną książką. Wobec trzech tysięcy zabitych, tysięcy ludzi bez pracy i nadchodzącej wojny, jedna książka nie dopięta na ostatni guzik to naprawdę drobiazg.

A więc jeśli weźmiecie te dwie powieści i złożycie je razem, a potem wyrwiecie część pod tytułem „w poprzednim odcinku”, będziecie mieli całość książki pod tytułem *Taniec z diabłem*, pomyślanej jako trzecia część trylogii.

Proszę bardzo, nie krępujcie się. Zedrzyjcie tył okładki z *Tańca...*, weźcie nożyczki i klej...

A teraz szybka zmiana tematu. Różni ludzie pytali mnie o wiele rzeczy związanych z tym cyklem, więc skoro „trylogia” jest już skończona, uznałem, że mogę na kilka pytań odpowiedzieć.

Pomysł wojny z Posleenami powstał w roku 1985. Przedtem miałem jakąś koncepcję książki, ale cały pomysł – zacofany technologicznie wróg, „sprzymierzeńcy” o wielu twarzach i wielka wojna naziemna – przyszedł mi do głowy, kiedy pełniłem służbę wojskową na półwyspie Synaj.

Byłem... rozczarowany różnymi powieściami traktującymi o najeździe obcych. Zgoda, jeśli rasa kosmitów potrafiących przekraczać prędkość światła zapagnie zająć Ziemię, prawdopodobnie to się jej uda. Kiedy ktoś zawładnie „studnią grawitacyjną”, już niewiele będzie można zdziałać.

Dlatego też jeśli ludzkość miała przetrwać (a książka skończyć się ciekawiej niż „a potem wszyscy ludzie zginęli, a źli kosmici żyli długo i szczęśliwie”), obcy musieli trafić na przeszkody. Ale dlaczego obcy przekraczający prędkość światła mieliby nie wykorzystywać całego swojego potencjału?

Przeczytałem kilka powieści, które zajęły się tym problemem, i uznałem je za niezadowalające. Dlatego wymyśliłem Posleenów, starając się, aby wiele rzeczy wynikało z logicznego rozumowania, a nie było próbą wymuszania logicznych rozwiązań. Tom Clancy twierdzi, że dwa najważniejsze pytania przy pisaniu dobrej powieści to „co będzie, jeśli?” i „co będzie potem?”.

Początkowo zamierzałem podarować Posleenom na przykład umiejętność niszczenia artylerii, ale logika ich pochodzenia na to nie pozwalała. Tak samo było z ich niesłychaną wytrzymałością. Przecież każdy organizm oddychający tlenem będzie miał kłopoty z cyjankiem. Tylko przy jakim stężeniu? I przez jak długi czas? Czy można stworzyć rasę, która będzie wyjątkowo odporna na skrajnie dziwaczne warunki środowiska? I planety, na których większą część atmosfery stanowi lotna

siarka, planety z myślącymi i agresywnymi biosferami? Przypomnijcie sobie wszystkie planety z kosmicznych horrorów, jakie wymyślono, a potem stwórzcie rasę, która nie dość, że na nich przeżyje, to jeszcze będzie się rozwijać. Czy tacy obcy nie będą odporni na broń chemiczną?

W ten sposób, mając do dyspozycji trochę logiki i mglisty ciąg obrazów, zabrałem się do pisania książki. Nie zrobiłem tego z myślą o jej wydaniu (jeszcze trzy miesiące przed wysłaniem *Pieśni przed bitwą* do Baen Books nie myślałem o zostaniu poczytnym autorem), miała to być książka dla mnie, coś, co ja sam chciałbym przeczytać – rzecz o inwazji obcych, gdzie „dobrzy” (czyli my) muszą zetrzeć się na śmierć i życie ze „złymi” (to Posleeni). Żadnej szarości, żadnej dwuznaczności. Zwycięstwo albo śmierć. *Vive le morte!* i jeszcze raz w wyłom! Zdobyć ten bunkier albo zginąć, próbując!

Bo jeśli nie chodzi o zwycięstwo albo śmierć, po co tracić czas? (Och, dla Sztuki? Przepraszam, że się roześmieję. Poczytajcie sobie recenzje Dickensa.)

Kiedyś w przyszłości powstaną powieści w odcieniach szarości, ale niestety, ich napisanie trochę potrwa. „Wypaliłem” się przy Posleenach i przez kilka następnych lat zamierzam pisać o czymś innym. Myślę, że nie zrazi to do mnie moich obecnych czytelników, i mam zarazem nadzieję, że te nowe tematy będą bardziej „przystępne” dla tych, którzy – bądźmy szczerzy – nie przepadają za opisami stosów żółtych podziurawionych trupów.

Bądźcie spokojni, Mike O’Neal, Papa i oczywiście Cally (jakżebyś śmiał ją zabić) powrócą. Tymczasem Mike odbija kolejne planety z rąk Posleenów, a Papa i Cally kryją mu plecy. Kopia tyłki i nawet nie pytają, czyje.

I to niezależnie od tego, czy on o tym wie.

Trzymajcie się i pamiętajcie, że dobrzy zawsze w końcu wygrywają.

John Ringo Commerce, Georgia 6 października 2002

# \* PODZIĘKOWANIA \*

Chciałbym podziękować paru osobom za pomoc przy pisaniu tej powieści i wszystkich innych książek.

Pragnę podziękować Sandrze Henra – tak, Sandy, zabiłem cię, ostatecznie i nieodwołalnie – i Dougowi Millerowi za dobre pomysły, a także Bobowi Hollingsworthowi, Tony’emu Trimble i Johnowi Mullinsowi za naprawdę świetne opowieści. Pisanie polega na syntezie otaczającego świata, dlatego trudno jest dobrze pisać bez korzystania z doświadczeń innych. Wszyscy ci ludzie wzbogacili moje życie, każdy z nich w inny, niepowtarzalny sposób.

Jak już napisałem w dedykacji, dziękuję wszystkim Ćmom Barowym. Wydawnictwo Baen ma bardzo aktywne forum internetowe, zwane Barem Baenu. My, jego członkowie – gdyż uważam się za jednego z nich – nazywamy się Ćmami Barowymi.

Ćmy Barowe nie dawały mi spokoju od chwili wydania mojej pierwszej książki, *Pieśni przed bitwą*. Byłem Ćmą, zanim jeszcze postanowiono ją wydać, i wszyscy moi kumple zupełnie dobrowolnie zajęli się jej promocją. To było tak, jakbym miał dwa tysiące przedstawicieli handlowych; jestem pewien, że to właśnie Ćmy Barowe bardziej niż cokolwiek innego przyczyniły się do znaczącego sukcesu, jaki odniosły moje książki.

Chciałbym podziękować kilku z nich; wymienię ich w zupełnie przypadkowej kolejności.

Morgenowi dziękuję za to, że był jedną z pierwszych przyjaznych twarzy, Deannowi mimo Balu DaGiN. Genghisowi Kratmanowi, najmłodszemu stażem autorowi wśród Ciem, za to, że jest dla mnie jak brat. Katie/Indze za to, że zawsze miały ochotę pobawić się w groupies. Wymanowi za to, że zawsze spieszył z pomocą. Skimpy’emu (sic!) za to, że często go nie było.

Chciałbym również podziękować ekipie technicznej: Conradowi, Philowi, Dougowi i Kenowi Burnside’owi za to, że wykrzesali trochę logiki z mojego bezmyślnego entuzjazmu.

Dziękuję także Russowi Islerowi i Dariusowi Garsysowi za to, że zamienili moje opisy w prawdziwe, oddychające, żywe przedmioty.

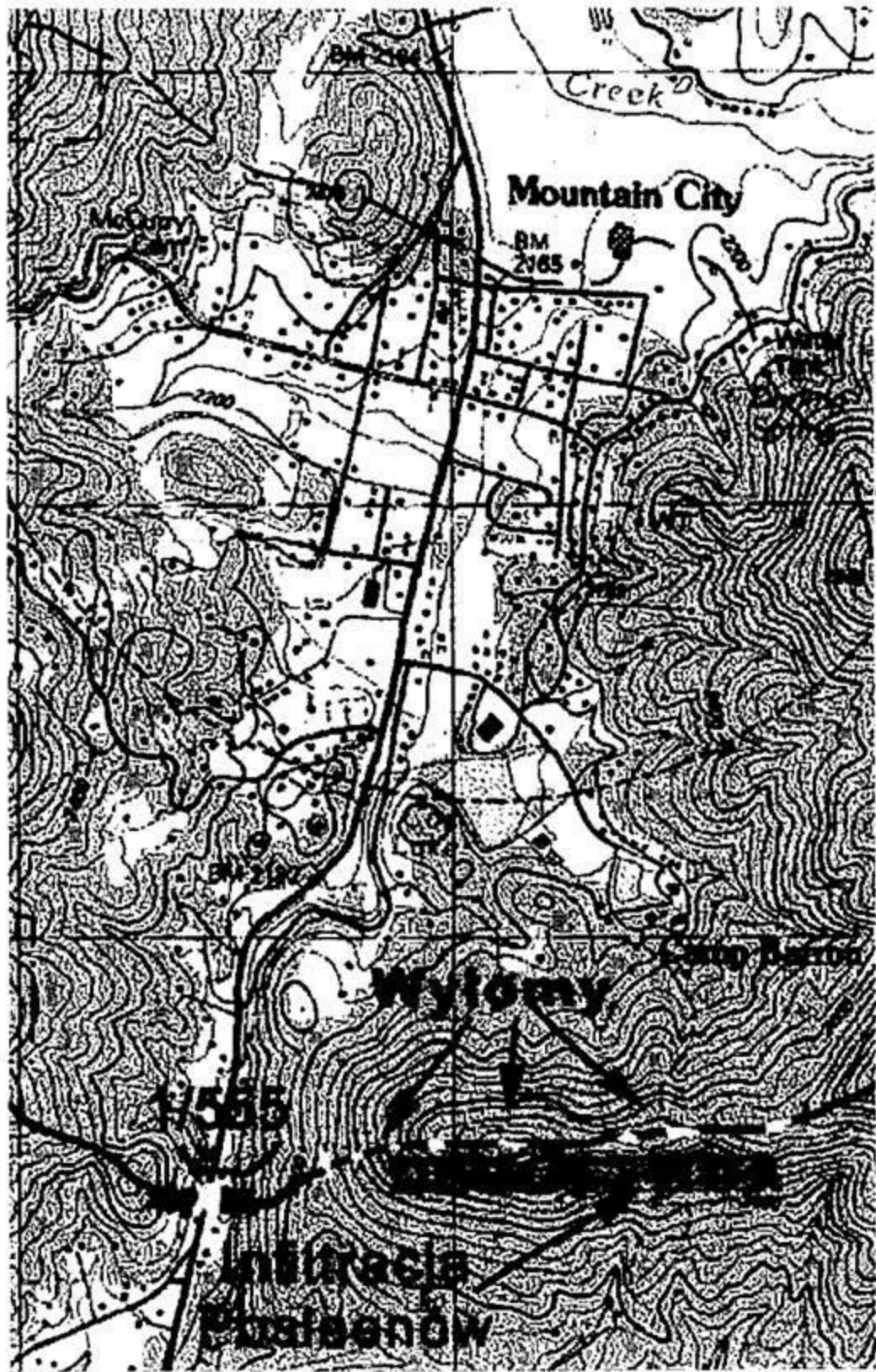
Chciałbym zwłaszcza podziękować Joemu Buckleyowi i Glennis LeBlanc za to, że byli moimi pierwszymi czytelnikami w branży i znosili różne moje wygłupy.

Och, chciałbym też jeszcze raz podziękować mojej żonie Karin za to, że wytrzymywała ze mną, kiedy goniły mnie terminy.

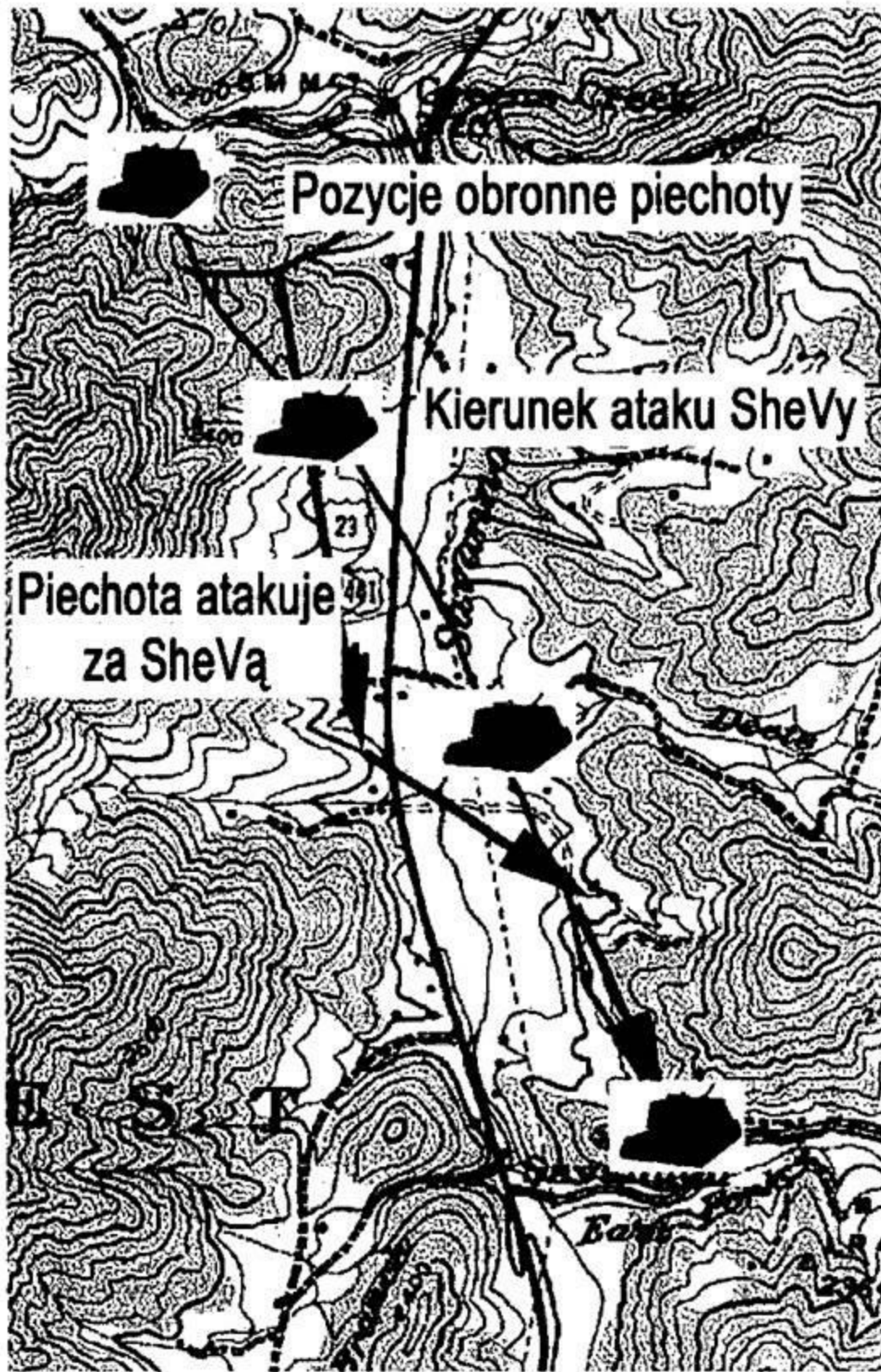
Oczywiście zapomniałem o pewnych ludziach, którzy mieli duży wkład w powstanie tej książki; wszystkich, których pominąłem, przepraszam za to, że to zrobiłem. Postaram się wam to wynagrodzić w następnych książkach.



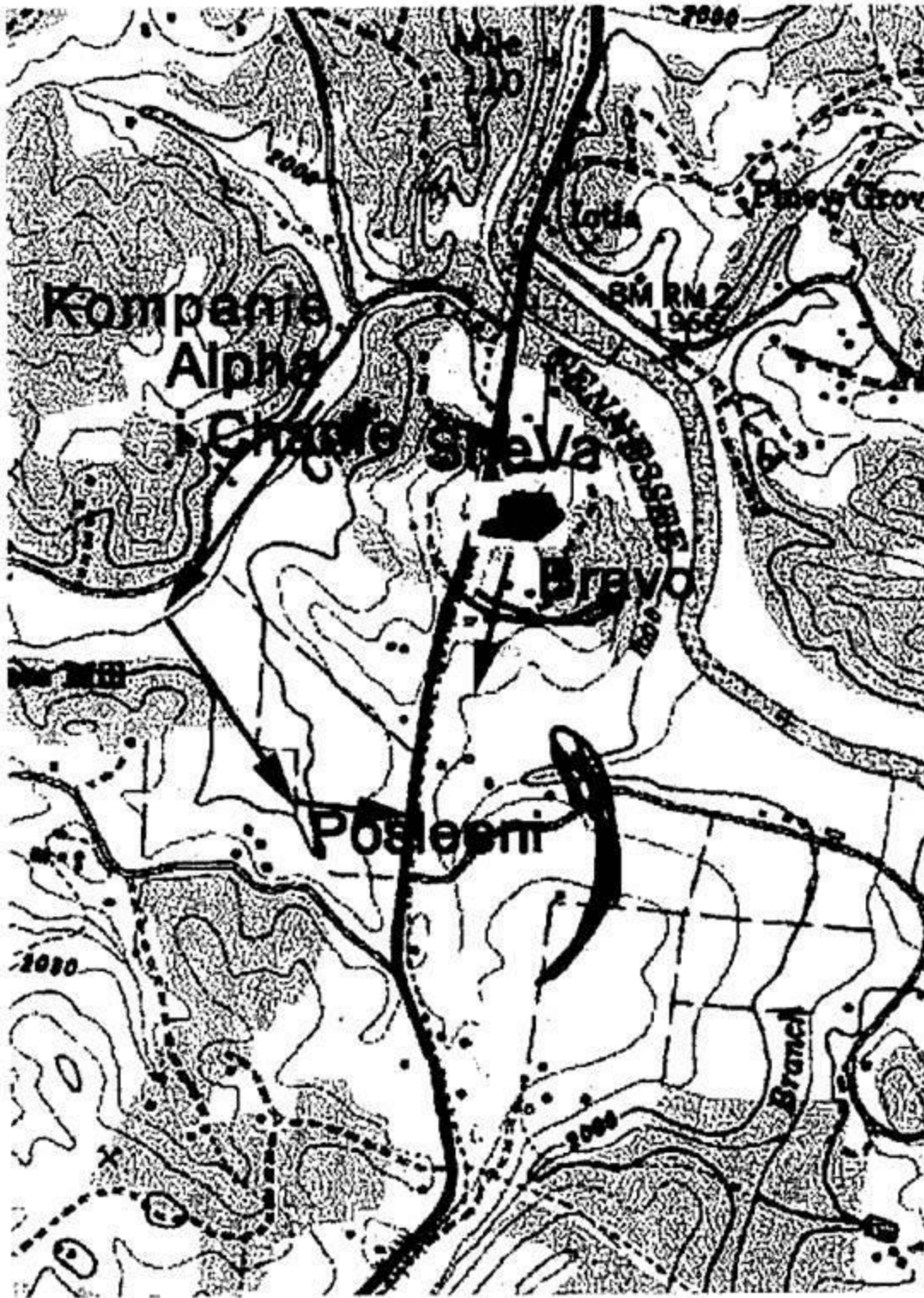
# Mountain City



# Bitwa o Savannah



# Bitwa o Iotla



\* FUBAR Fucked Up Beyond All Repair [ang.] – w wolnym tłumaczeniu „beznadziejnie spierdalone” [przyp. tłum.].

# Spis treści

<u>* Prolog *</u>	<u>4</u>
<u>* 1 *</u>	<u>9</u>
<u>* 2 *</u>	<u>23</u>
<u>* 3 *</u>	<u>34</u>
<u>* 4 *</u>	<u>48</u>
<u>* 5 *</u>	<u>60</u>
<u>* 6 *</u>	<u>76</u>
<u>* 7 *</u>	<u>88</u>
<u>* 8 *</u>	<u>98</u>
<u>* 9 *</u>	<u>113</u>
<u>* 10 *</u>	<u>125</u>
<u>* 11 *</u>	<u>143</u>
<u>* 12 *</u>	<u>156</u>
<u>* 13 *</u>	<u>166</u>
<u>* 14 *</u>	<u>178</u>
<u>* 15 *</u>	<u>191</u>
<u>* 16 *</u>	<u>203</u>
<u>* 17 *</u>	<u>216</u>
<u>* 18 *</u>	<u>233</u>
<u>* 19 *</u>	<u>245</u>
<u>* 20 *</u>	<u>265</u>
<u>* EPILOG *</u>	<u>279</u>
<u>* POSŁOWIE *</u>	<u>290</u>
<u>* PODZIĘKOWANIA *</u>	<u>293</u>
<u>*</u>	
<u>—</u>	